

**Clare Clark**

# **Wielki smród**

Clare Clark urodziła się w 1967 roku w Londynie. Ukończyła z wyróżnieniem historię na Trinity College w Cambridge. Wielki smród to jej pierwsza powieść. W 2005 roku ukazała się *The Nature of Monsters*, a w 2010 roku *Savage Lands*.

Mieszka w Londynie z mężem i dwójką dzieci.

Dla Chrisa, zawsze

I

Tam, gdzie kanał skręcał w prawo, nie dało się już wyprostować, pomimo gwałtownego spadku terenu. Denko kapelusza Williama tarło po suficie, gdy pochyłał się, trzymając przed sobą latarnię, a smród odchodów atakował jego nozdrza. Ręka drżała mu lekko, a światło drgało i podskakiwało w ciemności. Wznosząc się i przyspieszając, w miejscu gdzie koryto robiło się węższe, strumień napierał na natłuszczoną skórę cholewek butów mężczyzny i dociskał je do łydek. Pęd wody tłumiał dochodzący z góry stukot kopyt i klekot żelaznych obręczy kół. Oczywiście William znajdował się teraz głębiej. Od granitowej kostki drogi dzieliło go co najmniej dwadzieścia stóp ciężkiej londyńskiej gliny Świadomość tego potęgowała ciemność. Zmurszałe cegły dawały niepewne oparcie stopom. Były miękkie jak pokruszony ser, a czarny szlam z każdym krokiem przywierał coraz mocniej do podeszew butów. Mimo że niecierpliwość pokryła mu ciało gęsią skórą, William podejmował świadomy wysiłek, aby stąpać wolno i uważnie, tak jak nauczyli go spławiacze, mocno wbijając piętę w niepewny grunt, a dopiero potem przenosząc ciężar ciała na przód stopy. Na powierzchni wody wypatrywał wypływających bąbelków. Szlam skrywał w sobie kieszenie gazu - spławiacze nazywali go gazem gnojowym. Twierdzili, że najłżejszy podmuch może sprawić, że człowiek w jednej chwili pada nieprzytomny, jakby ktoś do niego strzelił. Nawet znikoma wiedza, którą dysponował na temat toksycznego działania siarkowodoru, kazała Williamowi wierzyć, że mówią prawdę.

Blade światło latami ześlizgnęło się z czarnej skorupy wody i rzuciło złowieszczy cień na sklepienie ściany. Poza tym wszystko spowijała ciemność, nawet pierwszy odcinek tunelu gdzie krata wychodziła bezpośrednio na ulicę. Przez cały dzień mgła czaiła się nisko nad Londynem - mrok w czekoladowym kolorze, który cuchnął siarką i sprawiał, że zaczynało się wątpić w nadejście świtu. Na próżno lampy gazowe sączyły koła światła do mętnego wnętrza smogu. Powozy wylaniały się z ciemności, a stłumiony stukot kopyt koni w zaprzęgu i ich rzenie mieszały się z ostrzegawczymi okrzykami woźniców. Piesi z twarzami zasłoniętymi czapkami i wtulonymi w kołnierze zbliżali się na chwilę, a potem znów znikali.

Przysadziste sylwetki pasażerskich parowców na rzece wyglądały jak nieporadny

szkic węglem, które dziecko rozmazało przez nieuwagę rękawem. Teraz, prawie o szóstej wieczorem, błotnisty brąz popołudnia zdławiła noc. Zachowując ostrożność, William zamykał zasłone lampy pod otwartymi kratami, bojaźliwy jak złodzieje poszukujący w kanałach łupów. Wystarczyło, że był sam, bez zwiadowcy na górze, wbrew wyraźnym wytycznym Rady. Jeszcze trudniej byłoby mu wytłumaczyć swoją obecność tutaj, w części kanału, która została ostatnio uznana za niebezpieczną. Zamknięto ją do czasu, gdy będzie można podjąć rozległe prace naprawcze. William nie mógł zasłonić się nieznaną decyzją. Osobiście napisał raport, który się jej domagał, swój pierwszy oficjalny raport dla Rady:

Na południowym odcinku odgałęzienia King Street zniszczenia wewnętrznej warstwy cegieł są znaczne, przy czym szczególnie rozległe uszkodzenie dotknęło podstawy łuku. Podczas gdy można oczekiwać, iż prąd przyływu będzie zapobiegał niepożądanemu narastaniu osadu, wysoki poziom wód powodziowych, jaki utrzymuje się w tunelu w okresie przyływu i obfitych opadów deszczu, stanowi poważne zagrożenie stabilności wewnętrznej konstrukcji. Niezbędne jest pilne podstemplowanie zwornika, aby zapobiec osiadaniu konstrukcji. NIEBEZPIECZEŃSTWO!

Precyzja tych słów dawała mu satysfakcję. Zawierał się w nich dowód na istnienie świata, w którym metodyczność i rozum krępują chaos. Pierwszego dnia pracy w roli asystentów Komisji grupa młodych mężczyzn została zabrana na spotkanie z samym panem Bazalgette'em. Jeden spośród nich, pragnąc wkupić się w łaski mistrza, błagał go, aby ten wyjawiał, jakie cechy, według niego, decydują o tym, że ktoś jest dobrym inżynierem. Bazalgette zastanowił się przez chwilę, kładąc palce na ustach. Gdy odezwał się, mówił bardzo cicho, jakby do siebie. Wielki inżynier, powiedział, to pragmatyk, który stał się konserwatystą wskutek oczywistych porażek konstrukcji i maszyn zbudowanych w pośpiechu. Ma utrwalone nawyki, jest stały, zdyscyplinowany, metodyczny w poszukiwaniu rozwiązań. Jest zrównoważony i przestrzega prawa. Niedbałość, miłość własna, bałaganiarstwo i uleganie gniewowi są mu obce. Z konfliktu własnych wewnętrznych instynktów potrafi stworzyć porządek.

- Jakimi skończonymi nudziarzami powinniśmy być według niego! - syknął gniewnie do Williama jeden z uczniów, gdy się rozchodzili. William go nie słuchał. W miesiącach, które nadeszły, trzymał się kurczowo słów Bazalgette'a, powtarzając je w myślach, aż nabrały rytmu zaczarowanego zaklęcia. William nie wierzył już w modlitwę..

W miejscu, gdzie podłoże tunelu ponownie osiągało równy poziom, William zatrzymał się, unosząc latarnię do góry, w stronę ściany. Woda smagała niecierpliwie jego buty. Tam, gdzie padało na nią światło, kamieniarka aż pęczniała od zwisających warstwami

wstęg grzyba. Wyrastały grubo spomiędzy gąbczastych cegieł, swoim mięsistym spodem, wydętym i ślepym, przykrywając niczym kołdra dziury, którymi usiana była ściana. Stanowiły najwyższą formę roślinności, jaka egzystowała w kanałach, ale William nie potrafił obdarzyć ich sympatią. Posuwał się dalej, kuląc ramiona, aby nie ocierać się oich blade mięso. Zimny, drożdżowy zapach unosił się nad cuchnącą odchodami brudną wodą. William stracił oddech. Przez chwilę czuł kołysanie statku i jak cierpnie mu skóra na głowie, jakby we włosach załęgło mu się robactwo. Wokół niego jęczeli ludzie, wołając o pomoc, która nie nadchodziła. Poczul neodpartą ochotę, aby uderzyć szklaną latarnią o ścianę. Kawalek odlamanego szkła byłby ostiy jak nóż. Zanurzyłby się miękko w cuchnącym grzybie, a jego mięso odpadłoby od ściany. Czy polałaby się krew, czy też sączyłaby się żółknięta wydzielina niczym z trupa, który leżał zbyt długo na słońcu? Dzikie pragnienie wezbrało w nim nagle, a oddech stał się płytki i urywany. Wyobraził sobie, jak zaciska palce na sztylcie ze szkła, ciasno, a potem jeszcze ciaśniej, aż pomiędzy kostkami pięści zaczynają płynąć wąskie czarne strużki krwi. Gwałtowne pragnienie ścisnęło mu gardło i rozsadzało pierś. Wpatrywał się w latarnię, kołysząc ją wolno i obserwując wahnięcia niewielkiego płomienia. Tylko jedno mocne uderzenie. Tylko tyle. Cofnął ramię...

Nie! Latarnia zakręciła się niebezpiecznie od szarpnięcia, a blady kawałek grzyba zniknął w nurcie strumienia. Wyraźne pęknięcie biegło wzdłuż szyby latarni, ale światło nie zgasło. Nieśpiesznie płomień wydłużył się, zadrżał, a potem uspokoił. Spod ronda kapelusza Williama wypłynęły kropelki potu. Chwycił mocno uchwyt latarni, rozgniewany swoją nieostrożnością. Bez latarni nigdy nie znalazłby drogi powrotnej do szybu. Zassał ślinę w ustach i zwilżył wargi. Ma utrwalone nawyki, jest stały, zdyscyplinowany, metodyczny w poszukiwaniu rozwiązań. Jest zrównoważony i przestrzega prawa. Powtarzał w myślach te słowa, posuwając się dalej, w głąb tunelu. Kolana mu drżały.

Tunel znowu się zwężał. Tutaj mężczyzna z trudem mieścił ramiona, a woda sięgnęła mu powyżej kolan. Podczas przyływu wypełniała tunel nieomal po sufit. W miejscu, gdzie strumień omiatał ściany, nie było już grzyba. Ściany były natomiast śliskie od oleistych kropel saletry, która lśniła srebrzyście w świetle latarni. W ciemności z tyłu rząd stalaktytów zwisał z wąskiej wargi cegły na wgłębieniu sufitu niczym żółkniejące zęby. To właśnie w tym miejscu młody Jephson przeżył załamanie.

Nie stało się to bez pewnych wcześniejszych oznak. Jephson, tyczkowaty mierniczy o dużych czerwonych kostkach dłoni przywodzących na myśl pracźlowieka, nie czuł się dobrze już od przynajmniej pół mili. Narzekał na bóle brzucha, głowy i trudności z oddychaniem, a na czole lśniły mu kropelki potu. Nalegał, aby brygadzysta zatrzymywał się co kilka kroków i

wysuwał latarnię na tyczce w ciemność, sprawdzając raz po raz, czy nie ma tam duszącego gazu. W czasie gdy robiono pomiary, ręce drżały mu tak mocno, że William wziął od niego poziomice, w obawie że mogliby ją stracić w podziemnym szlamie. Dopiero jednak gdy znaleźli się w tym punkcie, chłopiec ostatecznie stracił głowę. Strach uleciał z niego jak gaz, cofając się na początek tunelu i zatruwając pozostałych mężczyzn. Ale nie Williama.

William obserwował z wyraźnym brakiem zainteresowania, jak Jephson krzyczy i miota się w brudnej wodzie. Gdy nurt wody porwał chłopakowi kapelusz, William zauważył, że jego ściągnięta twarz ma odcień zielonej sałaty. Wzrok przykuwały dwie czerwone plamki widoczne na ostrych kościach policzkowych mierniczego i białe kościste palce chwytające się kurczowo rozsypujących się ścian. William nie czuł nic poza odrobiną zniecierpliwienia, gdy Jephson ciskał się i krzyczał w mocnym uścisku brygadzysty i jego pomocnika. Spławiacze byli rośli jak rzeźnicy i ich ogromne dłonie trzymały ramiona Jephsona w żelaznym uścisku, niemniej przez chwilę ruchy młodego mężczyzny były tak gwałtowne, że przytrzymywali go jedynie z najwyższym trudem. W końcu szalone nogi Jephsona zaczęły kopać z taką siłą, że przemieścił bryłę cegieł. „Zabierzcie go stąd!” Bez wątplenia w smętnym zazwyczaj głosie brygadzysty zabrzmiała ostra nuta niepokoju. Gdy w końcu wynieśli go na ulicę, a reszta grupy wyszła za nimi pogrążona w ciszy, włosy Jephsona były posklejane od brudu, paznokcie zaś miał zupełnie starte.

Po tym wydarzeniu Jephson został przeniesiony do sekcji Granta. Obecnie prowadził badania cementu portlandzkiego, eksperymentując z właściwościami nośnymi dźwigarów różnych wielkości. Zadanie przeprowadzenia wymaganej oceny kondycji tunelu dla Rady pozostawiono Williamowi. Najwyraźniej incydent z Jephsonem pokazał, że jest człowiekiem potrafiącym zachować spokój w sytuacji kryzysowej. Od tamtej chwili Lovick uczynił go odpowiedzialnym za przegląd istniejącego systemu po stronie północnej. Wgłębienie w kamiennym murze znajdowało się ponad poziomem wody i w najszerszym punkcie mierzyło stopę. Nawet jeśli nie jest to robota butów Jephsona, to i tak świetnie się nada, chociaż William będzie musiał je trochę powiększyć. Miejsce powinno być dość duże, aby mógł usiąść i zmieścić latarnię. Nie zrobi tego jedną ręką. Oświetlił wgłębienie. Ściana usiana była rowkami przyczernionymi cieniem. Większość z nich była płytka, krótka i zbita w grupki po cztery i pięć, jak te wycinane przez więźniów chcących zaznaczyć upływ czasu; inne były szersze i mniej ostre, i pojawiały się tylko w parach. Szczury. Próbowaly się tutaj schować, prawdopodobnie szukając schronienia przed wzbierającym nurtem, wbijając pazury, a nawet zęby w kamieniarkę. Pomyliły się jednak. Cegła była wystarczająco miękka, ale odrażający czarny strumień, który omiatał kolana Williama, był kiedyś rzeką. Kiedyś, dawno temu stał

tutaj most i duże bloki kamienia z Portland, które go podtrzymywały, wykorzystano do konstrukcji tunelu. Wysiłki szczurów pozostawiły jedynie kredowe rysy na jego nieustępliwej powierzchni.

Przez chwilę William dał się ponieść wyobraźni i zastanawiał się, jak by to mogło być, gdyby stać tutaj w innym czasie, czuć ciepło słońca na policzkach i laskotanie czystej wody strumienia na stopach. Wyobrażał sobie zamożnych dżentelmenów w upudrowanych perukach paradujących z żonami wzdłuż porośniętych trawą brzegów, zanurzających w nurcie dłonie, aby napić się słodkiej wody, albo nachylających się z mostów i łódek, aby podziwiać w rzeczonym zwierciadle swoje zadowolone odbicia. Podczas gdy pyłki kwiatowe żeglowały nad strumieniem, srebrne ryby wyciągały się leniwie i otwierały pyszczki na czekające haczyki.

William nie wiedział, że akurat ten fragment strumienia przez setki lat niewiele się różnił od otwartego ścieku. Wzdłuż brzegów od czasów królowej Elżbiety ciągnęły się rzeźnie i garbarnie, które zatruwały lyby i czyniły wodę tak czerwoną, że sam Ben Jonson napisał o nim, iż swą obrzydliwością przewyższa wszystkie cztery rzeki Hadesu. Być może szczury wyczuły ponurą przeszłość rzeki. Odrzucone przez historię poszły gdzie indziej, pozostawiając Williama samotnego w ciemności. Niewylane łzy piekły go pod oczami, twarde jak kamienie.

Pod przeponą zaczynał mu narastać krzyk, uciskając klatkę piersiową tak mocno, że wydawało się, iż ją rozsadzi, wypychając zebra na zewnątrz i rozrywając skórę. Dłonie Williama drżały. Przypiąwszy latarnię do przodu fartucha, przeszukiwał po omacku torbę z narzędziami, którą nosił przymocowaną wokół pasa. Palce miał zimne i niezdarne, i gdy wyciągał nóż, nieomal go upuścił. Zaciskając obydwie dłonie mocno na ręczce, zaklął ze złości. Z ust wydobył ledwie słyszalny strumień przekleństw, tak plugawych jak rzeka, w której stał. Po raz pierwszy tego dnia odezwał się - i nieprzyzwyczajony głos się załamał. Odchrząknął. Przekleństwa płynęły nadal, głódziej i szybciej, nabierając pewności ponad szybkim nurtem wody. Ich prosty kształt uspokoił go trochę.

Ponownie poczuł narastające w brzuchu napięcie i wtedy jak zawsze zaczęły wzbierać w nim pragnienia, drażąc go swym nienasyconym ogniem. W zmarzniętym błocie nocy, których William nie chciał pamiętać, mężczyźni krążyli niespokojnie i głośno skarżyli się na swoje niezaspokojone pragnienia. Wydawało się, że nic, ani straszliwy głód, ani przejmujący chłód, ani nawet paralizujący strach przed nocną wartą, nie było w stanie obdrzeć tych pełnych wigoru londyńskich chłopców z ich pożądania. Kobiety zaspokajały ich w pełni. Żołnierze nieustannie lamentowali, grzebiąc pod zawszonymi uniformami; człowiek zrobiłby

nieomal wszystko, aby podrapać tak dojmująco swędzące miejsce. Noc w noc spędzali długie godziny opisując Ją - fantastyczny amalgamat wszystkich swoich szalonych marzeń i niewielkiego doświadczenia - z białymi nogami rozłożonymi na puchowym materacu rozciągniętym na pofałdowanym błocie okopów. Na początku ich nieokrzesała mowa wydawała się Williamowi afrontem przeciwko dżentelmeństwu, przeciwko przyzwoitości, a przede wszystkim przeciwko samej Polly, ale gdy wspomnienia o niej umarły, zaczął i w tym znajdować pocieszenie. Przynajmniej zawsze było tak samo.

Te rozmowy przypomniały mu się, gdy w końcu on i Polly leżeli znowu razem, a potem przez wiele nocy, gdy leżał, nie śpiąc i słuchając jej delikatnego pochrapywania. Przed wojną wystarczyło mu usłyszeć głos dziewczyny, a z trudem był w stanie pohamować chęć dotknięcia jej, ale od czasu powrotu ze Scutari nie potrafił wzbudzić w sobie nic poza mglistym, bliżej nieokreślonym rodzajem czułości w stosunku do niej. Dotykała jego twarzy swoimi wrażliwymi palcami, całowała kąciki jego ust, pieściła językiem tył szyi i sutki i brzuch, ale on nic nie czuł. Penis zwisał mu pomiędzy nogami pomarszczony jak porzucona pończocha. Widział te palce, te usta, ale nie były dla niego niczym więcej jak tylko obrazami, przypadkowymi lycinami wyrwanymi z książki. Gdy Polly zwracała się do niego, pod takim kątem układając mu głowę, że jego oczy nie mogły nie spojrzeć prosto w wesołe iskierki jej oczu, musiał przypomnieć sobie, gdzie jest, tak daleko oddalił się od miejsca, w którym byli razem. Słowa straciły swoje znaczenie. Kolory zacierały się lub blakły. Miał problemy z rozpoznawaniem codziennych przedmiotów. Czasami nie był pewien, kim jest. Zdarzały się dni, gdy był przekonany, że najzwyczajniej w świecie znika, rozpada się na kawałki i rozsypuje, stając się niczym więcej jak tylko piaskiem znikającym w szparach pomiędzy deskami podłogi.

Z wyjątkiem tych chwil, gdy wzbierały w nim pragnienia. Lizwały go swoimi językami ognia i szeptały o ekstazie. Ich siła go obezwładniała. Nie marzył nawet o tym, żeby się im oprzeć, nie pragnął też tego. Jedynie oddając się od nich, był w stanie poczuć nadzieję. Gdy zaczynały w nim płonąć, zmrożona ciemność odrobinę topniała. W ich drgającym świetle był w stanie poczuć w końcu zaiys człowieka, kogoś, kto pomimo wszystko żyje.

William oddychał szybko, a serce rozsadało mu pierś. Czuł pustkę w głowie, jakby była balonem przywiązany na sznurku do jego ciała, przez co miał wrażenie, że obserwuje swoje ruchy z dużej odległości. Skóra jednak była oszalała ze strachu i oczekiwania. Szybko pracował przy płytkach kamienia, wydłubując cegły ostrzem noża. Nie zajęło mu to dużo czasu. Zaprawa w tej części systemu była miękka jak gangrena. Każdą wydobytą cegłę wrzucał w zwężające się ujście tunelu. Czarna woda pochłaniała cegły bezszelestnie. Pod

luźną materią koszuli czuł, jak pali go podrażniona skóra po wewnętrznej delikatnej stronie przedramienia.

Gdy miejsce było wystarczająco duże, usiadł, umieszczając latarnię obok siebie. Ostrze noża drżało, gdy uniósł je w stronę światła. Na rysunku drobnych cięć pozostawionych przez osełkę widoczne były okruchy zaprawy. Zaprawa w kanale mogła być źródłem zakażenia. Praca w Scutari nauczyła go tego. Uważnie wytarł stalowe ostrze dużą czystą szmatką. Zbliżywszy je do twarzy, dotknął kciukiem, sprawdzając, czy jest dość ostre. Pragnienia gwałtownie przybrały na sile, tym razem tak intensywnie, że włoski na ramionach i szyi stanęły mu zupełnie na sztorc. Poczuł mrowienie w palcach. Zaciskając zęby na nożu, złożył szmatkę na połowę, potem jeszcze raz i położył kawałek materiału na kolanach. Następnie odpiął mankiet i podwinął rękaw koszuli powyżej łokcia. Opuszki palców ślizgały się delikatnie po wewnętrznej stronie przedramienia, ale on nie spojrział w dół. Ten widok go rozpraszał. Mącił czystość pierwszych chwil. Zawsze przychodziła ta chwila, potem, gdy czuł się całkowicie oczyszczony, spełniony, nawet szczęśliwy. Przez ułamek sekundy był w stanie przekonać samego siebie, że już nigdy tu nie wróci, że to minęło, że z tym skończył. Ale zawsze jakaś jego cząstka wiedziała, że nigdy nie przestanie.

Już czas. Był gotowy Zasunął zamknięcie lampy.

Otoczyła go ciemność. Nie miało znaczenia, czy oczy ma otwarte czy zamknięte. Mimo to je zamknął. Poza powiekami, niezwiązany już z ruchem swoich palców ani z cieniem białego czubka swojego nosa, oddzielił się od ciała. W ciemności czuł, jak wzbiera w nim życie. Tam, na górze, w niekończącym się tłoku i zgiełku miasta jego światło przygasalo, płomyk stawał się tak znikomy, że można było uwierzyć, iż całkiem zgasł. Ale na dole, w oddaleniu, w ciemności, pod kołami, kopytami i ćwiekami, tkwiąc po kolana w ściekach największego miasta na ziemi, jego dusza znajdowała wolność. Tutaj, gdzie nie było światła, ciepła, niczego z wyjątkiem przyprawiającego o mdłości smrodu gówna, jakoś tutaj znajdowała ona własny den, żeby się na nowo rozpalić i wypalić żywą formę na odrętwiałej kapitulacji ciała. Tutaj się buntowała. Zmuszała się, by ją wysłuchano. William May żyje! Musiał jedynie oczyścić krew w żyłach, powietrze w płucach, uwalniając je z czarnej zgnilizny, która je zatruchiwała, zanieczyszczając wszystko, czego dotknęła. Gdyby tylko mógł wypłukać cały ten brud, tę truciznę, a na jej miejsce powołać źródło czystej słodkiej krwi, czystego słodkiego powietrza, które przyniosłoby ze sobą zdrowie i życie...

William z rozmarzeniem uniósł nóż. Ściskając kościaną rękojeść, przeciął ramię.

Ekstaza eksplodowała. Miał ochotę śmiać się, płakać, krzyczeć na głos. W tym doskonałym momencie kulminacyjnym znowu żył. Był spełniony. Ulga doskonała. Ciął



ponownie, tym razem głębiej, i poczuł, jak wypełnia go spokój, który jest jednocześnie cichy i euforyczny. Krew wypływała z długich nacięć, wylewając się na szmatkę na kolanach. Roztarł ją na skórze. Była ciepła, prawdziwa, wspaniała. Pod wpływem impulsu podniósł ramię do ust i polizał. Smakowała cudownie. Polizał jeszcze raz. Ból znajdował się teraz na zewnątrz, tam, gdzie bezpiecznie można było sobie z nim poradzić. Ból w końcu prawdziwy, określony. Coś, czego można się trzymać, coś, co da się kontrolować. Drobnutki piasek własnej jaźni już nie przeciekał mu pomiędzy palcami. Przeciwnie, cząsteczki zaczynały się gromadzić, domagając się na powrót stałego miejsca w solidnej całości. Cienisty zmierzch w głowie mężczyzny pociemniał i zrobił się bardziej intensywny, ukazując w swym centrum pojedynczy żywy punkcik światła. Mięśnie ud napięły się, a stopy wbiły się mocniej w nierówne ceglane dno. Poczul się silny, miał czysty umysł. Naciął ramię po raz ostatni, ból wy dostał się z ciała z triumfalnym śpiewem. Krew wypełniła mu dłoń, a on zamknął ją, więc krew zaczęła płynąć pomiędzy palcami. Miał ochotę krzyknąć z czystej radości. Wołać - Ja żyję! - aż ciemność odpowie echem, a cegły zadrzą w swych posadach, porwane kategorią pewnością tego faktu. Ja, William Henry May, zamieszkały przy York Street pod numerem 8, ja żyję!

## II

Tom Długoręki odchylił do tyłu siwą głowę i wachał. Kiedyś, już wiele lat temu, Joe lubił naśmiewać się z tego wachania, nazywał swojego przyjaciela Tom Długonosy albo Tom Węszyciel, albo po prostu Pies w tych dniach, gdy był na tyle gadadiwy. Joe nie uważał, że to wachanie było cokolwiek warte, do chwili, gdy wyszli wcześniej, bo Tom był pewien, że będzie padało, a ci inni goście wszyscy się potopili przy Kings Cross. Od tamtej pory widział to inaczej. Nigdy jednak nie udało mu się pojąć, jak Tom to robi, jak wyczuwa woń deszczu na długo przed innymi. Na jego rozum wszystkie zapachy zwyczajnie się mieszały, aż w końcu człowiek miał przed sobą jedną wielką zupę smrodu, która nazywała się Londyn. Tom drwił z tego. Nie chodziło tylko o to, że każda część Londynu miała swój własny smak, tak że nawet z zamkniętymi oczami można było powiedzieć z dokładnością co do ulicy, gdzie człowiek się znajduje. Smród układał się warstwami, a każda z nich była gęsta i lepka niczym rzeczny szlam na podeszwach butów. Jeśli tylko człowiek szedł za swoim nosem, to wonie można było niemal iskać równie zgrabnie jak wszy.

Na samym dnie smrodu była rzeka. Jej fetor rozpościerał się na kilka dobiych ulic od brzegów wody. W rzeczywistości nie było wielu miejsc w mieście, gdzie nie dałoby się poczuć rzecznej woni w ciepły dzień, ale na Thames Street jej obecność była tak pewna jak ziemia pod nogami. W takiej mgłę jak dzisiaj nie można było zobaczyć nic więcej, jak tylko

powierzchnię wody, nawet gdyby się oparło o mur brzegowy, ale człowiek dobrze wiedział, że tam jest. Zapach był solidny i brązowy jak sama rzeka. Woda za nic miała skromność i wstyd. Nie zamierzała ukrywać swojego brudu pomiędzy węższymi drózkami i zaułkami w niższych częściach miasta, jak ci w rządzie mogli sobie życzyć. Śmiała się swym szerokim brązowym uśmiechem i płynęła przed siebie, miedziana, aż miło patrzeć, ogromny otwarty strumień gówna przez sam środek stolicy, kawałki i bryły bogatych i biednych podskakujące i ocierające się o siebie z twarzą odwróconą do słońca. Bogate damy mogły sobie zamykać drzwi i zagłuszać wydawane odgłosy; ich śmierdziało tak samo jak wszystkich innych, a tutaj płynął właśnie dowód tych poufnych poczynań wystawiony na widok publiczny niczym w Crystal Pałace. Zdarzało się, szczególnie rano i wieczorem, że ni mniej ni więcej, ale całe dwadzieścia parowców obracało swe ogromne koła pod London Bridge, gdy woda była tak gęsta i brązowa, że można było pomyśleć, iż uniesie człowieka i będzie mógł przejść bezpiecznie na drugą stronę, w najgorszym wypadku zamoczywszy stopy. W gorący dzień smród mógł zabić na miejscu. Zaglądając w okna kabrioletów na London Bridge, Tom widział, jak mdleją damy, a bladolicy dżentelmeni zakrywają usta chusteczkami. Natomiast w listopadowe popołudnie srebrne strużki wody morskiej płynęły po powierzchni rzeki, łamiąc swym słonym zapachem gęsty brązowy smród i docierając przynajmniej do Southwark. Czasami, gdy Tom wychodził na brzeg nocą gdzieś w okolicy Greenwich, mógłby przysiąc, że widzi, jak sól unosi się znad rzeki, błyszcząc i tańcząc nad jej błotnistymi skibami jak obłoczki srebrnych muszek.

Następnym zapachem po wydostaniu się z oparów rzeki był kwaśny, przesiąknięty sadzą smród mgły. Londyńskie mgły zadziwiały różnorodnością, a każdą z nich cechował tylko jej właściwy zapach. Obecna była oślizgłym żółtobrązowym kleikiem, który opadał i pełzł ulicami, zakradając się na dziedzińce i do piwnic, owijając się wokół słupów i lamp. Bardziej wyczuwalna na języku niż w nosie. Warstwą tłuszczu oblepiała wnętrza nozdrzy i dusiła w piersiach, osiadając grubymi kroplami na brwiach i wąsach. Gdy Tom oddychał przez usta, pokrywała mu język smakiem zjełczałego tłuszczu, lekko przyprószonego czarną mąką pyłu węglowego. Unosiła się nad miastem już nieomal tydzień, korodując żelazo i rozmazując sadzę nad wszystkim, czego dotknęła. Widziane przez jej mrok budynki wyglądały jak plamy tłuszczu na obrusie.

Po południowej stronie rzeki, jakżeby inaczej, mgła mieszała się z dymem. Było kilka miejsc w Bermondsey, gdzie niebo wyglądało, jakby trzymało się jedynie kominów. Nie inaczej w Southwark. Każdy dym miał własny szczególny smak, tak, że zawsze wiadomo było, gdzie się jest. Dym z manufaktur kleju miał natarczywy kwaśny zapach, który uderzał w

tył czaszki i przyprawiał o zawroty głowy, a znowu smród kotłów mydlarskich był mdlący jak zapach gotującego się tłuszczu. Kominy z fabryk zapalek wypuszczały rodzaj żółtego dymu, który śmierdział okropnie jak uliczka za domem publicznym. Potem był szczególnie odurzający zapach chmielu z browarów, który był niczym w porównaniu ze smrodem skóry i psiego gówna z garbami. Na południe od rzeki czuć było zmianę w sąsiedztwie, gdy się przeszło przez ulicę.

Tutaj, na Thames Street zapach był jedyny w swoim rodzaju. We mgle takiej jak ta targ był zaledwie brudną plamą wyłaniającą się z fosy błota, a wieczny zgiełk handlarzy z trudem przebijał się ponad odległość trzydziestu metrów. Ale odór ryb, starych i świeżych, był doniosły i ważny jak kościół. Na samym dole, jak fundamenty, trwał nadmorski zapach wodorostów i słonej wody, wyżej kładły się, warstwa po warstwie, smród po smrodzie, gryzący zapach stynki, piklinga, soli, śledzia, witlinka, małży, ostryg, szprotki, dorsza, homarów, turbota, krabów, nagłada, plamiaka, węgorza, krewetek, płaszczy i setek innych. Tragarze, którzy krzątali się pomiędzy łodziami i straganami, nosili je znad brzegu do sklepu i wracali, a każdy ich cal nasiąknięty był odurzającą esencją woni. Straganiarze wbijali w nią noże i wyrzucali na zewnątrz, a ta rozpryskiwała się na zakrwawionych drewnianych stołach. Skórzane kapelusze i fartuchy ciemniały i sztywniały od zawartości tysięcy rybich brzuchów. Ramiona handlarek, ich twarze, brzegi pikowanych halek, wszystko spływało strużkami krwi. Rybie łuski przylepiały się razem z błotem do butów i błyszcząły jak kawałki srebra. Topniejący lód ześlizgiwał się ze stołów, błyszczący i gęsty od rybiego śluzu. Obok, z drewnianych klatek wypchanych słomą do rowów i rynien wyciekała sól i rybie płyny. Nawet jeśli było się w Billingsgate krócej niż godzinę, futro płaszcza przesiąkało smrodem tego miejsca i przez resztę dnia nosiło się ze sobą tę nutę.

Tom odsunął się, gdy pomocnica z ociekającym koszem fląder na głowie torowała sobie drogę przez tłum. Pod koniec dnia stragany zostaną zamknięte i handlarki pójdą do domu, a ich przyplaszczone, sponiewierane czepki, czapki i fryzury będą aż kapać od tego smrodu. Na Thames Street codzienne zwyczajne zapachy Londynu, zapachy tak powszednie, że należało je sobie przypominać, żeby zauważyć, dostawały się do nozdrzy na nie dłużej niż chwilę i były stamtąd natychmiast brutalnie wypierane. Tytoń, gnijąca trawa i łajno z postoju dorożkarzy, gorący chleb, fetor z odkrytego rynsztoka, od czasu do czasu, powiew smażonej wołowiny i rozlanego piwa z drzwi karczmy, gorąca czerwona dusza koksiaka, nic nie mogło się równać z rybami. Nawet ostry kwaśny odór niepranych ubrań, ciał i oddechu, zapach, który przesiąkał nozdrza Toma nieustannie przez wszystkie lata jego życia, tak że już nie zwracał na niego żadnej uwagi, nawet to nie mogło wyrządzić uszczerbku dumnej budowli

smrodu, jaką był Billingsgate Market

Tom powąchał jeszcze raz. Nie był pewien, nie był całkowicie pewien. Miasto tak pełne sztuczek i podstępów jak to, mogło wywieść w pole nawet jego, niemniej nos nie wyczuwał ani odrobiny metalicznego posmaku deszczu. Oczywiście mgła sprawiała, że nie można było przewidzieć. Jej zawirowania i podrygi mogły ukryć ściany deszczu, który spadał tak gwałtownie jak but wyrzucony na ulicę. A wtedy wody tam, na dole przybierały w mgnieniu oka. Jeśli było się w złym miejscu, to nie pozostawało dużo czasu, żeby się stamtąd zabrać. Mimo to, przyptyw był dobry. Mieli osiem albo dziewięć godzin spokoju, myślał, może więcej. A mgła też miała swoje korzyści. Teraz, gdy władza zaczęła dawać nagrody ludziom, którzy donosili, jak tylko coś działo się w kanałach, goście na wodzie byli czujni jak pająki. Ale we mgle trudno wytropić kogokolwiek, a gdy dodać jeszcze ulice oszalałe od zgiełku i zamętu, hycie mieli co innego do roboty. We mgle niełatwo też dojrzeć światło przez kraty. Jeśli ludzie ujrzeli je przypadkiem, to uznawali, że zwoździ ich mgła.

Joe miał się z nim spotkać przy piwnicy. Było tam ukryte miejsce, w którym przechowywali niezbędne rzeczy, klatki, łopaty, motyki, w które wbili haczyki na latarnie. Tom wciąż pamiętał, jak starszek nauczył go wysuwać latarnię przed siebie w głąb tunelu, żeby sprawdzić, czy nie ma tam gazów. Jeśli płomień nie gasł, to można było iść dalej. Tym razem to Brassey potrzebował szczury - nie mniej niż sto pięćdziesiąt gnojków na dużą walkę u niego w Soho. To był wielki dzień dla Brassey'a, dzień, w którym obwieszczono prawo zakazujące walk psów. Nagle znalazło się pełno gości szukających sportu w każdy możliwy sposób, a ich kieszenie aż urywały się od pieniędzy. Oczywiście wszyscy mówili, że wciąż jest pod dostatkiem walk psów w dużych domach. Jaśnie panom uchodziło to na sucho tam, dokąd hycie raczej by nie przyszły z żądaniem, żeby ich wpuścić. Ale psie areny w Westminster zostały zamknięte już dawno temu i potem tylko nieliczne z karczem miały odwagę nadal prowadzić walki. Psy odeszły, a na ich miejsce przyszły szczury. Brassey nie potrzebował dużo czasu, żeby zwęszyć w tym interes. Urządził arenę na miejscu swojej sali na piętrze. Chociaż dawno minęły te czasy, gdy Tom był sam zainteresowany walkami, nie ulegało wątpliwości, że interes właściciela karczmy kwitnie. Były tygodnie, gdy żądał nowych dostaw dwa, nawet trzy razy, tak że trudno było sprostać zapotrzebowaniu. Nie żeby Tom narzekał. Miał z tego pieniądze, a tych diabłów nie brakowało. Zgodnie z umową za dwa dostawał pensa, ale tym razem Brassey zgodził się zapłacić pensa za szczura ze względu na szczególne wymagania co do ich wielkości. Razem pięć funtów. W dzisiejszych czasach szczury były warte dziesięć razy tyle co funt kłaków, jak by nie liczyć.

Mgła rozciągała się przed Tomem, gdy schylił głowę pod niskim łukiem, nie szerszym

niż drzwi. Prowadził na rodzaj dziedzińca, długiego na dwadzieścia i szerokiego na nie więcej niż dwie stopy, otoczonego wysokimi drewnianymi domami, z tyłoma pokojami wystającymi z wyższych pięter, że tworzyły nad nim dach, który niemal zupełnie zasłaniał niebo. Dziedziniec przechodził w wąską uliczkę, a potem w następną, i w jeszcze następną, a każda z nich biegła w swoją stronę. Wzdłuż nich wszystkich kiwały się i przepychały rozklekotane domy, opierając się o siebie nawzajem jak grupka pijaków.

Na uliczkach aż kipiało od obdartych dzieci, a niektóre z nich próbowały chwycić Toma za rękę albo ciągnęły go z nadzieją za brzeg płaszcza. Tom odpędził je, nawet na nie nie patrząc. Szedł szybko, prześlizgując się niczym węgorz przez płataninę baraków, aż doszedł do rogu, na którym spotykały się dwie ceglane ściany w rozsypce. Żelazny kinkiet rdzewiał na murze nad jego głową - pozostałość po szklanej kuli lampy gazowej, która już dawno została rozbita. Nawet mgła toczyła walkę, aby dotrzeć aż tutaj. Jedyne cieniutki płat ciemniejszego cienia zdradzał, że jedna ze ścian jest w rzeczywistości wysunięta odrobinę do przodu, kryjąc maluteńki dziedziniec szeroki na ramię i osadzone nisko w jednym rogu próchniejące drewniane drzwi, które ledwo trzymały się na zawiasach. Tom odchylił drzwi na jedną stronę i, pochylając się, zszedł po płytkich schodach do niskiej, pozbawionej okna piwnicy.

W zatęchłych ciemnościach powiesił latarnię na gwoździu i sięgnął w stronę ściany po druciane klatki. Były szerokie i płaskie, takie jakich używano do noszenia kurczaków na targ. W razie potrzeby w jednej można było zmieścić sto szczurów ułożonych jeden na drugim jak kręgle. Palcami sprawdzał rogi klatek w poszukiwaniu dziur. Nie chciałby stwierdzić, że szczur wy dostał się na zewnątrz, poza tunelem. We mgle szczury robiły się bardziej niespokojne, bał się, że zaczną rozrabiać. Mgła je rozdrażniała, chociaż, jak mu życie miłe, Tom nie miał pojęcia, dlaczego. Z pewnością gdy się było pod ziemią, nie miało to żadnego znaczenia czy dwadzieścia stóp wyżej widać coś więcej niż własną rękę pod nosem, czy widoczność ma się aż do złotych płomieni Monumentu\*. Gnojki przecież świetnie radziły sobie w podziemiach po omacku, tak jak i on. Z drugiej strony, próby zrozumienia szczurów nie miały przyszłości. Może i potrafiły okrutnie ukąsić, ale nie miały zbyt dużo rozumu. On i Joe łapali je w ten sam sposób już od trzech lat, a one dalej się nie pokapowały. Nie żeby miał na to narzekać, oczywiście. Bez szczurów byłoby krucho. Praca może nie była taka emocjonująca jak szperanie, gdy za rogiem zawsze czekała niespodzianka. Ale to był interes, za który należało być wdzięcznym. Niewielu ludzi w jego wieku mogło się nauczyć nowego zawodu, nawet gdyby się taki znalazł i na nich czekał. Gdyby musiał policzyć, to obstawiał, że brak mu kilku lat do sześćdziesiątki, chociaż nadal był silny i miał kilka własnych zębów.

Był szczęściarzem dzięki szczurom i dobrze o tym wiedział. Szybkość, z jaką wszystko w dzisiejszych czasach się zmieniało, wywoływała wrażenie, że każdy dzień tygodnia przynosi jakąś nową sztuczkę, która pozbawia zwykłych ludzi chleba.

Na myśl o szczurach jednak nadal cierpła mu skóra, nawet po tylu latach. Dziwaczne, jak się nad tym zastanowić. Na ziemi nigdy nie zaprzętał sobie nimi głowy. Tam, skąd pochodził, ciągle skrobanie, czmychnięcia po podłodze, czuwanie na zmianę podczas snu najmłodszego niemowlęcia, żeby nie zostało ugryzione lub porwane, były częścią życia na równi z błotem. Ale na dole, w tunelach, sprawy miały się inaczej. Cisnąć się w ogromnych pulsujących stadach w swoich jaskiniach w murarce, niektóre z nich, duże jak psy, sprawiały zupełnie inne

\*Monumentdoiycka kolumna zbudowana w latach 1671-1677 dla upamiętnienia ofiar wielkiego pożaru Londynu w 1666 roku. wrażenie. Jakby to one miały władzę, a jedynym powodem, dla którego zostawiały na razie człowieka w spokoju, był fakt, że nie chciały zawracać sobie nim głowy. W niektóre dni Tom był pewien, że go śledzą, całe tysiące, zimne szczurze stopy skrobiące w ciemności, czekające, żeby się potknął, żeby wywrócił się w wzbierającej wodzie albo zablądził, wchodząc do złego tunelu. Raz czy dwa próbował stawić im czoło, ale one były szybsze. Nigdy ich na tym nie przyłapał. Ale wiedział, że tam są. A gdy popełni błąd, dopadną go. Zbiegną się całą chmarą, pazurami i zębami będą mu rozdzierać ciało, zjadając go żywcem. W mgnieniu oka. Gdy staruszek go w końcu znajdzie, zostaną tylko żółte kości. Staruszek mlaśnie językiem, potrząśnie głową i schowa kości do worka. Fabryka kleju w Bermondsey przyjmie każdą kość, jaka wpadnie im w ręce.

Tom oczywiście nigdy nie pisał o tym staruszkowi ani słowa. Uważał, że nie lepszego nie mogło mu się w życiu przytrafić, gdy o mały włos nie utonął wtedy przy Cuckolds Point W tamtejszym błocie miało się szczęście, jeśli trafiło się na coś więcej niż liny i kości, a od czasu do czasu żelazny pręt Węgiel nie zdarzał się tam zbyt często, a kto znalazł monetę, ten nie posiadał się ze szczęścia. Trudno było z tego wyżyć, nawet młodemu chłopcu. To była trzecia zima roboty Toma w tamtej okolicy, gdy zaczął tonąć. Pamiętał jedynie uczucie zdumienia towarzyszące mu, gdy wciągało go błoto, a on stopami próbował wymacać stały grunt, którego jednak tam nie było. Zawsze się chwalił, że zna ten kawałek na wylot, miejsca, w których można się zapaść w błoto po uszy i twarde plastry ziemi tuż obok, gdzie można przejść bezpiecznie, gdzie ziemia pod stopami jest twardsza niż granit Inni chłopcy chodzili grupami w obawie przed złą sławą tego miejsca. Nie Tom. To był jego kawałek. Błoto sięgało mu już po pachy, gdy ujrzał go staruszek. Tom przestał już walczyć. Oparł się tyłem głowy o błoto i wpatrywał w gwiazdy. Nawet gdyby nie zapadł się głębiej,

zabiłby go nadchodzący przypływ. Dawał sobie dwie godziny i zastanawiał się, czy błoto będzie smakować tak samo jak pachnie.

Po tym, jak stary szperacz go wyciągnął, pracowali razem aż do śmierci staruszka. Pomijając szczury, Tom bardzo lubił swoją pracę. Smród kanałów nigdy mu nie przeszkadzał. Na początku wydawało mu się to trochę parszywe, ale nie było aż tak złe jak uważali inni, szczególnie jeśli się było tak przyzwyczajonym do rzeki jak on. A stary szperacz polubił go i był dla niego dobry. Nie zawsze dzielił łupy sprawiedliwie, tak jakby życzył sobie tego Tom, ale nauczył go wszystkiego o tunelach i Tom znał je tak dobrze jak uliczki St Giles. Staruszek szacował londyńskie kanały na blisko tysiąc mil, gdyby się chciało przejść je wzdłuż, ale oni trzymali się centrum, gdzie zdobycze były najlepsze. W otwartych wiejskich ściekach najlepsze znalezisko to rukiew. Południe też było do niczego. Pod rafineriami cukru wpadała do rur para gorąca jak z czajnika i szperacz mógł się ugotować żywcem. Pod gazowniami było jeszcze gorzej, chociaż prawo stanowiło jasno i wyraźnie, że nie wolno im wykorzystywać kanałów. Mówiło się, że powietrze pod spółką GasLight and Coke spaliłoby człowieka żywcem, zanim by zrozumiał, co się dzieje. Tom nigdy tam nie był. Jedyny raz, gdy widział, jak zapalił się gaz, ktoś daleko przed nim go wyczuł i wszyscy zdążyli paść na plecy, zanim ich dosięgnął. Nadal to pamiętał. Płonący gaz przeleciał nad nim jak rasa, cudowny świst ognia pod samym sklepieniem łuku. Był piękny.

Tom najbardziej lubił ścieki pod Mayfair i Belgravią. Sprawiało mu przyjemność, że pod najbardziej wymyślnymi domami w mieście rury są najgorsze ze wszystkich. Pod śnieżnobiałym nowym tynkiem placu Belgravia kanały były w takim stanie rozpadu, że całkiem by się rozsypały podczas jakiegokolwiek próby przepłukania. Zawsze można tam było znaleźć bogactwa pośród czajników, gałganów i kawałków potłuczonej zastawy. Młody Tom mógł wślizgnąć się w miejsca, do których starszy mężczyzna by się nie zmieścił, a gdy dostał się w pobliże kraty, sięgał mułu i przeszukiwał dno kanału. To właśnie temu, że potrafił sięgać tak daleko, zawdzięczał swój przydomek. Zazwyczaj znajdował tam monety jednopensowe, ale zdarzały się i szylingi, i półkorony. Były tam metalowe łyżki, metalowe tabakieiy, gwoździe i szpilki, kawałki ołowiu, marmurowe kulki do gry, guziki. Kiedyś znalazł srebrny dzbanek, duży jak kwarciany garnek. Świątowali tej nocy, jak się należy.

W owych czasach chwały szperanie przekazywano z ojca na syna. Kanały wychodziły wówczas wprost na brzegi Tamizy i w czasie odpływu ci, do których należały mogli wchodzić do nich z podniesioną głową. To się zmieniło wiele lat temu. Sklepienia wzmocniono ceglami i powieszono na nich żelazne bramy, które otwierały się i zamykały razem z przypływem. Chodziło o to, że woda mogła wypływać, a ludzie nie mogli się dostać

do środka. Dla niektórych szperaczy to był koniec. Bramy były niebezpieczne, a nie znali innego sposobu, żeby się dostać do środka. Oczywiście nadal byli chłopcy, którzy uważali to za dobry sport - przechytrzyć bramy, gdy woda podnosiła je na tyle wysoko, że mogli się wślizgnąć, ale zanim zrobiła się na tyle rwąca, by nie mogli utrzymać się na nogach. Tom był nieufny. Znał bezpieczniejsze miejsca, do których można było zejść, chociaż wcale mu się nie śpieszyło, żeby im o nich powiedzieć. Dawno temu staruszek pokazał mu swoje sekretne mapy wszystkich dołów i rynien - z niektórych korzystali od czasu do czasu spławiacze, inne były tak pradowe i zakamuflowane, że chyba nikt, jedynie on i Joe wiedzieli o ich istnieniu. Z większości z nich mogli skorzystać tylko po zmierzchu. Wzbudziłyby to podejrzenia, gdyby ktoś ich zobaczył. Ale i tak ich używali, nawet zanim założono bramy na Tamizie. W osiem czy dziewięć godzin, jakie dawał przypływ, i tak nie można było zejść zbyt daleko, a nie miało sensu zawsze zaczynać od rzeki, jeśli się chciało czegoś więcej niż tylko tego, co zostało po innych. Poza tym bywały dni, gdy człowiek mylił się co do deszczu. W takie dni trzeba być w stanie szybko się wydostać.

Dzisiaj zakładano więcej krat i studzienek, niektóre służyły do wentylacji, inne - żelazne rury z bolcami zamocowane w ścianie - jako drabiny. Miały być zamknięte, chociaż można je było otworzyć\* jeśli się wiedziało jak. Spławiacze i tak zapominali je zamykać, a może łatwiej było nie zawracać sobie tym głowy teraz, gdy schodzili na dół znacznie częściej niż kiedyś. Do niektórych kanałów schodzili nawet dwa albo trzy razy w miesiącu, przepychając wodę przez tunele, żeby wypłukać błoto i muł. Joe mówił, że robią to, żeby zrujnować uczciwych ludzi, żeby bogactwa, które kryje w sobie błoto, dostały się wprost do morza, a nie do ludzkich rąk, ale Tom wiedział, że to ze względu na cholere: Niosła śmierć w mieście jak duszący gaz, z gorączką, która przychodziła na człowieka tak szybko, że przy śniadaniu był jeszcze rześki, a przy kolacji już sztywny. Zanim się obejrzel, brakowało im miejsca, żeby grzebać umarłych, i grabarzy też, ze względu na liczbę ofiar. Czasami było widać całe sterty zwłok, niczym nieprzykrytych, z wciąż otwartymi oczami, złożone na wozach przed cmentarzami, czekających na swoją kolej. To wtedy lekarze powiedzieli władzom, że to smród ze ścieków tak wykańcza ludzi i to zamknęło sprawę. Potem spłukiwali częściej. Gdy ludzie przechodzili nad kratami lub nad miejscami, w których ścieki wpadały do Tamizy, próbowali nie oddychać. Mimo to umierali. Czasami całe rodziny, wszyscy razem, tak że nie było nikogo, kto mógłby pójść do pompy po chochlę wody. Lepiej było o tym nie myśleć. Kto myślał o tym za dużo, ten mógł być następny.

Mówiło się teraz, że parlament przebuduje cały system ścieków od podszewki. Tom nie uwierzyłby w to, gdyby nie widział na własne oczy, jak w ostatnich miesiącach



dżentelmeni zaczęli wchodzić do studzienek w towarzystwie spławiaczy. Zamiast jedwabnych kapeluszy i błyszczących butów mieli na sobie skórzane czapki przykrywające kark i wysokie buty pracowników tunelu. Zostawiali na dole tylko przez godzinę lub dwie, ale schodzili do tunelów jak podróżnicy wybierający się na drugi koniec świata. Przewodników obładowywali latarniami, paczkami i niezliczonymi instrumentami do mierzenia i badania, i kto ich wie czego jeszcze. Nietrudno było zauważyć, kiedy są na dole. Zostawiali cały sznur ludzi na posterunku na ulicy, wzdłuż swej trasy, czekających, żeby ich ostrzec, gdyby zaczął padać deszcz. Tom czasami ich słyszał, odległy, niosący się echem szczęk opadającego wieka studzienki, który sygnalizował potrzebę ucieczki. Raz czy dwa Tom wydostał się na zewnątrz z tego powodu, ale właściwie nie było się czym przejmować. Może, przypuszczał Joe z błyskiem w oku, dżentelmeni nie lubili tego uczucia, jak woda sięgała im powyżej delikatnych białych kostek Wielkiego pośpiechu nie było u nich widać, to pewne. Jak do tej pory wszystko, co udało im się zrobić, to jeden nowy tunel zbudowany pod nową Victoria Street, który biegł na północ od Holbom Bridge. Jego zbudowanie zajęło ponad rok, a sam tunel nie był dłuższy niż sto stóp. W takim tempie Tom już dawno będzie leżał w ziemi, zanim oni dotrą do Clerkenwell.

Znaczyło to jednak, że trzeba uważać. Nie było wielkiej nadziei na litość ze strony sędziego, gdyby się wpadło na cały sznur jaśnie panów pod samym Old Bailey\*. Może jednak byłoby warto, zachichotał Joe, zobaczyć ich miny, jak we dwójkę wyłaniają się z ciemności niczym para duchów. Tom się nie śmiał. Joe nie wiedział, co mówi. Nie siedział w więzieniu. Tom siedział. Nie miał zamiaru robić tego ponownie.

W górze, nad głową Toma, drzwi przesunęły się odrobinę na swym błotnistym podłożu. Tom zagwizdał cicho i odpowiedź zabrzmiała echem, zanim usłyszał stukot butów na schodach.

- Co tam - mruknął Joe, podnosząc latarnię do twarzy.

Nagły płomień światła wydobył dwie bliźniacze kępki jego wąsów, które wyglądały, jakby płonęły. Zgodnie z tradycją nadawano szperaczom coś w rodzaju przezwiska, zawsze tak było, i żeby wytłumaczyć niektóre ksywki, czasami potrzebowano dużo czasu, ale łatwo było zrozumieć, dlaczego tego nazywali Rudy Joe. Gdy zdejmował kapelusz, co znowu nie zdarzało się tak często, włosy rozsypywały mu się wokół głowy niczym istny wybuch oranżu. Jeśli pomyśleć o życiu jako

\*Old Bailey - siedziba sądu w Londynie. o rozciągniętym sznurku, trzeba to przyznać, że Joe, tak jak Tom, był zdecydowanie bliżej jego końca niż początku, ale jak do tej pory nie było nawet pojedynczej siwej nitki, która mogłaby przygasić ten płomień. Żadna sadza, żaden

brud, żaden nawet najpaskudniejszy ściek nie były w stanie zgasić tego ognia. Mogły być sztywne i matowe, ale nadal świeciły jasno jak rozgrzany piecyk, gdy tylko padł na nie najdrobniejszy promyk światła, i nieomal miało się ochotę ogrzać przy nich dłonie. Nad jego jasnymi oczami brwi biegły niczym para ognistych gąsienic, każda z nich gruba jak kciuk, a pod żarem owłosienia, które lizało płomieniem jego ręce, skóra była usiana miedzianymi plamkami. Daleko, tam na głównej ulicy, błyszczały mosiężne ozdoby dużych domów i uprząże koni, i gazowy płomień na sklepowych wystawach, i słońce odbijające się w lśniących szybach, ale tutaj, w zaułku, nic nie świeciło tak jasno jak Joe. Tom był zdania, że przy Joe wygląda, jakby ktoś wytarzał go w popiele i kurzu.

- Idziemy w takim razie?

Tom kiwnął głową. Joe był prawie o głowę wyższy od szczupłego kompana, miał masywne nogi i był silny jak byk. Narzucił z łatwością dwie klatki na swoje szerokie ramiona, w czasie gdy Tom przywiązał latarnię do motyki i upewnił się, że ma w ukrytej kieszeni fartucha rękawice. Futro ściekowych szczurów było trujące, a gdy się je chwyciło, wierciły się i wyrwały jak mali ulicznicy, piszcząc i atakując swoimi żółtymi zębami. Nie warto było dać się pogryźć, zwłaszcza jeśli można było temu zaradzić. Ukąszenie szczura miało kształt trójkąta, tak jak pijawki, tyle że było głębsze i diabelnie krwawiło. Tom widział kiedyś, jak gość kręcił szczurem za ogon, ot tak, żeby się popisać, nic więcej, i zanim się obejrzał, bestia wywinęła się i ugryzła go w rękę. Na drugi dzień ręka spuchła jak balon i na dodatek zrobiła się czarna. Tom nie wiedział, co się potem z gościem stało. Nie widział go więcej.

Ściskając krótki gruby kijek w prawej dłoni i motykę w lewej, Tom ruszył, prowadząc przez zawilgotniałą podłogę piwnicy. Pod domem był kiedyś dół kłoczny i na przeciwległym końcu podziemie wychodziło na mały otwarty ściek. Gdyby znajdował się w jakimkolwiek innym miejscu niż te baraki, byłby zbudowany z cegły, z tak niskim sufitem, że nawet dziecko nie mogłoby się dostać do środka, ale pod rozsypującymi się domami uciech był w większości nieprzykryty, a drewniany dach nie był niczym innym jak podłogą pokoju nad nim. Zdarzały się w nim przerwy i jeśli się wyprostowało, to można było spojrzeć prosto w zaskoczone oczy dzieci i kobiet kucających na podłodze. Częściej były to po prostu dziury w deskach i wędrując przez tunel, człowiek słyszał głosy setek rodzin - piski, wrzaski i chrapanie. Czasami kępy brudnej słomy i szmaty wystawały przez dziury i dotykały denka kapelusza. Raz Joe stanął pod takim miejscem i słuchał. Puszczając do Toma oko, zawołał głosem tak głębokim, że mógłby należeć do samego diabła, „Myślicie, że was tam nie widzę, gdy jesteście tak blisko piekła?”. Piski i drapanie, które po tym nastąpiły, zawstydziłyby same szczury. Tom myślał, że Joe się udusi, tak bardzo się śmiał.

Po jakiejś jednej czwartej mili tunel przechodził ogromnym łukiem w dużo szerszy kanał z cegły Tom i Joe wślizgnęli się do niego i skierowali na wschód. Było im łatwiej stawiać kroki, ale mając kraty nad głowami, musieli się zatrzymywać od czasu do czasu, żeby zgasić światło. Nie rozmawiali, idąc. Już umówili się co do miejsca, wybierając Newgate. Dostać się tam nie było łatwo, jako że nie można było wejść do tunelu nigdzie w pobliżu i trzeba było iść pod ziemią, ale zamówienie Brasseya nie było zwyczajne. W Newgate znajdą odpowiednią ilość i również odpowiednią wielkość. Brassey chciał, żeby były duże. Pod targiem mięsnym strumień zgęstniał od krwi, łąjna i kawałków wyrzuconego mięsa. Pozostając na tak bogatej diecie, szczury z Newgate były grube i złe jak osy. Po jednej stronie tunelu udało im się wykopać jaskinię dużą jak pokój i wysoką na ponad dwa jardy, gdzie bestie rodziły młode. Musiało tam być ponad czterysta par, obliczał Tom przepychające się i wędrujące po sobie jak żywa góra sadzy. Nikt nigdy nie widział oficjeli z parlamentu w Newgate.

Byli prawie na miejscu. Smród gnijącego mięsa rozsadzał czaszkę, a na wodzie ścinała się tłusta brązowa piana. W miejscu, gdzie tunel zaczynał skręcać na północ, Joe postawił klatki. Tom odwiązał swoją latarnię z motyki. Opierając tyczkę o ścianę, przymocował latarnię do pętli z przodu płóciennego fartucha. W ten sposób mógł w pełni korzystać z rąk i z oczu. Nałożył rękawice z mankietami. Były tak sztywne ze starości i od brudu, że przypominały idealny odlew, w którym umieszczał swoje dłonie, a każdy ze spuchniętych stawów znajdował własne wgłębienie. Poprawił je jeszcze raz, wziął pałkę i skinął głową na Joeego. Mogli zaczynać pracę.

### III

Biura zajmowane przez Josepha Bazalgette'a, głównego inżyniera Metropolitan Board of Works\*, oraz jego inżynierów, mierniczych i kreślarzy usytuowane były na Greek Street 1 w Soho. To właśnie z tej skromnej siedziby Bazalgette planował zawiadować być może najbardziej ambitnym przedsięwzięciem z zakresu budownictwa lądowego, jakiego kiedykolwiek się podjęto, a mianowicie budowę zupełnie nowego podziemnego systemu kanalizacji dla całego miasta. Nie było najmniejszych wątpliwości, że taki system jest pilnie potrzebny. Chociaż poprzednie administracje podejmowały próby polepszenia sytuacji, doprowadziły one jedynie do powstania nowych problemów. Na początku wieku każde domostwo pozbywało się zanieczyszczeń przez własny dół kloaczny w piwnicy, który był regularnie opróżniany przez ludzi zajmujących się wywozem fekaliiów. Jednak w miarę jak rosła liczba mieszkańców stolicy, system ten został okrzyknięty niepraktycznym i niehigienicznym. W zamian wszystkie doły kloaczne miały zostać połączone w lokalny ściek

spływający za pośrednictwem głównego kanału bezpośrednio do rzeki. W murszejących i nieadekwatnych kanałach ludzkie odchody mieszały się z odpadkami z rzeźni i jatek oraz z nieczystościami z garbami i fabryk. Wszystko to codziennie wpływało do Tamizy. Wkrótce sama rzeka stała się ogromnym dołem.

\* Ang. Metropolitan Board of Works (Rada Metropolitalna ds. Prac) kłoczonym miasta. W czasie odpływu nieczystości przywierały do filarów mostów albo zbierały się w cuchnące wały, gdzie fermentowały.

Londyn, największa metropolia świata, sama się zatruwała. Do takiego zgodnego wniosku doszli lekarze i naukowcy w chwili, gdy wiek przekroczył swoją połowę. W miarę jak brud gromadził się i rozkładał w lokalnych ściekach, z których wiele było po prostu otwartymi rowami, wydzielał wysoce trujące gazy. Trucizna przedostawała się do atmosfery, a dostarczana przez zatrute powietrze i wodę do płuc i żołądków, wnikała prosto do krwi, roznosząc śmiertelną zarazę. W ciągu dwudziestu lat Londyn strawiły trzy okrutne epidemie cholery. Za każdym razem choroba atakowała miasto najdotkliwiej w miejscach, gdzie powietrze i woda były najbardziej zanieczyszczone. Nikt nie miał wątpliwości, że trzeba coś z tym zrobić.

Zdecydowanie trudniej było osiągnąć porozumienie co do rozwiązania problemu. Plan Bazalgette'a polegał na stworzeniu nowego systemu tunelów, który, przecinając istniejący system dołów kłoczonych i ścieków, zabierałby ich ogromny zanieczyszczony ładunek do ujęć daleko za miastem, w dolnym biegu rzeki. Plan zakładał powstanie w okolicy ponad osiemdziesięciu mil nowych przejmujących ładunek kanałów, które zostaną położone z zachodu na wschód, trzy na północ od rzeki i dwa na południe. Ponieważ spadek na niskim leżącym odcinku Tamizy nie zapewniał odpowiedniego przepływu wody, więc Bazalgette zaprojektował tunele na sztucznie stromych poziomach, umieszczając w punktach strategicznych napędzane parą stacje pompujące, które unosiłyby nurt w górę na wysokość dwudziestu stóp, a potem zwalniałyby go ponownie, tak aby na powrót mógł podjąć swój energiczny kurs w dół. Co do istniejących kanałów, miały zostać nie tylko przebudowane, ale uzupełnione tysiącami mil lokalnych tunelów, wpływających do planowanych kanałów głównych, aby umożliwić systemowi transportowanie połowy miliona galonów ścieków, które wędrowały codziennie przez trzewia Londynu. Wybudowanie systemu, szacował Bazalgette, potrwa pięć lat i będzie kosztowało miasto w granicach trzech milionów funtów.

Fundusze nie nadchodziły. Podczas gdy parlament zapewniał pieniądze na utrzymanie Rady, odpowiedzialność finansowa za remonty budowlane spoczywała w gestii lokalnych rad parafialnych, które wahały się, debatowały i zwlekały. Bazalgette jednak nie poddawał się

zwątpieniu. Powoli zebrał zespół młodszych inżynierów i mierniczych, którzy - zadowoleni z niskich z konieczności pensji - pracowali niestrudzenie razem z nim, aby przygotować niezliczone plany i rysunki niezbędne do udoskonalenia powstałego projektu. Błagał też przyjaciół, aby informowali go o wszystkich odpowiednich kandydatach. I tak oto wiosną 1856 roku Robert Rawlinson, wybitny inżynier, który niedawno powrócił ze stanowiska w Komisji Sanitarnej Sutherlanda w Scutari, polecił Bazalgette'owi młodszego mierniczego o imieniu William May.

May był w Scutari od blisko dwóch miesięcy, gdy Rawlinson przybył do tureckiej placówki pod koniec pierwszej surowej zimy wojny wschodniej\*. Mimo że czytał doniesienia z gazet i miał znaczne doświadczenie w zakresie budownictwa sanitarnego w najbiedniejszych dzielnicach Liverpoolu, warunki, które zastał w Scutari, wstrząsnęły Rawlinsonem głęboko. Gnijące tureckie baraki, które służyły jako szpitale, były niewiele lepsze od slumsów; zatłoczone, brudne i niewyobrażalnie źle wentylowane. Nieomal połowa żołnierzy, którzy zdołali przeżyć żalosną czterodniową podróż z frontu, umierała w szpitalu. W samym Barrack Hospital\*\* każdego dnia kończyło życie pięćdziesięciu mężczyzn. Ciała zaszywano w koce, wrzucano do otwartych wozów i układano warstwami w pośpiesznie

\*Wojna wschodnia (1853-1856) - inaczej wojna krymska. Wojna między imperium rosyjskim a imperium osmańskim, później wraz z jego sprzymierzeńcami (od 1854 roku Wielką Brytanią, Francją i od 1855 Sardynią).

\*\* Ang. Barrack Hospital - szpital w Scutari, do którego trafiali ranni żołnierze w czasie wojny krymskiej. wykopanych okopach. Pewna siostra opowiadała Rawlinsonowi, że widziała, jak tureccy żołnierze wrzucali trupy do płytkiego kwadratowego rowu. Gdy jeden z żołnierzy zauważył głowę wystającą ponad inne, wskoczył do wykopu i przydeptał ją niecierpliwie butem. Pochówek miał miejsce niecałe sześćdziesiąt stóp od wejścia do szpitala. Przez cztery dni Sutherland i Rawlinson dokonali inspekcji wszystkich czterech szpitali i złożyli swój raport. W ciągu tygodnia Rawlinson zaczął kompletować zespół ludzi, którzy mieli wdrożyć jego plan poprawy. Wykrochmaleni i wypielęgnowani dżentelmeni z komisji nie mogliby odstawać bardziej od obszarpanych żołnierzy w Scutari, nawet gdyby ubrali się w czepki i krynoliny, ale William prawie ich nie widywał. Przeżył horror Inkermanu tylko po to, żeby sześć tygodni później zostać ugodzony bagnietem przez rosyjskiego żołnierza piechoty, który zakradł się do niego kuśtykającego samotnie i na wpół śpiącego wzdłuż zamrożonego okopu podczas nocnej warty. Gdy zmiennik znalazł go o świcie z twarzą w purpurowym śniegu, William był bliski utraty przytomności. Następne dni zupełnie go zdezorientowały. Zmuszany do rozmowy jękał się, wymiotował i był w stanie wydać z siebie

zaledwie niezrozumiały, niemal niemowlęcy, bełkot. Pomimo swojej słabości bywał często gwałtowny. Rozzłoszczony częściowo chybionym ciosem, wyczerpany lekarz związał dłonie Williama sznurem. To w tym stanie zniósł on długą podróż do Scutari. Gdy w końcu dotarł do General Hospitai\*, bandaże miał niezmieniane od czterech tygodni. Pielęgniarka, podniósłszy gałgan zakrywający jego brzuch, musiała usunąć kwartę larw, zanim mogła ponownie zabandażować ranę.

Mimo że obrażenia piersi i brzucha zaczęły się goić, William pozostawał słaby, nie będąc w stanie ani wstać, ani samodzielnie jeść. Nadal prześladowały go koszmary, wyginając śpiącego atakami konwulsji. W męczącym śnie drapał paznokciami ciało i gryzł wargi, aż usta pokryły się strupami. Siostry i inni

\*Ang. General Hospitai - drugi ze szpitali w Scutari. pacjenci nauczyli się zbliżać do niego ostrożnie, jako że każdy nieoczekiwany hałas lub dotyk mógł spowodować gwałtowny atak Pewnego razu uderzył pięścią w twarz nowo powołanego szeregowego z drugiego batalionu, podbijając mu oko. Potem przywarł rozpaczliwie do mężczyzny i błagał o wybaczenie, płacząc w poszarpaną materię jego munduru. Niechętnie, ponieważ mężczyźni padali jak muchy w lodowych warunkach Bałakławy i potrzeba wymiany była paląca, uznano, że szeregowy May nie jest jeszcze zdolny do powrotu na front W zamian został zdiagnozowany jako mający „niską gorączkę” i przeniesiony, na krótko przed przybyciem komisji, na jeden z dwóch statków dla rekonwalescentów, zakotwiczonych w porcie. Jak wzmiankował późniejszy raport Rawlinsona, nie można wyobrazić sobie dwóch gorszych miejsc, w których próbowano by przywrócić ludziom zdrowie. Obydwa statki, pradawne tureckie okręty w opłakanym stanie, były tak przepelnione, że gorączka i brud rządziły tam niepodzielnie, podczas gdy woda zębowa, która się z nich wydobywała, zamieniała wodę, w której tkwiły zakotwiczone, w otwarty ściek.

Lekarze rzadko odwiedzali statki rekonwalescentów. Przez większość czasu William leżał bez ruchu na swoim posłaniu ze słomy. Nie atakował już nikogo. W zamian popadł w rodzaj skamieniałego półsnu, w którym hałas i ruchy innych mężczyzn docierały do niego tylko we fragmentach. Wokół niego z wyschniętymi gardłami i niemą odwagą jego koledzy żołnierze szeptali do siebie, przyjmując wolę Wszechmogącego i powierzając siebie jego nieustającej opiece. W nieczęstych przebłyskach świadomości William gardził nimi za ich samowolną ślepotę. Czyż nie widzieli, że kochający Bóg porzucił ich w tym parszywym miejscu, odwrócił się obojętnie od ich cierpienia, zajęty ważniejszymi i bardziej doniosłymi sprawami? Ludzie z armii Jej Królewskiej Mości spojrzeli w twarz samego piekła i to pozbawiło ich dusz. Nie pozostało już nic z ciała, jedynie suche kości zawinięte w całun

zajętej przez wszy skóry. Nie mogło być wybaczenia dla ludzi takich jak oni, na pewno nie z nieba. Bez dusz nic nie byli warci. Śmierć była pustą ciemnością, wiecznością nicości. Kiedyś myślenie w ten sposób przeraziłoby Williama, ale nie teraz. Przez nieskończone noce w Scutari znajdował w swoich myślach dziwne i straszne pocieszenie. W śmierci być może znalazłby w końcu spokój.

I tak leżał, dzień za dniem, czekając, aż Śmierć położy mu dłoń na ramieniu. Nie wstawałby nawet dojedzenia, gdyby nie miły młodszy oficer, Irlandczyk o imieniu Meath, który zajmował sąsiednie posłanie i który stracił nogę nad Almą. W żałości zaopatrzonych magazynach w Scutari, które nie były w stanie zapewnić ludziom podstawowych środków” takich jak talerze, noże, widelce czy pościel, zabrakło kul, jeszcze zanim rozpoczęły się walki. Ponieważ zakładano, że rekonwalescenci na statkach są w stanie zadbać o siebie, więc skąpe racje żywnościowe, które były dostępne, wykładano na głównym pokładzie. Meath codziennie nakłaniał Williama, żeby wstał z łóżka i żeby razem, ze swoim ramieniem uwieszonym na szyi Williama, mogli przedostać się w wolnym tempie, manewrując pomiędzy masą sienników do miejsca, gdzie znajdowało się jedzenie. Czasami ciepło i ciężar ciała opierającego się na nim Meatha sprawiały, że William się potykał.

Jedzenie tutaj jest nieomal tak obfite, jak wtedy, gdy byłem chłopcem, lubił żartować Meath. Jego rodzina dzierżawiła ziemię w Skibbereen; wszyscy z wyjątkiem Meatha i jego brata, którzy zaciągnęli się do armii, zmarli śmiercią głodową. „Gdybym wiedział, że będę dostawał tutaj takie samo błoto zamiast kawy jak w domu, nigdy bym tu nie przyjechał”.

W nocy Meath płakał cicho z tęsknoty za matką i z niesamowitego bólu spowodowanego przez skurcze w amputowanej nodze. William też nie spał. Noc w noc leżał z otwartymi oczami, z rękami złożonymi na piersi, skamieniały jak grobowiec średniowiecznego rycerza. Nie dopuszczał do siebie żadnych wspomnień horroru, który go tu sprowadził. Kilka razy zapamiętany epizod przedostał się do jego świadomości, ale był tak nierealny i niewyraźny jak zamazany dagerotyp. Gdy spał, wszystko ożywało - warstwa na warstwie gnijących ciał, czarna groza zamrożonego okopu, cienie, smród i wrzaski oskarżeń. Pewnej nocy śniło mu się, że zabił Polly, zanurzając wielokrotnie bagnet w jej gardle. Nie przestawała krzyczeć na długo po tym, jak odciął jej głowę. Gdy obudził się, wymiotował przez wiele godzin, a jego ciałem wstrząsały konwulsje wywołane poczuciem winy i przerażenia. Rany zablizniały się, ale nigdy nie myślał nawet, że pewnego dnia będzie musiał opuścić Scutari. Myśl o powrocie do Polly, o zanurzeniu się na powrót w ich zwykłym szczęśliwym życiu razem w Londynie była niewyobrażalna. Ten świat, gdzie wszystko miało swoje znaczenie, a ludzie sięgali po siebie w ciemności, ten świat zupełnie dla niego przepadł.

Jego miejsce było w tej przepelnionej sypialni, gdzie leżał stłoczony razem z innymi; osłabionymi, nieogolonymi, nieumytymi i drżącymi pod swoimi płaszczami. Noclegownia dla na wpół żywych, miejsce nienękanie przez uczucie i nadzieję, gdzie wczoraj i jutro nic nie znaczyło i mijało niezauważone. Do tego miejsca należał.

Było szare popołudnie w połowie marca, gdy posłano po Maya. Pogłoski o świeżym natarciu na Sewastopol krążyły pośród towarzyszy na statku już od tygodnia. Każdy mężczyzna, który był w stanie stać o własnych siłach, miał zostać wysłany z powrotem na front May chwiał się na nogach, gdy oficer o surowej twarzy prowadził go przez zmarznięte błoto jednostki i popychał pogardliwie kolbą karabinu. Nie musi się silić na amatorskie przedstawienia, poinformował go, a jego twarz ściągnięta była odrazą. May nie zostanie odesłany natychmiast do służby czynnej. W związku z zaleceniami Komisji Sanitarnej nakazano gruntowną przebudowę i wszyscy mężczyźni z doświadczeniem inżynierskim i mierniczym mieli zostać zmobilizowani, aby wykonać jej zalecenia. Jako główny inżynier projektu, pan Rawlinson pozostanie w Scutari, aby nadzorować prace. Cieszył się pełnym poparciem armii brytyjskiej na najwyższych szczeblach, instruował Maya kapitan, a jego twarz wyginała się, jakby słowa miały nieprzyjemny smak. Chociaż Rawlinson nie ma żadnej oficjalnej rangi wojskowej, oczekuje się, że May będzie traktował wszystkie jego instrukcje jak rozkazy. To, szczerknął kapitan, jest rozkaz.

Rawlinson spojrział ponad swoimi szklami połówkowymi na szeregowca stojącego przed nim, po raz tysięczny zdając sobie sprawę z gładkiego połysku własnego czarnego płaszcza i wykrochmalonej bieli kołnierzyka. Był w Rosji już od prawie dwóch tygodni i nadal szokował go opłakany stan ludzi, których tu spotykał. Ten zaś okazał się szczególnie żalnym przypadkiem. Był tak chudy, że kości zdawały się przeświecać przez skórę twarzy i ciągnęła się za nim słaba kwaśna woń choroby i brudu. Z tego, co Rawlinson wiedział o warunkach szpitalnych w Scutari, człowiek miałby szczęście, widząc wannę częściej niż raz na trzy miesiące. Mundur mężczyzny zwisał w łachmanach z kości jego ramion, a piaskowe włosy i broda sterczały w formie ponurych kępek wokół twarzy. Rawlinson pomyślał, że żołnierz ma wygląd lwa zbyt długo trzymanego w niewoli. Stojący obok surowy kapitan w purpurowym płaszczu pełnił rolę niechętnego strażnika. Bez wątplenia wolałby zwierzę bardziej świadome jego nienagannej wojskowej postawy, wspaniałego arabskiego ogiera albo tygrysa bengalskiego.

- Szeregowy May - kontynuował Rawlinson, powstrzymując prywatny uśmiech. - Pracował pan dla urzędu kartograficznego w Londynie, jak rozumiem.

Spojrział wyczekująco na Maya. Gdy szeregowiec nie odpowiadał, kapitan



odchrząknął gwałtownie, a następnie ukuł go łokciem w żebro. May podniósł powoli wzrok, mrugając, jak gdyby w pokoju panował nie półmrok, ale oślepiająca jasność. Brudne palce chwyciły i kręciły jedyny guzik, jaki pozostał mu na płaszczu. Rawlinson zganił się za dreszcz odrazy, który przeszedł go na ten widok.

- A więc? - zażądał odpowiedzi bardziej surowo niż zamierzał. - Mów, człowieku.

\*

- Tak, proszę pana - wyszeptał May. - Pracowałem dla urzędu.

- Słyszałem, że wasza sekcja odpowiedzialna była za przeprowadzenie pomiarów londyńskich kanałów na polecenie Metropolitalnej Komisji ds. Ścieków. W skali pięciu stóp do mili, zgadza się, prawda?

Rawlinson przyjrzał się żołnierzowi. Wydawał się chwiać na nogach, a jedyną plamę koloru na jego białej twarzy stanowiły dwa ciemnopurpurowe cienie pod oczami.

- Czy pan się dobrze czuje?

May uniósł swoją lwią głowę i spojrzał na rozmówcę. Oczy w kolorze piasku nie były ani przyjazne, ani wrogie. Zdawały się natomiast skupione nie na Rawlinsonie, ani nawet na ścianie za nim, lecz zwrócone do wewnątrz. Rawlinson miał osobliwe wrażenie, że patrzy nie na dwie kolorowe tęczęwki, ale na ich surowy, niepomalowany tył.

- Szeregowy?

- Nie, sir - wyszeptał w końcu May. - Muszę przyznać, że niezbyt dobrze, sir.

Stojący obok Maya kapitan pozwolił sobie na gwałtowne nabranie powietrza, po czym ściągnął wargi pod koniuszkami nawoskowanych wąsów. Rawlinson nie zwracał na niego uwagi. Usiadł natomiast na powrót na swoim krześle, składając przed sobą dłonie oparte na palcach i przyglądał się z powagą Mayowi. Dokumenty na biurku mówiły mu, że żołnierz został odznaczony za odwagę pod Inkermanem. Korespondent „Timesa” nazwał tę bitwę najkrwawszą walką, jaką widziano na ziemi, odkąd skalała ją wojna. Rawlinson czytał relację przy śniadaniu na Portland Square; pamiętał te słowa bardzo dokładnie.

- Tak - zgodził się, nie odrywając swoich inteligentnych szarych oczu od twarzy mężczyzny. - Nie za dobrze. Widzę.

Przerwał z namysłem.

- Ale na tyle dobrze, żeby pracować? Pilnie potrzebuję mierniczego. Zacząłby pan jutro.

Oddech Maya przyśpieszył, a palce w jeszcze bardziej szalony sposób pociągały za guzik płaszczu. Wysunął czubek języka przez spieczone usta.

- Byłbym zupełnie bezużyteczny, sir - wyjąkał. - Ja... ja... znajdzie się ktoś inny. Ktoś

bardziej odpowiedni. Lepszy. Sir.

Pod ciągłym naciskiem nieustępliwych palców puściła ostatnia zgniła nić mocująca guzik płaszcza. May przyglądał się pojedynczemu guzikowi w swej dłoni, a jego twarz wykrzywiała rozpacz. Przez chwilę Rawlinson zawahał się, a potem pochylił do przodu, z łokciami opartymi na mahoniowym biurku.

- Ma pan zamiar umrzeć? - zapytał Maya łagodnie.

Gałki oczne kapitana zdawały się puchnąć, gdy prostował się, stając nieomal na czubkach palców i rozszerzając nozdrza. May mrugnął, spoglądając na Rawlinsona. Zdziwienie roznieciło słaby płomyk bursztynu w ponurym drewnie jego oczu.

- Większość ludzi chce żyć, jak sądzę - kontynuował Rawlinson tym samym łagodnym głosem. - Przyjmuję za prawdopodobne, że w czasie ciemnych nocy mozolnej podróży z frontu chorych i rannych mężczyzn jak pan, podtrzymuje przy życiu myśl, że gdy już w końcu zostaną bezpiecznie oddani pod opiekę naszych szpitali, przywróci im się zdrowie. Będą bezpieczni. A mimo to w czasie ostatnich miesięcy tysiące mężczyzn zmarło w Scutari. Szpitale, które usiłowały ich uratować, nie uczyniły tego, zaiste nie. Zabiły ich szybciej i z większą pewnością, niż mogłby mieć na to nadzieję wróg, całą siłą swoich dział i karabinów.

We wczesnym zmierzchu kostki u zaciśniętych w pięści dłoni kapitana świeciły jak miętówki. Wydawało się, że dalsze ciosy wymierzane w jego wojskową poprawność mogłyby całkowicie oderwać go od powierzchni ziemi. Mało prawdopodobne jednak, że któryś z mężczyzn zauważyłby, że udał mu się taki wyczyn. May stał zupełnie spokojnie, a słabe plamy koloru ożywiały mu policzki. Nikłe światło jego oczu migotało i uspakajało się niczym płomień świecy. Niezwykłe oczy, myślał Rawlinson, z nieomal złotymi tęczęwkami otoczonymi zielonawym brzegiem, który wyglądał, jakby został namalowany atramentem.

- Nie ma nic chwalebne go w śmierci na dyzenterię albo na cholere. Żaden to honor dla królowej czy dla kraju - kontynuował Rawlinson. Mówił tak cicho, że kapitan za ledwie słyszał go przez ogłuszający huk oburzenia, który wypełniał mu uszy. - Nie mogę odwrócić zniszczenia, które już zostało tu dokonane. Ale mogę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić, że skończy się to nieodwołalnie. Od tej chwili jestem za to odpowiedzialny. Jeśli ludzie będą umierać niepotrzebnie w Scutari, to będzie moja wina. Nie zamierzam mieć śmierci żołnierzy na swoim sumieniu, szeregowy.

Rawlinson przerwał. May stał bardzo spokojnie z zapomnianym guzikiem uwięzionym w zamkniętej dłoni.

- Prace już się rozpoczęły. Jednak z każdą dodatkową pomocą będą postępowały

szybciej. Nie czuje się pan dobrze, widzę to. Niemniej sędzę, że da pan radę. Praca, którą wykonujemy, będzie codziennie ratować ludzkie życie. Być może uratuje pańskie. Pomoże nam pan?

Nastąpiła długa chwila ciszy. May wpatrywał się nadal w Rawlinsona. Przełknął raz, potem jeszcze raz i przygryzł wargi zębami. A potem gwałtownie zamknął oczy. Poluzowane palce upuściły cicho guzik płaszcza, który potoczył się po podłodze. Kapitan poczuł odrobinę ulgi, rozgniatając go butem.

- Tak - powiedział w końcu May, nie otwierając oczu. Słowa nieomal zgubiły się w ogromnym wysiłku, z jakim je wypowiadał. - Tak, sir, pomogę.

Następnego dnia May został przeniesiony ze statku dla rekonwalescentów do kwatery w zaadaptowanych barakach, pół mili od portu. Meath ujął jego dłoń, potrząsając głową i uśmiechając się, nazwał go tajemniczym gałganem; nigdy nie przyszło do głowy miłemu Irlandczykowi, że May umie czytać i pisać. Później tego samego dnia Rawlinson zabrał go do General Hospital, gdzie po pęknięciu rur, które dostarczały wodę pitną do szpitala, ludzie odkryli rozkładające się resztki konia. Tłumaczyło to, dlaczego woda w szklance zawsze wyglądała jak napój jęczmienny i smakowała jak błoto. May miał dostarczyć rysunki przekrojowe obecnego systemu ścieków na głębokość do dziesięciu stóp, tak żeby w trybie pilnym można było opracować nowy. Biuro Zaopatrzenia, wbrew swemu zwykłemu oporowi, wyposażyło go w narzędzia, których potrzebował. Pozostawiony sam sobie, z papierem rozciągniętym na desce kreślarskiej, May wpatrywał się w lśniącą poziomice w swojej dłoni. Wydawała mu się jednocześnie zaskakująco znajoma i zupełnie obca, i przez chwilę był całkowicie pewien, że nigdy nie będzie wiedział, jak jej użyć. To sprawiło, że poczuł się tak nieswojo, iż pośpiesznie upuścił poziomice na stół i popchnął ją, żeby jej nie widzieć. Gdyby nie zawiodła go pamięć, przypomniałby sobie dokładnie takie samo uczucie sprzed kilku miesięcy, gdy po raz pierwszy trzymał w ręce karabin.

Zdarzały się świty na wzgórzach nad Bałakławą, gdy William, zmieniony po całonocnej warcie w okopach, wracał do obozu tak całkowicie przemarznięty, że nie miał odwagi zzuć butów z obawy, żeby nie zdjąć ich razem z palcami. Zresztą zlodowaciałe dłonie i tak nie poradziłyby sobie z zawiązanymi sznurówkami. W zamian kulił się przed nędznym ogniem, jaki udało się rozpaścić towarzyszom, podczas gdy stopy, dłonie i uszy pulsowały i z bólem powracały do życia. Warta trwała dwanaście godzin. Przed upływem pierwszej godziny ciepłe, żywe części Williama wycofywały się głęboko do jego wnętrza, gdzie kulily się na resztę nocy jak dzieci ukrywające się w porzuconym budynku. Gdy w końcu je znajdowano, były zupełnie dzikie. Dłonie i stopy puchły, aż naciągnięta, błyszcząca skóra

pękała jak dojrzały owoc. Palce u dłoni i nóg robiły się sztywne i bezużyteczne od bólu, a zapalenie wewnątrz stawów wywoływało na ich powierzchni białe i purpurowe wybrzuszenia wielkości kasztanów, które doprowadzały go do szaleństwa swym ciągłym swędzeniem i pieczeniem. Ołówek wymykał się spomiędzy palców, gdy uzupełniał księgę warty, znaki na stronie były tak blade i niezdarne, że ledwie czytelne. Uszy krwawiły. Zdarzało się, że ból rozgrzewania się był tak absolutnie nie do zniesienia, iż William żałował, że nie może zasnąć w śniegu, żeby później tego samego dnia powrócić na swój lodowaty posterunek, nie przeżywając agonii tajania.

Podczas dni po spotkaniu z Rawlinsonem William znowu zaznał bólu tych poranków, ale nie w dłoniach czy stopach. Od swego przybycia na Krym wypracował jedyny pewny sposób na to, żeby być bezpiecznym - nic nie czuć, o nic nie dbać. To było łatwe. Wojna go zamroziła. Musiał jedynie trzymać się tego chłodu, utrzymywać w swoich piersiach ciągłą głęboką zimę. Do przybycia Komisji przychodziło mu to bez trudu.

Rawlinson nie był ciepłym człowiekiem. Podczas gdy bardzo leżało mu na sercu humanitarne znaczenie wykonywanej przez siebie pracy, jego zainteresowanie ludźmi było bardziej teoretyczne niż konkretne. Traktował wszystkich współpracowników z tym samym poważnym i wystudiowanym dystansem. Ale z pracą, z pracą było inaczej. Gdy pracował, promieniował czystą i nieskrępowaną pasją, jaką czuł dla swojego zadania. Jego entuzjazm porywał ludzi, podsuwając im codziennie doznania, które stały się dla żołnierzy tak niezwykle jak świeże mięso: ciekawość, pomysłowość, przekonanie, optymizm, cel. William obserwował Rawlinsona w trakcie pracy, zapamiętując skupiony wyraz pochłoniętych myślami oczu inżyniera, triumfalny błysk zrozumienia po rozwiązaniu jakiegoś trudnego problemu. Nocą ćwiczył je, ale mimo że twarz była w stanie wykrzywiać się i unosić w taki sam sposób, nic nie łączyło tej mimiki z głębią, która nadałaby jej sens. Nawet gdy wyciągał z kieszeni płaszcza swoje drogocenne dzienniki botaniczne i patrzył na ich wytarte strony po raz pierwszy od wielu miesięcy, nie czuł nic. Zupełnie nic.

Niemniej entuzjazm Rawlinsona działał na niego niczym ciepły oddech udrażniający malutkie dziurki w starannie zakonserwowanym lodzie. Te dziurki napawały go lękiem. To nie ich rozdzierający ból był najgorszy. Dużo bardziej przerażające dla Williama było to, że pokazywały, jak dużo bólu będzie musiał jeszcze znieść, teraz, gdy zima zadomowiła się w nim na dobre. Przyjazd Rawlinsona zmienił wszystko. Zanim przyjechał, William był w pełni przekonany, że jest mu obojętne, czy będzie żył, czy umrze. Jakaś część w nim zastanawiała się, czy przypadkiem już nie umarł. Teraz wiedział, że się mylił. Nie tylko żył. Chciał żyć.

Cięcie zaczęło się nieomal przez przypadek. Jako jeden z zespołu Rawlinsona William

uzyskał cotygodniowy dostęp do ciepłej wody. Pewnego ranka jeden z młodszych inspektorów sanitarnych zaoferował mu skorzystanie ze swojej brzytwy. William ostrożnie naostrzył brzytwę na skórzanym pasku, zanim uniósł ją do światła. Coś w nim narastało, ściskając go za gardło niczym żelazna pięść. Przygryzając wargę, umieścił brzytwę drżącą ręką na szafce z umywalką i sięgnął po mydło, utkwivszy wzrok w powstającej pianie, w miarę jak pędzel kręcił się w koło w filiżance. Napięcie jednak nie ustawało. Narastało pomiędzy każdym kręgiem kręgosłupa, przeciskając się pomiędzy żebrami na zewnątrz. Miał uczucie, że lada chwila eksploduje. Dłonie podskakiwały, a oczy paliły, jakby powieki były wysypane piaskiem. Przerażony chwycił brzegi porcelanowej miski z wodą, usiłując stłumić uczucia, które wracały raz po raz, coraz silniejsze. Nie mógł się uspokoić. Napięcie w głowie rosło, napierając coraz mocniej na delikatny kościec czaszki. W uszach huczało, wypełniając gardło i nozdrza, aż w końcu był w stanie oddychać jedynie z największym trudem. Wbił mocno paznokcie w nadgarstek, pozostawiając na skórze białe półksiężycy, ale nic nie czuł, nic poza ciemnością, której nie był w stanie powstrzymać. Z rozpaczą cisnął przez pokój filiżankę na mydło. Widział, jak rozbija się o ścianę, ale nic nie słyszał. I wtedy z oddali, jak gdyby zawisł nad własnym ciałem, zobaczył, jak jego dłoń sięga po brzytwę. Wewnętrzne napięcie zmieniło się, jakby skrzepniętą ciemność zaczęło przenikać rosnące poczucie celu. Bardzo wolno, lekko drżącą dłonią, William przesunął ostrze w dół nienamydlonego policzka, przyciskając je całkiem świadomie do ciała, aż w końcu wbiło się w skórę.

Nacięcie było płytkie, ale zadziałało z doskonałą przewidywalnością zaworu w silniku parowym. Ulga była doskonała. W miarę upływu krwi uchodziła też z niego straszna ciemność. Płynąca krew koła go, oczyszczała. I była dowodem, że żyje. Czuł euforię, a jednocześnie zupełny spokój. Delikatnie przycisnął czyste płótno do rany. Gdy oddawał brzytwę inspektorowi, był w stanie zażartować zupełnie swobodnie ze swojego braku doświadczenia, niezręcznych palców. Dostał jodynę i uważnie oczyścił ranę. Po raz pierwszy od miesięcy czuł się świadomy i w pełni władz umysłowych. Uśmiechnął się. Gdy się uśmiechał, cięcie kłuło, co sprawiło, że uśmiechnął się jeszcze raz. A gdy po jakimś czasie uczucie odrętwienia wróciło, miało w sobie nowy rodzaj spokoju. Wydawało się proste. Rawlinson chwalił go za szybkość i precyzję pracy. William uczył się błyskawicznie i zauważył, że coraz bardziej wciągają go konstrukcyjne szczegóły średnicy, nachylenia i kąta, które wyrastały, żywotne i solidne, ze stron jego planów. Pewnego popołudnia William przedstawił nawet własną nieśmiałą propozycję urządzenia do splukiwania po zachodniej stronie Barrack Hospital. Rozwiązanie to zostało zaakceptowane i stosownie wdrożone. Przez dwa długie tygodnie William był pochłonięty pracą. Wolno, bardzo wolno zaczął sobie

znowu wyobrażać siebie nie jako szeregowego Maya, ofiarę wojny wschodniej, ale jako Williama Hemyego Maya, kartografa i mierniczego. Przyszłość nie rozciągała się przed nim daleko, być może jedynie do spraw jutrzejszego dnia, ale to była przyszłość. Nie miał jej przez wiele minionych miesięcy.

Dwa tygodnie. A potem znowu napięcie zaczęło narastać. Tym razem William naciął sobie udo nożem do mięsa. Rana była dużo głębsza i potem William nie mógł sobie przypomnieć nawet najmniejszych szczegółów cięcia. Ta luka w pamięci martwiła go, ale ani w połowie tak bardzo jak perspektywa niecięcia się w ogóle. Następnym razem było to drugie udo, a potem ramiona. Za każdym razem tracił świadomość. Nauczył się tego nie bać, a za to radować się chwilą doskonałej ekstazy, gdy odzyskiwał przytomność w cudownym szkarłatnym krzyku krwi. Potem już zawsze ciął ramiona. Był z tego zadowolony. Ramiona łatwiej przewiązać i wszystko szło szybciej. Mógł się nacinać, zaledwie podwinawszy rękaw. Gdy go spuścił, tylko on znał dokładny kształt wzoru po wewnętrznej stronie ramienia, cienkie różowe grzbiety blizn, niczym szczeble drabiny na zasychających strupach i otwartych brzegach najświeższych cięć. Rozciągały się na jego skórze jak rybacka sieć, w której znalazł schronienie. W kieszeni nosił nóż. Czasami, gdy napięcie zaczynało rosnąć, ale zanim stało się nie do zniesienia, uderzał delikatnie wzór jego tępą stroną.

Pogoda zrobiła się cieplejsza, a potem nieznośnie gorąca. Błoto rozpuściło się, a potem zaschło, tworząc wysokie koleiny. W lipcu Rawlinson zebrał swój zespół. Praca, poinformował ich z cichą dumą, była prawie skończona. Ze względu na nieomal wyłącznie poprawę higieny i warunków sanitarnych, które były możliwe dzięki ich pracy, umieralność wśród pacjentów została zredukowana z jednego na dwóch, do nie więcej niż dwóch na sto. Nie było już potrzeby dalszego pobytu Rawlinsona w Turcji. W odpowiednim czasie powróci do Anglii, ale zanim to nastąpi, zamierza udać się na front i zobaczyć na własne oczy ten konflikt, który przywiódł tak wielu mężczyzn do szpitali w Scutari. Ma wypłynąć do Bałakławy w ciągu tygodnia. Być może, powiedział i skinął poważnie głową w kierunku mężczyzn, niektórzy z nich dowiedzą się, że są zdolni wrócić do służby czynnej, kiedy on będzie jeszcze na froncie. Miał nadzieję, że jeśli obowiązki i okoliczności na to pozwolą, uczynią mu zaszczyt, składając wizytę.

William ciął się częściej po wyjeździe Rawlinsona, a jego sen stał się bardziej niespokojny. Koszmary nocne powróciły ze szczególną mocą. Śniło mu się, że był w piwnicy pod General Hospital, gdzie do niedawna, na klepisku, mieszkała kolonia żon żołnierzy, a ich łóżka i ciała zdawały się niczym więcej niż stertą brudnych szmat. Chiypiący głos, który rozpoznawał jako własny, wzywał kobiety, aby jedna za drugą ustawiły się pod ścianą. W

piwnicy padał śnieg. Mężczyzna w szarym płaszczu rosyjskiego żołnierza z twarzą zasłoniętą brodą odwrócił się i, kłaniając lekko, zapytał z charakterystycznie snobistycznym akcentem angielskiego dżentelmena: „Teraz?”.

„Teraz!”, warknął ukiyty głos. Rosjanin przymocował swój bagnet i uniósł go w kierunku pierwszej kobiety. Ostrze błysnęło w świetle. Kobieta zakryła twarz i osunęła się na podłogę pod ścianą. Jej ciało natychmiast się zeschło, trup zrobił się czarny jak sadza. Rosjanin zwrócił się, uśmiechając, w stronę głosu. Uśmiech uniósł jego brodę, nadając jej kształt płytkiego szpadla w szare paski. W jego poważnych oczach zagrały iskierki.

Rosjanin był Rawlinsonem.

- Zabiłeś mnie - zauważył zdawkowo, z ręką na piersi. Krew płynęła szerokimi czerwonymi wstążkami pomiędzy jego palcami.

A potem jeszcze raz, „Zabiłeś mnie!” Za drugim razem jego słowa kipiały od gniewu i odrazy.

William obudził się, gdy Rawlinson upadał. Koszulę miał mokrą od potu. Przez resztę nocy siedział prosto jak struna, z ramionami zaciśniętymi mocno wokół kolan. Kilka dni później z frontu dotarła wiadomość. Rawlinson nie wróci do Scutari. Został raniony przez zabłąkaną kulę w okopach pod Sewastopolem. Obrażenia były znaczne, ale nie ciężkie; lekarz w szpitalu polowym zalecił, aby został zabrany prosto do Anglii, i polecił przesłać jego rzeczy ze szpitala na adres w Londynie. Tej nocy William naciął się tak mocno, że naruszył ścięgno. Był zmuszony zwrócić się o pomoc do pielęgniarki, która zmarszczyła czoło i zagryzła wargi, gdy tłumaczył jej, jak brzytwa wypadła mu przez nieuwagę z ręki. Na początku sierpnia William otrzymał wiadomość o przygotowaniach do własnej podróży. Uznano, że nie jest zdolny do powrotu do czynnej służby. Miał zostać zwolniony z armii z przyczyn zdrowotnych i wysłany do domu z niewielką pensją.

Statek, który miał go zabrać do domu, przybił do portu w Scutari w słoneczny wrześnieowy poranek. Przywiózł do Turcji nowy zaciąg żołnierzy” którzy mieli podjąć prace remontowe w bazie w Scutari przed przesunięciem na linię frontu. Pomimo długiej podróży wyglądali schludnie i rześko oraz wyjątkowo młodo, gdy schodzili ze statku i przemieszczali się w zgrabnych kolumnach na wzgórze w stronę koszar. William unikał żołnierzy, ale ostatniego dnia po południu znalazł się tuż za dwójką z nich, idących zakurzoną drogą do kantyny. Idąc, śpiewali razem, poruszając ramionami w przód i w tył w rytm melodii:

Radujcie się, chłopcy, radujcie

Tam, gdzie jutrzeńka jutra światło śle promieni swych

W niepamięć puśćmy już dzisiejsze mroczne dni

Dość już smutków czczych

Odwagi, serce szczere nas zawiedzie

IV

Pub zwany Badger znajdował się na samym końcu błotnistej dróżki, jednej z kilku wijących się nitek biorących początek w dolnym zaułku Broad Street Mimo że długa, dróżka ta zawsze wydawała się Tomowi jakby bezwolna, nie mogąc się zdecydować, czy biec w prawo czy w lewo, czy być szeroką czy wąską, prostą czy krętą. Oprócz niemrawego rowu, który jak kręgosłup szlamu ślimaczył się leniwie na całej jej długości, wypuszczając swe języki na skrawkach bardziej płaskiego gruntu, jedyną rzeczą, co do której uliczka nie zawodziła, był niezmienny smród; słodkawy odór odpadów doprawionych tu i tam gorącym tłuszczem smażonej ryby i smrodliwym zapachem gotowanych głębów kapusty. Ostre błękitne kłęby dymu tytoniowego unosiły się znad kup śmieci przetrzasywanych przez kobiety w poszukiwaniu szmat i kości. Z ust sterczały im krótkie czarne gliniane lufki, a podkasane spódnice odsłaniały bosc stopy. Kucając w drzwiach, ich mężowie drzemali z twarzami drżącymi, napuchniętymi i usianymi plamami od dżinu, tak purpurowymi, że zdawały się nieomal czarne. Nos Toma zwietrzył zapach świeżego portera ponad zatęchłym powiewem starego, na chwilę zanim dwóch dostarczycieli zepchnęło go na bok, niosąc w drewnianych stelażach puszki ciężkie od jedzenia dla robotników pracujących na Dean Street Tom stwierdził, że musi dochodzić czwarta. Od wschodu chłopcy biegali tam i z powrotem po swojej trasie pomiędzy gospodą i placem budowy regularnie jak członek w krośnie.

Black Badger przycupnął nisko na zakręcie uliczki, gdzie, jak gdyby nagle przerażona na śmierć własną odwagą, zwężała się ona tak gwałtownie, że Tom i Joe nie byli w stanie iść obok siebie. Gospoda była zapewne kiedyś pomalowana na białe, ale, jak dalece Tom sięgał pamięcią, jej ściany były upstrzone plamami i łuszczącą się farbą oraz czarne od sadzy. Spoglądała gniewnie spod zniszczonego kapelusza niskiego dachu i znad brody błota, które lśniły wokół jej podbródka. Okna miała brudne i ciemne. Niektóre były rozbite i załatane kawałkami drewna i starej dachówki. Z przodu trudno byłoby znaleźć wejście do tego przybytku. Tam, gdzie powinny wisieć drzwi, znajdowała się jedynie gruba płachta metalu, pokryta na powierzchni cętkami rdzy, zamocowana za pomocą żelaznych klamer na kawałku poręczy i zanurzona na głębokość stopy w błotnistej ziemi. Przypadkowy przechodzień pomyślałby, że to opuszczone miejsce.

Koniec końców nie było ani jednej rzeczy, pod względem której nie różniłby się całkowicie od wspaniałego lokalu przyćmiewającego wzrok na wschodnim końcu Broad Street Lśniące szyby okien Golden Hind ozdobiono stiukowymi rozetami i oświetlono całą



masą gazowych lamp, płonących z tak zbytkownym brakiem wstrzemięźliwości w ozdobnych złożonych palnikach, że zdawały się zamieniać okna w jeden wielki płomień. Wspaniałości tego pałacu: bogate zdobienia gzymsów i oświecony złożony zegar, który wybijał kwadrans; lśniąca lustra w ramach rzeźbionych w kiście wielkich winogron i gałęzi jaśminu; wypolerowany mahoń kontuaru i wesoły błysk szklanek wykrzykiwały wspólną piskliwą pieśń skierowaną do wszystkich przechodniów, w trosce by nie musieli znosić ciężaru monet w swoich kieszeniach ani chwili dłużej, niż to absolutnie konieczne. I niejeden człowiek się skusił, żeby potem tego żałować. Black Badger natomiast przycupnął w ciemności i błocie, z dłońmi zanurzonymi głęboko w kieszeniach. Nie gwizdał, ani nie odchrząkiwał. Nie miał zamiaru zwracać na siebie uwagi. Klienci wiedzieli doskonale, gdzie go znaleźć i po co tam przychodzą. Ci, którym odpowiadał jako partner w interesach, rozumieli jego prostotę i doceniali ją. Uważali, że sami równie szczerze dobijają targu, w każdym razie gdy nie są w dołku.

I tak schodzili się do pubu Black Badger, stadami, ze wszystkich możliwych stron. Gdy już zostali wpuszczeni do środka przez marniutkie drzwi zakopane w prawym boku gospody, nie przeszkadzała im ciemna od dymu papierosowego tapeta salonu i skromny wygląd wgniecionych cynowych kubków. Przychodzili, żeby się napić, naturalnie. Każdego wieczoru ramiona unosiły i opuszczały kubki piwa lub szklanki dzinu i gorącej wody niczym tłoki maszyny parowej, w górę do ust i z powrotem na dół. Ale tutaj oczy i zainteresowanie nie kierowały się wyłącznie ku dnu szklanek. Ci mężczyźni, czy to straganiarze, żołnierze, dorożkarze, czy rzemieślnicy, przychodzili w jednym celu. Ci mężczyźni lubili sport Ci mężczyźni przychodzili na walki. Ci mężczyźni byli gośćmi specjalnymi.

Tom i Joe weszli przez boczne drzwi, bez pukania i zaczęli układać klatki u stóp schodów. Używali mniejszych klatek do przenoszenia zwierząt w ten sposób nie zwracali na siebie zbyt dużej uwagi. Wąski przedsionek pachniał mocno psem, w powietrzu uhośliły się też delikatniejsze smugi innych zapachów: kurzu, suchego gnoju, tytoniu i zwiędzłego piwa. Przepychając i tratując się wzajemnie w pogoni za tym zapachem, szczyuy piszcząły i drapały o ściany klatek. Za schodami znajdowały się zamknięte drzwi, które prowadziły do sali głównej. Ściany były podrapane, a przy podłodze wytarte na białe. Z wewnątrz dochodził stłumiony szum głosów niczym stukot kół toczących się po kocich łbach. Tom zapukał trzema krótkimi uderzeniami, a Joe usadowił się na ostatnim stopniu schodów, nasuwając kapelusz na oczy i opierając się na łokciach. Na słupku poręczy widać było znaki zębów. Tom oparł się o ścianę, obserwując drzwi. Dokładnie w momencie, w którym się spodziewał, drzwi uchyliły się odrobinę i znowu zamknęły. Tom zauważył znajomo wyglądającą pomietą

czapkę. Joe ziewnął i wyciągnął nogi. Jego wąsy błyszcząły w półmroku jak miedź.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim właściciel wynurzył się z sali, żeby ich przywitać. Frank Brassey był mężczyzną o szerokich ramionach i płaskim nosie. Głowa zdawała się wyrastać mu prosto z ramion, jakby nie chciała sobie robić kłopotu obecnością szyi, nogi za to miał szczupłe, a poruszał się z intrygującym wdziękiem, podskakując na kłębach swoich szpiczastych stóp jak sam Monsieur Blondin' stąpający po linie. Brassey był bardzo dumny ze swoich stóp. Mimo że jego czarny płaszcz robił się zielonkawy, a na łokciach wycierały się błyszczące plamy, na stopach nosił jedynie delikatne pantofle, robione na zamówienie z najlepszej włoskiej skóry. Deska oparta o ścianę w holu służyła jako pomost do przerzucenia przez błoto, żeby się nie pobrudziły, gdyby musiał się przeprawiać. Spojrzał gniewnie na Joe'ego.

- Lepiej, żebyś miał je wszystkie - warknął, wskazując na klatkę w dole palcem stopy.

Jego szerokie usta były w zauważalny sposób pozbawione naturalnego przydziału zębów.

- Sto pięćdziesiąt, co do jednego - zapewnił go spokojnie Tom.

- Jest też sporo dużych drani - dodał Joe, nie zmieniając swej niedbałej pozycji na schodach. - Psy będą miały pełne zęby roboty.

- Macie szczęście - straszyl właściciel pubu. - Specjalni goście oczekują dzisiaj wieczorem czegoś wyjątkowego.

Joe uniósł kapelusz, wskazując na duże ogłoszenie powieszone na ścianie, a jego oczy rozbłysły figlarnie.

- Jest pan pewien, że nie będą rozczarowani, panie B.? - zapytał, przeciągając samogłoski. - Plotka mówi, że wasz tak zwany dżentelmen zdążył już pójść i zastawić swój drogocenny zegarek.

\*Monsieur Blondin (prawdziwe imię i nazwisko - JeanFrançois Gravelet) - francuski akrobata, który przeszedł na linie zawieszonych nad wieloma wodospadami w Ameryce, w tym 30 czerwca 1859 nad wodospadem Niagara.

Zegarek, który Joe uznał za zastawiony, był złotym repetierem, którego rysunek widniał na ogłoszeniu, dla tych spośród specjalnych gości, których wykształcenie nie obejmowało znajomości liter. Ci, którzy byli w stanie poskładać słowa na plakacie, zebrane w mieszaninę pochyłego pisma i pogrubionych dużych liter, zapoznawali się z nagrodą obiecaną pierwszemu psu poniżej ośmiu funtów wagi, który zabije ponad piętnaście szczurów w ciągu jednej minuty. Hojny ofiarodawca czasomierza nazywał się MIŁUJĄCYM SPORT DŻENTELMENEM, który jest Zagorzałym Zwolennikiem wytępienia tych SZKODNIKÓW

Psy mają STANAĆ NA WADZE o wpół do dziesiątej ZABIJANIE ROZPOCZNIE SIĘ o wpół do jedenastej PUNKTUALNIE.

Dla Toma nie było to niczym więcej niż płataniną linijek.

- Proszę się nie martwić - kontynuował Joe, zwracając się do Brasseya. - Słyszałem, że interes kwitnie. Zanieśmy tę niewielką dostawę prosto do nich, prawda, Tom?

Joe wstał leniwie, opierając się o poniszczony słupek poręczy, i położył dłoń na górnej klatce. Piszcząc, szczury przyciskały nosy do drutu, rozchylając wargi i ukazując żółte zęby. Tom odwrócił głowę.

Brassey spojrział gniewnie na Joe'ego, a jego malutka stópka wygięła się w pantoflu.

- Ten zegarek nie jest zastawiony - rzucił gniewnie. - A nawet gdyby był, nie miałyby to znaczenia. Nie więcej niż przedsmak, tak jest Tym tam może się wydawać, że to coś wyjątkowego, ale specjalni goście, którzy nawiedzają ten lokal, nie zajmują się tak marnymi rzeczami.

- Czyż tak? Więc przyjmujesz tu wyższą klasę?

- Najwyższą.

Brassey dumnie wypiął pierś.

- Prawdziwi dżentelmeni, tak?

Tom wyciągnął dłoń. Doświadczenie mówiło mu, że bez względu na to, na jakie manowce Joe zamierza sprowadzić właściciela pubu, jest mało prawdopodobne, żeby ta wyprawa miała schlebić próżności Brasseya. Tom nie chciał stracić klienta.

- Zapłaćcie nam i sobie pójdziemy - rzucił niechętny jak zawsze do mówienia więcej, niż to absolutnie konieczne.

Brassey obrzucił Joe'ego gniewnym spojrzeniem i sięgnął do kieszeni.

- Macie - powiedział, wyliczając w dość ostentacyjny sposób pieniądze i kładąc je na wyciągniętej dłoni Toma. - Pens za parę.

Tom zabrał pieniądze, chowając je w ukrytej kieszeni swojego płóciennego płaszcza, a potem wyciągnął dłoń jeszcze raz.

- Pens za zwierzę. Zgodnie z umową.

- Za te wyliniałe bydlaki? - Brassey odsunął dłoń Toma.

- Pół pensa to hojna zapłata.

Tom wzruszył ramionami. Skinął na Joeego, który zarzucił pierwszą z klatek na ramię.

- Nie dostaniecie więcej niż pół pensa, mówię wam - wybuchł.

Joe podniósł drugą klatkę. Brassey nie poruszył się, ale jego obuta w pantofel stopa wygięła się gniewnie. Skinąwszy głową w stronę dwóch pozostawionych klatek, Tom ruszył

w stronę drzwi. Pod klapkami kieszeni palce Brasseya pobrzękiwały pozostałymi monetami, jakby były rozgrzany do czerwoności węglami w piecu.

- No dobrze, dobrze - wyrzucił z siebie w końcu. - Pens za zwierzę, chociaż to jawne złodziejstwo. Będziecie musieli jednak po nie wrócić. Nie mam dość w tej chwili.

Tom przystanął w drzwiach, przyglądając mu się przez zmrużone powieki.

- Będę je miał dzisiaj wieczorem - obiecał mu Brassey.

- Wróćcie wtedy. Po dziewiątej. Jak macie chociaż odrobinę nosa do interesów, postawicie je na walkę.

Tom pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową.

- Dzisiaj wieczorem w takim razie.

- No, dajcie spokój. Połóż je - zażądał od Joeego Brasseya.

Joe uśmiechnął się, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby postawić klatki. Przesunęły się trochę na jego ramieniu, w miarę jak szczyty drapały i przepychały się, walcząc o równowagę.

- Dzisiaj wieczorem. Kto płaci, ten dostaje - pouczył cicho Tom i pchnięciem otworzył drzwi.

Brassey się zawahał. Na górze drewno skrobało po drewnie, gdy w byłym salonie chłopiec do posług przesuwał krzesła po podłodze. Mimo że miał w zwyczaju zapewniać krzesła i ławy dla większości swoich klientów, Brassey polecił dzisiejszego ranka chłopcu, żeby zbudował niskie drewniane ogrodzenie wokół niewielkiej wnęki w ścianie. W tych granicach Brassey zamierzał zaoferować kapitanowi i jego towarzyszom komfort prywatnej łoży. Kapitan był dżentelmenem wysokiej klasy. W czasie ostatniej wizyty obiecał sto gwinei za psa, który potrafi zabić dwadzieścia szczurów w minutę. Trudno powiedzieć, czy będzie pamiętał taką hojną deklarację w ostrzejszym świetle ranka. Brassey obliznął wargi. Pod wypukłością brzucha widział wypolerowane noski pantofli. Na zewnątrz błoto na uliczce było gorsze niż zazwyczaj. Unosząc się na czubkach palców, wysunął ramiona przez drzwi i zawołał mężczyzn, żeby zawrócili.

Bez ciężkich klatek Tom i Joe wędrowali szybko z powrotem przez Soho, podczas gdy ich świeżo nabyty słodki ciężar w kieszeniach uległ pewnemu uszczupleniu w skutek kilku wesoło spędzonych godzin w pubie za Strand Street. Była już prawie dziewiąta, gdy Tom wyszedł na pociemniały dziedziniec z brzuchem ciężkim od piwa i pieczonej wołowiny. Z okna sutereny dochodziło żalosne kwilenie skrzypiec. Tom miał własną prywatną kwaterę; luksus pokoju do wyłącznej dyspozycji, ale nie śpieszyło mu się, żeby tam wrócić. Nigdy nie znalazł sobie żony, nie był pewien dlaczego, tyle tylko że zawsze najbardziej lubił swoje

własne towarzystwo. Zdarzały się od czasu do czasu dziewczęta, które wyrzucało na brzeg w jego okolicy, ale nie było takiej, która potem znowu by nie odpłynęła, uniesiona przez silniejszy prąd. Po przyjeździe do Londynu być może nie zmarnowałby kilku okazji, gdyby się szybciej do nich zabrał, ale, tak czy inaczej, zauważał je, gdy było za późno. W towarzystwie zawsze czuł się nieswojo, był milczący i niespokojny, a sprośna gadanina, która ożywiała dziewczęce policzki i unosiła ich halki, złościła go i przyprawiała o rumieniec. Inni chłopcy uważali, że jest miękki. Większość z nich miała dziewczynę, zanim skończyli dwanaście czy trzynaście lat. W domu na Flower Court gdzie mieszkał, gdy zaczął pracować ze staruszkami, mniej więcej dziewięć par dzieliło jeden pokój każdej nocy, a on zawsze był jedynym, który spał sam. Nie powinien właściwie tam być, tyle że nie było żadnego innego miejsca. Nawet podczas tych nocy, gdy inni chłopcy, zmęczeni zobowiązaniami, wymieniali się pomiędzy sobą dziewczynami, czasami częściej niż jeden raz przed świtem, Tomowi nigdy nie przypadła żadna do pary. Leżał w ciemności, słuchał szelestu i chichotów i usiłował znaleźć miejsce na swoim mokrym materacu ze słomy, gdzie nic by go nie swędziało ani nie gryzło. Rano opuszczał głowę, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń dziewcząt

- Trzeba im przylać od czasu do czasu - radził mu jeden z kompanów. - To jedyny sposób. Kobiety nie będą się uganiać za gościem, dopóki nie da im popalić, ale potem, tak długo, jak bolą je siniaki, zawsze myślą o tym ladaco, co im je sprawił.

Tom słuchał tych rad, ale nigdy nie wcielił ich w życie. Nie żeby nie miał ochoty z nich skorzystać, gdyby sprawy ułożyły się inaczej, ale wyglądało na to, że nigdy nie zajdzie tak daleko z żadną dziewczyną. Gdy miał ochotę jej przylać, już jej nie było i słuch po niej ginął. Tak więc Tom oszczędzał swoje pięści na wyzwania w kanałach. W dzisiejszych czasach, przy tak ostrej konkurencji, trzeba było bronić swojego, bo w przeciwnym razie można było wszystko stracić w mgnieniu oka. Weźmy Rudego Joe ego na przykład. Gdy był młody, jako rasowy zbieracz dostarczał psie odchody do garbami. Był w tym dobiy, znał miejsca, które życzyły sobie towar wilgotny i ciemny, oraz takie, które wołały bardziej kredowy gatunek i były gotowe zapłacić za niego ekstra. Sam miał coś, co było prawie małą pracownią, gdzie mieszał zebrane trofea z błotem albo zaprawą murarską, w zależności od klienta, i walcował na małe grube cygara albo luźniejsze bryły, aby uzyskać dowolną mieszankę, jaką garbarz zechciałby uznać za idealną na ciemną błyszczącą marokańską skórę portfela dla dżentelmena lub na delikatną skórę cielęcą rękawiczki dla damy. Zdarzało mu się nawet brać towar z psiarni, zanim garbarze wycofali się, twierdząc, że jakość jest zbyt słaba. Przez jakiś czas miał swój własny mały interes.

Nie trwało to długo. Wraz z wynalazkiem kolei Londyn zaczął się wzdykać i

pęcznieć, i nagle było więcej ludzi szukających pracy, niż można by jej kiedykolwiek nastarczyć. Ani się człowiek obejrzał, a tylu ludzi szukało psich odchodów, że bili się o każdy kawałek - czasami dwóch albo i więcej czekało przy kucającym psie, żeby rzucić się na to, co po nim zostanie. Garbarze też nie byli głupi. Wiedzieli, że chętnych są setki, i oczywiście, że wszyscy biją się o pracę. Tam, gdzie kiedyś Joe mógł liczyć na dwa szylingi za pełne wiadro co najmniej raz dziennie, w latach, które przyszły po tym, jak Irlandczycy napłynęli do miasta całymi chmarami niczym szarańcza, miał szczęście, gdy udało mu się dostać dziesiątaka za wiadro przez pięć dni w tygodniu. Była już wtedy dziewiątka dzieci. Gdyby nie zmarł wtedy staruszek i gdyby Tom nie szukał partnera do szperania w kanałach, Joe znalazłby się w poważnych tarapatkach. Zdawał sobie z tego sprawę, oczywiście. Nie rozmawiali o tym, w ogóle nie mówili dużo, jakby się nad tym zastanowić, ale Tom zawsze wiedział, że Joe był mu wdzięczny. Gdyby kiedykolwiek potrzebował przysługi, wiedział, że Joe byłby pierwszy, żeby mu ją wyświadczyć. Tom nie próbował tego nadużywać. Mogło się to nawet wydawać dziwne, ale on też był na swój sposób wdzięczny Joe'emu. Jako że nie miał swojej zbieracz dostarczał psie odchody do garbami. Był w tym dobiy, znał miejsca, które życzyły sobie towar wilgotny i ciemny, oraz takie, które wołały bardziej kredowy gatunek i były gotowe zapłacić za niego ekstra. Sam miał coś, co było prawie małą pracownią, gdzie mieszał zebrane trofea z błotem albo zaprawą murarską, w zależności od klienta, i walcował na małe grube cygara albo luźniejsze bryły, aby uzyskać dowolną mieszankę, jaką garbarz zechciałby uznać za idealną na ciemną błyszczącą marokańską skórę portfela dla dżentelmena lub na delikatną skórę cielęcą rękawiczki dla damy. Zdarzało mu się nawet brać towar z psiarni, zanim garbarze wycofali się, twierdząc, że jakoś jest zbyt słaba. Przez jakiś czas miał swój własny mały interes.

Nie trwało to długo. Wraz z wynalazkiem kolei Londyn zaczął się wzdymać i pęcznieć, i nagle było więcej ludzi szukających pracy, niż można by jej kiedykolwiek nastarczyć. Ani się człowiek obejrzał, a tylu ludzi szukało psich odchodów, że bili się o każdy kawałek - czasami dwóch albo i więcej czekało przy kucającym psie, żeby rzucić się na to, co po nim zostanie. Garbarze też nie byli głupi. Wiedzieli, że chętnych są setki, i oczywiście, że wszyscy biją się o pracę. Tam, gdzie kiedyś Joe mógł liczyć na dwa szylingi za pełne wiadro co najmniej raz dziennie, w latach, które przyszły po tym, jak Irlandczycy napłynęli do miasta całymi chmarami niczym szarańcza, miał szczęście, gdy udało mu się dostać dziesiątaka za wiadro przez pięć dni w tygodniu. Była już wtedy dziewiątka dzieci. Gdyby nie zmarł wtedy staruszek i gdyby Tom nie szukał partnera do szperania w kanałach, Joe znalazłby się w poważnych tarapatkach. Zdawał sobie z tego sprawę, oczywiście. Nie rozmawiali o tym, w

ogóle nie mówili dużo, jakby się nad tym zastanowić, ale Tom zawsze wiedział, że Joe był mu wdzięczny. Gdyby kiedykolwiek potrzebował przysługi, wiedział, że Joe byłby pierwszy, żeby mu ją wyświadczyć. Tom nie próbował tego nadużywać. Mogło się to nawet wydawać dziwne, ale on też był na swój sposób wdzięczny Joe'emu. Jako że nie miał swojej własnej, rodzina Joeego stała się jego rodziną, na której towarzystwo zawsze mógł liczyć, wtedy gdy tego chciał. Mieszkał nawet z nimi przez jakiś czas, zanim dołączyła do nich rodzina krawca i potrzebowali miejsca na pracownię. To był jedyny raz, gdy czuł ból, siedząc w tym zatłoczonym pokoju na St. Giles przy kolacji, z talerzem pełnym jedzenia na kolanach, w samym centrum zgiełku rodzinnego życia i przyglądał się najmłodszemu Joe'ego, parce dziewczynek obdarzonych ognistymi włosami ojca, jak objęły go ramionami za szyję i obsypywały jego ogromną usianą piegami twarz pocałunkami.

Wszyscy byli już teraz dorośli, oczywiście, najmłodsze miało dziewięć lat albo więcej. Jedenaścioro, co do jednego, nie licząc tych, które odeszły, Boże, miej w opiece ich dusze. Dwóch chłopców zostało już deportowanych i o jednym nie było żadnych wieści od blisko dziesięciu lat, ale zabierali Alfreda albo Jema, piąte i ósme dziecko Joeego, na dół do tuneli, gdy potrzebowali dodatkowych rąk do roboty. Joe miał nadzieję na coś jakby interes do przekazania z ojca na syna, ale nie wydawało się to już teraz zbyt prawdopodobne. Czasy zmieniały się szybko i to nie na lepsze. W dokach, gdzie Alf czekał na pracę za cztery pensy na godzinę i gdzie pracodawcy nie zadawali żadnych pytań, tłoczyły się setki mężczyzn oferujących swe usługi do wynajęcia w każdej możliwej profesji. Czekali na przyplłynięcie statków jak dzieci czekające na obiad, z zaciśniętymi kciukami, z nadzieją, że nie pójda spać głodne.

Noc była pogodna i gwiazdy mknęły po czarnym niebie jak popiół. Tom czuł się niespokojny, niegotowy jeszcze na sen. Wolno, ledwie świadom tego, dokąd zmierza, zawrócił, kierując się do Soho. Głowa aż mu huczała od wspomnień i ze zdziwieniem zauważył po chwili, że zawędrował pod łuk będący wejściem na Hawker Lane. Za jego plecami, na Broad Street, błyszczał i lśnił, a otwarte drzwi zapraszały do środka. Monety brzęczały w ukrytej kieszeni Toma. U jego stóp obszarpany chłopiec z podbitym okiem robił gwiazdy, prosząc o pensa za fatygę. Na jednej stopie miał wiekowy półbut z pękniętą podeszwą przewiazaną brudną wstążką, a na drugiej stąi damski but z cholewą. Ignorując jego prośby, Tom skręcił w uliczkę i powędrował do pubu.

Minęło już dużo czasu, odkąd ostatni raz był na walkach, ale to miejsce nie zmieniło się wcale od czasów, gdy bywał tu regularnie. Przy długim barze na dole tłoczyli się mężczyźni wszelkiego autoramentu, paląc, pijąc i rozmawiając o psach. Psy drżały na stołach

i ławach, a specjaliści goście mogli się im przyjrzeć, macając i ściskając ich łapy, zaglądając im w oczy i do pysków. Kierowca omnibusa z okrągłym kapeluszem nasuniętym na jedno oko uderzył pięścią w chwiejący się stół i spojrzał gniewnie na straganiarza w pluszowej mycce i zielonym fularze w musztardowe kwiaty. Na każdym z guzików sztruksowej kamizelki straganiarza w kolorze piaskowym widniała uniesiona głowa lisa. Pod pachą ściskał on skye terriera, który ciskał się jak ryba. Para stangretów ubranych w wykwinną liberię opierała się o bar i wypytywała po cichu barmana o faworytów właściciela na dzisiejszy wieczór, utrzymując swoje pozycje pomimo ataków żołnierzy z oczami tak czerwonymi i zmęczonymi jak ich rozpięte bluzy. W każdym miejscu zatłoczonej sali sklepikarze i kupcy żelazni w popołudniowych surdutach narzuconych na robocze ubrania przepychali się z marynarzami w czerwonych czapkach, śmieciarzami o szarych twarzach i krawcami o zapadłych oczach. Tom znalazł się tuż obok starszego mężczyzny ubranego w połataną bluzkę, która mogła sugerować, że jest to wieśniak, tyle że jego nieuczesane włosy czarne były od sadzy. Sprzedał swój surdut dzisiaj rano, powiedział Tomowi, za dwa szylingi. Jutro, jeśli psy i bogowie będą mu sprzyjać, kupi sobie lepszy.

Pierwsza walka toczyła się o złoty zegarek. Jeśli Brassey musiał na tę okazję wydstać go, to nie przyznał się do tego. Mężczyźni szeptali do siebie, pokazując grubymi paluchami świeże blizny i robiąc od czasu do czasu porównania, nie zawsze korzystne, do uznanych czempionów, obecnie w stanie spoczynku lub już nieżyjących. Oburzeni właściciele unosili się gniewem, a płaszcze jeżyły się na nich jak futra poirytowanych kocurów, gdy odparowywali ataki, zdając gorące relacje z triumfów swoich psów. Wielki mecz dzisiejszego wieczoru, na który przyjmowano już ogromne zakłady, sprowadzi na arenę psa przeciwko czterdziestu szczurom. Głosy przycichły. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, czasami wcale duże kwoty. Pewien straganiarz, którego twarz przypominała ni mniej ni więcej tylko jeden z jego ziemniaków, postawił na Butchera dwadzieścia funtów na czterdzieści do trzech. Na krześle obok drzwi, z jednym miękkim pantoflem spoczywającym na kolanie, Brassey pogładził rękawy swojego czarnego błyszczącego płaszcza i wyjął z kieszeni kamizelki duży zegarek.

Psy traciły cierpliwość. Buldog z oczami koloru surowej wątróbki zawarczał na przechodzącego obok Toma, szarpiąc się tak gwałtownie na łańcuchu, że wydawało się pewne, iż uprząż zaraz przetrąci mu kark. Jego muskularne ciało pokryte było bliznami, a czoło sterczało niebezpiecznie, gdy obnażył zęby, żółte i śliskie jak szpilki łożu. Ślina zwisała mu z pyska. Rozstawione szeroko po obu stronach płaskiej głowy uszy były poszarpane od ugiznień, jedno nieomal rozdarte na pół. Szare plamy pokrywały zagłębienie pomiędzy



mocnymi łopatkami. Słynny rzeźnik W cieniu czempiona bulterier z czarną łatą nad jednym ze swoich sprytnych oczu i nogami tak krzywymi jak u stajennego, warczał i wypręzał się, wydrapując swój autograf na łuszczącym się blacie stołu. Chór szczekania i skowyczenia narastał coraz bardziej, tłumiąc zgiełk rozmowy i brzęk naczyń.

Tylko jeden pies stał spokojnie, ze wzrokiem utkwionym w wysypanej trocinami podłodze. Przywiązany za sznur do nogi od stołu zdawał się głuchy na jazgot, który go otaczał. Tom przyglądał mu się kątem oka. Pomimo białej gładkiej sierści zwierzę miało niewinny i słodki wygląd, a to ze względu na szczególnie różową skórę wokół oczu, nosa i w dole brzucha. Ogon wyglądał tak, jakby żulo go strachliwe dziecko. Po wyglądzie nie sposób było określić rasę. Przy masywnym ciele bulteriera nogi miał długie i delikatnej kości. I chociaż czoło przechodziło prosto w nos jak u buldoga, uszy w niczym nie przypominały uszów tej rasy. Zaiste ich para zdawała się do siebie tak zupełnie nie pasować, jakby zostały skrojone według dwóch różnych wzorów i z dwóch różnych kawałków materiału. Podczas gdy lewe ucho sterczało, nasłuchując, a różowe żyłki były na nim widoczne jak na liściu, drugie, czarne jak sadza i przedarte, zwisało na prawe oko zwierzęcia. Mogło to nadać psu zawadiacki wygląd, gdyby nie był tak niepewnym siebie zwierzęciem. Tymczasem robił wrażenie, jakby stwórca ulepił go z zamkniętymi oczami. Wiedziony impulsem Tom wsunął szpic buta pod jego pysk i uniósł go do góiy. Opierając szczękę na jego stopie, pies mrugnął różowymi oczami i spojrzał na mężczyznę. Tom odwzajemnił spojrzenie.

- Nie wiem, co też strzeliło do głowy staremu głupcowi, żeby przyprowadzać tutaj tę sukę - utyskiwał chropowaty głos znad cynowego kubka. - Żaden szanujący się szczur nie zjadłby jej na śniadanie, nie chcąc na dodatek czegoś więcej.

Pies mrugnął jeszcze raz, a jego głowa zdawała się ciążyć trochę bardziej na bucie Toma.

- Sam miałby tam trochę większe szanse! - dołączył ktoś inny, wybuchając śmiechem, gdy starszy pochylony mężczyzna, mamrocząc jak chochlik, przepchnął się obok Toma i wymierzył ostrego kopniaka w żebra psa.

- Wstawaj, ty nic nie warty kundlu - syknął, pociągając psa mocno za sznur. Pies wstał, chwytając równowagę. - Bezwartościowa wywłoka.

- Wykopany, tak? - upewniał się chropowaty głos. - A już myślałem, że stary zszedł na psy.

Twarz starszego mężczyzny wykrzywiła złość. Szarpiąc ponownie psa za sznur, splunął w trociny i wyszedł, pozostawiając głosy chichoczące nad piwem.

But wydawał się Tomowi zimny i lekki bez ciepłego ciężaru psiego pyska. Przesunął

się w stronę ognia, gdzie leżał rozłożony stary mastiff, w którego piersi kotłowało się szorstkie chrapanie. Ściany wypełnione były nagrodami. Pęki czarnych skórzanych obroży z mosiężnymi kółkami i sprzączkami oraz oprawione w ramki ryciny słynnych psów w ferworze walki biły się o miejsce z okrytymi kurzem gablotami zawierającymi wypchane, nadszarpnięte przez mole okazy. Tom spojrzał na gablotę znajdującą się nad kominkiem. Zawierała groźnie wyglądającego psa z brązowymi plamkami i pewnym siebie spojrzeniem. Na grubej szyi pies miał łuszczący się żółty łańcuch ze strasu\*, który przypominał damską bransoletkę, a w swoich bezwzględnych szczękach ścisnął dużego sztywnego szczura. Szklane oczy szczura zaokrągliły się ze zdumienia.

- Widziałeś kiedyś, jak walczyła? - zapytał mężczyzna stojący u boku Toma.

Miał na sobie kamizelkę w szarobrązowym kolorze, a krótko przycięte włosy w kolorze kreta miały wytarte łyse placki jak na starym welwecie.

- Raz czy dwa.

- Popsuli jej wygląd przy wypychaniu, prawda? - zauważył wesoło mężczyzna, pokazując szparę po brakującym zębie. - Za bardzo skrócili jej głowę. Ale co za pies! Zdarzyło się raz, minęło już wiele lat oczywiście, ale było to niedługo po tym, jak zacząłem się zadawać z...

Tom nigdy się nie dowiedział, z kim zaczął się zadawać mężczyzna. Nagle, jak gdyby otworzono śluzę, sala nagle opustoszała. Tom poszedł w ich ślady, wspinając się w zgiełku po poobijanych schodach. Na ich szczycie, wchodząc do górnej sali, każdy wrzucał szylinga do puszek, którą trzymał Brassey. Tom wsunął szylinga i skinął Brasseyowi głową, ale właściciel był zajęty i machnął jedynie ręką, pośpieszając go.

W górnej sali okiennice były zamknięte, a lampy płonęły w każdym kącie tak mocno, że od tej jasności aż bolały oczy. Na środku pokoju znajdował się dół; okrągła drewniana konstruk-

\*Stras - szkło imitujące drogie kamienie, zwłaszcza biylanty. cja szeroka na około osiem stóp i wysoka na łokieć. Była pomalowana na biało. W centrum widniało zakreślone kredą kółko o średnicy około stopy. Poza tym deski były gołe. Widownia opierała się o ścianki dołu albo wspinała się na jeden ze stołów z tyłu, żeby mieć lepszy widok Psy śliniły się i skomlały. Sala była pełna, mężczyźni niespokojni. Ponad zgiełkiem dało się słyszeć głosy ponagląjące, by rozpocząć walkę.

W otwartych drzwiach Brassey wahał się, kreśląc zniecierpliwioną stopą kółka. Wzrokiem przebiegał niepewnie po pustej alkwie w ścianie, gdzie ustawiono trzy różne, acz wygodne krzesła z poręczami. Brasseyowi wydawały się dostojne jak trony. Nie było jednak

widać dzisiaj wieczorem kapitana i jego przyjaciół. Chłopak Brasseya spoglądał wyczekująco na swojego pana. Brassey zmarszczył brwi. Ponownie wyciągnął zegarek. Ktoś z tyłu sali zaczął śpiewać. Rozległ się chór niecierpliwego klaskania. Po jeszcze jednym niechętnym spojrzeniu w dół schodów Brassey dał znak i zamknął drzwi do sali.

Po przyniesieniu pierwszej z klatek rozległ się ogłuszający ięk aprobaty ze strony towarzystwa. Chłopiec odegrał ogromne przedstawienie, stawiając klatkę w dołku, tańcząc wokół niej i podnosząc temperaturę tłumu do zenitu, aż w końcu otworzył klapkę w wieku niczym iluzjonista na Epsom Day. Przez chwilę nic się nie działo. Potem, niczym fala, wszystkie naraz, szczury wyroiły się z klatki, przemknęły po białej podłodze dołu, a następnie zbiły się w pulsujący kopiec przy jednej ze ścian ringu. Były naprawdę duże, bez dwóch zdań, myślał z dreszczem satysfakcji Tom. Z ich usypanych w stertę ciał unosił się gorący smród letnich wychodków. Pochwyciwszy ten zapach, psy oszalały, ujadając i wijąc się w ramionach właścicieli. Hałas był ogłuszający.

Prosząc głośno o ciszę, Brassey stanął na stole, aby obwieścić zasady domu. Każdy pies może mieć swojego sekundanta, ale sekundantom wolno stać jedynie na wyznaczonym polu w dole. Jeśli ktoś dotknie psa lub szczura albo zachowa się nieuczciwie w jakikolwiek inny sposób, to jego pies zostanie zdyskwalifikowany. Czas jest ściśle przestrzegany. W spornej kwestii decyzja, czy szczur żyje, czy nie, będzie należała do sędziego.

Zanim Brassey zdążył skończyć swoją krótką mowę, pokój znów tonął we wszechobecnym harmiderze. Brassey skinął na chłopca, zajmując swoje miejsce na górnym końcu dołu.

Natychmiast do dołu wskoczył mężczyzna trzymający dużego teriera. Zarówno pies, jak i jego sekundant mieli na sobie futrzane płaszcze o grubej fakturze, w niepewnym odcieniu szarości. Pies wrywał się tak gwałtownie, że sekundant z największym trudem utrzymywał go w uścisku. Szepnął coś do ucha psa. Potem, trzymając go za pierś, kucnął, ściskając psa pomiędzy kolanami. Pies wpatrywał się w szczury, a z pyska ciekła mu ślina. Sekundant wyszeptał ostatnie słowo i uwolnił psa. Przez chwilę pies rozglądał się dziko dookoła, a jego głowa wywijiała się jak u węża. Potem, wydając z siebie krótki szczek, jakby odchrząkiwał, wbiegł w kupę szczurów, zanurzając nos w kopcu. Gdy wycofał głowę, w szczękach ścisnął za szyję dużego brązowego szczura. Kwicząc jak prosiaki, pozostałe szczury biegały przerażone w kółko w dołku albo próbowały przecisnąć się przez wąskie szczeliny w podłodze. Terier nie zwracał na nie uwagi. Wstrząsnął swoją zdobyczą gwałtownie, potem jeszcze raz, rozpryskując wachlarze krwi po białych ściankach dołka. Uwięziony w swoim kredowym kółku sekundant wyrzucał w górę ramiona, krzycząc na psa,

żeby zabrał się z powrotem do roboty. Terier potrząsnął zwierzęciem po raz ostatni, a następnie upuścił go niechętnie na podłogę. Szczura przeszył dreszcz, a jego ogon się poruszył. Wkrótce znieruchomiał. Krew błyszczała jasno jak świeża farba na wyrwanym ze szczurzego karku kawałku mięsa.

W sekundzie terier przystąpił do rozprawiania się z kolejną ofiarą. Był szybszy tym razem, odrzucając ciało szczura na bok, a następnie skacząc po kolejnego, a potem jeszcze po następnego. Widownia szalała teraz z emocji, a sekundant o mało nie wyskoczył ze skóry. Pot sphywał mu z czoła, gdy wykrzykiwał swoje polecenia, a ostiy włos płaszcz sterczał na nim jak igły jeża. Konsekwentnie, szczur po szczurze, terier przeprowadzał swoją rzeź. Tylko jedna z bestii sprawiła mu niejaki kłopot. Walcząc rozpaczliwie w szczękach teriera, przekreśliła swoje ciało i zagryzła zęby na jego nosie. Pies zachwiał się zaskoczony, ale trwało to tylko chwilę. Szybkim ruchem szyi cisnął szczura najmocniej, jak potrafił, o ścianę dołu. Upadając na podłogę, szczur pozostawił ciemną szkarłatną plamę krwi na farbie, bezwstydną jak znamię.

- Czas!

Sekundant strzelił palcami. Natychmiast pies usiadł przy jego nodze, z wąsatym pyskiem zroszonym kroplami krwi. Sekundant podał go nad krawędzią dołu właścicielowi, który ciągnął psa za uszy i głaskał delikatnie po głowie, podczas gdy grupka mężczyzn zgromadziła się wokół, poklepując obydwo po plecach. Pies dyszał szczęśliwie i lizał policzek pana. Strzępy futra i surowego mięsa tkwiły mu pomiędzy zębami. W zakrwawionym dole ciemne ciała martwych szczurów zaśmiecały podłogę jak grudy łajna. Pośród nich bestie pozostawione przy życiu wachały od niechcenia ściany ringu albo siadały na tylnych nogach i zabierały się do czyszczenia łapami pysków.

Wrzawa powoli przycichała, a Tom spojrzał na swoje dłonie. Ścisnęły ścianę dołu tak mocno, że jej ostry brzeg odcisnął dwa długie rowki wzdłuż kłębów kciuka, skóra zaś mokra była od potu.

- No proszę, kogo tu mamy. Podobała ci się walka?

U boku Toma stał Brassey, dłońmi pieszcząc brzuch, zgrabnie ustawiwszy stopy w literę V. Za nim chłopiec wyrzucał trupy za ogon do kąta.

- Wasze szczury nie stawiały jednak zbyt dużego oporu, prawda? - szydził Brassey. - Równie dobrze mogliśmy się położyć i sami popodcinać ich gardła, tyle roboty przysporzyły temu nicponiowi. Jeśli tobie się wydaje, że będę płacić pensa za bestię...

Brassey przerwał, gdyż jego uwagę przykuło zamieszanie przy drzwiach. Natychmiast jego małe oczka zrobiły się okrągłe i jasne, a grymas na twarzy przerodził się w słodki

uśmiech Odsuwając Toma na bok, pośpieszył, żeby przywitać przybyszy.

- Kapitanie - zaczął, krygując się jak dziewczyna. - Cieszę się, że was widzę, przyjacielu. I was, panie - dodał, zwracając się do drugiego nieznanego dżentelmena. - Mamy kilku naprawdę dobrych zawodników dzisiaj wieczorem. Czy zamierzacie obstawiać?

Kapitan skinął niecierpliwie, wyciągając głowę ponad Brasseyem w stronę dołu. Był grubej kości mężczyzną w średnim wieku z ciemnymi wąsami napierającymi na wąską kreskę ust. Miał pogardliwy wygląd człowieka, który przywykł do wydawania bezsensownych poleceń, ale poza tym nic w nim nie wskazywało na związki z wojskowością. Zamiast munduru kapitan miał na sobie czarny płaszcz narzucony na wysoki i sztywno wykrochmalony kołnierzyk, który - sądząc po wysuniętym gniewnie do przodu podbródka i szkarłatnej wysypce na skórze - sprawiał mu duży dyskomfort. Kołnierzyk jego przyjaciela był jeszcze wyższy i sztywniejszy, ale miał on tak cienką szyję i tak wąską twarz, że wydawało się, iż mógłby go nałożyć, nawet nie rozplątując supła krawatu.

Brassey poprowadził ich do łoży z głową sklonioną tak nisko, że Tom nie byłby zdziwiony, gdyby na czole odbiły mu się guziki. Kapitan nie skomentował w żaden sposób łoży przygotowanej dla jego wygody. W zamian rozłożył się niedbale na jednym z krzeseł, opierając stopy na ścianie dołu, i zażądał oschle, aby przyprowadzono psy na inspekcję. Przyglądał im się uważnie, z na wpół przymkniętymi oczami, by uniknąć gryzącego dymu z cygara. Jeden mężczyzna chciał sprzedać mu buldoga i temu psu przypatrywał się wyjątkowo uważnie, zbliżając palący się koniec cygara do zwierzęcia; pies powąchał cygaro i cofnął się, pisnąwszy z bólu. Kapitan się uśmiechnął.

- Wrzucie go - polecił.

- Zapłaci prawdziwą fortunę za czempiona - szepnął głos tuż obok Toma. Należał do szarobrazowego mężczyzny z sali na dole. - Ten gość szaleje na punkcie tego sportu. Nigdy nie widziałem, żeby za jednym razem nie postawił więcej, niż my, zwykli śmiertelnicy, widzimy przez rok.

Kapitan najwyraźniej nie uważał buldoga za potencjalnego zwycięzcę. Pies dostał zaledwie parę minut, zanim kapitan machnął ręką, żeby zdjąć go z ringu. Brassey pośpieszył, żeby przyprowadzić kolejnego współzawodnika. Ten pies miał silne poparcie wśród specjalnych gości, groźny mały terier, niewiele większy niż szczury, za które się zabierał. W sali zaczęło huczeć, gdy tylko dało się słyszeć jego skomlenie na schodach. Tom wahał się, czy nie postawić na tego psa ze dwa szylingi, ale nagle poczuł się zmęczony. Bolała go głowa. Gdy pies znalazł się w ringu, zgiełk stał się dla Toma nie do wytrzymania. W swojej

łozy kapitan pochylił się do przodu i oparł łokcie na ścianie dołu, ssąc łąpczywie cygaro. Tom wymknął się z sali.

Na zewnątrz, w pociemniałej uliczce wiał przenikliwy wiatr. Było zimno. Tom zadrzał i wsunął ręce do kieszeni. Doszedł prawie do Compton Street, gdy zdało mu się, że ktoś go śledzi. Odwrócił się. Pies z różowymi oczami przysiadł w odpowiedzi, a jego przeżuty ogon kreślił ślady w kurzu. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, ale wpatrywał się z nadzieją w Toma w ciemności. Postrzępiony sznur zwisał mu z szyi. Tom spojrzał na psa. Z Compton Street dochodziły ostre i przerywane, przypominające wycie sowy krzyki kobiety ciskającej przekleństwa. Powoli wyjął dłoń z kieszeni i opuścił ją swobodnie przy nodze, prostując palce. Pies przyglądał mu się, a jego różowe spojrzenie wędrowało w dół ręki, aż do dłoni i z powrotem w górę. Podniesione ucho zadrzało na wietrze. A potem, nieomal bezszelestnie, pies wstał i zrobił trzy ostrożne kroki w stronę Toma, wtulając po chwili swój pysk w jego dłoń. Pasowała doskonale. Stali w ten sposób przez chwilę, a wąsy psa sterczały pomiędzy palcami Toma. Wreszcie Tom wstał, podniósł sznur i razem pośpieszyli do domu.

Oczekiwano, że wojna przeciwko Rosji nie potrwa dłużej niż miesiąc albo dwa. W miarę jak oddziały z całego kraju zbierały się w Southampton we wspaniałych mundurach z błyszczącymi ornamentami, które zdawały się wcieleniem majestatu wojny, gazety rozbrzmiewały sensacyjnymi relacjami z heroicznych bitew w sercu wojny na Dunaju, a wszyscy z euforią wspominali triumfy wojen napoleońskich. Tłumy paradowały po ulicach rozszalałe ze szczęścia, upojone dumą narodową.

W domu doktora w Clapham Polly zajmowała się spokojnie swoimi obowiązkami, a na jej piegowatych policzkach łatwo jak zawsze pojawiały się dołeczki mieszczące szeroki uśmiech. Miała niewielkie pojęcie o tym, gdzie został wysłany William, i z pewnością nie wiedziała nic o wojnie, na której walczył, ale rozumiała, że wyjazd na nią był jego obowiązkiem i gdy już się skończy, wróci do niej. Polly zawsze umiała cieszyć się tym, co miała. Nie lubiła rozpamiętywać przykrych rzeczy; to nie leżało w jej naturze. Życie dziewczyny nie było pozbawione trudnych chwil - ojciec, rolnik, zmarł, gdy była dzieckiem, pozostawiając rodzinę bez pieniędzy, co spowodowało, że musiała zrezygnować z edukacji i podjąć służbę przed ukończeniem jedenastego roku życia - ale nie wyrobiło to w niej nawyku zamartwiania się czy introspekcji i wcale nie miała zamiaru go nabywać. Nie ma sensu pragnąć, żeby noc była dniem. William wróci do domu we właściwym czasie. A tymczasem miała dobrą posadę w miłym domu, lubiła swoich wychowanków i śpiewała, porządkując pokój dziecięcy, śmiejąc się z nieudawaną radością na widok absolutnej furii na malowanej twarzy żołnierzyka i koślawej podniosłości guzikowych oczu pluszowego królika.

Niewyobrazalna surowość powagi nieodmienne ją poruszała i bawiła.

Zawsze też śmiała się z poważnego charakteru Williama, wygładzając dłonią bruzdy na jego czole i stając na czubkach palców, żeby pocałować go w usta, gdy je zagryzał, aż w końcu on też się śmiał i brał ją w ramiona. Razem z nią, powiedział, przesuwając palec po krągłości jej policzka, nigdy nie będzie smutny zbyt długo. Gdyby nie uciszyła go pocałunkiem, powiedziałaby jej więcej. Powiedziałaby, że przy niej opuszcza, jak poczwarka, niezdarne ciało syna sklepikarza, który wszystko bierze zbyt poważnie. Że przy niej zapomina, że życie jest nieprzewidywalne i okrutne, że ojcowie umierają, a fortuny się odwracają, tak że wszystko, co kiedyś wydawało się pewne, nagle znajduje się poza zasięgiem. Zapomina, że obiecał sobie, że zawsze będzie ostrożny, że zawsze będzie stał z boku, sam, tam gdzie grunt jest twardy, znajomy i wygodny jak stare, idealnie dopasowane do kształtu stóp buty. Przy Polly zapominał, że w ogóle ma stopy. Wirował i fikał koziołki przez całe dni spędzone z nią, tak oszołomiony niewiarygodną radością, że pozycja do góry nogami wydawała się niczym nie różnić od tradycyjnej. Czuł się tak, jakby otworzył okno w środku zimy i zobaczył lato panoszące się na trawniku. Jej ciepło przenikało do jego wnętrza jak promienie słońca. Jeśli chodzi o Polly, to dzięki rozmyślnej powadze Williama czuła się bezpieczna. Chociaż nigdy nie umiałyby przełożyć swoich uczuć na myśli albo słowa, rozumiała w jakiś sposób, że jego ciężar przytrzymuje ją jak sznury, do których przymocowano balon nad ogrodami w Cremome. Nigdy nie pozwoliliby się jej oddalić.

Codziennie rano przez miesiąc po wyjeździe Williama Polly śpiewała, porządkując słoneczny pokój dziecięcy i przygotowując podopiecznych na nowy dzień. I codziennie rano zimne krople potu pojawiały się na jej czole i pod pachami, a mdłości wzbierały gwałtownie w jej brzuchu, aż wymiotowała do miski specjalnie postawionej w tym celu na toaletce. Gdy George napomknął z pewną odrazą o tym rytuale ojcu, doktor wezwał Polly do swojego gabinetu. Podobne zachowanie jest niewybaczalne, oświadczył surowo, ale mimo iż ma szczerą nadzieję, że wstydzi się ona przed nim i przed Bogiem, można w tej sprawie coś zrobić. Doktor już od dawna specjalizuje się w kwestiach medycyny dotyczącej płci żeńskiej i zdobył nawet pewną reputację w kręgu wtajemniczonych jako osoba pomagająca damom, które znalazły się w trudnej sytuacji. Był gotów zaoferować Polly pomoc.

Polly jednak uprzejmie odmówiła. Była pewna, że sprawy ułożą się dobrze. Minie jeszcze parę miesięcy, zanim ciąża będzie widoczna. Gdy wojna się skończy, a wszyscy mówią, że niedługo musi się skończyć, William wróci do domu. Pobiorą się i dziecko przyjdzie na świat. Będą szczęśliwi. Nie pozwalała, aby jej myśli wybiegały dalej. Wieczorem siadywała przy ogniu w pokoju dziecięcym, z cerowaniem nietkniętym na

kolanach i uśmiechała się do pluszowego królika o zatroskanym pyszczku. Wiedziała, że podejmuje straszne ryzyko, że urodzenie dziecka może mieć zgubne skutki, ale wiedziała to jedynie teoretycznie, tak jak wiedziała, widząc globus w pokoju dzieci, że ziemia nie jest płaska, a okrągła, zupełnie tego nie pojmując.

To było piękne lato. Podczas długich bladobłękitnych wieczorów, przed położeniem dzieci spać, Polly siadywała z nimi, każde w jednym zagłębieniu jej ramion, i opowiadała im o wspólnym życiu jej i Williama po jego powrocie. Jej karmelowe oczy łagodniały, gdy z przekonaniem opisywała dom, w którym będą mieszkać razem, gdy już zostanie zwolniony z armii, porcelanę w kwiaty, na której będą jeść posiłki, imiona, jakie nadadzą swoim dzieciom. Dzieci doktora słuchały zafascynowane. Poprzednia piastunka wolała pouczające opowiadki w rodzaju tej o dziewczynce, która nie mogła sięgnąć półki, więc stanęła na dużej rodzinnej Biblii, z której spadła i zmarła w wyniku doznanych obrażeń. Z opowieści Polly nie wynikał żaden morał. Dzieci prosiły raz po raz, żeby opowiedziała im o tym, jak poznała Williama w Kew Gardens, mimo że same były przy tym obecne. Nigdy nie miały dość historii o nieśmiałym młodym mężczyźnie z książkami o botanice, który zatrzymał się, żeby pomóc Georgeowi wyswobodzić obręcz z krzaka i zarumienił się wstydliwie, gdy Polly podziękowała mu za tę uprzejmość. Śmiali się radośnie, gdy Polly wspominała, jak porażony miłością do ślicznej piastunki śledził ich w tajemnicy do Dużej Oranżerii i w końcu zdobył się na odwagę, żeby do nich podejść i wyjąkać swe imię. W istocie tak lubili ten fragment opowieści, że postanowili zapomnieć o tym, że to Alice jako pierwsza wypatrzyła go szkicującego coś w sali z roślinami tropikalnymi i przyprowadziła nieprzekonanego Williama, by dołączył do niej oraz George'a i pokazał im precyzyjne i piękne ilustracje w swoim notatniku.

- I wtedy George powiedział: „Przy okazji...”.

- Polly! - zaproponowała Alice. - Obiecywałaś, że nie będziesz niczego pomijać.

Polly się uśmiechnęła.

- Zgadza się, jaśnie pani, nie denerwuj się. Więc mówię do niego: „Dzieci zawsze mi mówią, że jestem zupełną ignorantką, jeśli chodzi o kwiaty”, a on na to: „Ja znam się na nich tylko dlatego, że miałem dobrego nauczyciela”. A ja z kolei: „Być może mógłby mnie pan nauczyć”, a on pośpiesznie: „Ależ, tak!”, a potem: „Gdyby pani zechciała”, jak prawdziwy dżentelmen, tylko trochę za późno, a potem znowu zrobił się purpurowy aż po samą nasadę swoich złotych włosów.

Alice klasnęła w dłonie.

- Zgadza się. I wtedy George powiedział: „Przy okazji, ona ma na imię Polly”, a on na



to...

Spojrzała na George'a, a śmiech już w niej zbierał i razem zawołali chórem:

- Polygalaceae.

Gdy dzieci wybuchły śmiechem, William całkowicie się zmieszał. Nie zamierzał powiedzieć tego na głos. Imię Polly po prostu przywiodło mu na myśl, najpierw Polygonaceae, rodzinę rdestowatych, a potem Polygalaceae, krzyżownicę. To niskie isilne zioło porastało wrzosowiska i nieużytki, ale jego kwiat był zadziwiająco wykwintny, z delikatną wystającą z dzwinkowatego kielicha białą koroną jak wykończone koroną halki. Polly miała szerokie silne ramiona i szeroko rozstawione karmelowobrązowe oczy usiane złotymi plamkami niczym pyłkiem, ale jej talia i nadgarstki były delikatne i zgrabne. Pachniała zmiętą pościelą i trawą, i solą, oraz, bardzo delikatnie, mydłem karbolowym.

To Polly zaproponowała, żeby William przyszedł po nią do domu doktora w jej wolne popołudnie. Potem spędzali razem każde niedzielne popołudnie, chociaż Polly opierała się z niefrasobliwą determinacją pierwszym próbom Williama, aby nauczyć ją trochę botaniki. Odmawiała spojrzenia na kwiat jako całość złożoną z kielicha, korony, pręcika i całej reszty, sklasyfikowaną i odnotowaną razem ze szczegółami dotyczącymi siedliska i występowania, prawdopodobnych pór i częstotliwości kwitnienia. Twierdziła, że takie suche badanie psuje prostą przyjemność. Dla Polly kwiat był przejawem mijającego piękna, nad którym należało się pochylić, zerwać i umieścić za uchem, tu i teraz w gorące letnie popołudnie, aż płatki zwiędną przy kremowym policzku, a ich zapach pomiesza się z wonią włosów i słonym sypialnianym zapachem skóry. Wówczas serce Williama rosło i naciskało tak mocno na żebra, że był pewien, iż połamie je jak zapalki. Przy takich argumentach książki wypadały bardzo blado. Pozostawały nieotwarte. W zamian spacerował z Polly wzdłuż brzegów rzeki ze splecionymi dłońmi i w czasie gdy ona odwracała twarz do słońca, jak słonecznik, on modlił się, żeby niedzielne słońce nigdy nie zachodziło.

W jedno z tych zaczarowanych niedzielnych popołudni William poprosił Polly, żeby została jego żoną. Za dwa lata, obliczał, będą mogli się pobrać. Praca w urzędzie kartograficznym, mimo że nużąca i monotonna, pomogła mu w zdobyciu umiejętności coraz bardziej poszukiwanych pośród specjalności inżynierii lądowej. Spacerując, planowali wspólną przyszłość, urządzenie pokoi, dokładanie do kominka, nadawanie dzieciom imion. Ku radości Williama Polly chętnie widziała by kwiatowe imiona dla dziewczynek: Fiołek, Stokrotka, Róża. Przymiotno białe, żartował William. Komosa. Szarota. Albo krzyżownica, po mamie. Połygala amarella, krzyżownica błotna, krzyżownicza błotna. Polly śmiała się i szczypała go w nos. Moja mała krzyżownicza, mówił do niej wtedy. Pragnął jej

narastającym wewnątrz pragnieniem, aż w końcu nie był już w stanie oddychać i ku swojemu zdziwieniu i rozkoszy odpowiedziała na jego nieśmiało wyznanie z żarliwością, która rozpałała go jeszcze bardziej. Chowali się w ciemnych zakątkach na błoniach, z dala od ludzi, gdzie jej palce szamotały się z jego guzikami, a jego pozbawione tchu usta dotykały jej szyi. Nie mógł przemycić jej do swojej kwatery - gospodyni o twarzy trzewika trzymała straż na klatce schodowej z niewzruszonym rygiorem królewskich strażników - ale od czasu do czasu w niedzielę, gdy rodzina doktora wychodziła z domu z wizytą, skradali się przez zaciemniony dom i wślizgiwali się do jej wąskiego łóżka. Jej piersi błyszcząły w zmierzchającym świetle. Moja kochana, szeptał, gdy wyginała w łuk plecy, opierając się o niego. Jej włosy uwolnione ze spinek spływały falami i zagryzała usta, żeby nie krzyknąć. Mój jedyny, najdroższy kwiat krzyżownicy.

Minęło lato. Wieści docierały z frontu najpierw powoli, a potem gwałtownymi falami. Po raz pierwszy kilka gazet, wśród nich szacowny „Times”, miały swoich własnych korespondentów składających raporty bezpośrednio z linii frontu. Byli świadkami żalosnej i byle jak zorganizowanej kampanii, na czele której stali niekompetentni starcy, dodatkowo osłabionej przez chroniczny brak zapasów i dziesiątkowanej przez choroby. Zanim armie dotarły do Bałakławy, dziesięć tysięcy istnień ludzkich pochłonęła cholera. Krwawe bitwy nad Almą, a potem pod Inkermanem pochłonęły kolejne tysiące, a nie przybliżyły sojusznicznych armii ani o krok do Sewastopola. Konflikt, który rozpoczęto z taką radością, ciągnął się nieskończenie, wkraczając w zimę, zasypaną śniegiem i skapaną w cierpieniu.

W Londynie, tak jak na Krymie, rok przerodził się w ostrą zimę, najsurowszą w dziejach historii. Lód na jeziorze Serpentine osiągnął grubość sześciu cali i rybacy zmuszeni byli błagać lokalne praczki o dynamit, żeby go rozbić. Nadeszła chwila w odosobnieniu Polly, gdy jej stanu nie można już było dłużej ukrywać, i doktor wezwał ją ponownie do swojego gabinetu. Od dawna szczyił się swoimi radykalnymi zasadami i postanowił, że uzna tę sytuację za przypadek głupoty raczej niż deprawacji. Polly nie była zbyt rozumna, ale miała miłą naturę i dzieci ją lubiły. Jeśli, jak podejrzewał, jej ukochany już nie żył, to będzie mogła uchodzić za wdowę. Mimo że będzie musiał użyć znacznej perswazji w stosunku do żony, był spokojny, że pozwoli ona pozostać Polly z nimi po urodzeniu dziecka, jeśli tylko temat ten nigdy nie zostanie poruszony przy dzieciach. Była w Battersea kobieta, która prowadziła coś na kształt domu dla sierot, gdzie można byłoby umieścić dziecko za drobną opłatą. Niewiele kobiet w jej sytuacji śmiałoby marzyć o takiej dobroci, ale Polly przyjęła warunki doktora bez zdziwienia. Czyż szczęście nie sprzyjało tym, którzy w nie wierzyli? Pod koniec siódmego miesiąca pojechała dyliżansem do skromnego domku swojego brata w Kent, gdzie oczekiwała

rozwiązania. Gęsty śnieg uderzał w szyby okna, tak że nawet w południe pokój spowijał mroźny cień. Gdy dziecko przyszło na świat, bratowa, która była bezpłodna, zaoferowała z łaskawą dobroduszością, że może przyjąć dziecko jako swoje. Polly tylko się śmiała.

Gdy Polly była zdolna do podróży, wróciła do domu doktora i powróciła do swoich obowiązków. Nie chciała słuchać żadnych wiadomości z frontu. W Londynie śnieg w końcu zaczął topnieć, pozostawiając na niewybrukowanych uliczkach Battersea zdradliwą breję. W każde niedzielne popołudnie

\* \*

Polly wyruszała w drogę przez błoto do rozsypującej się chatki starszej kobiety za torami. Rzadko zabierała dziecko na spacer. Za to kołysała małego Williama w ramionach, wdychając jego słodki mleczny zapach, a jej oczy nie mogły się nasycić jego widokiem. Wpatrywał się w nią jej własnymi karmelowymi oczami, których środek skropiony był złotymi cętkami. Słodki William. Był zdrowym i silnym dzieckiem, niewiele miał w sobie z kwiatu, ale gdy krzyczał, jego twarz robiła się purpurowa jak naparstnica. Polly uspakajała go, przytulając miękki policzek synka do swojego i szepecząc mu o wielkim szczęściu, jakie stanie się ich udziałem, gdy jego ojciec wróci z wojny do domu. Wtedy będą znowu razem. Otoczy ich, swoje najdroższe kwiaty, ramionami i mocno przytuli. Z nim będą bezpieczni.

Polly z trudem rozpoznała wychudłego i przestraszonego mężczyznę, który wrócił do niej, gdy rok 1855 zbliżał się ku końcowi. Ich syn miał prawie rok. William przyjął dziecko bez żadnych pytań, tak jak Polly się spodziewała. Czasami obserwował je całymi godzinami, gdy spało, a jego wychudzone palce składały brzeg dziecięcego włóczkowego kocyka. Ale gdy Polly stawiała na palcach, żeby pocałować go w usta, wpatrywał się w nią, mrugając przerażonymi oczami. Prawie w ogóle się nie odzywał. Już nie nazywał jej swoim kwiatuszkiem, swoim najdroższym kwiatem krzyżownicy. Już w ogóle nie mówił o kwiatkach, chociaż nosił ze sobą swoje sfatygowane dzienniki botaniczne, tak jak zawsze, wciśnięte do kieszeni płaszczka. Na skórzanej oprawie jednego z nich widać było nieregularną ciemną plamę. Czasami, gdy Polly sadzała mu syna na kolanach, a on spoglądał w dół na jego pulchną twarzyczkę, nagle ramiona mu sztywniały i szybko oddawał dziecko żonie, odwracając twarz. W jego oczach widać było przerażenie. Kości policzkowe sterczały mu na pod skórą jak łokcie.

W ostatnim dniu stycznia 1856 roku wzięli ślub. Polly wszystko zaplanowała i nic nie było w stanie jej zniechęcić. Potrzebował czasu, żeby przyzwycząić się do roli ojca, wyjaśniła im obydwu. Potrzebował odpoczynku i pożywnego jedzenia, żeby nabrać trochę ciała. Przede wszystkim musiał znaleźć pracę, żeby mogli zamieszkać razem jako rodzina. Stypendium z

armii ledwie starczało na utrzymanie samego Williama, co dopiero mówić o tym, aby Polly mogła opuścić dom doktora. Nakłaniała męża, aby szukał pracy związanej z kreśleniem map, terminowaniem u inżynierów, żeby mógł wykorzystać pracę w Scutari. W tajemnicy, z językiem wysuniętym ze skupienia pomiędzy zębami, gdy mozolnie składała słowa, napisała do Williamowego pana Rawlinsona, prosząc o pomoc. Odparł bardzo uprzejmie, że darzy głębokim szacunkiem jej męża, ale - sam będąc w okresie rekonwalescencji - nie może jej zaoferować żadnych wskazówek w obecnej chwili. Nie pokazała Williamowi listu, wmawiając sobie, że jedynie by go zniechęcił i rozczarował. Już teraz nie miał zbyt dużej odwagi, żeby szukać posady. Był wyczerpany, oczywiście. Poruszał się wolno i mało spał. Wychudł jeszcze bardziej i czasami, gdy do niego mówiła, miał problemy, żeby ją usłyszeć. Wkrótce po jego powrocie z Turcji nalegała, że przemyje mu rany na prawym i lewym przedramieniu. Przyjrzała im się pobieżnie, a potem szybko zabandażowała świeżym płótnem, stwierdzając jedynie, że to zły stan Williama sprawia, iż goją się one dłużej niż powinny. Potem pozwalała, żeby sam je przemywał. W pokoju dziecięcym u Graingerów jej głos był ostrzejszy niż zwykle i miała też mniej cierpliwości. Zdarzyło się, że uderzyła George'a tak mocno, że na jego policzku pozostał czerwony odcisk jej dłoni. Gdy prosiła go, żeby jej wybaczył, obydwójce płakali.

List przyszedł z końcem czerwca. Metropolitan Board of Works pragnęła zaoferować Williamowi posadę w zespole mierniczych projektu odpływowego\*. List informował, że pan Rawlinson, uprzednio pracujący w Komisji Sanitarnej, rekomendował Williama na to stanowisko osobiście i z dużym uznaniem. Na początek otrzyma pensję w wysokości stu dwudziestu funtów rocznie. Dowiedziawszy się o tym, Polly śmiała

\*Ang. Metropolitan Main Drainage Scheme. się i płakała jednocześnie, przytulając dłoń męża do policzka. Cofnął rękę i przyglądał się zdezorientowany łzom błyszczącym na kostkach. Nie zwróciła na to uwagi. Objęła za to ramionami jego drętwe ciało i całowała je. Sto dwadzieścia funtów rocznie! Niemożliwe, żeby coś było nie tak z mężczyzną, którego szacowna i ważna instytucja wycenia na sto dwadzieścia funtów rocznie. Będzie ich stać na wynajęcie małego domu, być może nawet na zatrudnienie dziewczyny, która będzie przychodzić do cięższych prac. Będą zacząć rodziną, będą szczęśliwi. Tak jak zresztą zawsze wiedziała. Obce czarne cienie, które skradały się w niewidocznych zakamarkach duszy Polly przez ostatnie miesiące, zniknęły nagle w blasku przywróconej radości. Nigdy nie uznała ich istnienia, teraz zapomniała onich zupełnie. Wszystkie nadzieje powróciły bezpiecznie na swoje miejsce. To nic innego jak tylko troska o ich przyszłość sprawiła, że William był taki zamknięty w sobie od czasu swojego powrotu. Ponieważ był człowiekiem honoru,

świadomym obowiązków, więc odpowiedzialność za żonę i syna w sposób naturalny wprawiła go w stan przygnębienia. Umocniony jednak przez szacunek i regularne oraz sówite wynagrodzenie, zaznawszy zarazem ukojenia dzięki czulej trosce żony i syna, wkrótce odzyska zdrowie. I tak Polly z lekkim sercem opuściła dom doktora i osiadła ze swoją rodziną w małym domku w zabudowie szeregowej w Lambeth, z czynszem osiemnastu funtów rocznie.

## VI

Psy były przekleństwem w kanałach, wszyscy to wiedzieli. Były dwie lekcje, których każdy uczył się od razu, gdy zostawał szperaczem: idź wolno i miarowo, i żadnych psów. To prawda, psy mogły się przydać jako broń przeciwko szczurom, jeśli bestie się uwzięły, żeby człowieka zaatakować, ale na niewiele się zdały, jeśli nie można się było zbliżyć na mniej niż sto stóp do zwierza. Wystarczyło, że szczury wyczuły zapach psa i natychmiast się rozplywały. Dodatkowo odgłos szczekania - a psy zawsze szczekały, bo jeśli nie załatwiły tego ciemności, to nie było sposobu, żeby je powstrzymać, gdy już zwietrzyły zapach szczura - niósł się na sąsiednie ulice i ściągał hyclów, zanim człowiek zdążył się przeżegnać. Równie dobrze jak brać psa do kanałów, można stanąć pod kratą i świecić latarnią niczym latarnia morska. To najnormalniej w świecie proszenie się o kłopoty.

Rudy Joe zdawał sobie sprawę, że Tom wie to równie dobrze jak on, zważywszy, że Tom był tym, który go tego nauczył. Mimo to powtórzył wszystko, spoglądając gniewnie na psa, który przyczaił się u stóp Toma. Bestia wyglądała parchato i bez wątpienia była zupełnie wynędzniała. Uszy sterczały jej w przeciwnych kierunkach, a ciało pokrywała sierść tak rzadka, że widać było przez nią skórę. Nie umiała nawet spojrzeć człowiekowi prosto w oczy. Jak mu życie miłe, Joe nie mógł pojąć, dlaczego Tom tak polubił tego psa. Parę tygodni temu Joe ujrzał ich razem po raz pierwszy. Roześmiał się głośno na ten widok - kroczyli ramię w ramię z nosami zadartymi do góry i ustami otwartymi, jakby smakowali powietrze. Ni mniej, ni więcej, para wyszczerbionych dzbanków na herbatę gotowych do rozlania. Teraz nie było mu do śmiechu.

Tom przykucnął w błocie, przyciskając palcem ściany klatki w rogach, żeby sprawdzić, czy są dość mocne.

- Nie bierzemy jejpowtórzył Joe, obrzucając psa gniewnym spojrzeniem, gdy ten skulony tulił się do nogi Toma.

Jedno z uszu i wargę miał przedarte, a smród porażki ciągnął się za nim jak dym. Szczury rozerwą go na strzępy, jak tylko zobaczą.

Tom sięgnął do kieszeni po kulkę drutu.

- Nie będzie szczekać - odparł spokojnie i pewnie, okręcając ciasno drut na zawiasach klatki.

- To, co tobie się wydaje, że ona zrobi albo i nie, nie ma nic do rzeczy. Nie idzie z nami. Na tym koniec.

- Nie będzie szczekać - powtórzył Tom i pogłaskał psa po głowie.

Joe miał ochotę go kopnąć.

- One wszystkie szczekają - odparł z uporem. - Sam mnie nauczyłeś, nie pamiętasz?

- Ale nie ona. Przysięgam. Ani nie zaskamlała, nawet w samym sercu szczurzego królestwa, w tej jaskini pod Queen Lane. Milczała jak grób.

- Chcesz powiedzieć...

- Już byłem z nią na dole, Joe. Pięć razy od niedzieli.

- Że co?

- To tropiciel szcurów. Musiałem zobaczyć, co jest warta.

Joe gapił się na niego z otwartymi ustami jak u flądry.

- I nie jest wcale zła - dodał Tom.

Wargi wykrzywiły mu się, gdy objął ramieniem szyję psa i pocierał jej kudłaty podbródek. Suka wsunęła Tomowi głowę pod pachę i spojrzała przeciągle na Joe'ego swoimi różowymi oczami.

- Nie jest wcale taka zła.

Tom znajdował pewną satysfakcję w tym, jak bardzo zaskoczony był Joe, ale gdy powiedział, że pies nie jest wcale najgorszy, musiał przyznać, że nie mówił całej prawdy. W rzeczywistości pies był lepszy, dużo lepszy. Gdyby Tom nie widział tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył. Nie wyglądała jak tropiciel szcurów, to po pierwsze. A tropienie szcurów nie było czymś, czego można było psa nauczyć. Zwierzę albo miało do tego smykałkę, albo nie, nic dodać, nic ująć. Jeśli ona nie miałaby do tego serca, to trudno. Tymczasem została z nim, a on doszedł do wniosku, że mu to nie przeszkadza. Lubił to ciepłe wgłębienie pozostawione w kocu przez jej zwinięte w kłębek ciało, lubił, jak po skończonej kolacji bez ceregieli wsuwała mu w dłoń swój pysk. Odpowiadało mu jej towarzystwo.

A potem, pewnego popołudnia, gdy pies był z nim blisko tydzień, Tom musiał zabrać z powrotem klatkę szcurów, po tym jak w King's Head na Cock Hill wycofali się z zamówienia na setkę zwierza. Pies uniósł głowę z łóżka, na którym leżał, gdy Tom otworzył drzwi. Postawił klatkę na podłodze i strzelił palcami na powitanie, ale pies ani nie spojrzał. Różowe oczy utkwił w klatce, nozdrza rozszerzyły mu się i całe rozedrgały. Szczury też ją wyczuły. W tłoku klatki wierciły się i piszczały. Brudne kawałki futra wystawały na zewnątrz

przez wąskie szczeliny w drucie. Tom ponownie strzelił palcami, ale pies ponownie nie zwrócił na niego uwagi. Tak jakby go tam w ogóle nie było. Bardzo wolno podniosła się na przednich łapach i oblizwała różowym językiem. Jej wzrok był bystry i skupiony, jak u kieszonkowca, a z pyska płynęła srebrzysta strużka śliny, gdy w ogromnym skupieniu zsunęła się z niskiego łóżka. Skradając się z brzuchem wiszącym nisko, tuż nad zniszczoną podłogą, podeszła do wijącej się masy szczurów. Tom się po prostu gapił. Potem, bezwiednie, zanurzył rękę w klatce i wyjął zwierzę, rzucając je przez pokój. Szczur był duży, szeroki jak męskie udo, ale przy tym ruchliwy i pobiegł szybko, kierując się w róg pokoju, w stronę starego taboretu na trzech nogach. Pies był zbyt szybki na tę ucieczkę. Zanim szczur znalazł się w połowie drogi do kąta, skoczyła, ściskając go zębami. Próbował wykręcić się z jej uścisku, ale ugryzła go tak mocno, że Tom usłyszał chrzęst kości. Ciało szczura zwiótczało. Ostrożnie, bez pompy, pies położył truchło u stóp Toma i czekał.

Tej nocy zabiła dwadzieścia niesprzedanych szczurów. I za każdym razem, nawet za ostatnim, gdy Tom wypuścił dziesięć szczurów jednocześnie, pies zabierał się za zadanie bez najmniejszego szmeru. Miała w sobie poczucie celu, które przywodziło Tomowi na myśl nie inne psy do walki, nawet nie szybkich rzeźników ze Smithfield Market, ale ludzi interesu, wykrochmalonych i zaopatrzonych w okulary urzędników z zamkniętymi na łańcuch księgami rachunkowymi i surowymi ustami, którzy maszerowali codziennie przez London Bridge do domów obrachunkowych w City. Stara Dama z ulicy Threadneedle\*, pomyślał Tom i uśmiechnął się do siebie. Chociaż Dama też wystarczy. Gdy już skończyła, wziął ją na kolana i mocząc gałgan w czajniku z wodą, która stygła przy dogasającym ogniu, delikatnie starł jej krew z pyska. Tej nocy spała z nosem wtulonym pod jego pachę.

Dwa dni później zabrał ją do kanałów.

Wszyscy przyzwyczaili się do ich widoku, Tom Długoręki i dziwnie wyglądający pies, który trzymał się jego nóg jak cień. W gospodach i kawiarniach, w których bywał, psa zawsze można było znaleźć pod krzesłem, z brodą na stopie Toma. Ci, którzy nie potrafili się przekonać do bestii, nauczyli się ją omijać. Nie warczała na człowieka ani nie szczekała jak niektóre psy. Po prawdzie milczała jak grób, ale była brzydkim kundlem i nieprzyjaznym, jak to tylko możliwe. Gdy się podeszło zbyt blisko, wycofywała się jak świeżo odstawiona od matki i chowała pod płaszczem Toma. Nierzadko można było zobaczyć, jak mężczyzna dzieli się ze zwierzęciem swoim obiadem i podsuwa mu co bardziej soczyste kawałki mięsa na dodatek. Byli tacy, co mówili, że takie czułe uczucie do głupiego stwora jest pewnym znakiem, że człowiek przygotowuje się wyciągnąć

\*Ang. The Old Lady of Threadneedle Street - potoczna nazwa siedziby głównej

Banku Anglii (Bank of England), która znajduje się na Threadneedle Street w Londynie. kopyta. Cóż, gdy przyjdzie czas na Toma, będzie go brakować, wszyscy zgadzali się co do tego. Tom był cichym druhem, nie słynął z nadmiernej serdeczności, ale był nieodzowną częścią ich Londynu, jak smród dochodzący ze studzienek ściekowych. Gdy Tom Długoręki odda ducha, coś odejdzie bezpowrotnie. Nie będzie już więcej szperaczy takich jak on. Nikt nie będzie mógł wejść w jego buty, gdy je zostawi, chociaż i tak zdarte były do podszew. Miasto się zmieniało i życie wszystkich też będzie musiało się zmienić. Nie było co do tego żadnej wątpliwości.

## VII

Polly nie pomyliła co do wpływu pracy Williama na stan jego umysłu, mimo że w chaosie panującym w biurach na Greek Street mało było rutyny, przy jeszcze mniej regularnym spływie funduszy, przynajmniej jeśli chodzi o prace na użytek publiczny Rada została ustanowiona, aby przeobrazić chaotyczny wielki zator, jakim stał się Londyn, w miasto świadomego przepływu - wody, powietrza, ludzi i towarów. Największym priorytetem była budowa systemu kanalizacji, który zapewniałby dostawy świeżej wody i bezpiecznie odprowadzał zanieczyszczenia miasta. Wspaniały plan, w istocie. Parlament nie uważał jednak za konieczne przyznanie Radzie uprawnień finansowych i administracyjnych niezbędnych do przeprowadzenia tak ogromnego projektu. Zamiast tego Rada pogrążona była w niekończących się dyskusjach z radami parafialnymi, których zgodę należało uzyskać na wszystkie wydatki i nad którymi Rada nie miała bezpośredniej władzy. Propozycje wydawano, kwestionowano, dyskutowano i wycofywano do ponownego rozpatrzenia. Rekomendacje blokowano pod pozorem kosztu, niedogodności, dla zasady, a często dla zwykłej przyjemności powiedzenia nie. Spotkania zwoływano, by kwestionować wnioski z poprzednich spotkań. Te plany, które zostały w końcu ratyfikowane, grzęzły w gąszczu politykierstwa, zamkniętego koła przekładania na później, protokołów i papierkowej roboty.

Tymczasem starsi rangą członkowie Rady kłócili się pomiędzy sobą. Najbardziej zagorzała debata wywiązała się na temat nieodzowności systemu, który pozwoliłby na przetworzenie nieczystości miasta w nawóz, systemu, który podobno Chińczycy wdrożyli z ogromnym sukcesem. Wysłuchano i rozważono sto czterdzieści takich propozycji i - w świetle argumentów Bazalgette'a przeciwko takiemu pomysłowi - pojawiły się na jakiś czas duże naciski, aby zastąpić go kimś innym. Pomimo jednak tych przeszkód Bazalgette pozostał spokojny i praktyczny. Codziennie na Greek Street nadzorował żmudne szacunki głębokości i średnicy, nacisku i mocy, przyływu i kąta nachylenia, aż spod ołówków jego kreślarzy wyłoniła się wizja wielkiego nowego miasta pod starym Londynem, wspaniałej metropolii



zamkniętej w żelaznych ścianach, z setkami mil alejek i traktów rur przecinających się z rzekami rur w trzech ogromnych odgałęzieniach po północnej stronie rzeki i dwóch po południowej, pięcioma potężnymi arteriami z sufitami opartymi na przyporach tak wysokich jak w katedrach. Cztery przepompownie stanowiły wieżyczki podziemnego miasta, sięgające tak wysoko, że przebijały poziom zerowy ziemi, ze stacją pompującą w Abbey Mili - zaprojektowaną w stylu gotyku weneckiego - pałacem królewskim, wieńczącym całość. Było to miasto pychy i splendoru, miejsce tak różne od prymitywnego labiryntu, który znał William, jak nowe zdobione sztukaterią skwery Belgravii od obskurnych chlewów i garncami Notting Dale. Tyle że to miasto było dla wszystkich. W tym miejscu będą fontanny z wodą pitną - świeżą wodą dostępną za darmo. Nikt nie będzie musiał zanurzać wiadra we wspólnym rowie i pić cuchnącej słonej wody. Nie będzie otwartych ścieków, które wlewały się do domów biedoty, kipiąc i zatruwając ziemię i powietrze. W tym mieście nie będzie przelewających się dołów kloaczych, nie będzie otwartych studzienek ściekowych, w których czai się cholera wraz ze swym strasznym kuzynostwem. Zostaną usunięte tak jak ludzkie ekskrementy niesione na bezwzględnej fali do morza. Choroba zostanie pokonana, tak jak została pokonana w Scutari. William uznałby to za cud, gdyby nadal w nie wierzył.

I w pewnym sensie tak było. Jego wiara w miłosiernego i kochającego Boga wypaliła się jak popiół w dogasającym ogniu, ale nadal pozostało w nim słabe ciepło, które ogrzewało mu krew. Podtrzymywała je ta najbardziej przyziemna ze zbawicieli - inżyniera sanitarna.

Jeśli wizja Bazalgettea była przyszłością, do której William Ignął, to gnijące kanały, które miała zastąpić, zapewniały mu schronienie w chwili obecnej. Przebywał poza Londynem przez niecałe dwadzieścia miesięcy, a mimo to wydawało mu się, że liczba mieszkańców miasta podwoiła się, a nawet potroiła w czasie jego nieobecności. Zgodnie z informacją przedstawioną Radzie populacja Londynu kształtowała się w granicach dwóch i pół miliona mieszkańców, może trochę więcej. William był równie niezdolny do pojęcia tej liczby w odniesieniu do miasta, które widział, co do zrozumienia ogromu mórz na podstawie liczby galonów wody. Niemniej czuł to i był tym obezwładniony. Hałas i smród ruchu ulicznego, gdy przechodził przez rzekę, ciężkie wozy wyładowane balami i baryłkami przepychające się i walczące o miejsce z gigami, krytymi powozami jednokonnymi, karawanami, kabrioletami, wozami rzeźników, platformami od Barclaya oraz stadami świń, owiec i pieszych, sprawiały, że ślepl od kurzu i drżał z oszołomienia. Nocą, pomimo opium, które, jak zapewniała go Polly, miało pomóc mu zasnąć, nieziemski chaos i zgiełk miasta znajdował drogę do koszmarów, które oblewały go potem. Nie byłby w stanie zmierzyć się ze swoją pracą, długim spacerem do Soho i z powrotem po jazgotliwych i tłumnych ulicach,

oschłymi żadaniami starszych inżynierów, pośpieszną niecierpliwością urzędników, gdyby nie kanały.

Inni mierniczowie często narzekali na fatalne warunki pod ziemią. Ich wyprawy do kanałów były pośpieszne, wystarczające jedynie na dokonanie najbardziej zgrubnych, niezbędnych pomiarów. Spławiacze, zajmując się na co dzień czyszczeniem kanałów, występowali jako przewodnicy inżynierów, to dworowali sobie, to znów, zawstydzeni obecnością dżentelmenów na swoim prywatnym terytorium, byli zadowoleni, gdy mogli się ich pozbyć. Pan May to była zupełnie inna historia. Zostawał w tunelach tak długo, że nudzili się czekaniem. Niebawem wszyscy doszli do wniosku, że gdy się go zaprowadzi do odpowiedniej części kanału, można go tam zostawić samego z linią oznaczającą trasę powrotu do najbliższego wyjścia, pod warunkiem, że któryś ze spławiaczy pozostanie na ziemi, żeby go ostrzec o niesprzyjających warunkach pogodowych i poprowadzić w razie konieczności bezpiecznie do wyjścia. Gdy zamieszkali w domu w Lambeth, Polly zaproponowała, aby William założył ogród na błotnistym kawałku podwórka za domem; ogród nie tylko z warzywami, ale i z kwiatami, które zawsze kochał; ogród, który stanie się azylem pełnym koloru i zapachu, tak różnym od ciemnych cuchnących kanałów jak śnieg od sadzy. Przyniosła do domu katalog nasion i położyła obok talerza męża podczas obiadu. Nie otworzył go. Nie był w stanie. Ogród był niemożliwy, całkowicie niemożliwy. Ciemne cuchnące kanały natomiast przyciągały go jak magnes.

Na początku kanały nie były niczym więcej niż dającą prywatność ciemnością, w której mógł się ciąć. Intensywność pragnień przerażała go i wywoływała obrzydzenie, ale nie był w stanie ich stłumić. Były dużo silniejsze od niego. Pęczniały i przybierały na sile, aż w końcu posiadały go całkowicie, zagłuszając wszelki rozum i uczucie - z wyjątkiem tego jednego, gdy ciało całe w ogniu wołało o nóż. I tak bardzo jak się ich bał, jednocześnie ich pragnął. W każdym miejscu, w którym pracował, ukrywał nóż za luźną cegłą w rozsypującej się ścianie, żeby zawsze mieć go pod ręką. W torbie nosił wałek bandażu. Polly czasami zauważała opatrunki. Strofowała go lekko, żartując sobie z jego nieostrożnego obchodzenia się z narzędziami, ale wobec milczenia męża szybko zmieniała temat. Nie miała zamiaru niczego rozpamiętywać ani psuć. W te dni, kiedy przychodził do domu obandażowany, był znowu jej Williamem. Czuję, czasami nawet sentymentalnym. Głaskał ją po policzku i nazywał swoją małą krzyżownicą, a łzy łatwo napływały mu do oczu. Brał syna na kolana i całował go w złotą główkę, usiłując się nie odsuwać, gdy dziecko wierciło się radośnie w jego ramionach. W te dni byli szczęśliwi.

Za plecami inni inżynierowie nazywali Williama Sułtanem Ścieków. Chociaż

wiedzieli, że był skrupulatny w swojej pracy, kilku ścisłało nosy palcami, gdy mijał ich na korytarzu. Jako żart było to dość niewinne, ale nie było w tym sympatii. Uważano, że jest wyniosły i nie pochwalano tego. Gdyby William pochodził z wysoko postawionej rodziny, bez wątplenia szanowano by jego rezerwę jako właściwą mężczyźnie z jego pozycją, ale u syna zwykłego sklepikarza taka chłodna duma była nie do zniesienia. Wielu mężczyzn na Greek Street miało kontakty z armią i krążyły plotki o niekoniecznie chwalebnej służbie Williama podczas wojny wschodniej, o niehonorowym zwolnieniu ze służby, nawet o dezercji. Przed powołaniem na stanowisko przez Radę, prowadzenie i reputacja Williama zyskały dodatkowego blasku dzięki osobistemu poleceniu Roberta Rawlinsona. Teraz przyłgnął do niego lepki brud i przytłumił jego blask. William wiedział o tym i w obawie przed zwróceniem na siebie większej uwagi jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Chował nos w papierach zgarbiony nad stołem w swoim boksie i kiedy tylko było to możliwe, uciekał do prywatnych zakątków w kanałach. Wiedział przynajmniej, że nic nie można zarzucić jego pracy. Jego inspekcje były szczegółowe i precyzyjne, rekomendacje przemyślane. Po pewnym czasie zaproponowano, ku znacznej satysfakcji kolegów inżynierów, aby przyjął na siebie obowiązek rutynowych inspekcji komisji. Odtąd część każdego dnia spędzał przykucnięty pod granitową powłoką miasta.

Mijały miesiące. A pragnienia nadal się pojawiały. William czuł, jak wzbierają, potajemnie i groźnie, pomiędzy zebrami. Gdy ciemność rozlewała się jak atrament po płatach płuc i wciskała swoje pięści w miękkie mięso gardła, schodził do podziemi. Być może były inne miejsca, w których mógł się ciąć, do których łatwiej byłoby mu się dostać i gdzie nikt by go nie nakrył. W pojedynczej, wyłożonej płytkami toalecie na Greek Street na przykład albo w ciszy, która zapadała o północy w domu w Lambeth, gdy Polly i jego dziecko spali. Jednak on zawsze schodził do tuneli. W tunelach nie obowiązywał moralny sąd. Surowe i niepodważalne zasady rządzące zachowaniem tych, którzy spacerowali bezpośrednio nad nim i których stopy uderzały w granit nad jego głową, surowe wyznaczniki tego, co dobre i złe, właściwe i niestosowne, pod ziemią stawały się płynne i ulotne. Ciemność akceptowała go bez żadnych pytań czy potępienia, przyjmowała go w ciszy w swoje ramiona. Ciemność nie była ciekawska i pamiętliwa. W ciemności była jedynie cisza i samotność, bezpieczeństwo i wyjątkowo cudowna eksplozja siebie, gdy ostrze przecinało ciało.

W ciepły majowy wieczór William zawędrował do jaskini. Miasto było senne i oświetlone łagodnym liliowym światłem. Blade niebo wykańczały falbany ze złota i bladego różu. William nic nie widział, gdy śpieszył do kanału na King Street Ślina smakowała kwaśno, gorzko i metalicznie. Oddech uiywał się i bolał. Mięśnie twarzy drgały. Studzienka

na Dean Street była zamknięta. Spędził parę minut na próżno, usiłując ją podnieść, wciskając czubki palców pod żelazne wieko i szarpiąc je. Bez skutku. Teraz ciemność miała go w swoim uścisku, wbijając mu łokcie w pierś, wiążąc wnętrzności w pęde. Przemocą rozkładała mu ramiona, wpychając w palce szpile ciemności, które tryskały z gorącym uporem w górę spod barier jego brudnych paznokci. William zaczął je rozpaczliwie gryźć. Smak krwi w ustach wyzwolił mu w żołądku taki ogień pragnienia, że William był pewien, iż zaraz krzyknie. Ruszył biegiem. Ciemność rozsadzała mu głowę, ograniczając świadomość do następujących po sobie kamiennych płytek. Serce i buty wybijały szaleńczy rytm. Metalowa obudowa lampy obijała mu boleśnie udo, ale on ledwie był tego świadom. Bliżej, bliżej. Za następnym rogiem. I oto była, mała chatka spławiaczy, ustawiona jak wartownia na rogu. William miał główny klucz. Dłoń drżała tak mocno, że ledwie był w stanie ją uspokoić, żeby trafić do kieszeni. Klucz zahaczył o podszewkę płaszcza. Zdesperowany, oślepiiony pośpiechem, William wyrwał go na zewnątrz i niezdarnie umieścił w zamku. Drzwi się otwarły. William na wpół wszedł, na wpół wpadł do otworu, stopy minęły obojętnie żelazną drabinę osadzoną w ścianie. Smród natychmiast wypełnił mu czaszkę, smród gówna, morza i gnijącej cegły. Pożerał go, łzy wypływały spomiędzy zaciśniętych powiek, gdy torował sobie drogę w ciemność, zanurzając się w jej miękkie fałdy. Wszedł już dość głęboko, więc oparł się o mokrą ścianę i poszukał noża. Woda była wysoka, sięgała mu nieomal do kolan. Nie miało to znaczenia. Nie potrzebuje zostawać tu długo. Dłonie już nie drżały. Trzymał pewnie nóż. Zrobił nacięcie. Przez jedną trwającą wieczność nierealną chwilę miał absolutnie spokojne serce schwyte w doskonale piękno ekstazy. Potem nastąpił wybuch. Krew, śpiewając, wypływała z ramienia, czysta i zwycięska. W uniesieniu William uniósł do góry nóż, zaciskając mocno dłoń na jego trzonku. Ciemność trwała jeszcze przez chwilę, niczym krzyk niosący się echem w powietrzu, a potem znikła. William znowu był sobą. Był wolny.

Jakiś czas potem zaświecił latarnię i ruszył w drogę powrotną. Ten fragment kanałów był mu nieznanym. Wkrótce zdał sobie sprawę, że się zgubił. To nie zmartwiło go nadmiernie. Kanał przy King Street miał wiele wyjść, wiele z nich nowo zbudowanych, z włazami, które, w razie potrzeby, można było otworzyć od środka. Musiał jedynie znaleźć jedno z nich. Woda podnosiła się, ale on szedł przed siebie, niezaniepokojony, stąpając uważnie po nierównym podłożu. Światło latarni odbijało się na ciemnej powierzchni strumienia. Gdy doszedł do miejsca, w którym tunel rozgałęział się w kilka stron, zatrzymał się jedynie na ułamek sekundy przed obraniem najbardziej prawdopodobnie wyglądającego kursu i kontynuował wędrówkę. Szedł jakieś dziesięć minut, gdy tunel zaczął się wznosić. Chociaż strumień ku jego zdziwieniu zdawał się - jeśli w ogóle

- robić głębszy, powietrze było zauważalnie lżejsze, smród odchodów łagodziła sól i lekki dotyk cyrkulującego powietrza.

Echo butów Williama nie pulsowało już pomiędzy wąskimi ścianami tunelu. Musiał być blisko ziemi. Spojrzał w górę, szukając na szczycie tunelu wyjścia. W zamian zobaczył jedynie czarny kamienny łuk, jak gdyby tunel się skończył. Za łukiem będzie krata. William ruszył w tym kierunku, unosząc lampę jak najwyżej do góry.

Kraty nie było. Ale William już zapomniał, że to kraty szukał, bo to, co zobaczył, tak go pochłonęło, że nie był w stanie zrobić nic więcej, jak tylko stać i patrzeć. Przed nim rozciągała się ogromna komnata, być może długa na trzydzieści stóp, a jej sufit wznosił się wysoko jak w katedrze. Komnata nie miała podłogi. Przed Williamem rozciągał się olśniewający bezmiar czarnej wody, błyszczącej i nieskazitelnej jak wypolerowana kamienna płyta uniesiona tak, że nie dotykała ścian komnaty, a mimo to tworzyła idealny prostokąt. Na całej długości po obydwu stronach woda szemrała, ześlizgując się buzującymi srebrnymi wstęgami w dół na pokruszone cegły. Po jednej stronie jeziora wyrastał mur w formie ogromnych płyt szarego granitu, na którym połyskiwały maluteńkie gwiazdki miki. Po drugiej - wznosiły się zamasy łuki cegły tak śliskiej od saletry, że sprawiające wrażenie odlewu z topionego brązu. Przyozdobione serią skośnych gotyckich łuków, każde w miejscu okna miało osadzoną kamienną tablicę. W komnacie królowało osiem kamiennych słupów wyrastających ze lśniącej powierzchni wody, a ich sześciokątne kolumny były grube i srebrzyste jak brzozy, których gałęzie unosiły się dwadzieścia stóp nad wodę, tworząc baldachim łuków. Z tych łuków kiście białych stalaktytów zwisały niczym wisiory z nieskazitelnej kości słoniowej, złotobiałe w świetle latami.

William patrzył, nieomal zapominając o tym, żeby oddychać. Oprócz cichego szeptu wody w komnacie panowała absolutna cisza i spokój. To nie było prawdziwe. To nie mogło być prawdziwe. William patrzył i wiedział, że patrzy w swoje własne serce. Już wiedział, że nigdy nie wróci do tego miejsca. Jeśli zacznie szukać, to ono zniknie albo się zmieni, będzie dla niego stracone w sposób, którego nie będzie w stanie znieść. Ale wiedział również, że zachowa je w sobie na zawsze. Miejsce, które przez swoje istnienie sprawiało, że jego istnienie było możliwe.

W miarę jak mijały miesiące, William w coraz większym stopniu polegał na tunelach jako na jedynym miejscu, w którym świat był stabilny. Nie próbował znaleźć komnaty. Wystarczyła mu świadomość, że tam jest. W tunelach oddychał głębiej. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego panujący w tunelach smród przyprawiał niektórych o mdłości. Według niego odór był zdecydowanie łatwiejszy do zniesienia w zimnej sterylności mroku, niż na

ulicach, które znajdowały się powyżej. W kanałach smród był zwyczajny i bezpośredni. Na ulicy smród odchodów był zaledwie jednym z wrogów w całej masie czyhających tortur. Wiązał się ze smrodem mgły, ciał, fabryk i odpadków, a także z zakorkowaną płataniną ruchu ulicznego oraz niekończącym się hałasem i zgiełkiem dławiącym zmysły i doprowadzającym człowieka do obłądu. W kanałach był brud oraz nieprzewidywalne niebezpieczeństwo przyływu i złej pogody, ale obowiązywał tam rodzaj porządku. W kanałach człowiek mógł się czuć określony przez wysokość, rozpiętość i kąt nachylenia. Ktoś, kto nigdy nie wybrał się na dół, do trzewi stolicy, nawet jeśli był londyńczykiem przez całe życie, z pewnością nie był sobie w stanie wyobrazić takiego miejsca. Natomiast człowiekowi, który tam się znalazł, sam w ciemności, trudno było sobie przypomnieć wyobrażenie Londynu.

Praca Williama była w dużej mierze rutynowa, ale jej metodyczny charakter przynosił satysfakcję i wpływał na niego kojąco. Powoli zaczynał rozumieć kształt poprzedniego systemu kanalizacji, uczył się poruszania w labiryncie jego rozgałęziających się żył i arterii. Wolno, tak wolno, że nieomal nie znajdował odwagi, żeby się przed sobą do tego przyznać, pragnienia zaczęły ustępować. Mijały dwa tygodnie bez cięcia, potem trzy. Czas płynął łagodnie, a spokój, który go opanowywał po każdym zranieniu, trwał coraz dłużej, utrzymywał się przez dzień, potem przez kilka dni, a czasami nawet przez tydzień. Gdy wracał do domu, do Lambeth, odkrywał, że jest w stanie słuchać nieomal z uwagą paplaniny żony, bawić się z małym Williamem bez jałowej irytacji z powodu dziecinnych zachcianek syna. Uspokojony przez laudanum spał w nocy, a jego sen był łagodny i głęboki. Gdy Polly przewracała się w pościeli, dotykając go, nie krzyczał już ze strachu. Układał się natomiast przytulony do jej wygiętego ciała i spał dalej.

W biurach przy Greek Street rozmowy innych mężczyzn nie brzmiały już w jego uszach jak niewyraźne echo. William starał się zdobywać na uprzejmości i jego usta wyrażały je we właściwy sposób. Uśmiechał się, niepewnie być może, ale we właściwym momencie. Było już za późno na gorące - uczucia, ale krok po kroku chłód, jakim współpracownicy postanowili go obdarzać w odpowiedzi na jego rezerwę, osiągnął temperaturę pokojową. May zawsze będzie dziwnym gościem, co do tego wszyscy byli zgodni, ale jego historia, prawdziwa czy zmyślona, już nie była tematem sekretnych dyskusji. Zdolny chłop z niego, godny szacunku i uprzejmy. Wykonywał powierzoną pracę cicho i bez ceregieli. Chętnie brał się za zadania, których inni woleli unikać. Przed upływem roku od rozpoczęcia pracy stał się tak nieodzowną częścią tego miejsca jak wąskie okna, które wychodziły na szarzielony ugor Soho Square, i podobnie jak w wypadku okien pozostali z pewnością odczuwaliby jego brak, gdyby pewnego dnia już go tam nie było. Dopóki jednak był na miejscu, nie doceniali jego

obecności.

Z wyjątkiem Bazalgettea. Nieraz pracowitość Williama i zamiłowanie dla szczegółu zwróciły uwagę głównego inżyniera i ten obserwował pracownika z zainteresowaniem. Miał wielu kompetentnych ludzi i prawie wszyscy byli lepiej wykształceni i dużo lepiej zapoznani z teoriami inżynierii lądowej niż May, ale żaden inny podległy mu człowiek, czy to inżynier czy mierniczy, nie znał tak dogłębnie kanalizacji Londynu w jej obecnym stanie rozpadu. Zgodnie z księgami rejestrowymi May obejrzał pięć razy dłuższą sieć kanałów pod ziemią niż wszyscy inni mierniczy Rady. Próbki cegieł pobrane przez niego z części tunelu na różnych wysokościach i w różnym stopniu rozkładu, włożone następnie do pudełek i skrupulatnie opisane starannym pismem, zajmowały nieomal cały pokój na czwartym piętrze. Gdy Bazalgette zaczął pracować nad tematem cegieł i zaprawy oraz ich wzajemnej niezdolności do powstrzymania procesu wchłaniania wody, kazał swojemu sekretarzowi wstawić tam stół, przy którym mógł pracować z próbkami rozłożonymi przed sobą. Nie mogło być mowy o systemie odwadniania bez przepływu wody, to było jasne. Ale nie mogło też być głównego systemu kanalizacji, przynajmniej tak uważał Bazalgette, dla miasta, które wkrótce będzie liczyć trzy miliony dusz, bez cegieł i zaprawy. Punktowe ścieki można budować z rur ceramicznych, ale musiały one wpływać do kanału zdolnego przyjąć wiele milionów galonów wody każdego dnia. Aby podołać takiej wielkości przepływu, kanały głównego systemu nawet w najwcześniejszych planach miały dwanaście stóp szerokości i aż do czternastu wysokości. Nigdzie na świecie nie skonstruowano by rury o takiej wielkości. Kamień był drogi i niepraktyczny. Jedynie cegły i zaprawa dawały wymaganą twardość, przy niezbędnej elastyczności struktury. Niemniej zwykle cegły i zaprawa były porowate. Wchłaniały wodę i ścieki, co sprawiało, że się kruszyły i gniły, odpadając i powodując zatory. Konserwacja niezbędna do zapewnienia ich sprawnego działania byłaby kosztowna i szkodliwa dla funkcjonalności systemu. Konieczne było inne rozwiązanie. Rozpoczęto już eksperymenty z cementem portlandzkim i ich wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania. Bazalgette udowodnił, że będzie on stanowił nie tylko bazę zaprawy odpornej na wodę, ale również będzie twardnieć bez konieczności uprzedniego wyschnięcia. Pozostawał nadal tylko jeden problem. Podczas pierwszych krótkich dni roku 1858, gdy przebiśniegi na Soho Square były wciąż jeszcze bladozielone i drżały żałośnie na chłodnym wietrze, Bazalgette wezwał Maya i dwóch innych inżynierów do swojego biura i powierzył im zadanie opracowania pod kierunkiem swojego doświadczonego zastępcy i eksperta Lovicka prototypu przystępnej cenowo i wodoodpornej cegły

William wpatrywał się w swoją kolację i wycierał wilgotne dłonie o kolana. Mimo że

miał na sobie jedynie bawełnianą koszulę, pot gromadził mu się pod pachami i przyklejał cienką tkaninę do pleców. Nie miał apetytu. Zwiotczała ryba połyskiwała na talerzu z otwartymi ustami, jakby i ona nie mogła znieść upału.

- Zakład, że wiem, o czym myślisz?

William mrugnął oczami, wyrwany z zamyślenia, a potem uśmiechnął się do żony.

- Myślałem o Staffordshire Blue - wyjaśnił przepraszająco.

- No tak. Czyżby to był jakiś rodzaj cegły?

- Obawiam się, że tak.

Polly zachichotała, sadowiąc się delikatnie na krześle z giętego drewna.

- Cóż, w takim razie wygrałam zakład, bardzo dziękuję - odparła, potrząsając głową. - Twoje cegły Staffordshire mogą być tak niebieskie jak szafiry i przy okazji cudem świata, ale przez te ostatnie miesiące wygrałam tyle zakładów, że mogłabym zbudować sobie pałac.

Oddychając ciężko, wachlowała się, oparta o poręcz krzesła.

- No proszę, spójrz tylko! Ile razy prosiłam tę dziewczynę, żeby miała baczenie na kąty w tym pokoju? Dziewięć pensów tygodniowo, a pająki i tak z nią wygrywają!

Polly wskazała z irytacją ręką na pajęczynę zwisającą z sufitu, ale nie wstała. Kosmyki włosów przylegały do jej wilgotnej twarzy. W dotkliwym upale napuchły jej kostki nóg i nadgarstki, a nawet policzki, aż w końcu usadowiona na krześle przypominała wypchaną nadmiernie lalkę. Każdego ranka od sześciu długich tygodni budzące się miasto wpatrywało się w bezlitosny biały żar wschodu i marzyło, żeby słońce już zaszło. Nie dało się wyczuć nawet najmniejszego powiewu wiatru. W zamian otwarte okno wpuszczało stęchłe kwaśne opaiy milionów ciał na tysiącach pozbawionych powietrza uliczek i dziedzińców oraz, jeszcze bardziej natarczywe, wyziewy gęstej, brązowej, gnijącej rzeki. Parowce poruszały się z trudem w górę i w dół na jej całej gęstej jak zupa długości, a ich koła młóciły plugawe płycizny i wyrzucały brud, który rozpryskiwał się na kamiennych fasadach mostów i budynków. Na ulicach przechodnie przyciskali chusteczki do ust albo naciągali apaszki i fulary na twarz, usiłując nie oddychać. Wszyscy obawiali się cholery, jej miazmaty galopowały i przybierały na sile, aż w końcu zawisły nad miastem jak listopadowa mgła. Ci, którzy mogli, już dawno wyjechali.

Na nowej sukience Polly pod pachami rysowały się ciemne plamy potu, a na szyi w miejscu, gdzie szczypał ją kołnierzyk, pojawiło się bolące zaczerwienienie. Potarła je spuchniętym palcem. Sukienka kosztowała więcej, niż mogli sobie pozwolić, ale Polly była teraz szacowną kobietą. Nie wypadało, żeby nadal nosiła sukienki z czasu służby. Poza tym nie mogła się oprzeć ślicznemu materiałowi w paseczki. Poglądziła go czule.



Z góry dało się słyszeć ciche kwilenie. Mały William poruszył się we śnie, szukając chłodnego miejsca w pościeli.

- Biedactwo, brzusek nadal go boli - zauważyła Polly, przechylając głowę w stronę, skąd nadchodził głos. - Kordiał Godfrey'a zawsze potrafił zdziałać cuda z George'em, szczególnie jeśli się dodało odrobinę sproszkowanych ziarenek maku, ale słodki William za nic nie chce tego wziąć.

Mąż milczał. Ogromne gorąco spowijało pokój. Nawet ściany się pociły, a na ich białej powierzchni pojawiały się mokre plamy. Gdy w końcu się odezwał, zrobił to tak cicho, że Polly nie usłyszała słów.

- Dianthus barbatus.

Polly się przeciągnęła.

- Co powiedziałaś, kochanie?

- Dianthus barbatus.

Powiedział to wolno, pozwalając, by słowa rozpląły mu się na języku. Potem podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Sweet William\*.

Przez chwilę Polly wpatrywała się w niego, a jej karmelowe oczy zrobiły się szerokie ze zdziwienia.

- Sprawdziłeś.

- Tak

- Słodki William. Sprawdziłeś.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, który opromienił całą postać. Nieomal straciła już nadzieję. Książki do botaniki leżały na górnej półce, nietknięte, a ich zniszczone skórzane oprawy pokryte były grubą warstwą kurzu. Ale jakże była głupia, myśląc, że zapomniał. Był zajęty swoją ważną pracą dla Rady, to wszystko. A poza tym nie czekali przecież tak długo. Mały William miał zaledwie trzy lata. Gdy nadejdzie czas, żeby zabawiać go opowieścią o tym, jak tata obiecał, że da im obydwójgu, swoim słodkim kwiatuśkom, własne naukowe imiona, nie będzie potrzeby dodawać, że jego imię wymyślił trochę później.

- Wiesz, że nigdy nie zapamiętam tego wszystkiego - obwieściła beztrósco, odchylając głowę do tyłu.

Pot prześlizgiwał się jej przez włosy, zraszając skórę głowy.

- Będzie mi musiało wystarczyć Di.

- Di będzie doskonałe.

Nadal się uśmiechając, Polly przesunęła palce po jedwabistym materiale swojej nowej

sukni i zamknęła oczy. William odsunął talerz i przyglądał się żonie. Zaróżowiona twarz błyszczała, a kasztanowe włosy w miejscu, gdzie dotykały linii czoła, zrobiły się mahoniowe od potu. Upał był nie do zniesienia. Po cichu wziął stary słomkowy kapelusz, który wisiał na wstążkach na haczyku przy drzwiach, i zaczął ją nim wachlować.

\*Sweet William (ang.) - goździk brodaty, dosłownie „Słodki William”; łacińska nazwa kwiatu - *Dianthus barbatus*.

Dotknęła jego ramienia i szepnęła coś, odchylając głowę do tyłu, żeby poczuć chociaż odrobinę chłodu w powiewie powietrza. Jej zamknięte powieki były blade jak ostrygi. Dostrzegął na nich siateczkę błękitnych i fioletowych kreseczek. Wachlował ją przez dłuższą chwilę, aż głowa Polly opadła do tyłu, a z gardła zaczęło dobywać się delikatne pochrapywanie. Potem wziął swoje dzienniki botaniczne i zabrał je na schody tylnego wejścia.

Niebo pociemniało i jego błękit osiągnął głębię koloru, a widoczne na nim koronkowe wstęgi rózu i złota poprzecinane były na kawałki rusztowaniem ciemnych kominów. Puste podwórko ciągnące się od schodów na tyłach domu do komórki, w której znajdowała się toaleta, było wypalone przez słońce jak glina. Zagon chwastów kwitnący na południowym końcu późną wiosną był teraz wyblakły i suchy. Głównie pszonak i przytulia. Sadza osiadła w kątach jak czarny śnieg. William rysował patykiem w kurzu, aż powstała cała siatka linii. Z tej londyńskiej gliny robiono cegły, głównie żółte. Piaskowy kolor usiany czarnymi punkcikami w miejscu, gdzie popiół, z którym zmieszano glinę, zatopił się w cegle podczas wypalania. Żółte cegły były tanie i łatwo dostępne, ale zbyt miękkie do budowy kanałów. Wchłaniały wilgoć jak gąbka. Cegła powinna być albo naturalnie gęsta, jak cegły Staffordshire Blue, które były drogie i trudno dostępne, albo należało wynaleźć technikę, dzięki której zwykła cegła zyska glazurowaną powłokę, podobnie jak udało się to panu Doultonowi z ceramicznymi rurami w gamciami w Lambeth. Ale jak wytworzyć glazurowane cegły, które zwyczajowo używane były tylko w celach dekoracyjnych, oszczędnie i na zamówienie? Nowy człowiek, Hawke, twierdził, że to niemożliwe, że cegły londyńskie, wypalane odrobinę dłużej niż zwykle, byłyby absolutnie odpowiednie. W mieście było przecież pod dostatkiem cegielni, a system Bazalgette'a wymaga dziesiątek milionów cegieł, licząc skromnie. William nie zgadzał się z nim jednak. Było tylko jedno miejsce, które uważał za zdolne się tego podjąć, a mianowicie fabryka w Strowbridge, gdzie udoskonalono i wyprodukowano pierwsze wanny z glazurowanej porcelany. Wanny zdobyły Złoty Medal Isis na wystawie w 1851 roku i chętnie nabywały je szpitale i inne instytucje publiczne. Do ich produkcji firma opatentowała ciąg dziesięciu pieców zajmujących powierzchnię dwóch

akrów, które, dzięki pomysłowemu projektowi i skomplikowanemu systemowi kanałów, łączyły znaczną liczbę z ekonomicznym zużyciem paliwa, co pozwalało na produkcję setek wanień tygodniowo. Gdyby tylko mogli rozbudować swoje piece albo zamienić całą produkcję na wyrób cegieł...

Delikatny odgłos stóp na kamiennych płytach w holu wyrwał go z zamyślenia. Światło nieomal zupełnie zgasło na niebie i małe podwórko tonęło w srebrnych promieniach okrągłego księżyca. Jeśli go zapyta, to powie Polly, że myślał o ogrodzie, postanowił pośpiesznie. Ucieszy ją to. Ale gdy się odwrócił, zobaczył swojego syna, który wpatrywał się w niego oczami zamykającymi się z senności i kciukiem włożonym w usta. Na piegowatych policzkach widać było dwie słone linie po zaschniętych łzach.

- Witaj, młody człowieku - szepnął William, wyciągając do niego otwarte ramiona.

Chłopczyk wtulił się w nie, już nieomal na wpół śpiąc, a William wstał i zaniósł go z powrotem na górę. Położył dziecko w łóżku skąpanym w świetle księżyca, a potem je przykrył. Na powiekach synka rysowała się taka sama siateczka kreseczek co u jego mamy, pomyślał William, tak piękna i skomplikowana jak na liściu. Miała wzór taki jak te, które rysował patykami w kurzu albo na bibule na Greek Street, wzór, taki jak...

Odruchowo dotknął dłonią przedramienia, wyczuwając palcem zgrubienia pod cienką bawełną rękawa. Nie było tam otwartych ran, nic jedynie blednące blizny i czyste różowe zgrubienia tam, gdzie odpadły ostatnie strupy. Pragnienia przychodziły coraz rzadziej. Oczywiście często zdarzały się dni, kiedy czuł się niepewnie i niezręcznie, poruszając się ostrożnie i ze spiętymi ramionami, jakby był wodą w płaskim naczyniu, która może się zaraz wylać. Ale nie wydawało mu się już, że znika. Nocą dotykał koniuszkami palców wilgotnej i śliskiej, letniej skóry Polly i czuł znajome drżenie w okolicy krocza. Trzymał syna w ramionach i czuł, jak w jego ciele budzi się miłość. Badał wygląd i budowę cegły i czuł, jak jego umysł wysila się i nagina. W te najlepsze dni, gdy siedział bardzo spokojnie, czasami czuł, jak opanowuje go coś nieomal na kształt zadowolenia. A w te złe dni, gdy czuł, że naczynie, którym był, zaczyna drżeć i jest bliskie przelania, schodził cicho do kanałów i zostawał tam, aż pragnienia odeszły.

Nie ciął się już nieomal od miesiąca. Nie śmiał nawet o tym marzyć, ale gdzieś głęboko w środku myślał, że być może ten ostatni raz oczyścił go ostatecznie z ciemności, którą miał w swojej krwi. Tamtym razem intensywność doznania przeniosła go w rejony dalsze, niż kiedykolwiek mógł marzyć. Zatracił się kompletnie w absolutnie doskonałym poczuciu ulgi. Czas pędził jak szalony. Gdy ostrzegawczy szcęk studzienki rozniósł się echem po tunelu, minęło kilka minut, zanim powrócił do rzeczywistości. Całą jego istotę

przepelniało coś w rodzaju białego czystego spokoju, na którego tle powtarzały się w nieskończoność litery składające się na jego imię. Był Williamem. Bijące serce to potwierdzało: William - William - William. Był bezpieczny. Wyprostował się i zaczął szukać na kolanach swojego noża. Nie było go również we wgłębieniu. Nic nie pamiętał, ale przypuszczał, że w którymś momencie musiał mu wypaść z ręki do strumienia. Nie miało to znaczenia. Czuł się wolny od trosk, szczęśliwy. Gdy wyszedł na ziemię, wsunął w dłoń wdzięcznego spławiacza szylinga i poszedł wolno do domu. Dopiero dużo później pomyślał o tym, żeby przemyć ramię. Przemył je szybko, prawie nie patrząc na nie, i posmarował jodyną. Ale gdy ściągnął opatrunek i spojrział z zainteresowaniem na zabarwione na żółty kolor ciało, to nie ostre ukłucie antyseptyku sprawiło, że wstrzymał oddech. Mrugnął powiekami i potrząsnął głową, by trzeźwiej ocenić sytuację, ale to, co widział, nie zmieniło się ani na jotę. Nie pomylił się, górne i dolne nacięcie doskonale precyzyjne. Pośpiesznie umył i zawiązał ramię. Nie spojrzaj na nie więcej. Nie będzie więcej o tym myślał. To nie miało znaczenia. Cięcia zbiegały się na krawędziach, to wszystko. Czysty zbieg okoliczności, że zamiast zwykłych długich równoległych linii wyżłobionych w ciele, wyciął na swoim ramieniu głęboką i wyraźną literę W

Minęły kolejne dwa tygodnie, zanim upalna pogoda ustąpiła. Jednak zanim to się stało, upał zdołał osiągnąć dla administracji sanitarnej stolicy to, co bunt bengalski rok wcześniej zrobił dla administracji Indii\*. Gazety nazwały to po prostu „Wielkim smrodem”. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, styksowy basen Tamizy gotował się w bezlitosnym słońcu, a jego wstrętne opary unosiły się bezwstydnie w górę, wprost do budynku Izby Gmin. Twierdzono, że każdy, kto wdychał ten odrażający smród, nigdy go nie zapomni, zakładając oczywiście, że będzie żył dość długo, żeby go pamiętać. W oknach budynku parlamentu wychodzących na rzekę wieszano prześcieradła namoczone w chlorku wapnia, ale były one bezsilne wobec ataku rzeki. Smród przedostawał się przez szczeliny w zaprawie, przez malowane drewno wyłożonych panelami ścian i w górę, przez piwnice. Widziano jak sam sekretarz stanu uciekał ze swojego gabinetu, a jego policzki były bielsze niż chusteczka, którą przyciskał do ust. Parlament nie mógł już dłużej ignorować fatalnego stanu kanalizacji miasta. Na tydzień przed letnią przerwą propozycje Bazalgette’a zostały zatwierdzone w całości. Rada została obdarzona wszelkimi pełnomocnictwami niezbędnymi do działania, bez konieczności odwoływania się do rad parafialnych. Co najważniejsze, parlament przyjął również wniosek o zapewnienie Radzie trzech milionów funtów.

\*Bunt bengalski - powstanie w armii indyjskiej w roku 1857, które sprawiło, że rząd Anglii zaczął żywiej interesować się sprawami rdzennej ludności w administrowanych przez

siebie Indiach.

Wydatek ten będzie sfinansowany przez nałożenie dodatkowego podatku na mieszkańców miasta, do spłacenia podczas najbliższych czterdziestu lat.

Londyn już nigdy nie będzie taki sam.

## VIII

Wszystko zmieniło się w tunelach po tym strasznym lecie, i to wcale nie na lepsze. Przez jakiś czas, gdy upał rozciągał się nad miastem jak brudny koc, wszystko przycichło. Ludzie byli zmęczeni i znużeni. Nękało ich pragnienie i strach przed cholerą. Dorośli mężczyźni upadali na ulicy, nie będąc w stanie zrobić następnego kroku. Zdrowe dzieci słabły i umierały. Mijały dni, a wody nie było, mimo - że zostawiano otwartą pompę przez cały dzień i noc, na wszelki wypadek I wszędzie atakował dławiący smród odchodów z rzeki, nieustęplicy jak wszy. Przenikał do włókien koszuli i głębiej, do skóry. Zadomawiał się we włosach i na wąsach. Zajmował każdy cal człowieka, wpychając się do uszu, oczu i nozdrzy, sprawiając, że nosiło się go ze sobą i nie było się w stanie od niego uwolnić. Było wielu, którzy musieli również pić z tego brudnego potoku, ponieważ nie było nic innego. Deszcz nie padał.

Tom i Joe zabierali Damę do kanałów prawie codziennie. Mimo że temperatura, która tam panowała, sprawiała wrażenie zaledwie chłodu, można było przynajmniej oddychać, nie ryzykując, że smród zawróci człowiekowi śniadanie do gardła. Ponad znajomym odorem strumienia powietrze pachniało przyjemnie mokrą cegłą i ciemnością. Szczury były ogłupiałe z upału i dawały się chwycić do kratek łatwo jak dzieci, ale handel z pubem Badger miał się źle. Brassey zamknął nawet gospodę na jakiś czas, twierdząc, że pogoda pozbawiła zarówno mężczyzn, jak i psy apetytu na zabijanie.

Szczury, których nie mogli sprzedać, Tom wystawiał dla Damy. Upał zdawał się jej nie przeszkadzać. Jak zawsze była metodyczna i szybko się uczyła. Tego lata Tom przekazał jej wszystko, co wiedział. Pokazał jej, w którym miejscu za głową chwycić szczura, tak żeby zęby przekłuły mu gardło i zabiły jednym ruchem. Pokazał, jak przechylać głowę, odrzucając ciało na bok, by nie przeszkadzało. Wszystkie sekrety zawodu. Każdej zaś nocy przemywał jej pysk wodą z miętą, żeby zapobiec zapaleniu i karmił ją mięsem namoczonym w odrobinie mleka, żeby wzmocnić mięśnie. Leżała mu na kolanach i dyszała, z językiem różowym jak oczy, a Tom opierał dłoń na jej głowie. Gdy kładł ją na łóżku do snu, spodnie miał wilgotne od jej ciepła.

W końcu, gdy dni stały się krótsze, nadszedł deszcz. Dziurawił brązową powierzchnię rzeki, a ludzie wylewali się ze swoich zatłoczonych uliczek i dziedzińców i płynęli przez

blotniste ulice. Byli jak szczury, szukając na oślep, przepychając się i rozpychając, nie wiedząc nawet, dokąd idą, ale i tak zdecydowani tam dotrzeć. A co do kanałów, ruch był w nich wcale nie mniejszy. Tom nie mógł uwierzyć własnym oczom. Deszcz powstrzymał ludzi na chwilę. Nie można było iść na dół przy mocnym opadzie. Jednak gdy powódzie ustąpiły, ludzie wszelkiego autoramentu siedzieli na dole dzień i noc. Na kratkach i studzienkach wyrosły małe drewniane komórki z pokrywami z brezentu. Tom często słyszał echo głosów i musiał usuwać się w ciemność albo obierać inną drogę. Nie można też było już polegać na pomocy spławiaczy. Kiedyś znali się oni na rzeczy, kiedyś wraz ze szperaczami byli za pan brat. Jeden ze starych brygadzystów, gdzieś z okolic Bermondsey, sam trzymał się szperaniem za młodych lat. Dopiero gdy jego staruszek zmarł i w interesach zaczęło się dziać gorzej, zajął się spławianiem, skuszony regularnymi dochodami. Te dwie profesje nie różniły się tak bardzo, gdyby się nad tym zastanowić, myślał Tom. W obu wypadkach zarabiano na życie, znając kanały jak własną kieszeń i przebiegając to, co tam utknęło, a skoro nie byli dla siebie konkurencją, nie musieli przysparzać sobie kłopotów. Tak więc spławiacze pomagali w szperaniu, pilnując, by kanały się nie zatykały ani nie zawałały, szperacze natomiast oczyszczali odpływy i tępiłi szczury. To prawda, że spławianie miało tę przewagę, że było legalne, niemniej spławiacze nie wyglądali na takich, którzy mieli jakiś większy sentyment do prawa. Gdyby musiał wybierać pomiędzy szperaczem i hyclem, rozsądny spławiacz zawsze wiedział, po czyjej jest stronie.

Aż do tej chwili. Coś w tym eleganckim towarzystwie, w którym nagle zaczęli - przebywać, uderzyło spławiaczom do głowy. A może to gazety, które trąbiły na wszystkie strony o triumfalnej chwale cywilizacji i wszystkich innych bzdurach? Kiedyś zmartwieniem byli tylko posterunkowi i inni goście na wodzie. Teraz spławiacze byli gorsi niż wszyscy oni razem wzięci. Przewoźnicy i gliniarze mogli człowieka wytropić tylko wtedy, gdy był dość głupi, żeby im na to pozwolić. Zobaczyć latarnię z rzeki albo przez kratę, albo zauważyć, jak się wślizguje do środka czy wymyka na zewnątrz. Ale spławiacze byli w samych kanałach. Jeśli usłyszeli coś podejrzanego, sprawdzali to. I każdy spławiacz wart swojego imienia znał kanały równie dobrze jak szperacz. Jeśli się uparł, żeby człowieka znaleźć i miał na to czas, to było się w poważnych kłopotach. Wszystko, co można było zrobić, to iść wolno i miarowo, i mieć nadzieję na litość Boga, że gdy znajdą się zbyt blisko, będą ze swoimi wielmożnymi dzentelmenami. Żaden spławiacz nie zostawiłby ich z samą latarnią za towarzystwo. Jaśnie pan krzyczałby, że to rozbój w biały dzień.

Mniej więcej w czasie spadającej gwiazdy, którą nazwano Kometą Donatiego, Kulawy Gil i jego dwóch ludzi zostało zatrzymanych i zamkniętych na trzy miesiące w

MilBank.

- Niebo było oświetlone jak w biały dzień, ludzie na każdym moście i na każdym rogu, a on co robi? - szydził Joe, gdy dotarła do niego ta wiadomość. - Nie mógłby się im lepiej pokazać, gdyby poszedł do samego Parlamentu i zapytał odroge.

Tom śmiał się, ale był pełen obaw. Po karku przechodziły mu ciarki, jak wtedy, gdy coś było nie tak. A potem, tydzień później, ich dwójka nieomal wpadła pod Newgate. Byli w jaskini, gdzie szczuuiy wydawały na świat młode, z pootwieranymi klatkami i tak dalej. Ledwie starczyło im czasu, żeby przeciągnąć kosz tam, gdzie panował mrok Spławiacze mieli otwarte latarnie i huścili nimi dookoła, rozsiewając światło po wszystkich bezpiecznych kątach. Z pewnością zostaliby wyłuskani, gdyby nagle zapędzonym w kozi róg szczurom nie przyszło do głowy zaatakować intruzów jak chmara dzikich os.

- Te głupie bestie nie wiedzą, komu jeść z ręki - zauważył sucho Joe, gdy razem z Tomem wydostali się w końcu na ulicę. - Brać naszą stronę? Można by pomyśleć, że same szukają śmierci.

Niemniej obaj byli ostrożniejsi po tym zdarzeniu. Nic sobie nie powiedzieli, ale obaj wiedzieli, co myśli drugi. Krok po kroku tunele zamykały się przed nimi mocno jak małże i nic nie można było na to poradzić. Być może będą mogli przebiedować jeszcze rok albo dwa, ale zważywszy na rozwój wypadków, ze śluzami, jaśnie panami i wężącymi spławiaczami, to tylko kwestia czasu, zanim ten interes diabli wezmą. Sprawy nie miały się tak źle w wypadku Joeego. Znał kilku ludzi z czasów, gdy zajmował się zbieraniem psich odchodów, być może uda mu się znaleźć jakieś zajęcie w garbarniach, nawet jeśli będzie to tylko zdobywanie skór. Ale Tom był za staję. Swojego czasu dobrze zarabiał, szczególnie na szczurach, ale szperacze nie mieli w zwyczaju rozsądnie korzystać ze swoich zdobyczy albo odkładać czegoś na czarną godzinę. Schodziło się na dół, brało, co popadło, pieniądze wydawało, a gdy brzuch i kieszenie pustoszały, a właściciel pokoju chciał zapłaty, znowu szło się na dół. Kanały zawsze będą na swoim miejscu, rozumowali szperacze, gotowe oddać swe skarby tym, którzy znali zasady gry. Teraz wyglądało na to, że nie rozumowali trafnie.

Tom jednak miał Damę. Tej nocy, gdy spalili kukłę Guya Fauksa w Vauxhall, Tom zabrał ją do pubu Black Badger. Gdy powiedział Brasseyowi, że będzie stawiał do ringu własnego psa, właściciel zaledwie wrzuszył ramionami. Był zajęty czymś innym. Tego dnia otrzymał wiadomość, że po długiej nieobecności ma powrócić Kapitan. Pośpiesznie nabazgrał imię Damy na brudnym kawałku papieru i skinął w stronę ławki.

- Jest dobra - powiedział cicho Tom.

- Naprawdę? - Brassey wrzuszył beztrósko ramionami. Wzrok utkwił w drzwiach. -

Cóż, wrzucić ją do środka, gdy nadejdzie czas. Może wejść, jeśli będzie dość zainteresowania.

- Czy ta różowa bestia to nie suka starego Jeremiahy? - zapytał jeden mężczyzna drugiego, gdy pokój się zapęłniał, pokazując palcem Damę.

Ubranego w brudny kołnierzyk i podarty frak mężczyznę spowijała żalosna aura duchownego, dla którego nadeszły ciężkie czasy. Twarz miał usianą błękitnymi żyłkami niczym ser Stilton.

Jego towarzysz, straganiarz, który pachniał mocno stajym mięsem, potrząsnął głową, ściskając łapy Damy.

- Niemożliwe. Jęny wyciągnął nogi ponad trzy miesiące temu. W każdym razie jego pies to była sama skóra i kości. Ten wygląda parszywo, trzeba przyznać, ale nogi ma silne. - W tym miejscu straganiarz obejrzał się ostrożnie przez ramię i ściszył głos do szeptu.

Chwilę później Brassey pośpieszył do drzwi. Przybył Kapitan. Ponownie towarzyszył mu jego przyjaciel o wąskiej twarzy, który wyglądał, według Toma, jeszcze chudziej niż poprzednio.

- Lepiej żebyś miał dzisiaj kilku niezłych graczy, Frank Jakąś świeżą krew - uśmiechnął się Kapitan, ukazując zęby.

- Nie chciałbym się znowu rozczarować.

- Ależ, Kapitanie, rozczarować się? Zabawą, którą mamy tu dzisiaj dla Kapitana? - słodził Brassey, a jego pozbawiona szyi głowa obracała się dookoła. - Wydaje mi się to niemożliwe.

Jego żabi uśmiech rozciągał się szeroko. Ale gdy odwrócił się, żeby schwycić swojego pomocnika za kark, usta drżały mu, jakby ktoś posypał je solą.

- Jeśli salon na górze nie będzie otwarty za dwie minuty

- syknął do uszu chłopca - kaimy posypią się na jego głowę jak na Sądzie Ostatecznym.

Wskazując drogę palcami u nóg, Brassey zaprowadził Kapitana do łoża. Ale Kapitan nie chciał usiąść. W zamian, zachęcony przez swojego towarzysza, który krzyczał i przyciskał do ust chusteczkę jak dama, która ma zaraz zemdleć, wszedł do dołu. Odpychając na bok chłopca Brasseya, zaczął wyrzucać szczury jeden po drugim za ogon z klatki. Kierowca omnibusu ostrzegł go przed ugryzieniem, ale on nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Gdy jeden z gryzoni próbował wdrapać się na jego nogę, chwycił go i wyrzucił w powietrze.

- Złaż ze mnie, ty plugawy robalu - warknął i kopnął szczura, gdy ten jeszcze znajdował się w powietrzu. Zwierzę przeleciało nad dołem i wylądowało z głuchym pacnięciem na ścianie.

Z ust specjalnych gości wydobył się głośny krzyk radości. Kapitan uklonił się i kopiąc



jeszcze dwa szczury, które obwąchiwały mankiet jego spodni, wyszedł z dołu i pstryknął palcami.

- Ruszajcie! - krzyknął.

Twarz mu poczerwieniała i wychylił się tak mocno nad dołem, że w jego ciemnych oczach odbijało się światło gazowych lamp.

- Zaczynajmy!

Pierwszy pies nie pokazał zbyt wiele, a drugi na dobrą sprawę też nie. Kapitan wezwał gniewnie kilku zaufanych właścicieli i zażądał, aby wnieśli swoje zwierzęta do ringu. Niechętnie potrząsali głowami, twierdząc, że ich psy nie są w formie albo jeszcze nie są gotowe na takie duże szczury. Twarz Kapitana pociemniała. Chwyciwszy laskę przyjaciela, zamaszystym ruchem uderzył mocno jej srebrną końcówką w ruszającą się stertę szczurów. Nie minęła chwila, a trafił jednego z nich w czaszkę. Stworzenie ruszyło chwiejnie po deskach dołu i upadło.

- Na litość boską! Jeśli ja mogę to zrobić... - syknął do przyjaciela, który zachichotał i przyglądał się plamom krwi na swojej lasce z językiem wysuniętym pomiędzy zębami, jakby miał ochotę je zlizać.

Brassey z obawą kazał postawić w ringu kolejnego psa. Jego pysk wykrzywił złowrogi grymas, ale zwierzę wykonywało jedynie nieśmiałe kroki w stronę swojej ofiary, przestraszone jak dziecko, gdy szczur skoczył mu do pyska. Wycofał się wtedy do swojego sekundanta. Sekundant klaskał z furią w dłonie i krzyczał gniewnie na psa, żeby zaatakował, ale pomimo tych wszystkich starań pies wyglądał bardziej na przestraszonego niż żadnego krwi. Wykonał kilka słabych ataków, ale szczury go wystraszyły i dobrze o tym wiedziały. Razem ruszyły na psa. Kapitan kopnął ze złością w ścianę dołu i zażądał, by zakończyć walkę.

- Marnujesz mój czas, Brassey - wycedził. - Zobaczyłbym więcej rywalizacji na zajęciach kółka robótek ręcznych.

- Ależ przyjacielu - łagodził Brassey, a na czoło wystąpił mu pot - Proszę o cierpliwość. Zaledwie zaczęliśmy.

Kapitan parsknął i chwycił kapelusz. Tuż za nim jego towarzysz pociągnął za szalik, a kąciaki ust wykrzywił mu uśmiech prostaka.

- Chodź, Henry - warknął Kapitan. - Nie będziemy się już więcej kłopotać wizytą w takim podrzędnym miejscu.

To była zabawa. Specjalni goście przycichli, żeby obserwować.

- Panowie, panowie, proszę. Nie tak szybko.

Małe oczy Brassey'a przemierzały rozpaczliwie pokój.

- Ach, Tom! Moi panowie, oto mamy psa godnego waszej uwagi. Nigdy przedtem nie walczył.

Kapitan warknął gniewnie i kopniakiem przewrócił swoje krzesło.

- To znaczy, nie tutaj - dodał pośpiesznie Brassey - Ale jest czempionem w Borough. Jest tam sławna. To prawdziwy fenomen. Prawda, Tom? Jesteście sławni, obydwójce, w Borough.

Szarpnął mocno Toma za rękaw. Tom nic nie powiedział, ale jego ręka znalazła ucho Damy. Otarła swoją głowę o dłoń Toma.

- Fenomen? - rzucił pogardliwie Kapitan. - Ten kundel?

Niski pomruk śmiechu dobiegł z tłumu. Brassey przełknął głośno, a jego żabie oczy stały się jeszcze bardziej wypukłe.

- Z pewnością. Sam stawiałem na nią duże pieniądze wiele razy.

Obliznął usta, majestatycznie podnosząc krzesło Kapitana iścierając trociny z jego siedzenia.

- Zaczynaj, Tom. Pokaż Kapitanowi, co jest warta.

Kapitan się zawahał. Następnie, wzruszając ramionami, cisnął kapelusz z powrotem na krzesło i założył przed sobą ramiona. Nie usiadł.

- Dalejże więc, człowieku z kundlem - wycedził Kapitan. - Niech się zacznie masakra.

Do dołu wpuszczono świeżą górę szczurów. Bardzo cicho Tom rozwiązał sznur wokół szyi Damy i ujął jej pysk w obydwie dłonie. Spoglądała na niego przeciągle swoimi różowymi oczami. Potem przełożył ją ponad ścianką ringu.

- Co robisz? - syknął Brassey purpurowy na twarzy - Jesteś jej sekundantem, prawda? Musisz z nią wejść.

Tom jednak potrząsnął głową.

- Nie, ona tego nie lubi.

- Na litość boską, człowieku!

Ignorując właściciela pubu, Tom opuścił delikatnie Damę na podłogę. Specjalni goście szeptali, potrząsając głowami. Kapitan szalał z gniewu. Przez chwilę Tom trwał zupełnie nieruchomo, obejmując dłońmi klatkę piersiową Damy, a jego palce tkwiły w zagłębieniach pomiędzy jej zębami. Kapitan uderzał niespokojnie butem o podłogę i bębnił palcami po

- To znaczy, nie tutaj - dodał pośpiesznie Brassey - Ale jest czempionem w Borough. Jest tam sławna. To prawdziwy fenomen. Prawda, Tom? Jesteście sławni, obydwójce, w

Borough.

Szarpnęła mocno Toma za rękaw. Tom nic nie powiedział, ale jego ręka znalazła ucho Damy. Otarła swoją głowę o dłoń Toma.

- Fenomen? - rzucił pogardliwie Kapitan. - Ten kundel?

Niski pomruk śmiechu dobiegł z tłumu. Brassey przełknął głośno, a jego żabie oczy stały się jeszcze bardziej wypukłe.

- Z pewnością. Sam stawiałem na nią duże pieniądze wiele razy.

Obliznął usta, majestatycznie podnosząc krzesło Kapitana iścierając trociny z jego siedzenia.

- Zaczynaj, Tom. Pokaż Kapitanowi, co jest warta.

Kapitan się zawahał. Następnie, wzruszając ramionami, cisnął kapelusz z powrotem na krzesło i założył przed sobą ramiona. Nie usiadł.

- Dalejże więc, człowieku z kundlem - wycedził Kapitan. - Niech się zacznie masakra.

Do dołu wpuszczono świeżą górę szczurów. Bardzo cicho Tom rozwiązał sznur wokół szyi Damy i ujął jej pysk w obydwie dłonie. Spoglądała na niego przeciągle swoimi różowymi oczami. Potem przełożył ją ponad ścianką ringu.

- Co robisz? - syknął Brassey purpurowy na twarzy - Jesteś jej sekundantem, prawda? Mu.sisz z nią wejść.

Tom jednak potrząsnął głową.

- Nie, ona tego nie lubi.

- Na litość boską, człowieku!

Ignorując właściciela pubu, Tom opuścił delikatnie Damę na podłogę. Specjalni goście szeptali, potrząsając głowami. Kapitan szalał z gniewu. Przez chwilę Tom trwał zupełnie nieruchomo, obejmując dłońmi klatkę piersiową Damy, a jego palce tkwiły w zagłębieniach pomiędzy jej żebrami. Kapitan uderzał niespokojnie butem o podłogę i bębnił palcami po ścianie dołu. Brassey zacisnął swoje wilgotne pięści i zamknął oczy. Wtedy Tom wstał, składając razem ręce. Spojrzał przeciągle w dół na psa. Dama zatrzymała się, a wzrok utkwiała z namysłem w pulsującej górze szczurów. Wyglądała na bardzo małą i różową.

A potem, bez jednego dźwięku, zaczęła zabijać. Zabijała je jednego po drugim, następnego, a potem jeszcze kolejne, nieomal nie zatrzymując się,- by wziąć oddech. Specjalni goście gapili się z otwartymi ustami. Palce Kapitana przestały bębnić, żeby zacisnąć się na ścianie dołu. Jego oczy spoglądały bystrzej z chciwości i zachwytu. W niewiele więcej niż minutę tuzin szczurów z purpurowymi szycami leżał, zdychając wokół ringu, a biała farba dołu była spryskana krwią. Gdy minął czas, trupy piętrzyły się pod ścianą jak brudne worki z

piaskiem. Tom cicho zawołał Damę. Posłusznie usiadła z każdym mięśniem napiętym, ze wzrokiem utkwionym w kilku pozostałych przy życiu szczurach.

Nastąpił moment oszołomionej ciszy, po czym wybuchły krzyki. Kapitan uderzył pięściami mocno w ściankę dołu. Oczy mu błyszczały, oddychał szybko i urywanie jak pies.

- Więcej! - zażądał. - Dajcie jej więcej!

Rozentuzjasmowani specjalni goście podjęli zawołanie.

- Więcej! Więcej! - Pięści pełne monet wzbijały się w powietrze. - Więcej! Więcej! Więcej!

- Dlaczego nie, zaiste! - zawołał Brassey, tańcząc z zachwytu, gdy zauważył banknot tkwiący w palcach przyjaciela Kapitana. - Dajcie bestii jeszcze jedną rundę.

Tom sięgnął do dołu i wziął Damę na rękę. Krzyki protestu rozbrzmiały na sali.

- Wystarczy - stwierdził cicho Tom.

- Ale Tom... Tom, no zgódź się, jeszcze jedna dwudziestka - zaprotestował Brassey.

- Skończyła na dzisiaj - odparł kategorycznie.

- Świetny zabójca.

Kapitan odezwał się miękko, pochylając się w stronę Toma. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć głowy Damy, ale pies obnażył zęby w niemym warknięciu. Uśmiechając się słabo, Kapitan sięgnął do kieszeni po cygaro.

- Świetny, świetny zabójca.

- Mówiłem panu, prawda? - Brassey wtrącił triumfalnie, a w jego palcach rozbłysła zapalka. - Fenomen. I Tom zamierza wystawiać ją tutaj do walk regularnie, prawda, przyjacielu? Regularnie.

Kapitan zaciągnął się i oparł się o ścianę, odpychając Brassey'a.

- Szukam psa - zwrócił się do Toma.

Tom czekał. Kapitan zasznurował usta i wypuścił dym zgrabnym łańcuchem kółek.

- Jeśli twój pies potrafi zabić piętnaście w jedną minutę, to dam ci w zamian pięćdziesiąt gwinei.

- Sto.

Kapitan zakrztusił się od dymu w ustach.

- Sto gwinei? - zakaszłał. - Straciłeś rozum?

- Taka jest cena.

Kapitan zmierzył Toma wzrokiem od stóp do głów. Włosy szperacza posklejane były w kępki, a od jego starego płaszcza dochodził odór kanałów. Bóg jeden wiedział, jak fatalny musiał się wydawać jego zapach psu, który wcisnął swój nos mocno pod podartą klapę. Sto

gwinei! Stary oszust musiał brać go za głupca. Włóczęga taki jak ten wziąłby pięćdziesiąt i uważałby się za największego szczęściarza pod słońcem.

- To zupełnie niemożliwe - odparł, wzruszając ramionami. - Pięćdziesiąt to najlepsza cena, jaką mogę zaoferować.

Tom wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Sto - powtórzył.

Obydwaj mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę. Twarz Toma była nieruchoma, ale oko Kapitana zadrgało, a na jego policzki wystąpiły dwie czerwone plamy.

- Siedemdziesiąt pięć - rzucił w końcu.

Tom uniósł jedną brew.

- Dobranoc, Brassey - rzucił cicho, skinąwszy głową ponad ramieniem Kapitana.

- Ależ Tom, zgódź się - naciskał Brassey, spoglądając nerwowo na Kapitana. - Siedemdziesiąt pięć gwinei.

- Dobranoc - powtórzył Tom.

Kapitan musiał mieć długi krok. Znalazł się przy drzwiach do sali, gdy Tom wyciągał dłoń, żeby je otworzyć.

- Osiemnaście w minutę.

- Sto gwinei?

- Sto gwinei.

Tom zastanawiał się przez chwilę, dłonią głaszcząc ucho Damy. Potem skinął głową.

- Jutro wieczorem? - zaproponował Kapitan.

Tom potrząsnął głową.

- Pies potrzebuje odpoczynku. Dajcie nam miesiąc.

Kapitan parsknął, ale jego wzrok utkwiony był w Damie, jakby była kawałkiem steku.

- Wydawało mi się, że ma być fenomenem.

- Widział ją pan.

- Fenomen bez ducha walki - rzucił gniewnie Kapitan, kierując zapalony koniec cygara w stronę nosa psa. - Myślisz, że zapłacę sto gwinei za coś takiego?

- Więc proszę nie płacić - odparł Tom, wzruszając ramionami.

Kapitan trzymał długo cygaro w ustach, aż w końcu wypluł kłęb dymu.

- No dobrze, no dobrze - zgodził się gniewnie. - Miesiąc od dzisiaj.

- Sto gwinei - powtórzył wolno Tom, rozkoszując się smakiem słów.

- Sto gwinei.

Kapitan spojrzał gniewnie na psa, ale chciwość złagodziła mu ostro zarysowane kąciki

ust

- Lepiej żeby bestia pokazała, że jest tego warta.

Sto gwinei. Tej nocy Tom niósł Damę przez całą drogę do domu, wtuloną w jego pierś. Sto gwinei. Osiemnaście w minutę to dużo, ale nie niemożliwe, nie dla Damy. Ona nie była żadnym zwyczajnym psem. Tom dostanie swoje sto gwinei, nie ma wątpliwości. Kto by się teraz martwił, czy zbudują dla Królowej Anglii pałac na dole w kanałach? Nie będzie musiał schodzić na dół nigdy więcej po nic, nawet gdyby miał żyć przez kolejny tuzin lat Sto gwinei! Cena setek tysięcy szczurów, całych lat szczurów, nawet gdyby nadal można je było łapać - za jednego jedyne psa. Ktoś spojrział na niego przychylnie tego dnia, gdy zabrał ze sobą Damę spod pubu Badger. Kto by pomyślał, że człowiek taki jak on będzie miał takie szczęście? Sto gwinei. Sto gwinei! To był prawdziwy cud.

Gdy wrócili do kwatei, zjedli wspólnie talerz duszonego mięsa. Tomem zaczął targać niepokój. Być może nie miał racji, upierając się przy miesiącu. To było dość czasu, żeby Kapitan zmienił zdanie, żeby spodobał mu się inny pies. Przełknął głośno i zjadł następny kęs chleba. Psy takie jak Dama nie zdarzały się codziennie. A w ten sposób zyska czas, żeby wyćwiczyć ją tę odrobinę więcej i być pewnym nagrody. Za parę tygodni będzie miał swoje sto gwinei - sto gwinei! A Kapitan, no cóż, Kapitan będzie miał Damę. Dłoń Toma powędrowała bezwiednie w miejsce na brzuchu psa, gdzie lubiła, żeby ją głaskać. Owinęła się szczęśliwie wokół ręki i zamknęła oczy. Będzie miała dobre życie u Kapitana. Pies wart sto gwinei będzie żył jak królowa, najlepsze kawałki mięsa z każdego posiłku. Usiłował nie pamiętać, jak Kapitan na nią spoglądał, łapczywie, jakby miał ją zjeść. Najprawdopodobniej będzie spał z nią w jednym łóżku, żeby ochronić ją przed złodziejami. Musiał dostrzec w niej czempiona.

Sos kapnął z talerza na nagie deski podłogi. Kolana Toma drżały. To jej waga, zbyt wielka jak na jego stare kolana. Postawił talerz, a Dama wyciągnęła się u niego na kolanach zadowolona jak kot. Płomień świecy sprawiał, że wyglądała jeszcze bardziej różowo niż zwykle. Jest parszywie wyglądającą bestią, pomyślał i poczuł, jak coś go dusi, jakby kawałek mięsa stanął mu w gardle. Przełknął mocno, ale nie pomogło. Szczypało go w nos. Niecierpliwie wytarł go w rękaw. Nigdy nie potrzebował nikogo, nigdy przez wszystkie te lata. Bycie samemu było dla niego sposobem na życie. Zawsze mu to odpowiadało, nikt na nim nie polegał, nikt nie był dla niego ciężarem. Był za stary na takie rzeczy teraz. A Dama, no cóż, Dama robiła karierę. Nie minie wiele czasu, a sama będzie miała wymyślną złotą obrożę, jak ten wypchany czempion w pubie Badger, może nawet dwie obroże. Jej życie będzie tak olśniewające, że nawet nie pomyśli o swoim starym panu w nędznej kwaterze nad

dziedzińcem w St Giles. Możliwe że będzie wręcz zadowolona, że się go pozbyła. Czekala ją kariera czempiona, właśnie ją, i życzył jej dobrze. Miał jedynie nadzieję, że go nie zapomni, starego Toma, który popchnął ją we właściwym kierunku. On jej nie zapomni. Otoczył ją ramionami tak mocno, że warknęła na niego sennie i wyslizgnęła się z jego uścisku. Nie poruszył się, aż świeca się wypaliła i ostatnie resztki ciepła suki wystygły mu na kolanach.

## IX

Pięćdziesiąt cegielni w samym Londynie, a pan mi mówi, że dokąd musimy się udać po nasze cegły?

- Do Stowbridge, sir. To w hrabstwie.

- Ile razy będę musiał pana napominać w tym względzie?

- warknął Hawke. - Czy ma pan jakiegokolwiek wyobrażenie okoszcie transportu cegieł na odległość większą niż sto pięćdziesiąt mil?

- Oczywiście, sir. Proszę, przygotowałem szczegółowe kalkulacje.

Hawke chwycił plik kartek, który wyciągnął w jego kierunku William. Spoglądając na pierwszą stronę, uderzył w nią pogardliwie tyłem dłoni, a jego twarz pociemniała. William przygryzł wargę, ale nie ustąpił. Gniew Hawke'a mógł się okazać fatalny w skutkach, jako że Hawke był nie tylko jego przełożonym, ale miał znaczną władzę w Board of Works, niemniej w tym wypadku William uważał, że stoi na bezpiecznej pozycji. Specyfikacje cegieł, którym Hawke przeciwstawił się tak zdecydowanie, zostały określone przez samego Bazalgettea. W testach, które na nich przeprowadzili, cegły Stowbridge okazały się idealne do zamierzonych celów. W istocie William w ciągu ostatnich miesięcy zaczął podejrzewać, że napady złości Hawke'a, mimo że częste i bardzo przekonujące, mogły nie odzwierciedlać jego prawdziwego stanu umysłu. Zadaniem Hawke'a było rozliczenie się z każdego pensa wydanego przez Radę i troska, aby zastosować jak najoszczędniejsze i wydajne rozwiązania. Zastraszanie było z pewnością pożytecznym narzędziem w tych negocjacjach. Niemniej nawet ataki na pracowników miały ograniczony skutek. Już finalizowano przygotowania do pierwszych wykopów pod kanały. Umowy z cegielniami należy sporządzić przed Bożym Narodzeniem. Hawke może sobie krzycheć i grozić, ale prędzej czy później będzie musiał pogodzić się z tym, że mimo iż bardziej kosztowna, niż by sobie tego życzył, akceptacja umowy z fabryką Stowbridge była równie nieunikniona, co uzasadniona.

- Założenia, które przyjęliśmy, są wyszczególnione w załączniku - kontynuował spokojnie William. - Pan Lovick przyznaje, że są tak precyzyjne, jak można oczekiwać na obecnym etapie.

Hawke spojrział na Williama gniewnie, rzucając mu w twarz garść kartek.

- To niemożliwe! Są cegielnie, tutaj, w Londynie, które wyprodukują cegły za połowę tej ceny. Mniej niż połowę. Cegielnia Alfreda Englanda na przykład. Skończy pan z tym nonsensem ze Strowbridge i będzie współpracować z tymi cegielniami, z cegielnią Englanda, niech was cholera, albo każę panu odpowiadać przed samą Radą. Czy mówię wystarczająco jasno?

Zwijając kartki w kulkę, rzucił je do kosza. William musiał opanować chęć ich podniesienia. Mięsień zadrgał w policzku Hawke a, gdy przechylał się ponad biurkiem.

- Czy jest pańskim zamiarem aby ten projekt upadł, May? A może oczekuje pan na bezpośrednie korzyści z umowy ze Strowbridge? Czy tak? Podziela się korzyściami, tak? Ile, May, no? Kilkaset? Więcej, z pewnością? Kilka tysięcy?

William z trudem złapał powietrze. Rozumiał, że Hawke musi go naciskać przy decyzjach tej natury, musi zagwarantować, aby pieniądze Rady były wydawane we właściwy sposób, ale żeby zarzucać mu tak haniebny czyn, żeby kwestionować nie tylko osąd Williama, ale również jego dobre imię, jego honor? Gniew zagotował mu się w piersi. Jednocześnie był pewien, że na to właśnie miał nadzieję Hawke, że straci panowanie. Nie straci panowania. Zaciskając pięści, William wziął głęboki oddech.

- Jestem przekonany, iż jest pan świadomy, sir - odparł uważnie - że Komisja wyraźnie sprecyzowała, iż wszystkie umowy mają być zawierane jedynie na podstawie oceny merytorycznej. I zgodnie z tym, co uzgodniliśmy już kilkakrotnie, żadna cegielnia w Londynie nie spełnia specyfikacji wymaganych przez pana Bazalgettea.

- Czy bierzesz mnie za głupca, ty bezczelny ośle? - syknął Hawke. - Cegielnia Englanda niezdolna do wyprodukowania cegieł?

- Do wyprodukowania odpowiednich cegieł, sir.

- W takim razie, do cholery, człowieku, to twoje zadanie, żeby pokazać im, jak to zrobić!

- To byłoby zupełnie niemożliwe, sir. Widzi pan, metody wykorzystywane przez fabrykę zakłady Strowbridge są chronione patentem.

- Patentem? Jeśli o to chodzi...!

Hawke przesunął z niedowierzaniem dłonią po czole, a następnie pozwolił sobie na mały chłodny uśmiech z gatunku tych, którym nauczyciele obdarzają uporczywie nierozsądne dzieci.

- Pozwoli pan, że coś mu powiem, May. Patenty są - no cóż, powiedzmy po prostu, że nie ma powodu, aby ograniczały one nasze działania. Był pan w tej cegielni, prawda? I zna pan zasady ich produkcji? Doskonale zatem. Cegielnia Englanda to ciesząca się dobrą opinią



firma z tradycjami, która jest gotowa zaoferować wyjątkowo korzystne warunki. Jeżeli po prostu zastosujemy u nich technologię ze Strowbridge, to jestem pewien, że będzie można wprowadzić stosowne korekty, aby uniknąć oskarżenia o - jakby to powiedzieć - bezpośrednie naruszenie ich praw. Widzi pan, May - patenty wyjątkowo trudno chronić. Jeśli to jest jedyna przeszkoda...

- Obawiam się, że to nie jest takie proste, sir - odparł William. - Nawet gdybyśmy mieli zlekceważyć patent, co, jak rozumiem, jest naruszeniem prawa, udoskonalenie skomplikowanego systemu pieców w Strowbridge zajęło całe lata. Nawet gdybyśmy byli w stanie skopiować tak zaawansowany system, byłoby to z pewnością niemożliwe w czasie, w którym musimy wyprodukować wystarczającą ilość cegieł wymaganej jakości...

- Dość! - Hawke uderzył pięścią w swoją skórzaną podkładkę na biurku.

Stery papierów zadrżały w popłochu. Bardzo wolno Hawke pochylił się nad biurkiem, aż jego twarz nieomal dotykała twarzy Williama. Ciemne brwi błyszczały od potu. Pachniał mocno potem i gospodami.

- Słuchaj, May - warknął. Kropelki śliny pojawiły się w kąciakach jego ust - Próbowałem przekonać cię racjonalnie. Już od miesiący próbuję przekonać cię racjonalnie. Ale, oczywiście, traciłem czas. Któż przecież może mieć nadzieję, że przekona szaleńca? O tak, wiem o tobie wszystko. Myślałeś, że jesteś bezpieczny, ponieważ Rawlinson trzymał gębę na kłódkę? Cóż, bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować. Wiem wszystko. Każdy szczegół. Postradałeś zmysły, walcząc z Rosjanami, prawda, ohydny tchórz? Zgłupiałeś, oszalałeś, postradałeś zmysły całkowicie. Do licha, szaleńcze, powinni cię zamknąć i wyrzucić klucz. Myślisz, że nie wiem, co robisz na dole, w kanałach, gdy wydaje ci się, że jesteś sam? Jesteś dewiantem, May, błędem natury. Słyszysz mnie? Jesteś odrażający. Byłbyś obrzydzeniem dla każdego normalnego, bogobojnego chrześcijanina. Dla członków Rady, na przykład. Jak myślisz, co by powiedzieli, gdyby dowiedzieli się o twoich perwersjach? Naprawdę myślisz, że pozwoliliby na kontynuowanie twojego zatrudnienia tutaj? Czyż tak? Czyż tak?!

Twarz Hawke'a była tak blisko, że William mógł zajrzeć do środka śliskich ciemnych kanalików jego porów. Zacisnął przed sobą dłonie. Nic nie powiedział. Czuł się wyblakły, zimny, tak ulotny jak dym. Wówczas Hawke odsunął się gwałtownie. Gdy znów się odezwał, jego głos był ostry jak nóż.

- Jutro spotka się pan z Alfredem Engländern. Poinformuje go szczegółowo o wszystkich poprawkach, które musi wprowadzić w swojej cegielni w Londynie, aby wyprodukować te cegły, którymi tak zachwycony jest pan Bazalgette. I mam nadzieję, że

będzie pan dość mądry, aby dopilnować, że będą one dla was zadowalające, ponieważ gdy nadejdzie czas na analizę ofert, osobiście będzie pan rekomendować jakość produktu firmy England. Nie będzie pan popierać oferty Strowbridge, ponieważ wówczas będę zmuszony podzielić się z Radą wszystkim, co wiem. Wszystkim. Po tym, no cóż, trudno byłoby się spodziewać, że będą chcieli pana zatrudnić. I w istocie, jakakolwiek inna szanująca się firma, gdyby się nad tym zastanowić. To byłoby całkowicie nie do pomyślenia, nieprawdaż? Bardzo małe nadzieje na przyszłość może żywić człowiek, którego dobra opinia doznała takiej skazy. Straci pan wszystko.

Usta Hawke'a wykrzywiły się w grymasie rozbawienia, gdy strzepywał nieistniejący pył ze swojego rękawa. William wpatrywał się w niego z twarzą białą jak ściana. Słowa wirowały mu w głowie, a potem znikwały. Jego język, wargi w ogóle ich nie rozpoznawały.

- Wydaje mi się, że skończyliśmy omawiać nasze sprawy. Chciałbym jednak pana zapewnić, że zawsze dotrzymuję danego słowa.

Uśmiech Hawke'a zadrgał.

- Byłoby niemądrze, gdyby chciał pan to sprawdzić. Do widzenia, sir.

William nie pamiętał, jak znalazł drogę do swojego boksu, ani godzin, które nastąpiły, gdy siedział zupełnie sztywny i wpatrywał się w ścianę. Jego palec przebiegał automatycznie wzdłuż kolumn liczb i w poprzek przekrojowych rysunków, ale kreślone ołówkiem znaki zlewały się i były zupełnie niezrozumiałe. Strach i wstręt do samego siebie wchodziły w reakcję jak zaczyn w cieście, narastając w nim, aż ledwie był w stanie oddychać. Wydawało mu się, że jest już prawie bezpieczny.

Nie ciął się od tygodni. Na zewnątrz ciemniało już listopadowe popołudnie. To była długa sucha jesień. Nieprzerwany ruch uliczny ścierał spadłe liście w miedziany kurz i wczesnym popołudniem słońce jak stopniałe masło zbierało się na czarnym jak sadza stopniu tylnego wejścia. Nie, żeby William bywał w Lambeth i mógł to zobaczyć. Teraz, gdy wielki projekt Bazalgette'a ruszył, biura na Greek Street aż kipiały od aktywności. Każdego dnia nowe zapytania, obliczenia i umowy do zrealizowania. William często siadał przy swoim biurku przed siódmą i wracał do domu dopiero późnym wieczorem. Ale w niedziele zaczął znowu rysować. Kupił nowy notatnik w miękkiej jasnobrązowej skórce, w którym mógł uwiecznić piórem i akwarelą kwitnące w zaroślach wzdłuż torów kwiaty. Jednocześnie kupił szkicownik oprawny w płótno i pęk kolorowych ołówków dla Di, żeby mógł siedzieć obok swojego ojca, z językiem wysuniętym pomiędzy zębami, i tworzyć swoje własne nierówne płatki i listki. Pod koniec września William przyniósł do domu zepsute arkusze peluru, na których zaczął, najpierw nieśmiało, a potem z rosnącym zapałem, planować ogród. Będą tam

warzywa, oczywiście, ale nie miał dla nich większego uznania. Skoncentrował się natomiast na słonecznym południowym pasku ogrodu. Tam razem z Di zasadzą kwiaty dla Polly. Dla Polly i dziecka. Bo Polly znowu była brzemienna. Noc w noc, gdy spała obok niego, William obejmował delikatnie dłońmi krągłość jej brzucha i planował kołyskę, jaką zrobi dla niemowlęcia. Di nigdy nie miał kołyski. W domu starszej kobiety w Battersea, jak opowiadała Polly, dzieci leżały zawinięte w rzędach koszyków na owoce jak jabłka. Ale to dziecko będzie miało kołyskę, kołyskę na biegunach, z firaneczkami i malutką kołderką, kołyskę jak z bajki. I William otworzy drzwi w Lambeth i kołyska stanie przed buzującym na kominku ogniem i Polly będzie się uśmiechać, i podniesie palec do ust, bo w idealnej kołysce będzie spało dziecko z maluteńkimi różowymi usteczkami, ułożonymi w maluteńki różowy uśmiech. I wszystko będzie tak, jak należy. Tak jak zawsze marzyli.

Ogień w pokoju mierniczego zgasł i popiół spadł z szelestem do popielnika. Dłonie Williama były zmarznięte, wokół kostek miały sine zabarwienie. Był całkiem sam. Nienawistne słowa Hawke'a rozbrzmiewały w jego głowie, ale nie były niczym więcej niż czarnymi cieniami, które uciekały mu i sprawiały, że kręciło mu się w głowie. Musiał się z nimi zmierzyć, wiedział to, nawet siedząc i drżąc w swoim zimnym boksie. Musiał je chwycić, nagiąć do własnej woli, bo w przeciwnym razie straci wszystko. Straci pan wszystko. Bez względu jednak na to jak natarczywie powtarzał tę straszną mantrę, wyslizgiwała mu się i w rezultacie nie był w stanie poczuć tej okrutnej prawdy. Jego umysł był zamknięty na cztery spusty. Serce zeszło się, zamknęło tak mocno jak orzech i nie chciało jej wpuścić do środka. William to dostrzegł i gardził sobą za tę słabość. Wiedział już teraz, że będzie stał z boku, obserwując nieubłagane nadejście własnej ruiny, i że nic nie zrobi. Nic nie będzie czuł. Zacisnął pięści, wbijając kostki palców w ciało ud, gdy ciemność zaczęła go wypełniać, wolno najpierw, osiadając jak sadza, a potem w nieprzerwanej powodzi o takiej intensywności; że miażdżyła mu organy w piersiach i zatruchiwała do szpiku kości. Wcisnęła mu się do oczu, aż w końcu nie widział nic, tylko ciemność wypełniającą mu głowę rodzajem nieprzerwanego bezlitosnego pisku. Nie mógł oddychać. Ciemność zatykała mu płuca i zaciskała na gardle swoje miękkie macki. Na biurku leżał porzucony nóż, taki, jakiego używano do rozcinania gazet. Srebrne ostrze rozbłysło, błysk doskonałego światła w ślepej ciemności. Tępy, ale jedną krawędź ostrza miał wykończoną zębami, więc jeśli wbiło się mocno i piłowało z wystarczającą zapalczywością...

Potem zdawało mu się, że chodził po mieście przez wiele godzin. Bolały go stopy, a mankiety spodni sztywne były od kurzu. Na krótko przed wschodem słońca wrócił do domu w Lambeth po świeżą koszulę. Rękawy tej, którą miał na sobie, zwisały w pokrzwionych

strzępach. Zwinął ją w kulkę i ukrył w wąskiej szafce pod schodami. Polly i dziecko jeszcze się nie obudzili. W kuchni nalał wody i umył się. Poszarpane rany na ramionach były brudne i szorstkie od włókien bawełny, ale dłonie mu nie drżały, gdy je czyścił i przewiązywał, a potem wyszedł cicho z domu. Czuł się spokojny i miał bardzo jasny umysł.

Zanosilo się na kolejny piękny dzień. Słońce było jak świeżo umyta cytryna na tle bladobłękitnego nieba, a resztki brązowych liści opadły z niskich gałęzi płatanu jak pomarszczone dłonie. Gdy przechodził przez rzekę, podążył wzrokiem za jej nurtem w miejsce, gdzie pierwsze żelazne żebra nowego Westminster Bridge tworzyły czarne grube linie na skąpanej w słońcu koronce fal. Za nim, wzdłuż obszernego rowu wykopanego w północnym wale rzeki, ogromne sterty rusztowania walczyły o miejsce z drewnianymi chatami i zwałami ziemi i gliny, a nad tym całym wspaniałym chaosem górował olbrzymi dźwig z potężnym ramieniem uniesionym do góry w geście triumfu. Jak miasto długie i szerokie, Londyn znajdował się w ciągłym stanie oblężenia i barykady, na każdej z ulic błyszczały fortyfikacje, gdy wynoszono błoto, a na jego miejsce kładziono fundamenty nowych i lepszych budynków, szybszych kolei, prostszych i szerszych dróg. Postęp był nieprzerwany i nieunikniony. Niestrudzenie torował sobie drogę przez londyńską glinę, pnąc się w górę, przez błoto i przybierając formę kolonad i wież oraz w dół, drażąc tunele i podziemne pałace. Człowiek mógł mieć jedynie nadzieję, że uda mu się okiełznać tę energię, ukształtować ją tak, aby wieże pyszniły się swoją urodą na de porannego nieba, a przebieg tuneli pozostał na zawsze stateczny i godny. Te cudowne wieże i tunele będą istnieć na długo po tym, jak ohydne historie zwykłego życia, które zostało źle przeżyte, przejdą w zapomnienie. A chociaż może nie być innych świadków, kiedyś te wieże i tunele będą mogły, w jakiś niewidoczny sposób, zaświadczyć, że jest możliwe, aby coś na kształt honoru dało się w końcu wykrzesać z rozgniecionych ziaren niegodnego życia.

\*

Alfred England był człowiekiem dużej postury, barczystym, o sumiastych wosach, miał jednak nienaturalnie wysoki głos i niespokojny temperament Często w czasie spotkania i podczas późniejszych, w następnych dniach, jego łysy przybierały różne wyrazy, jakby próbując przed zdecydowaniem się na jeden z nich.

Hawke ze swojej strony emanował obleśną poufałością. W trakcie prezentacji poklepał Williama po przyjacielsku w ramię i mówił, używając gładkich, poufnych tonów partnerstwa, które miał nadzieję wytworzyć pomiędzy dwoma mężczyznami. William uścisnął niechętnie dłoń właściciela cegielni. Spodziewał się, że będzie miał okazję porozmawiać z Hawke'iem wcześniej tego dnia i w ten sposób uniknąć w ogóle takiego

spotkania, ale czy to celowo czy nie, Hawke okazał się nieuchwytny, udając się do cegielni sam i wysyłając kabriolet żeby przywiózł Williama z Greek Street. Drogi na południe były zatłoczone i pomimo krzyków powożącego i płochliwej energii jego konia dorożka posuwała się wolno. Siedzenia wewnątrz były zakurzone i pachniały mocno starym potem. William rozstawił nogi szeroko na podłodze, gdy pojazd podskakiwał na wybojach Victoria Street skręcając ostro, aby ominąć owcę, która odłączyła się od stada pasącego się przy Westminster Abbey. Było mu zimno i czuł się zupełnie spokojny. Pod bandażami przedramię pulsowało kojąco. Cegielnia Englanda nigdy nie weźmie udziału w przetargu. Specjalizowała się w taniej cegle, używanej przez spekulantów do stawiania podwójnych szeregowców, które wciskały się w zatłoczone miejsca wzdłuż fabryk i linii kolejowych, a które piły deszcz i sadzę swoimi lichymi ścianami tak łączywie jak gąbka.

Na podwójnej, wysokiej, kutej w żelazie bramie rozciągał się w poprzek napis: ENGLAND SON. Odźwierny ziewnął, wolno otwierając obydwie części bramy, pokazując na wpół przeżute kawałki lunchu. Wsiadłszy z dorożki, William wziął żółtą cegłę ze stosu ułożonego przy ścianie i zważył ją w dłoni. Była tak lekka i porowata jak pumeks. Wiele innych w stosie, najwyraźniej klinkierowych, zostało zbyt mocno wypalonych, pękły lub wypaczyły się w trakcie wypalania. Samo podwórze było dziwnie ciche. Kilku mężczyzn dźwigało palety cegieł do krytego wozu, który stał w odległym końcu podwórka i kominy pieca wyrzucały czarny dym, ale nie widać było nic z typowej krzątaniny i zgiełku pracującej pełną parą fabryki. Dwóch barczystych mężczyzn o owłosionej muskulaturze koni pociągowych opierało się o jedną ze ścian i przyglądało Williamowi, gdy szedł w poprzek wyboistego podwórka. Jeden z nich trzymał fajkę schowaną za plecami. Od suchej pogody błoto zaschło, tworząc głębokie bruzdy, a wznoszące się w górę ze swojego wyszczerbionego podłoża ogromne kopce cegieł wyglądały dziko i samotnie niczym opuszczone domostwa.

- Przystój w interesach? Ależ nie! - Wzrok Englanda pobiegł niespokojnie w stronę Hawke'a, którego twarz wykrzywił grymas, gdy skinął nieomal niezauważenie głową. - Cały czas jest duże zapotrzebowanie na nasze cegły. To firma England, mimo wszystko. Cieszymy się bardzo dobrą sławą w Londynie. Ale zmniejszyliśmy naszą produkcję, aby skoncentrować się wyłącznie na wymaganiach Rady - England odchrząknął. - Rozumiem, że chcielibyście, abyśmy pracowali pełną parą.

Williamowi stanął nagle przed oczami obraz kobiety z jedną dłonią spoczywającą na krągłym brzuchu, a drugą ściskającą dłoń małego chłopca. Ręce były szorstkie od ciężkiej pracy i wysiłków, by przetrwać. Polly. I jego matka. One obydwie. Każda z nich inna, a jednocześnie nie do rozróżnienia jak rysunek, który pokazał mu kiedyś nauczyciel

przedstawiający jednocześnie ptaka i królika, w zależności od tego, co chciało się zobaczyć. Nigdy nie wybaczył swojemu ojcu, że umarł, mimo że widział na własne oczy rozpaczliwą walkę sklepikarza, żeby pozostać przy życiu. Wszyscy w ich malutkim miasteczku widzieli to samo. Wszyscy byli zgodni, że śmierć sklepikarza, w odróżnieniu od innych, które mogli wymienić, przebiegała w przykładowy sposób. Pomimo ubóstwa rodzina zachowała coś z dawnego szacunku. Gdy byli zmuszeni przyjąć pomocną dłoń jałmużny, zawsze była ona hojna, a nigdy karząca. W wypadku Polly tak nie będzie. Hańba przylgnie do niej wszystkimi mackami, jak żałobne woale, dławiąc jej światło, na zawsze okrzykując ją kimś innym, niedotykalnym. Wszystko, co była zdecydowana zachować w tajemnicy, będzie znane przez wszystkich. Jej mąż zostanie okrzyknięty tchórzem, szaleńcem, stanowiącym śmiertelne zagrożenie dla siebie i - przeskok był mały, odrobinę większy niż krok - dla innych. Kto może wiedzieć, jakie straszności zamierzał ukryty pośród ludzi szaleniec? Szepty Hawke'a rozniosą się lotem błyskawicy, rozgrzewając nastroje w salonach i klubach Londynu aluzjami i domysłami. Zdrowi na umyśle ludzie będą ich unikać, drżąc ze słusznego obrzydzenia. Bezlitosne szczęki ubóstwa będą odpowiednią dla nich karą, ich wstyd wolą bożą. Co wtedy? Gdzie się podzieją? Co zrobią?

Otwierając usta, William modlił się o błogosławieństwo dla Polly i o jej wybaczenie.

- Proszę pana, nie ma możliwości zawarcia umowy pomiędzy firmą England i Radą. Taka umowa byłaby naruszeniem zarówno litery, jak i ducha prac, których podjęła się Rada, dążąc do zapewnienia zdrowej przyszłości Londynu. Dziękuję panu za czas i życzę szczęścia we wszystkich pana przyszłych przedsięwzięciach. A teraz, jeśli pan wybaczy, obawiam się, że muszę natychmiast wracać na Greek Street

Mimo że William nie sięgał myślami poza potrzebę jasnego przedstawienia swojego stanowiska, zdał sobie sprawę, gdy się to nie stało, na wpeł oczekiwał, iż Hawke go uderzy. Mężczyzna z kolei pozostał zupełnie spokojny, tkwiąc w zakurzonej słupie słońca, który przecinał wysokie okno. Twarz miał odwróconą od Williama, a jego ramiona były nieruchome z wściekłości lub szoku. To England stanął na równe nogi, a jego kończyny podskakiwały i wiły się jak u zaplątanej marionetki. Policzki miał koloru popielatobiałego, w czerwone plamy, a palcami przeczesywał swoje krzaczaste włosy, aż stanęły zupełnie na sztorc.

- Czego ode mnie chcecie? Więcej, tak? Wy... wy... pijawki! Czy chcielibyście...?

- Zamknij się, głupcze!

Hawke uderzył w biurko płaską dłonią, ale jego twarz ścisnęła z trudem hamowana furia. Nagle drzwi biura otworzyły się z hukiem, ukazując krzepko wyglądającego mistrza w

brezentowym fartuchu, z grubymi ramionami skrzyżowanymi na piersi. Rękawy jego koszuli były podwinięte wysoko, ukazując wyblakłe, błękitne zarysy marynarskich tatuaży. William wycofał się w stronę drzwi. Mistrz stanął wygodnie, blokując wyjście i odchrząknął.

- Jakież kłopoty, sir?

Hawke wydał krótki pomruk. Jego nozdrza były białe z pogardy. Powoli, nie spuszczać wzroku z Englanda, podniósł dłoń i zacisnął ją w pięść, którą uniósł wolno do góry, przyciskając jej kostki precyzyjnie do kącików swoich ust Właściciel cegielni wygładził klapy surduta. Jego dłonie drżały, ale jego policzki powoli nabierały jednolitego koloru.

- Wszystko w porządku, Briggs - odparł.

Głos niemal kleił mu się do gardła, więc odchrząknął, zanim dokończył wypowiedź.

- Chociaż myślę, że będzie stosowne, abyś pozostał w zewnętrznym biurze, podczas gdy ja dokończę interesy z panem Hawke'iem. Mogą pojawić się kwestie, które będę chciał z tobą skonsultować.

- Bardzo dobrze, sir.

Drzwi zamknęły się ponownie. William pochylił głowę.

- Jeśli mi wybaczycie, panowie...

- Jeszcze nie skończyliśmy.

Teraz Hawke zablokował drogę do wyjścia.

- Wygląda na to, że nie docenia pan powagi swego położenia, May - zaczął.

Głos brzmiał gładko, nieomal sympatycznie, ale oczy rzucały iskry jak u węża.

- Jestem zdania, że osiągnęliśmy krytyczny punkt w naszych negocjacjach. Obawiam się, że niewłaściwy zwrot na tym rozdrożu może się okazać fatalny w skutkach dla pana.

England obserwował twarz Williama, a palce jego dłoni wybijały miarowy takt, uderzając o wypolerowane drewno biurka.

- Opuszczenie tego pokoju będzie czystym szaleństwem, May - wyszeptał Hawke. - Wzywam, żeby pomyślał pan oswojej reputacji, o zobowiązaniach wobec rodziny. Nie będzie już powrotu.

William spojrział przeciągle na Hawke'a, a potem, zwracając się do Englanda, dotknął palcami kapelusza.

- Do widzenia panom.

Być może uświadomienie sobie klęski sprawiło, że Hawke nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Co bardziej prawdopodobne, było to zwykłe zaskoczenie. W małym przedpokoju na zewnątrz mistrz na wpół podniósł się z miejsca, wyciągając szyję z uścisku swojego kołnierzyka jak niecierpliwy pies, ale jego pan nie wydał żadnych poleceń. Mógł się jedynie

przyglądać, jak William mija go szybkim krokiem i wychodzi na podwórze:

W dniach, które nadeszły, William czekał na wezwanie od Rady. Żołądek miał ściśnięty pewnością katastrofy. Widział Hawke'a tylko raz, na spotkaniu komitetu w sprawie postępów prac wykopaliskowych pod wrzosowiskiem w Hampstead. Na krótko przed zakończeniem spotkania Hawke ostentacyjnie podał do Lovicka pośpiesznie skreślony liścik, który Lovick umieścił, nie otwierając, w kieszeni płaszcza. Gdy William mijał go w mrocznym korytarzu po zakończeniu spotkania, Hawke uśmiechnął się, potrząsając głową.

I tak William czekał. Dni przerodziły się w tygodnie i wciąż nie było wezwania od Rady. Lovick i koledzy inżynierowie traktowali go tak jak zwykle, z tolerancyjnym brakiem zainteresowania. Pracował do późna wieczorem, przygotowując oficjalną rekomendację dla Bazalgette'a, aby Rada przyjęła ofertę cegielni Strowbridge. Zbierał próbki. Robił obliczenia, pomiary i rysunki przekrojowe. Kontynuował regularne wizyty w kanałach. W domu opisywał swoje rysunki botaniczne i uzupełniał szczegóły w planie ogrodu. Nie czuł jednak potrzeby, żeby się ciąć. Opanował go spokój, spokój, który jednocześnie niósł ulgę i dziwił. William wychudł i zrobił się blady, ale nie wpadł w rozpacz. Przyglądał się, jak Polly staje się coraz okrąglejsza, wolniejsza i narzeka z pobłażliwością na lenistwo dziewczyny, która pomagała w domu. Zauważył z ukłuciem w sercu, jak włosy Di zgęstniały oraz jak zmężniały i wyskoczyły z mankietów bluzki jego dziecięce nadgarstki, i poczuł głęboki, cichy wstyd i żal. Niemniej straszna ciemność nie nadchodziła. Na początku nie wierzył w jej nieobecność, próbując, tak jak język szuka bólu psującego się zęba, na przekór sobie. Zdarzyło się to przecież już wcześniej, ten ukradziony czas, gdy ciemność nie przychodziła przez wiele dni, czasami przez tygodnie, ale zawsze wracała, intensywniejsza i jeszcze straszniejsza przez swoje spóźnienie. Jednak tym razem nie nadchodziła. William bał się w to uwierzyć - może właśnie gdy Hawke zastawiał na niego pułapkę, on był w końcu wolny.

Jedynie głupiec trzymałby za słowo człowieka takiego jak

Kapitan, a Tom nie był głupcem. Kiedy tylko przyплыw był sprzyjający, zabierał Damę do kanałów. A wieczorem, gdy odbywały się walki, szedł do pubu Badger, żeby mieć baczenie na swoje sprawy. Nie rozmawiał z Kapitanem, nie na początku, ale upewniał się, że jest przez niego widziany. Nie żeby mówił albo robił coś, czym zwróciłby na siebie uwagę. Na początek. Wystarczało, żeby Kapitan widział go pośród specjalnych gości i rozumiał, że Tom jest częścią tamtejszej rzeczywistości, częścią ścisłego porządku, w którym pięści mają większy autorytet niż wymyślne argumenty, a ograniczenia prawa i sumienie taką szansę na zmianę sposobu załatwiania spraw, jak słońce na to, że wypali klimat Londynu. Porządku, w którym lepiej żeby obcy nie próbowali żadnych sztuczek.



Tom mógł nie mieć za wiele dżentelmeńskiej oglądy czy dżentelmeńskiego wykształcenia, ale węch nie zawodził go jak zwykle. Nie minęło wiele czasu, a został wciągnięty w sam środek dyskusji z towarzyszami Kapitana, w trakcie której opisywano i podziwiano umowę zawartą przez ich obu. Nie minęło wiele czasu, a Kapitan poprosił o trunek, aby przypieczętować ten interes i zazwyczaj małomówny Tom znalazł się pod ostrzałem zachęt, aby opowiadać historie z podziemi, zwłaszcza oprzemocy, do której tam dochodzi. Towarzysze Kapitana rozgorączkowali się ze zdziwienia i przerażonej ekscytacji. A trochę później, gdy zakończono pierwszą rundę walk i dżentelmeni rozsiedli się wygodnie na swoich krzesłach, spoceni i ogarnięci żądzą krwi i własną zuchwałością, to Tomowi się wyrwało, że dla szperacza życie w kanałach przewyższało z kretesem wszystko to, co można było zobaczyć na powierzchni, jeśli ktoś szukał dreszczu emocji.

Oczy dżentelmenów od razu zrobiły się okrągłejsze i nachylili się mocniej, nasłuchując z niecierpliwością.

- No, no - rzekł Kapitan, odsłaniając w uśmiechu zęby.

- Idę o zakład, że tam na dole dzieją się wszelkie możliwe okropności. Morderstwa i jeszcze gorsze.

Tom wzruszył ramionami.

- Zdarzają się różne okropieństwa - przyznał.

- Opowiedz nam polecił Kapitan, a obydwie słowa były zarówno namową, jak i groźbą.

- Woleliby panowie nie wiedzieć - bronił się Tom.

- Ależ chcemy - nalegał Kapitan.

Spojrzał na lubieżne twarze swoich towarzyszy, a jego dłoń z namysłem zadzwoniła monetami w kieszeni.

- Naprawdę chcemy.

I taki oto był początek nowego zajęcia Toma - snucia opowieści z życia szperacza. Zupełnie niespodziewanie, mężczyzna, który przez całe życie nie rzucił na próżno słowa, nagle odkrył, że żongluje nimi z taką łatwością i beztrąską jak uliczny handlarz. Opowieści o korupcji i okrucieństwie, bo na nie właśnie było zapotrzebowanie; opowieści, które sprawiały, że oczy dżentelmenów błyszczały, a ich oddech wyrwał się w krótkich spazmach z szeroko otwartych ust. A im bardziej przerażająca była historia, tym bardziej dyszeli i tym więcej pieniędzy wysuwało się z ich kieszeni, jakby były natłuszczone omastą. Tom z przyjemnością spełniał ich zachcianki. Nie widział powodu, żeby trzymać się prawdy, jeśli dżentelmeni nie byli nią usatysfakcjonowani. Sprzedawał historie o tym, co było, i znów o tym, co mogło być, jeśli dodać szczegóły i popofolgować trochę wyobraźni. Opowiadał historie o ludziach, których

zabierano ze związanymi rękami i nogami, żeby potem wrzucić ich do kanałów w Newgate, gdzie dzikie armie szczurów obdzierały ich żywcem z mięsa, aż nie pozostawało nic, tylko szkielety i po dwie przeżute pętle sznura. Mówił o gospodzie oddalonej o zaledwie kilkaset stóp od pokoju, w którym siedzieli, gdzie mężczyźni, którzy wydali swoich przyjaciół prawu, byli mordowani w piwnicach i wyrzucani, przez zapadnię w podłódze, prosto do ścieku płynącego pod nią. Nikt o nich więcej nie słyszał. Powiedział im o odcinku przy starym Grinacre w Southwark, gdzie woda była gęsta od niechcianych kończyn trupów wrzuconych do otwartych ścieków przez studentów medycyny, którzy wystarczająco już je pocięli. Tę nieomal prawdę uzupełnił szczegółami o mordercach, którzy, usiłując ukryć swoje zbrodnie, cięli na kawałki swoje ofiary i wrzucali je do wody na tym samym odcinku brzegu, żeby wszystkie kawałki się wymieszały.

- A ci mordercy, ci sprawcy tych... tych upiornych czynów, zostają oczywiście złapani, gdy ciała zostaną odnalezione? - wydusił z siebie z przerażeniem jeden z dżentelmenów, oblizując usta.

- Większość z nich nigdy nie zostaje znaleziona - odpowiedział Tom beztrąsko. - W kanałach są tysiące kryjówek, sir, jeśli człowiek wie, gdzie szukać. Miejsca, gdzie da się upchnąć ciało i nigdy nie zostanie się złapanym. Gdyby panowie tam poszli, to zobaczyliby ściany najeżone kośćmi i świat nie widział, czym jeszcze, co utknęło we wgłębieniach i nigdy nie wydostało się na światło dzienne..

- Dobry Boże - westchnął dżentelmen. - I to wszystko tuż pod naszymi stopami. To gorsze niż przekleństwa piekła.

Wstrząsnął nim dreszcz słusznej odrazy i wsunął monetę do wyciągniętej dłoni Toma. Tom pokiwał głową. Nie uważał za konieczne wspominać, że przy tych rzadkich okazjach, gdy on albo Rudy Joe znajdowali martwe ciało w tunelach, przekazywali je prosto do ludzi, którzy zajmowali się dragowaniem dna rzeki, a ci z kolei posyłali je do Rotherhithe, gdzie pieniądze za pomoc przy dochodzeniu przyczyn zgonu były najlepsze w mieście. W jakiś sposób Tomowi wydawało się, że dżentelmenom nie wydałoby się to za bardzo interesujące.

W końcu Tom wyczerpał już swoje ponure fantazje, a alkohol zaczął spowalniać języki i napiwki, więc zabrał się stamtąd, a monety w kieszeni wydzwaniały miłą melodyjkę. Zawsze czuł ukłucie przyjemności, gdy otwierał drzwi do swojej kwatery i widział ją tam rozciągniętą na kocu. Co do Damy, ani w połowie nie wyglądała na zadowoloną z tego, że widzi Toma. Jej oczy były tak różowe, a jej ramiona tak zapadnięte, że można by nieomal uwierzyć, że płakała, i często odsuwała się od niego, czołgając się nisko nad zgniłymi deskami podłogi, jakby chciała uniknąć jego dotyku. Nawet gdy brał ją w ramiona, odsuwała

głowę daleko od niego, trzymając nos zadarty w powietrzu jak gęś, żeby nie miał wątpliwości, że jest na niego obrażona i że chce, żeby o tym wiedział.

A potem, nagle, przestawała się na niego gniewać, i opierała podbródek na jego ramieniu, wąsami łaskocząc go w ucho. Przeżuty koniec ogona uderzał o jego nogi, a on przytulał psa mocno do piersi, aż odrębne rytmy ich serc łączyły się w jeden, gdy dwa serca zaczynały bić jak jedno.

Zostały trzy dni do podpisania i przedłożenia Radzie do ostatecznej akceptacji umowy ze Strowbridge i zaledwie dziewięć dni do Bożego Narodzenia, gdy William został pilnie wezwany do stawienia się przed Lovickiem. Było tuż po dziesiątej rano. Na zewnątrz padał śnieg, brudne płatki odzywały się od mgły jak stara farba. Przez chwilę William wpatrywał się w cienką drewnianą ściankę swojego boksu, nie będąc w stanie się ruszyć. Kilka tygodni wcześniej przypiął na niej artykuł z „Buildera”, podkreślając ciemnym atramentem zamykające go zdanie. Na dobre i złe metropolia przystąpiła do zadania o niebagatelnej wadze. Codziennie, gdy zasiadał przy biurku i widział te słowa ponownie, niema duma sprawiała, że czuł mrowienie w podeszwach stóp. Teraz słowa te były zamazane. Wstał powoli, z drżącymi kolanami, i wyruszył poprzez znajomy labirynt pokoi do dużego biura Lovicka. Dłonie trzymał schowane głęboko w kieszeniach. Pomimo iż na kominkach palił się ogień, wąskie pokoje były zimne, a powietrze wydawało się rzadkie, jak powietrze na wysokiej górze, przez co jego oddech był płytki i ciężki. William rozglądał się dookoła. Patrzył na chaos papierów, pochylone głowy, krzątanicę urzędników i posłańców, a serce go bolało. Już nigdy więcej nie wejdzie do tych pokoi.

Gdy Williama w końcu wprowadzono, Lovick nie był sam. W biurze towarzyszył mu przysadzisty mężczyzna o okrągłej różowej twarzy i błyszczącej różowej głowie, z grzywką z miękkiego puchu. Umieszczone na tak dziecinnej twarzy okulary w drucianej oprawie wyglądały, jakby mężczyźnie udało się je wyblagać od miłego wujka.

- Ach, May - kaszlnął Lovick.

Wyraźnie sytuacja była dla niego krępująca.

- Proszę usiąść, proszę usiąść.

William usiadł i wpatrywał się w swoje kolana. Teraz, gdy już tu był, marzył tylko, żeby rozmowa dobiegła jak najszybciej końca. Hańba wisiała nad jego pochyloną szyją jak ostrze gilotyny.

- May - powtórzył Lovick - Po pierwsze, chciałbym panu podziękować za całą wspaniałą pracę, jaką wykonał pan w imieniu Komisji. Nie chciałbym, aby to, co nastąpi, w jakikolwiek sposób wskazywało na rozczarowanie pańską pracą, czy moje, czy też pana

Bazalgette'a.

William pokiwał głową, zaciskając mocno dłonie po obydwu bokach. Niech to się skończy, błagał w myślach. Niech już będzie koniec.

- May, jak panu wiadomo, przybył pan do nas z serdeczną rekomendacją pana Rawlinsona, dżentelmena, którego darzę największym szacunkiem. Nie zauważyłem niczego w pańskiej pracy, co zaprzeczałoby jego opinii o panu. Jednak...

To było to. Oddech zamarł w piersi Williama.

- Jednak, obawiamy się, że obciążenia związane z pańską pracą mogły pana wyczerpać. To jest doktor Feather.

Lovick wskazał na dżentelmena stojącego w oknie. Ten skinął głową, wywołując małą falę, która przebiegła przez jego pulchne ramiona, a potem skierowała się w dół na brzuch.

- Zaprosiłem go tutaj, żeby pana zbadał. Byłbym wdzięczny, gdyby mógł mu pan pomóc, w każdy sposób, o jaki poprosi. Doktorze Feather? Mam nadzieję, że wszystko jest tak, jak pan sobie życzył. Gdyby potrzebował pan pomocy, proszę mnie wezwać.

Po tych słowach Lovick wstał i opuścił pokój. William podniósł głowę i spojrzał tępo na lekarza. Jego twarz zupełnie nie wyglądała na twarz kata, okrągła i zaróżowiona od dobrego życia i tak przywykła do uśmiechania, że na policzkach malowały się nieustannie dołeczki. Ich wesołość zdawała się szydzić z Williama i całego żalosego plugastwa jego hańby. Nie mógł doszukiwać się żadnej nadziei za tymi błyszczącymi okularami, niczego oprócz wydobywania bólu. Zatrudniony przez Komisję doktor znajdzie to, co ma znaleźć. Skreślone piórem groźby Hawke'a staną się oficjalnym dokumentem. Hawke powiedział, że wie o cięciu. William zacisnął odruchowo dłonie na przedramionach, przyciskając materiał rękawów do okaleczonego ciała. Gdy doktor zobaczy blizny, jego diagnoza nie będzie już wymagała dalszego uzasadnienia.

Doktor jednak nie prosił, żeby William pokazał mu swoje ramiona. Przysiadł natomiast na rogu biurka Lovicka i, z jedną grubą nogą zwisającą niezgrabnie tuż nad podłogą, zaczął zdawać Williamowi serię pytań. W samych pytaniach William nie mógł dopatrzeć się jakiegось oczywistej prawidłowości. Sięgały one od prośby o szczegółowe opisanie codziennych obowiązków po nazwy stolic państw europejskich, od krótkiej historii osobistego życia po zdanie Williama w sprawie powstania w Indiach i kolejność ksiąg Starego Testamentu. Po każdym pytaniu następowała długa cisza, gdy doktor, z czołem pomarszczonym w grube fałdy, rozważał odpowiedzi Williama przed sporządzeniem zamasztych notatek w małym skórzanym zeszycie. Każda odpowiedź spotykała się z równym zainteresowaniem i była odnotowywana z równą starannością. William przyciskał

materiał swojego surduta mocno do ramion i usiłował panować nad głosem, przez cały czas czekając, aż ołówek zostanie wycelowany w jego przedramiona z poleceniem, aby podniósł rękawy.

To polecenie nigdy nie padło. Pytanie doktora o rozrywki Williama doprowadziło do wesołej dygresji, w której doktor wyznał swoją wyjątkową słabość do *Orchis hircina*, storczyka, który kwitł bujnie na wydmach otaczających ogród domu, w którym dorastał w Sussex.

- Nie pachnie, oczywiście, w istocie ten zapach wydawał mi się zawsze nieprzyjemny. Ale gdy pomyślimy o naturze jako owielkim spektaklu...

Gdy William przyznał, że on, jako chłopiec, również leżał, czekając na tę zaczarowaną chwilę, gdy storczyk wypuści swą długą warzkę przypominającą wstążkę, doktor pokiwał z zadowoleniem głową. A gdy William wyjął z kieszeni płaszcza swój dziennik botaniczny, żeby pokazać mu wykonane przez siebie szkice *Spiranthes spiralis*, ulubionego storczyka Polly, ze względu na jego nazwę - kręczyńka jesienna, doktor zatrzymał się tylko na chwilę przed zrobieniem ostatniej notatki w swoim zeszycie.

- Bardzo dobrze, panie May, bardzo dobrze - promieniał, zamykając zeszyt. Jak miło poznać entuzjastę po fachu. Myślę, że dowiedziałem się już wszystkiego.

Podszedł do drzwi i otworzył je z uśmiechem nieznikającym z pulchnych policzków.

- Zapraszam ponownie, panie Lovick.

Zanim Lovick wszedł do pokoju, z zewnątrz słychać było szept głosów.

- Ma pan wszystko, czego pan potrzebuje? - zapytał Lovick, spoglądając na Williama.

- Jestem przekonany, że tak - zapewnił go doktor, kiwając z zadowoleniem głową.

- Dobrze - uśmiechnął się Lovick. - W takim razie wydaje mi się, że nie musimy zatrzymywać pana dłużej, May.

William spojrział na lekarza i na Lovicka, a potem z powrotem na lekarza.

- To wszystko?

- To wszystko. Chyba że doktor Feather ma jeszcze coś do dodania?

Doktor potrząsnął głową, unieruchamiając dłońmi obfity brzuch.

- W takim razie skończyliśmy. A teraz proszę wracać do pracy - zbeształ go łagodnie Lovick. - Obecnie nie możemy sobie pozwolić na zmarnowanie ani minuty.

Nic więcej nie zostało powiedziane. Na krótko przed południem przyszedł Lovick, żeby poprosić Williama o pewne papiery. Nie wspominał o rozmowie z doktorem, a gdy William szukał dokumentów w swojej teczce, dłoń Lovicka spoczęła na chwilę na jego ramieniu. Potem wyszedł. William został sam.

Niebezpieczeństwo minęło. Hawke nie mógł go teraz dotknąć. Ten ciemny grudniowy dzień, który miał mu przynieść zgubę, w zamian zaowocował odrodzeniem. Został przebadany przez doktora, eksperta w badaniu zaburzeń nerwowych, w diagnozowaniu - mówiąc bez ogródek - szaleństwa, i został uznany za zdrowego na umyśle. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Diagnoza zostanie potwierdzona, udokumentowana, podpisana i złożona do akt Gdzieś - na zawsze

- pozostanie kawałek papieru stwierdzający to obiektywnie, kategorycznie. William May jest zdrowy na umyśle. Zdrowy na umyśle i bezpieczny. Jego rodzina również była bezpieczna. Skończył się koszmar rozpoczęty w ślepy listopadowy poranek w Turcji, ponad cztery lata temu. Jest zdrowy na umyśle.

Gdzieś głęboko w nim zamknięto ulgę, był tego pewien, nawet radość, ale w bladym, szarym świetle smaganego śniegiem popołudnia czuł się jedynie oszołomiony i wyczerpany. Nieustająca fala pojawiających się i znikających urzędników i papierów przypląwała i odpływała z jego boks, wysysając go niecierpliwie, bawiąc się nim jak kamykiem. Marzył o tym, żeby już wyjść. Tęsknił za kanałami\* za bezpiecznymi ramionami ciemności, ale gdyby opuścił teraz Greek Street wszyscy by go potrzebowali. Było za dużo pracy. A poza tym, tłumaczył sobie, odruch postrzegania kanałów jako sanktuarium nie był niczym więcej niż nawykiem, niestosownym i nieroztropnym nawykiem, z którym przystałoby mu zerwać. Nie potrzebował już sanktuarium. Był zdrowy na umyśle, czyż nie? Był zdrowy na umyśle. Pomiary, których potrzebował do swoich obliczeń, nie będą potrzebne wcześniej niż za parę dni. Poczeka. Rozsądniej będzie poczekać. Popołudnie pociemniało, a rzeka ksiąg nadal przepływała przez jego boks, ciągnąc za sobą urzędników na ukrytych pod skórą łańcuchach przywiązanych do pasków. Od czasu do czasu William sięgał do kieszeni, żeby dotknąć palcami skórzanej oprawy swojego dziennika. Była tak ciepła i miękka jak policzek. Tuż po szóstej chłopiec przyniósł w emaliowej misce zupę. William podniósł talerz, którym była przykryta, i powąchał. Pachniała dobrze, smakowicie i pożywnie. Ślina napłynęła mu do ust. Nic nie jadł przez cały dzień.

- Pan Lovick mnie po nią posłał, sir - oznajmił wesoło chłopiec, wyciągając z kieszeni kawałek chleba i sera zawiniętego w papier. - Ze względu na to, że pracuje pan do późna i w ogóle.

William jadł z wdzięcznością, uważnie wycierając palce w chusteczkę, żeby nie zostawić tłustych odcisków na swoich papierach. Gdy w końcu zgasił światło, była już prawie ósma. Na Greek Street dojmujący wiatr smagał mu twarz i szarpał mankietami spodni. Mimo że przestało padać, ulice poorane bruzdami i rozmiękłe w ciągu dnia przez tysiące

przebiegających stóp zaczęły ponownie zamarzać i spacer po nich był zdradliwy. William szedł ostrożnie Princess Street Kręciło mu się w głowie ze zmęczenia. Powozy wyłaniały się gwałtownie z żółtej ciemności, stukot kół stłumiony był dywanem śniegu. Białe kule gazowych lamp drżały na żelaznych tyczkach jak główki dmuchawców. Ulice były puste i nieliczni przechodnie, których William spotykał, kulili się w płaszczach z pochylonymi głowami. William marzył, żeby znaleźć się już w domu. Gdy przechodził w poprzek małego podwórka, kierując się w stronę rzeki, potknął się na śliskim błocie i byłby upadł, gdyby jakiś mężczyzna nie złapał go za ramię i nie postawił na nogi.

- Pan May.

Głos był niski i chropowaty. Zaskoczony William odwrócił się, żeby spojrzeć nieznajomemu w twarz. Miał on na głowie futrzaną czapkę naciągniętą mocno na uszy, a oddech osiadał mu na wąsach obłoczkiem pary.

- Pan England?

- Zaszła pomyłka. Nieporozumienie. Umowa...

William potrząsnął głową. W ciemnej bramie coś zaszurało. William przyłożył dłoń ostrożnie do swoich kieszeni, w których miał portfel i chusteczkę. Okolica cieszyła się złą sławą, jeśli chodziło o złodziei.

- Proszę pana, nie ma żadnej pomyłki. Przedstawiłem swoje zdanie dość jasno. Sprawa jest zamknięta.

Najszybciej jak na to pozwalała oblodzona ścieżka, William zaczął się oddalać, ale England złapał go za nadgarstek. Uchwyt jego dłoni był tak mocny, że William poczuł ból.

- Ależ nie jest panie May. Nie jest

- Ta rozmowa nic panu nie da, panie England. Rada nie rozważy pana oferty. Ani pana słowa, ani czyny, nic nie mogą tu poradzić.

- Nic?

- Proszę puścić moje ramię - powiedział chłodno William. - Albo wezwę policję.

- Tutaj?

England wykręcił Williamowi ramię za plecami.

- Mówią, że kanały to śmiertelne miejsca. Z tego, co słyszałem, przyływ może przyjść całkiem niespodziewanie. Tam, na dole, w ciemnościach, człowiek nawet by nie wiedział, co mu się stało. Przyływ obiłby go o ścianę tak okrutnie, że gdyby z nim skończył, nawet własna matka nie rozpoznałaby łachudry. Tak słyszałem.

- Nie boję się pana, panie England.

- W takim razie jesteś jeszcze większym głupcem, niż na to wyglądasz. Masz małe

dziecko, prawda, May? Chłopczyka, tak? Byłoby strasznie, gdyby coś przytrafiło się małemu.

- Zabieraj ręce!

- A przecież nie możesz ich pilnować przez cały dzień, prawda? A w Londynie dochodzi do tylu wypadków, że wręcz nie do wiary.

To właśnie wtedy szkliste otępienie w głowie Williama pękło, zalewając ją ciemnością. Z całą siłą, jaką był w stanie zebrać, odwrócił głowę i uderzył nią w twarz Englanda. Dało się słyszeć głucho chrupnięcie. England jęknął i zatoczył się, puszczając ramię Williama, żeby chwycić się za twarz. Krew sączyła się mu pomiędzy palcami i rozpryskiwała na brudnym śniegu. Oczy zaokrągliły się mu ze zdziwienia. Rozejrzał się dookoła, jakby szukał kogoś w ciemności. William obrócił się, a ciemność zalała jego piersi. England rzucił się na niego, ale William był szybszy. Ciemność szalała w jego ramionach” w jego nogach. Uderzył mocno pięścią w zakrwawioną masę nosa Englanda, a właściciel cegielni zatoczył się do tyłu, uderzając głową o murowaną ścianę. Gdy ześlizgiwał się po niej w dół, William kopnął go w brzuch.

- Gdzie jesteś? - jęknął England. - Pomóż mi, na litość boską!

- Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do mojej rodziny, to cię zabiję - rzucił William.

Ciemność tłoczyła się w nozdrzach, w gardle, w uszach. Tętniła w skroniach i wypełniała usta zimną, czarną śliną. Napływała do oczu, sprawiając, że podwórze wydawało się zaledwie wąską wstążką słabego światła.

- Mówię serio. Zabiję cię.

W ciemnej bramie rozbłysła pomarańczowym płomieniem zapalka. William się odwrócił. Bardziej wyczuwał, niż widział, mężczyznę, który ich obserwował. Dym z papierosa zawijał się wokół ronda jego kapelusza i mknął w górę, w kierunku ciemnego nieba. Więc to Turek? Mężczyzna się nie ruszył. Nie należało się ruszać. Nie, dopóki następna warta nie zbliżyła się wystarczająco blisko, aby być ich pewnym. Rozkazy wyraźnie to precyzowały. Były słowa, które należało powiedzieć. William poczuł ukłucie paniki. Nie pamiętał słów. Przeszukiwał rozpaczliwie ciemność w swojej głowie, ale nie pamiętał słów.

- Na litość boską, człowieku - jęknął ponownie England, wyciągając jedną dłoń w stronę ciemności. - Łap drania!

William pobiegł. Biegł, potykając się w śniegu przez uliczki i podwórza, w ciemności i w świetle. Nogi obijały się i wykrzywiały na zamarzniętych koleinach błota. Nie było nic poza bólem zimnego powietrza w płucach, skurczami serca z wysiłku, ciężaru nóg - i ciemności. Był wgnieciony w ciemność, grubą i nieprzejrzystą, ale bez kształtu, tak jak ciemność nocy była bez kształtu. Dokądkolwiek biegł, czuł na sobie spojrzenia gorące jak



rozżarzone węgle. Nieustannie śledziły go, ale również ślepo, nie będąc w stanie nic zrozumieć z tego, co widziały. William to wiedział, więc jednocześnie był w pułapce i absolutnie wolny. Tak długo, jak biegł. Dlatego nie przestawał biec.

Gdy zatrzymał się, znajdował się pod ziemią. Nie zaprzętał sobie głowy pytaniem, jak się tam znalazł, ani na jak długo. Był przyływ i nie miał ze sobą latami, ale nie był świadomy lodowatego strumienia odchodów, który rwącym potokiem przepływał wokół jego nóg, zalewając lśniące buty i wciągając w swój nurt wełniany materiał najlepszych spodni. Czuł jedynie rozpaczliwą, ogłuszającą potrzebę, żeby się ciąć. Prawa dłoń zaciskała się w ciemności, a każde włókno mięśnia w palcach i dłoni krzychało o znajomy kształt noża. Pragnienia zawładnęły nim, potworna, mordercza armia wdzierająca się jednym dzikim batalionem za drugim do czaszki i pomiędzy żebra, żeby go zniszczyć i wziąć w posiadanie aż do szpiku kości. Tętnił nimi każdy cal skóry, każde włókno włosa płonęło jak zajęte ogniem. Ich bagnety przekłuwały każdy płytki oddech, który wciągał do gardła, gdy ślizgał się i potykał w ciemnościach, z trudem trzymając się na nogach na kruszejących ceglach.

Był już blisko, wiedział to, chociaż nic nie widział. Pragnienia nadsięgały szybciej i mocniej, szybciej i mocniej, odrywając skórę z serca, wypełniając płuca, aż każdy oddech stawał się agonią, a pierś drżała jak pocisk gotów do wystrzału. Ciemność była tak absolutna, że nie widział swoich dłoni. William zamknął oczy, zaciskając je z całej siły. Dno kanału gwałtownie opadło. Był prawie na miejscu. Zgięty w pół, zeszywniały i niezgrabny z zimna, drapał rozpaczliwie palcami po śliskich ścianach. Całe ciało krzychało teraz, skażona krew była gęstym czarnym kwasem, który pożerał mięso i kości. Już nie czuł stóp. Jęknął, potykając się i nieomal upadając. Gdy odzyskiwał równowagę, kostkami dłoni uderzył o nierówne krawędzie wydrążonego przez siebie wgłębienia. Znalazł to miejsce.

Pragnienia szalały i ryczały mu w uszach, gdy rozdrapywał gorączkowo ścianę, rozdzierając palce na ostrych krawędziach zaprawy, usiłując namacać tę poluzowaną cegłę. Poruszyła się pod dłonią. Sekundy, które minęły, zanim ją wyciągnął, były nie do zniesienia. W końcu cisnął cegłę w głąb kanału, a drugą dłonią chwycił gorączkowo za rękojeść noża. Dał się słyszeć chlupot i słabe jęknięcie. Omiatał go gęsty, czarny strumień. Sięgał mu teraz prawie do ud. Szarpnął dziko rękawem płaszcza. Smród rozkładu wypełniał mu głowę, smród śmierci. Widział je teraz, rozrzucone wzdłuż szarych wałów, wyschnięte czarne trupy swoich współbraci, żołnierzy. Gdzieś, stłumiony przez śnieg lub odległość, zagrzmiął ostrzał artyleryjski. Ciemność rozbłysła strumieniem ognia. Ramię wołało o ostrze, ale strach był silniejszy, przykuwając stopy w gęstym błocie okopów. Nie będzie dzisiaj zmiany, nie odwoła go sączący się świt. Wróg czał się dookoła, sukcesywnie zdobywając pozycje

iposuwając się do przodu, wciąż do przodu, pełzną do niego nieubłaganymi tysiącami, oblepiony błotem pług szarości, bezszelestny w śniegu. Nadchodzili z lewej i z prawej, atakując go z tyłu i z przodu, szare ramiona wynurzały się z mgły, sięgając ponad jego głowę, bagnety cięży na plastry ziemi pod jego stopami. Był ich jedynym celem. Zwarły swój szyk wokół niego, coraz ciaśniej. Były ich teraz całe kolumny posuwające się wciąż naprzód. Nigdy się nie skończą. William wbił się we wgłębienie w ścianie, ściskając w ramionach ostrze jak dziecko. Jego oddech rwał się jak wstążka. Nie był się w stanie poruszyć.

Dopadli go. William słyszał ich zawodzenia, płynne ssanie oddechów. Przyszli po niego z wysuniętymi bagnetami. Widział, jak poruszają się nieubłaganie do przodu, wbijając swoje ostrze, raz po raz, w gęstą tkankę nocy. William umrze tutaj, w tym okrutnym piekle błota i lodu. Jego ciało zostanie wrzucone z tysiącami innych do dołu, a błoto wypełni mu usta ibędzie wciskać się do niezamkniętych oczu. Strach dławił go, skręcając wnętrzności i szarpiąc mięśnie pomiędzy zębami. Nie chciał umrzeć. Nie może umrzeć. Dłonie zacisnęły się na rękojeści noża. Nie przerywając skóry, przeciągnął z rozmysłem ostrym ostrzem w dół po szyi, a następnie po odsłoniętym ciełe ramienia. Rosjanie potykali się w ciemności. Byli teraz blisko, bardzo blisko. Ktoś krzyknął, niski bulgoczący głos jak woda zasysana przez ściek. Strach Williama przekuł się w ostrze, rozpalając go światłem. Nagle jego głowę zalała gorąca, czarna krew. Wybiegając ze swojej kryjówki, atakował ślepo nożem ciemność. Jednak nie był już sam. W ciemności był ktoś jeszcze. Powietrze zgęstniało od jęków wrogów, szeregi zabitych mężczyzn upadały do strumienia, a rozpryskując się, woda błyszczała srebrnie w ciemnej nocy. Upadali jeden na drugiego, a krew pojawiała się czarnymi plamami na brudnej szarości ich płaszczy. Był teraz bliżej. William wtulił się z powrotem w ścianę. Widział go tylko przez chwilę, twarz jak słaby biały księżyc w bladym płomieniu lampy, gdy wsuwał coś do szczeliny pomiędzy workami piasku leżącymi wzdłuż okopu. Ale William go znał. Zmiennik warty. Żołnierz nic nie mówił. Odwrócił się natomiast, przesuwał szybko wzdłuż okopu, do posterunku warty. William był ocalony. Zza pleców dobiegł go długi, upiorny jęk, gdy życie uciekało z ciała człowieka jak piasek W radosnym uniesieniu, zamknąwszy oczy, William uniósł nóż i opuścił go, uderzając raz po raz w masę ciał przed sobą. Niemy krzyk bólu w ramieniu był krzykiem doskonałego zwycięstwa.

W końcu czarna burza się wypaliła, oczyszczając zgiełk w głowie Williama. Minęło sporo czasu. Ciemna krew zastygła w dłoni, ledwie ciepła. Nie czuł jednak nic z tego spokoju, który przenikał go w podobnych sytuacjach. Było mu natomiast niedobrze, kręciło mu się w głowie, czuł niepokój. Zbyt wiele tym razem poszło nie tak. Był w kanałach, trzymał nóż w dłoni, ramię pulsowało. To wszystko było znajome. Chwilowa utrata świadomości też była

mu znajoma, ale nie w ten sposób. Zawsze w przeszłości tracił rachubę czasu, czasami nie czuł upływu całych godzin. Tym razem zgubił się w sposób, którego zupełnie nie potrafił wyjaśnić. Drżał gwałtownie. Był na wpół zamarznięty. Miał na sobie nie swój strój do kanałów, ale najlepszy garnitur. Nie miał światła. Nurt wody sięgał mu do ud i płynął tak szybko, że musiał mocno zapierać się nogami, żeby nie porwał go prąd. Najbardziej niepokojące jednak było to, że wypełniała go straszna pewność, iż nie był sam. Musiał się stąd wydostać.

Wrzuciwszy nóż głęboko do kieszeni, chwiejnym krokiem ruszył z powrotem, w górę, w kierunku wyjścia, zmagając się z przeciwnym nurtem podnoszącej się wody. Szedł najszybciej, jak potrafił, ale ciemność była gęsta jak serż. Potrząsnął też głową, ale nie mógł pozbyć się tych dziwnych, niepokojących skrawków, które wirowały pod jego czaszką jak pozostałości snu. Stopy krzyczały z bólu, gdy je rozmrażał przy żalonym ognisku z torfu, palce z trudem utrzymywały ołówek, gdy uzupełniał dziennik warty. Tył jego głowy rozświetlony jesiennym słońcem, gdy jego pędzel kreślił delikatne, fioletowe żyłki bladej lnicy. Luk rozpięniętej krwi na płótnie, gdy ostrze bagnetu przebiło ścianę namiotu. Ściany kanału sypiące się wokół niego, grożąc, że pogrzebią go żywcem. Głos Hawke'a przeszywający ciemność, błyszczący wrogością. I widziany przez to wszystko zmiennik warty, anioł stróż i widmo śmierci, ciepłe i upiorne jak oddech w zimowej ciemności.

Na szczycie wzniesienia, gdzie zawsze mógł się wyprostować, głowa nadal tarła o niski sufit. Być może wzbierający przypływ naruszył koiyto strumienia. Parł więc przed siebie. Już niedaleko. Według obliczeń krata powinna znajdować się zaledwie odrobinę dalej, stanowiąc wyjście z szerokiego tunelu po prawej stronie. Szukał dłońmi łuku, zmuszając się do dotykania śliskiej masy grzybów, które wykwitwały pomiędzy cegłami. Ściana była jednak jednolita i nie widział najmniejszego przebłysku światła. Kanał wydawał mu się węższy niż pamiętał, ale ciemność zmieniała percepcję, zniekształcając poczucie czasu i przestrzeni. Z pewnością tunel znajduje się nie dalej niż kilka jardów stąd. Zagryzając mocno wargi, posuwał się po omacku przez kanał.

Nagle korytarz skręcił ostro w prawo. William nie przypominał sobie żadnego zakrętu. Czyżby przegapił jakiś skręt? Powinien stać bez trudu w tej części systemu, sklepienie tunelu jednak opadało. Gdy rozkładał ramiona, czubkami palców dotykał jednocześnie obu ścian. To też nie było w porządku. Nawet struktura podłoża wydawała mu się nieznaną. Błoto było tutaj głębsze niż powinno, usiane ostrymi kamieniami. Z trudem utrzymywał równowagę. Strumień płynął wartko i musiał mocno na niego napierać, żeby się nie przewrócić. Gdy opuścił głowę, delikatna mgiełka zamarzniętego brudu wleciała mu do nozdrzy, do ust. Smród

odchodów i gnijących glonów przyprawiał go o mdłości. Poczul, jak zaczyna go dusić strach.

Strumień bez wątpienia podnosił się teraz szybciej. Musi się stąd wydostać, zanim rzeka go wciągnie, zalewając płuca nieprzerwanym strumieniem odchodów miasta. Musi kierować się w górę strumienia, z dala od śluzy rzecznej, gdzie siła wody przedostającej się przez żelazne klapy z pewnością go rozgniecie. Szedł przed siebie w ciemności. Stopa uderzyła o ścianę. Wpadł w ciemność. Cegła. Jednolita cegła. Koniec kanału. Był w pułapce. Rozpaczliwie zawrócił i wędrował wolno drogą, którą przyszedł. Nogi miał ciężkie jak z ołowiu, zmęczone od wysiłku utrzymywania się na wodzie. Labirynt kanałów rozgałęział się, skręcał i opadał, a William błądził po nich rozpaczliwie, bezmyślnie. Wszystko w nim wrywało się do myśli o świetle. Nie znalazł go jednak, nie znalazł ucieczki. Kanały zwężyły się, ściany sypały się wokół niego w gruz, bieg korytarzy był zdradliwy. William potknął się, śmierzący nurt uniósł go w tył, wstał z trudem i kontynuował drogę przed siebie. Nóż w kieszeni ugodził go w nogę. Obdarł sobie kostki dłoni, czoło, obił ramiona i kolana. Jak gdyby z daleka usłyszał swój własny głos niosący się echem w ciemności, dziwny iwysoki, wyrzucający z siebie potok wściekłych grózb i błagań. Modlił się, wykrzykując słowa w czerń, błagając Boga o przywrócenie wiayi, tak jak przeklinał Go za to, że go opuścił. I nadal kanały go zwodziły, zabierając coraz głębiej do wnętrza ziemi, a cały duszący ciężar metropolii przytłaczał go i grzebał żywcem. Poziom strumienia zaś wciąż się podnosił. Ciemność kipiała niskimi uderzeniami i echem. William wiedział, że to same siły piekielne, przysłane, żeby go zabrać. Były bardzo blisko za nim. A on stracił siły do walki.

Strumień sięgał mu już do pasa. William wędrował przed siebie, potykając się, dłońmi zaś niczym wiosłami młócił brudny strumień. Prawie w ogóle nie posuwał się już do przodu. Zimno przeniknęło do najgłębszych zakamarków jego ciała. Drzał w niekontrolowany sposób. Z każdym krokiem kanał przeradzał się w okop, a okop w kanał. Był zmęczony. Był tak zmęczony. Gdyby tylko udało mu się doczekać do następnej warty, dojść do kolejnej kraty, aż przyjdzie jego zmiana. Był taki zmęczony. Poruszał nogami jedynie z największym wysiłkiem. Wpatrywał się intensywnie przed siebie. Ciemność się unosiła. Krawędź nocy przebłyskiwała pierwszymi słabymi promieniami dnia. Gdy wróci do obozu, będzie zielona kawa, jeśli tylko znajdzie siły, żeby ją wypalić. Jeśli będzie dość drewna na ognisko. Gdyby tylko mógł dalej iść. Musi iść dalej. Żołnierz nigdy nie porzuca swoich pozycji. Wtem stopa uderzyła okamię i potknął się, upadając do przodu na coś, co wziął za worki z piaskiem. Nie miał siły, żeby z powrotem wstać. Ale światło było teraz jaśniejsze. Słońce - a może to był księżyc?

- zawirowało nad nim, okrągłe, białe i oślepiające. Raziło w oczy. A obok światła tak

jasna, że wydawała się światłem samym w sobie, znajdowała się postać mężczyzny. Człowiek ze światła. Bóg Ojciec Wszechmogący, Stworzyciel nieba i ziemi. Odpuść nam nasze winy. Towarzyszył mu mały biały pies. Zęby w szkarłatnym pysku wydawały się ostre jak szpikulce. William czuł, jak wzbiera w nim przerażenie. Światło było podstępem, promieniem, który miał go zaprowadzić w ogień wiecznego potępienia. Ojcze, mój Ojcze, czemuś mnie opuścił?

I wtedy ujrzał twarz mężczyzny.

- Pan Rawlinson?

Robert Rawlinson zdawał się nie zauważać brudnej rzeki, która płynęła wokół niego. Jego błyszczący kapelusz świecił, a wykrochmalony fular był świeży i idealnie biały. Pies też był biały, biały jak krymski śnieg.

- Panie May - zapytał poważnie Rawlinson. - Czy chce pan umrzeć?

William spojrział na niego oślepiiony światłem. Miał ochotę zapłakać z ulgi.

- Czy... czy to świt?

Rawlinson zastanawiał się przez chwilę. Następnie umieścił swoje dłonie pod pachami Williama i dźwignął go na nogi. Był silny. Mówił coś do Williama, chociaż słowa zagłuszył huk strumienia. Potem, zarzucając sobie ramię Williama na szyję, na wpół przeniósł go przez wzbierający strumień zatopionego okopu. William oparł mu głowę na ramieniu.

- Będziemy musieli ich pogrzebać - szepnął. - Ich ciała. Będziemy musieli tam wrócić i je pogrzebać.

- Już dobrze - powiedział łagodnie Rawlinson.

William milczał, dłoń spoczywała w kieszeni na dodającej mu otuchy rękojeści noża. Nie miał siły na więcej pytań. Ledwie zauważył, jak Rawlinson wyciągnął go na zewnątrz, na klepisko. Namiot? Być może. Nie był już z pewnością w rzece, ale to odległa świadomość nieprzynosząca ulgi. Popchnięty teraz dłonią Rawlinsona, która uderzyła go pomiędzy łopatki, zdołał jeszcze przejść kilka chwiejnych kroków. Powietrze się zmieniło. Zmroził go zimny powiew, który omiół przemoczone ubranie. William zadrżał teraz gwałtownie. Potem kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Ziemia była twarda i niewygodnie poorana brzdami. Rawlinson pochylił się nad nim na chwilę, rozluźniając mu ubranie, przygotowując do snu. Potem zniknął. Kładąc głowę na zamrzniętym błocie, May zamknął oczy.

Pojawienie się nieznanego nieźle przstraszyło Toma.

A był taki pewien, że skoro jest już późnawo i jest przypyw, to tunele będą mieli we dwójkę dla siebie. Liczył zaledwie na szybkie tam i z powrotem, teraz, gdy walka była tak blisko. Chciał, żeby Dama była świeża. Z drugiej strony kusilo go, żeby znaleźć dla niej coś

wyjatkowego, jakiś amulet, który przyniósłby jej szczęście. Ta myśl nie dawała mu spokoju, aż w końcu opętała go całkiem. To nie musiało być nic wyjątkowego. Być może moneta nanizana na wstążkę wokół szyi na podobieństwo medalu. Nie zamierzał zadawać sobie w tym celu żadnego zbędnego trudu. Dopiero gdy dotarł do swoich dawnych rewirów szperacza, pomyślał, że nie zaszkodziłoby poszukać pod niektórymi kratami, na pamiątkę dawnych czasów. Miał jeszcze dość czasu, mimo wszystko, a w grze, jaką było szperanie, należało iść za głosem instynktu. Nigdy nie wiadomo, kiedy szczęście dopisze.

Był dokładnie pod kratą na wschodnim końcu Regent Circus, gdy go usłyszał. To był zdradliwy szyb z długim rowem. Żeby wsadzić palce do szlamu, trzeba się było położyć na opadającej półce, z ręką zanurzoną prawie do ramienia. Dama leżała mu cicho na plecach, układając się na nowo, ilekroć się poruszył. Nie pamiętał, kiedy dotarł w to miejsce ostatnio jako szperacz. Zwykle czekały tu całkiem przyzwoite trofea - na skrzyżowaniu z Coventry Street był postój dorożek i przeróżne drobiazgi, które lądowały w łajnie, pozostawały często niezauważone - ale trzeba się było pilnować. Krata otwierała się prosto na ulicę i jeśli policja zechciała zerknąć pod swoje buty, to człowiek miał szczęście, gdy za chwilę nie gapiła mu się prosto w twarz. Jakiegokolwiek zamieszanie w tunelach sprowadziłoby ją na kark szybciej, niżby zdążył pomyśleć. Na dokładkę buty wystawały człowiekowi prosto z kanału poniżej, widoczne jak na dłoni i dwa razy bardziej kuszące dla każdego, kto nadchodził z tyłu. Łatwo byłoby go nie usłyszeć przy całym zgiewku ulicy, który huczał w czasie.

Trzeba by było jednak być głuchym jak pień, żeby nie usłyszeć tego nieszczęśnika. Wyciągnąwszy ramię wolnym, lekko obrotowym ruchem, który sprawiał, że błoto nie chlupało, Tom ześlizgnął się z półki do strumienia, biorąc Damę w ramiona. Woda była wysoka, zbyt wysoka. Pozwolił, żeby strumień go przechytrzył. Dama polizała go w ucho, ale on odtrącił ją, żeby nasłuchiwać. Mieli szczęście. Hałas dochodził z zachodu. Zwinny jak ryba w czarnym strumieniu, ruszył na wschód, w kierunku jaskini.

Jaskinia była lekko podwyższoną przestrzenią, jak długi stopień nad głównym kanałem. Najprawdopodobniej była kiedyś ujściem z dopływowego strumienia. Opowiadano, że dawno temu, gdy Tom był jeszcze chłopcem, jeden ze starych szperaczy znalazł tu kotwicę zagrzebaną w błocie. Mówiono, że zbił na niej fortunę, że w jakiś sposób sprzedał ją władzom i że do dzisiaj trzymają ją w szklanej gablocie, gdzieś w Greenwich, gdzie ludzie płacą szylinga za jedno wejście, żeby na nią popatrzeć. Tom miał pewne wątpliwości co do prawdziwości tej historii, ale wiedział, że za jego czasów nigdy nie było tu strumienia. Niepodtrzymywane ujście na wół się zapadło. Można było wejść do tunelu tylko na kilka stóp, zanim zwał cegieł zablokował go zupełnie. W ostatnich latach kolejne obsunięcie

nieomal zasypało wejście, więc jeśli się o nim nie wiedziało, to bardzo mało prawdopodobne, żeby ktoś podejrzewał jego istnienie. Wysokość stropu wymuszała kucanie, ale było tu sucho, nawet jeśli przyływ nadchodził szybko. Tom wiedział, że będą tu bezpieczni przez dłuższy czas. Postawił Damę na ziemi i skulił się pod ścianą. Obydwoje ciężko oddychali.

Mężczyzna się zbliżał. Nie starał się być cicho, paplając coś do siebie, a oddech wydobywał się z niego dziwnymi krótkimi pojękiwaniami jak z marnej szkapy. Z pewnością nie był spławiaczem. Ci zawsze schodzili na dół dwójkami albo trójkami. Poza tym zawsze rozpoznało się spławiaczy na milę po przeciągłym syczeniu mułu, gdy odrywali podeszwy butów od błotnistej dna. Wyglądało na to, że był to charakterystyczny sposób chodzenia spławiaczy. Bill upajał się wyjaśnieniem, że spławiacze, nie będąc zbyt bystrymi, wkładają do butów obiad, żeby mu się nic nie stało, i przy każdym kroku żyją w śmiertelnym strachu, żeby go nie rozgnieść. Sądząc po odgłosach, ten jeden nie martwił się w ogóle tym, gdzie stawiał stopy. Słysząc było chlupot i przekleństwa, gdy się potykał. Przez cały czas się zbliżał. Akurat w ten wieczór, myślał ze złością Tom. Dodatkowe problemy dzisiejszej nocy mogą nieźle zagmatwać sprawy. Przekrzywił głowę, nasłuchując. Słowa stały się wyraźniejsze, chociaż niewiele niosły sensu i spadały jedne na drugie, kłócąc się ze sobą, jakby od tego zależał świat

- Dlaczego mnie tu zostawiasz? Jest tak ciemno, tak cholernie ciemno. Nie bój się, Williamie. Nie bój się, mój słodki Williamie. Jestem z tobą. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne. Bóg cię poprowadzi i doda ci otuchy. Miłosierny Bóg pomaga tym, którzy spełnili swój obowiązek. Czy spełniłeś swój obowiązek? Tak? Przygotuj bagnet May. Kto wie gdzie mogą się chować? Nie wolno ci zasnąć. O Boże, dlaczego porzucasz mnie w moim cierpieniu? Nie boję się ciemności. W świetle nasze czyny pokażą rzeczywistą wartość. Jest tak cholernie ciemno. Spełniłem swój obowiązek. Bóg i Imperium. Jak mogę maszerować, gdy krew sprawia, że się ślizgam? Nie ma nieba i nie ma piekła, słyszysz mnie? Tylko ciemność. Krew, gówno i ciemność na całą wieczność. O Jezu, gdzie oni są, do licha? Gdzie są wszyscy?

Tom poczuł teraz zapach tego głosu. Ponad smrodem strumienia niosła się słaba woń mydła i krochmalu. Dziwna kompozycja zapachów sprawiła, że włosy na karku stanęły Tomowi na sztorc, kłując go mocno jak szpilki. Położył uspokajająco dłoń na grzbiecie Damy.

- Zabiłeś ich przecież. Były ich setki, tysiące, ale miałeś ich. Byłem tam. Spełniłem swój obowiązek. Miałem ich, o tak, o tak. Nie tak? William nigdy by nie uciekł. Nie mój William, mój dzielny, słodki William, mój chłopczyk. Dlaczego jest tak ciemno? Boże, miej

litość! Odwróciłeś się ode mnie i zabrałeś mi duszę! Czy to, według Ciebie, miłosierdzie? Odpowiedz mi, niech Cię cholera! O, słodki Jezu, jest tak dużo krwi. Rzeka krwi. Tonę, czy mnie słyszysz? Tonę we krwi. Nie mogę oddychać! Wydaje Ci się, że możesz mnie przestraszyć? Wszzechmogący Boże, przed którym wszystkie serca są otwarte. Chcesz zajrzeć do mojego? Mówisz, że jest zbyt ciemne? Niech Cię diabli! Słyszysz mnie? Idź do piekła! Czy nigdy nie nadejdzie świt? Cicho, słodki Williamie, cicho. To był sen. Jest jeszcze noc. Zawsze będzie noc. W piekle słońce nie wschodzi. Krew płynie tak szybko, że nie jestem w stanie iść. Mieliliśmy ich, prawda? Pokazaliśmy im. O tak. O tak. Dlaczego, dlaczego jest tak strasznie ciemno?

Słychać było gwałtowne chlupnięcie i łomot Tom usłyszał długie niskie jęknięcie, jakby królik wpadł w pułapkę. Przycichło i zamarło, zagłuszył je huk strumienia. W kanale znowu rozbrzmiała cisza. Tom zakradł się do wejścia do jaskini. Nieznajomy musiał upuścić latarnię, gdy upadał. W kanale panowała doskonała ciemność. Tom zaklął cicho pod nosem. Słyszał opowieści o dżentelmenach z rządu, którzy gubili się w tunelach i nieomal tracili rozum. Albo to mógł być donosiciel, który przyszedł na zwiady. Tego właśnie Tomowi potrzeba. Jeśli był jednym z nich, to jego koledzy zaraz tu będą, żeby go natychmiast wyciągnąć, pewne jak nic. Prawdopodobnie całe bataliony, z lampami i grzechotkami, i diabeł wie czym jeszcze, szykując kłopoty.

- Moja mała krzyżowniczo. Jest tak ciemno.

Bardziej oddech niż słowa. W takim razie głowa dżentelmena wystawała ponad wodę. Nadal tam leżał i nie próbował wstać z powrotem na nogi. Woda wzbierała teraz szybciej. Jeśli nikt po niego nie przyjdzie, to strumień przykryje mu głowę za godzinę. Ilu ich wtedy będzie tutaj, szukając tego, który utonął? Tom zawahał się przez chwilę. Dama opierała mu nos o plecy. Potem podniósł zamknięcie latarni.

To nie hycel. Tom odetchnął z ulgą. Kimkolwiek jednak był, było z nim bardzo kiepsko, bez dwóch zdań. Zgubił kapelusz, a włosy i wąsy miał oblepione tak grubo błotem i gównem, że nie było widać ich kolom. Twarz miał przeraźliwie bladą i pobmdzoną szlamem. Najdziwniejszy jednak był jego strój. Dżentelmeni, którzy przychodzili tu z Parlamentu, byli od stóp do głów ubrani w impregnowaną skórę z obawy przed pobrudzeniem sobie delikatnych dłoni o najmniejszą plamkę gówna. Nie ten. Każdy ścieg igły na jego odzieniu był przemoczony i oblepiony wszystkim, co znajdowało się w kanale, choć bez wątplenia było to wyjściowe ubranie, od wełnianego płaszcza po fular, bez śladu cerowania. Na przedzie koszuli miał zapinki, prawdziwe ozdobne zapinki, a w fular wbita była szpilka. Złota, sądząc po wyglądzie, pomyślał Tom, oceniając ją okiem szperacza. Kim, do licha, był



ten człowiek?

A potem, zupełnie niespodziewanie, mężczyzna otworzył oczy i spojrzał prosto na Toma. Wbił wzrok w twarz szperacza, jakby chciał zachować każdą jej cząsteczkę dokładnie w pamięci. Kulawy Gil odsiedział w Mili Bank trzy miesiące. Tom czuł, jak oddech zamiera mu w piersiach.

- Pan Rawlinson?

Słowa zadźwięczały wyraźnie jak dzwon. Tom się zawahał. Głos był gładki jak należy, ale nic innego w tym człowieku nie skłoniłoby kogokolwiek do przypuszczenia, że to dżentelmen. Nie rozdzielając włosa na czworo, według Toma, człowiek najnormalniej w świecie postradał zmysły. Przyglądając mu się, jak się uśmiecha, cały powykrzywiany, z rozbieganymi oczami, i jak łapczywie chwyta rękami powietrze, nie trzeba się było dużo wysilać, żeby wyobrazić sobie tę kreaturę związaną łańcuchami z innymi szaleńcami w Bedlam.

- Czy to pan, panie Rawlinson?

Mężczyzna chwycił go za rękaw. Twarz Toma wykrzywił gniemas. Z pewnością nie znalazłby żywej duszy, która byłaby skłonna uwierzyć w brednie tego człowieka, nawet zakładając, że jego biedna głowa okaże się na tyle sprawna, żeby cokolwiek później pamiętać. Najważniejsze to wydostać go z tunelów, i to szybko. Tom zawahał się tylko chwilę, a potem kiwnął głową.

- Zgadza się - przytaknął, przysuwając latarnię blisko twarzy mężczyzny, żeby go oślepić.

Ostrożności nigdy dość.

- Rawlinson. Tak to ja.

Mężczyzna zamrugnął w ostrym świetle.

- Czy... czy to świt?

Tom uśmiechnął się, nie był w stanie się powstrzymać. Gość był zupełnie pomyłony, najnormalniej w świecie, prędzej uznałby Toma za hipopotama w zoo, niż wydał go hyclom. Tom podniósł dżentelmena, chwytając go pod pachami, po czym zarzucił sobie jego ramię na szyję. W każdym razie transport szaleńca nie wymagał od Toma większego wysiłku, pomimo ciężaru mokrego ubrania. Sama skóra i kości.

- Zostań tu, Dama - szepnął Tom, zbliżając twarz do psiego pyska. - Dobra dziewczynka. Wrócę za chwilę.

Najszybciej, jak potrafił, ciągnął mężczyznę przez tunel. Mężczyzna oparł głowę na ramieniu Toma. Byli już prawie pod piwnicą, gdy się odezwał.

- Będziemy musieli ich pogrzebać - powiedział wyraźnie mężczyzna. - Ich ciała.

Wolno jak lunatyk dżentelmen sięgnął do kieszeni i wyciągnął nóż. Na jego ostrzu, niczym rdza, zaschnięta była krew. Tom poczuł szarpnięcie w żołądku ze strachu i złości. Bez ceregieli wyrywając nóż z wiotkiego uchwytu mężczyzny, Tom podsadził szalonego łotra do góry przez otwór i wrzucił go do piwnicy. Wariat upadł na klepisko, ale Tom chwycił go za kostki i wywłókł po stopniach płytkiej piwnicy na uliczkę. Głowa podskakiwała na stopniach jak piłka. Tom miał nadzieję, że bolało. Musiał zanieść drania wystarczająco daleko od piwnicy, żeby nigdy nie przypomniał sobie tego miejsca. Dwie przecznice, a potem uliczka wychodziła na wąskie podwórko. Wystarczy. Zapinki na koszuli mężczyzny rozbłyły w pierwszych promieniach poranka. W mgnieniu oka Tom zerwał je i schował do swojej kieszeni. Po namyśle wziął również chusteczkę mężczyzny. Splamiony krwią nóż wepchnął z powrotem do kieszeni jego przemoczonych spodni. Gdyby bydlak pozbierał się, zanim zamrznie na śmierć, przynajmniej nie sprawi mu żadnych kłopotów. Poczul satysfakcję.

Puszczony przez Toma szaleniec zwinął się na ziemi z kolanami przyciśniętymi do piersi ciasno jak krewetka. Tom splunął z odrazą na kawałek ziemi obok jego głowy i pośpieszył z powrotem do tunelu po Damę.

### XIII

To dwóch tragarzy węgla, przecinających uliczki w drodze nad rzekę, znalazło Williama wczesnym świtem. Nawet zimą musieli być w pracy o piątej rano, dźwigając na plecach ładunki węgla ze statków do wozów w czerwonym świecie kotłów. Ten poranek nie był wyjątkiem. Zobaczywszy zwinęte ciało Williama, białe pod cienką warstwą świeżego śniegu, wzięli je wprzód za zwykłą stertę śmieci. Przechodząc, jeden z mężczyzn otarł się o nią butem. Zbudzony, ledwie słyszalnym błaganiem, William zwrócił się o pomoc. Zazwyczaj mężczyźni ignorowali takie prośby. Nie leżało w naturze żadnego z nich robić cokolwiek bezinteresownie, a William, brudny i na wpół zamrznięty, nie przedstawiał się w wystarczająco atrakcyjny sposób, żeby sugerować zysk.

William miał jednak szczęście. Idąc, obydwaj mężczyźni pogrążeni byli w zajadłej debacie dotyczącej tego, który z nich jest silniejszy. Ten wyższy, prawdziwy olbrzym, w mocno wybrudzonej smołą roboczej bluzie i połatanych aksamitnych spodniach do kolan, zaproponował, że dowiedzie swej siły, zanosząc rannego mężczyznę na jednym ramieniu aż do mostu. Jak zazwyczaj w wypadku tragarzy węgla, poprzedniego wieczoru mężczyźni otrzymali dzienną zapłatę nie od zarządcy przystani, lecz od jego brata, właściciela gospody, który lubił

- gdy mężczyźni czekali na wynagrodzenie - zaoferować im coś w ramach

poczęstunku na kredyt Temu drobniejszemu pozostała zaledwie resztką pieniędzy w kieszeni, za to w brzuchu niósł mnóstwo piwa szynkarza. Fundusze okazały się natomiast wystarczające na satysfakcjonujący zakład i wkrótce ustalono jego warunki. Pogwizdując wesoło, na dowód niewymagającej natury zawodów olbrzym zarzucił Williama na plecy tak niedbale, jakby sprawiał się z workiem węgla. Rozgorączkowane czoło Williama podskakiwało niezgrabnie na plecach mężczyzny, gdy ten zmierzał na południe, a drobniejszy kompan musiał przyśpieszyć, żeby dotrzymać kroku. Śnieg padał nieprzerwanie, osiadając na rondzie kapelusza giganta. Jeśli odczuwał zmęczenie, to nie okazywał tego. Na Thames Street z poczerniałą dłonią już wysuniętą po zapłatę olbrzym zrzucił Williama z pleców i rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby go zostawić.

- Pośpiesz się z tym - pogańał drobniejszy mężczyzna rozdrażniony przegraną. - Będziemy późno, to obędą nas ze skóry.

Olbrzym odsunął kapelusz odrobinę do tyłu, żeby podrapać się po głowie. Gdy szedł, nie uważał ładunku na plecach za nic więcej niż ciężar, który miał przenieść, odrobinę lżejszy niż węgiel, ale poza tym niczym się od niego nieróżniący. Teraz, gdy widać było twarz, ładunek stał się znowu człowiekiem, człowiekiem, który - mimo że nieświadomie - pomógł mu w zdobyciu całkiem niezłego dochodu. Jęczał nieprzerwanie, wysoko i beznadziejnie jak chore dziecko.

- Nie mogę go tu tak po prostu zostawić, nie? - rzucił olbrzym.

Rozejrzał się dookoła. W świetle lampy gazowej, w którym płatki śniegu wirowały jak w szklanej zabawce, zauważył chybottliwe pasmo schodów prowadzące nad brzeg rzeki, a pod znakiem nawołującym przechodniów do przyzwoitego zachowania wąską drewnianą ławkę. Zmiatając z grubsza śnieg ogromną ręką, usadowił Williama w jednym jej rogu. Głowa Williama opadła na piersi, a nogi rozsunęły się na boki, ale utrzymał się w mniej więcej pionowej pozycji. Na białym policzku widniała smuga sadzy.

- Zabieramy się - powiedział olbrzym, nagle tak skory do ruszenia dalej jak jego kolega, i obydwaj mężczyźni zniknęli razem w ciemnej nocy.

Tragarze węgla pozostawili Williama na Thames Street Jego ciałem wstrząsało zimno i gorączka, ale chociaż od czasu do czasu otwierał oczy, ich puste spojrzenie nie rozpoznawało otoczenia. W swoim niespokojnym majaczeniu William był z powrotem w Bałakławie, błagając na miłość boską o kroplę wody, gdy muł, przez którego był przewieszony, chwiejnie podążał po zmrożonym błocie do portu i statku, który miał zabrać go do Scutari. Panowała absolutna ciemność, padał śnieg i każdy wstrząsający nim krok niósł się w umęczonym ciele echem tysięcy pozbawionych tchu jęków bólu. Powietrze wypełniały

rozpaczliwe prośby pozostałych rannych. Osiadały na Williamie warstwą grubą jak śnieg, wypełniając mu uszy i wysypując się za tył poszarpanego płaszcza. Tureccy tragarze zdawali się jednak ich nie słyszeć. Palili i żartowali hałaśliwie w swoim niepojętym języku, a ich smagłe twarze pojawiały się, to znów znikwały z pola widzenia. Ich lepki śmiech zdawał się gorący od kapiącej krwi żołnierzy. Gdy w końcu muł upadł i William został zrzucony na ziemię, jeden z tragarzy postawił go na nogi w śniegu jak lalkę. Turek był olbrzymi, wielkości dwóch mężczyzn. Pochylił się nad Williamem, jakby oceniał swój łup, a jego czarne dłonie uniesione były do góry. Szerokie usta zwisały otwarte, ale pod denkiem kapelusza oczy czerwieniały z chciwości. William się cofnął. Przez głowę przeszła mu myśl, żeby poprosić o pomoc, ale świat jakby odpłynął, cały zgielek i bieranina portu stłoczona w pięść, która wylądowała na tyle czaszki Williama, podczas gdy w pozostałej części jego porzuconej głowy ciszę przełamywało jedynie jęczenie zmrożonego wiatru rozrzucającego odłamki śniegu w próżni. Tutaj nic nie było. Tutaj mógł zamarznąć na śmierć. Do ostatniej kosteczki zostanie sprasowany przez nicość, aż sam nabierze cech nicości. Jeśli ktoś pojawi się w tym miejscu, to nic nie znajdzie. Tutaj, na skraju wszystkiego, nie było Boga. Nie było diabła. Było tylko zapomnienie. Kto miał siły, mógł się odwrócić. Mógł walczyć z hałasem i pulsowaniem światła, atakować i uderzać cierpienie bagnetem i gołymi pięściami, aż się otworzy i go zabierze. Albo mógł leżeć w ciemności i oddać się wiatrowi. Jego zmrożony oddech zabierze ból i gorączkę, i to niedające się znieść pragnienie. Wystarczyło jedynie się poddać.

- Kim pan jest? - zażądała ciemność w całkiem miły sposób, obejmując jego twarz swoimi zmrożonymi palcami. - Czy ma pan żonę? Nie będzie się martwić o pana?

William pomyślał o Polly, o gładkich puklach jej kasztanowych włosów i o pieprzyku z tyłu szyi jak kapnięcie czekolady, i poczuł ukłucie bólu w żebrach. Odwrócił głowę, żeby jęczenie wiatru wypełniło mu uszy. Koniec wszystkiego. Nie było już człowieka, który nazywał się William May. Czy był kiedykolwiek? Może przez krótką skradzioną chwilę była smużka rozgorączkowanego ciepła w zimnej ciemności. Teraz, w końcu ten, który był nikim, zostanie zwrócony nicości. To już koniec. Ciemność zamknęła się nad jego głową jak woda.

Gdy William otworzył wreszcie oczy, znowu oślepił go błysk światła. Przestraszony zacisnął mocno powieki i odwrócił głowę. Ten ruch spowodował eksplozję bólu w tyle czaszki. Nie mógł opanować drżenia, chociaż na twarzy czuł nieznośne gorąco. Leżał na plecach i coś go przytrzymało, krępując ramiona po bokach, przez co dłonie trzęsły się obok ud jak wyrzucona na brzeg ryba. Światło napierało na zamknięte powieki, zalewając je wściekłą czerwienią. Bolały go nogi, szyja i korzenie zębów, a gdy próbował przepchnąć ślinę do wyschniętego gardła, odkrył, że język przykleił się do podniebienia.

- Wody - wyszeptał do Turka. - Wody, błagam.

Natychmiast coś miękkiego i przyjemnie chłodnego przebiegło mu po czole i objęło, unosząc głowę. Do ust przystawiono mu kubek. William się napił. Gdy przełknął, woda zdawała się płynąć nie tylko do gardła, ale również w górę, do mózgu, kojąc jego wypalone zwoje. Krwawe od wewnątrz powieki pociemniały, nabierając gołębioszarego koloru.

- Tesekkur ederim - wyszeptał. - Dziękuję.

Czas mijał. Światło pojawiała się i odchodziło. Ledwie uświadamiane, jak na wpół zapomniane sny, niezidentyfikowane hałasy szarpały jego pamięć, a potem ulatywały w ciszę. Miał dreszcze na zmianę z gorączką, czasem jednocześnie drżał i płonął, a nieustępliwe poty obsypywały go płaszczem soli. I przez cały czas niemożliwe obrazy wpływały i wypływały z jego głowy. Ręka matki głaszcząca go po twarzy, koniuszki jej palców pełznące po złotym koraliku słońca na jego policzku, jego syn wpatrujący się w niego bez mrugnięcia oczu, które w przydymionym świetle świecy nabrały wyrazu dorosłych. Usta Polly, jak różowa wstążka, układające się dookoła miękkich irlandzkich sylab Meatha, jednonogiego żołnierza. Hawke z wąsami usianymi kroplami śliny siedzący na ulubionym krześle ojca, z zieloną księgą rachunkową sklepu na kolanach. Alfred England uśmiechający się z niepokojem i oferujący mu talerz z ciastkami, a każde z nich to dysk wypalanej londyńskiej gliny.

A w odległym kącie, zatopiony w nieustającym zmierzchu, niezmiennie pan Bazalgette z palcami przyłożonymi do ust Proszę, aby przywołał się pan do porządku, May, szeptał wielki inżynier. Z konfliktu własnych wewnętrznych instynktów inżynier potrafi stworzyć porządek. Porządek, May, bardzo proszę. William nie widział jego twarzy, ale skryte w kapturze oczy wpatrywały się w niego, jakby były oddalone zaledwie o parę cali, poważne i pociemniałe z rozczarowania. Inżynier stwarza porządek. Ręce tak mi się trzęsą, próbował tłumaczyć się Bazalgette'owi, ale usta nie chciały go słuchać. W zamian, raz po raz, powtarzały słowa wielkiego człowieka: inżynier stwarza porządek, inżynier stwarza porządek. W rozgorączkowanej malignie na wpół snu słowa powtarzały się z miarowym rytmem maszyny parowej, ale nie przynosiły pokoju. Bez względu na to jak bardzo się starał, William nie pamiętał, czym było to, co tak bardzo pragnął zrozumieć.

#### XIV

Potem gorączka spadła i William się obudził. Kwadrat okna pokryty był marmurem zimnego szarego światła rozłupanego czarnymi i pozbawionymi liśćmi gałęziami. Nad parapetem na framudze łuszczyła się farba. William spojrzął w kąt, gdzie przyzwyczał się widywać postać pana Bazalgette'a z głową pochyloną w zamyśleniu i opartą na palcach, ale w zamian zobaczył jedynie wygiętą umywalkę ze znajomą miską ozdobioną rysunkiem

niezapominajek i makatkę z wyhaftowaną gęstym ściegiem obiecującą sentencją: NIE MA JAK W DOMU. Na kominku płonął niewielki ogień. Odwrócił głowę. Przy poruszeniu czuł słaby ucisk bólu od wewnątrz, w poprzek czoła, ale głowa mocno siedziała na karku, a skóra była nieomal chłodna. Po drugiej stronie do łóżka przysunięto krzesło z wygiętego drewna, a na jego poręczy wisiał szal w kratkę. Na gołej podłodze stał koszyk z rzeczami do cerowania, szpulkę nici porzucono niedbale pośrodku, a obok dzban z niezapominajkami, z utraconym dzióbkiem, przykryty białym płótnem. Za oknem usłyszał stukot kół na kocich łbach i z ulicy dobiegło go znudzone zawrodożenie: „Mleko! Pół pensa za ćwierć kwarty!”. Zarżał koń. Stłumione przez odległość, wprawione w ruch gęsie trąbki parowców pasażerskich rozbrzmiewały wysoką, pełną nagany nutą odjeżdżającego pociągu.

Był w domu.

Przez jeden doskonały moment zwyczajność pustego pokoju wypełniła go spokojem. A potem do nadal ciepłej zatoczki żołądka zaczęły napływać rzadkie, kwaśne wyziewy ulotnych snów i na wpół zapomnianych okrucieństw. Żołądek ścisnął nieprzyjemny skurcz, a włoski na ramionach stanęły na sztorc.

- Polly? - zawołał słabym głosem, z trudem poruszając językiem po długiej przerwie.

Po chwili na gołych deskach podestu dał się słyszeć odgłos bosych stóp. William przełknął i podniósł się z wysiłkiem, opierając na jednym łokciu. W drzwiach stał niepewnie Di, włosy mu sterczały, tworząc wokół zaspanej buzi zaskoczona korona. Nad wełnianym kocykiem, który ścisnął w ramionach, widać było okrągłe oczy. Sposób, w jaki wpatrywał się w ojca, sprawił, że skóra Williama ścierpła z niepokoju. Zamknął mocno powieki.

- Polly! - zawołał ponownie, tym razem bardziej chropowatym głosem.

Nie otworzył oczu. Usłyszał, jak szepcze coś do chłopca, a potem szelest jej spódnicy, gdy szła przez pokój do jego łóżka. Miała ciężki krok i słyszał wysiłek, z jakim oddychała. Wzdrygnął się na dotyk jej dłoni na swym czole.

- William? Czy... obudziłeś się?

William otworzył usta, ale strach kręcił nim takie młynki, że dostał zawrotów głowy i nie mógł nic powiedzieć. Pokiwał jedynie bezbrinnie głową z nadal mocno zaciśniętymi powiekami.

- Woda. Musisz napić się odrobinę wody.

Jej dłoń przechyliła mu głowę, aż usta dotknęły brzegu kubka. Napił się trochę, ale płyn stanął mu w gardle i zakaszłał. Polly pochwyciła jego wiotką rękę, przyciskając usta do jego dłoni.

- Och, mój kochany! Tak bardzo... ale gorączka już prawie minęła. Wszystko dobrze.

Wszystko będzie całkiem dobrze.

Polly mówiła wesoło, ale w jej głosie słyhać było ostrą nutę, która zdawała się przeszywać mu żebra.

- I musisz jeść, odzyskać siły. Może trochę zupy? Odrobisnow i na wpół zapomnianych okrucieństw. Żołądek ścisnął nieprzyjemny skurcz, a włoski na ramionach stanęły na sztorc.

- Polly? - zawołał słabym głosem, z trudem poruszając językiem po długiej przerwie.

Po chwili na gołych deskach podestu dał się słyszeć odgłos bosych stóp. William przełknął i podniósł się z wysiłkiem, opierając na jednym łokciu. W drzwiach stał niepewnie Di, włosy mu sterczały, tworząc wokół zaspanej buzi zaskoczona koronę. Nad wełnianym kocykiem, który ścisnął w ramionach, widać było okrągłe oczy. Sposób, w jaki wpatrywał się w ojca, sprawił, że skóra Williama ścierpła z niepokoju. Zamknął mocno powieki.

- Polly! - zawołał ponownie, tym razem bardziej chropowatym głosem.

Nie otworzył oczu. Usłyszał, jak szepcze coś do chłopca, a potem szelest jej spódnic, gdy szła przez pokój do jego łóżka. Miała ciężki krok i słyszał wysięk, z jakim oddychała. Wzdrygnął się na dotyk jej dłoni na swym czole.

- William? Czy... obudziłeś się?

William otworzył usta, ale strach kręcił nim takie młynki, że dostał zawrotów głowy i nie mógł nic powiedzieć. Pokiwał jedynie bezbrinnie głową z nadal mocno zaciśniętymi powiekami.

- Woda. Musisz napić się odrobinę wody.

Jej dłoń przechyliła mu głowę, aż usta dotknęły brzegu kubka. Napił się trochę, ale płyn stanął mu w gardle i zakaszłał. Polly pochwyciła jego wiotką rękę, przyciskając usta do jego dłoni.

- Och, mój kochany! Tak bardzo... ale gorączka już prawie minęła. Wszystko dobrze. Wszystko będzie całkiem dobrze.

Polly mówiła wesoło, ale w jej głosie słyhać było ostrą nutę, która zdawała się przeszywać mu żebra.

- I musisz jeść, odzyskać siły. Może trochę zupy? Odrobinę sera?

William potrząsnął głową, zaciskając powieki z całych sił. Polly położyła delikatnie jego rękę na nakryciu.

- Może później w takim razie. Och, Di, mój aniołku, wszystko będzie dobrze! Ale teraz zmykaj. Twój tato jest bardzo zmęczony. Musimy dać mu się wyspać.

William nie otworzył ponownie oczu, dopóki nie był pewien, że obydwójce są w

kuchni. Di zawsze zeskakiwał z trzech ostatnich stopni, bez względu na to, ile razy Polly go za to besztala. Chwiejące się balustrady zatrzeszczały, potem zapadła cisza. Chciał być sam, chciał się zatracić we śnie. Gdy nie spał, głowę wypełniały pytania i duchy odpowiedzi pojawiały się na jego skórze w chłodzie skroplonego potu. Przekonywał się, że istniały pewniki. Niezmienne pewniki. Był w Lambeth. Wojna się skończyła. Nie mógł wędrować po zamrzniętych okopach, to było niemożliwe, bez względu na to, jak żywe wydawały się ich okropieństwa. Nie były niczym więcej niż snem, ognistymi wytworami wyobraźni wywołanymi przez gorączkę. Miał żonę, syna, skromne, ale szacowne stanowisko w Metropolitan Board of Works. Był mierniczym w Komisji ds. Ścieków. Ścieki. To słowo wywołało w jego piersi straszliwy spazm przerażenia, uwalniając fragmenty wspomnień: wzbierający przypływ, ciężar wody ciągnącej nogawki jego spodni, kształt noża w jego dłoni, upadające ciała żołnierzy...

Odruchowo dłoń powędrowała w stronę ramienia. Pulsowało, chociaż aż do tej chwili nie zauważał tego. Pod rękawem koszuli nocnej gruby bandaż biegł od nadgarstka po łokieć. Palce Williama zeszywniały. Zawahał się. Najlepiej byłoby zostawić bandaże na swoim miejscu, bo jeśli rany są otwarte, to istnieje duże ryzyko infekcji. Być może jednak były zaledwie zadrapaniami? To miałyby znaczenie, gdyby były tylko zadrapaniami, nieprawdaż? Gdyby były tylko zadrapaniami... To było możliwe.

Rwąc bandaż na oślep, William zdał go z ramienia. Świeże rany pokryte były szorstkimi czarnymi strupami usianymi jasnymi koralikami krwi w miejscu, gdzie William w pośpiechu rozerwał ich brzegi. Skóra, napięta i błyszcząca od ran, zablizniała się niezdarnie, wybrzuszając się na złączeniach. Cięcia widoczne były w gęstych zbitkach, tak gęstych, że William z trudem dostrzegł pod nimi blednący róż litery W. Przynajmniej jedno z nich było bardzo głębokie, biegnąc wokół ramienia, jak gdyby nóż usiłował wytrzeć swoje ostrze o świeże mięso. A pomiędzy nacięciami, w środku, zgromadziło się może ze dwanaście krótkich cięć, każde długie na około jednego cala. Nie zablizniały się dobrze. Brzegi ran były napuchnięte i pożółkłe i wydzielaly rzadką ropę. William skrzywił się z bólu, gdy przesunął po nich palcem. Były głębokie, bardzo głębokie. Nóż przyłożony płasko do ramienia nie zrobiłby takiego nacięcia. Trzeba by natomiast ująć nóż w pięść i, z końcem ostrza skierowanym w dół, wbijać go, wbijać, wbijać...

William zwymiotował na podłogę i rozchlapane wymiociny zabrudziły wiklinę koszyka z cerowaniem. Nie miał nic w żołądku z wyjątkiem odrobiny wody, ale mimo to wymioty targały nim raz po raz. Brzuch zwinął się w pięść, a żółć pozostawiła gorzki smak na języku. Gdy ponownie usłyszał na schodach Polly, nie śmiał na nią spojrzeć. Wyciągnął



natomiast poranione ramię, a palce skierował w jej stronę w geście desperackiego błagania. Poplamione bandaże leżały w bezładnym stosie na pościeli.

Na progu sypialni Polly stłumiła okrzyk i zatrzymała się gwałtownie, swą szeroką spódnicą zasłaniając drzwi.

- Di, zejź na dół.

Zaskoczony surowością jej głosu chłopiec nie oponował. Słuchali razem głuchego odgłosu, gdy zeskoczył z trzech ostatnich stopni do wąskiego korytarza. Potem Polly zamknęła drzwi, wlewając do miski na umywalce wodę.

- Niech mnie, co ty, na litość boską, wyprawiasz? - zgañiła męża, chwytając porzucone bandaże i okręcając je mocno wokół jego ramienia, aż koniuszki palców Williama zaczęły mrowić.

Gdy skończyła, przykucnęła obok łóżka, zgięta niezdarnie nad swoim dużym brzuchem, i starła zwiniętą szmatą podłogę. W jej pięknych kasztanowobrazowych włosach widniały srebrne nitki, a na bladym przedziałku widać było czerwonawy pieg. William skupił wzrok na tym piegu, starając się utrzymać równowagę.

- Co się stało? - szepnął.

- Byłeś chory, najdroższy, to wszystko. Gdy już zrobię tu porządek, przyniosę ci trochę rosółu, na żołądek. Ten miły pan Mitchell dorzucił mi parę niezłych kości wczoraj, gdy się dowiedział, że zachorowałeś.

Szorowała szybko drewniane deski. Nie patrzyła na niego. William poczuł w żołądku opadającą ciemność, jakby spadał coraz niżej w szybie kanału.

- Ale wcześniej - zmusił się do zadania pytania. - Kiedy...? Jestem... jestem tutaj, w łóżku, już od jakiegoś czasu, prawda?

- Było z tobą bardzo źle - odparła wesoło Polly, płuczac szmatę w misce. - Wykrzykiwałeś i wygadywałeś różne rzeczy w gorączce. Ale to już za nami. Najlepiej o tym zapomnieć i skoncentrować się na odzyskaniu sił.

- Ale...

- Był wtorek rano, gdy posterunkowy przyprowadził cię do domu, około piątej wydaje mi się, że to było. Z całego tego zamieszania obudził Di, nie mówiac o połowie ulicy, z tobą całym rozpalonym i gadającym jak najęty.

Polly przerwała na chwilę, zwijając w dłoniach szmatę w gniewny sznur. Potem zaczęła znowu ścierać z nowym wigorem.

- Dzisiaj jest sobota.

Cztery dni. Leżał tutaj od czterech dni. Jego niepokój osłabł trochę, chociaż nie

umiałby powiedzieć dlaczego.

- Mamy być za co wdzięczni i tak - Polly kontynuowała tym samym radosnym głosem. - Bóg raczy wiedzieć, co by się z tobą stało, gdyby się tam nie zjawili. Znaleźli cię na wpół zamarzniętego, ledwie żywego, przy rzece, o tak, miałeś podarte ubranie, całe ubrudzone, a twarz białą jak płótno. Nie wspominając, że z koszuli znikły twoje najlepsze zapinki.

Polly przerwała na chwilę ścieranie podłogi i potrząsnęła głową. Jej wybuch śmiechu kłuł jak usta pełne szpilek.

- Co ty sobie, na miłość boską, myślałeś, mój skarbie, poza domem, w ten sposób i w taką srogą noc? Masz szczęście, - że żyjesz.

- Tak?

Nie zamierzał zadać tego pytania na głos, ale jakoś słowa te zaplątały się w westchnienie i wyrwały mu się z ust Natychmiast Polly rzuciła szmatę na podłogę i chwyciła go za nadgarstki, wbijając mu boleśnie palce w obolałe ciało. Jej różowe usta zacisnęły się mocno w białą kreskę, a złote plamki w oczach zapłonęły z furją.

- Masz z tym skończyć natychmiast, słyszysz mnie? Nie pozwolę, żebyś tak mówił, nie pozwolę, nie, dopóki żyję w tym domu. Nie pozwolę, żebyś nas zniszczył, rozumiesz? Nie pozwolę. Wszystko mi jedno, czy podpisałeś pakt z samym diabłem, nie będę stała bezczynnie i przyglądała się, jak pozwalasz na to, żebyśmy znaleźli się w rynsztoku. Jak myślisz, co się z nami stanie, jeśli sobie pójdziesz i zamarznieš na śmierć? Jeśli będziesz nadal... no wiesz, robił sobie... to, co do tej pory?

Jej głos załamał się, gdy podnosiła głowę, żeby spojrzeć w stronę okna.

- Myślisz, że twoja kochana Rada będzie się martwić tym, czy mamy gdzie mieszkać, albo czy mamy co włożyć do ust? Że będą się zastanawiać, co stanie się z Di albo z dzieckiem, gdy się urodzi? Myślisz, że tam nie ma stu ludzi, którzy czekają tylko, żeby zająć twoją posadę, ot tak, w jednej sekundzie? Myślisz, że nie ma ich tam teraz, przymilających się do twojego pana Lovage'a, gdy ty tu sobie leżysz, jęcząc? No co, myślisz, że tak nie jest?

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. Smutek sprawił, że na jej gładkiej skórze pomiędzy brwiami pojawiły się bruzdy i gdy nerwowo składała w palcach materiał fartucha, zauważył, jak w jej oczach błyszczą łzy Zamazywały ostre złote cętki w tęczówkach, aż wydały się koloru wodnistej herbaty. William poczuł gwałtowny skurcz żołądka.

- Dlaczego, Williamie? - zapytała.

Dość gwałtownie cały ogień w niej zgasł, głos zmiękł i zszarzał jak popiół. Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku.

- Jesteśmy szczęśliwi. Czy nie jesteśmy szczęśliwi?

William spojrział na nią bezsilnie. Chciał ją pocieszyć, ale jego serce było puste. Nie mógł znaleźć w sobie ani krzty pocieszenia. Nawet kości wydawały mu się puste, tak kruche, że można byłoby złamać je z łatwością na pół. Z tyłu czaszki, jak drapanie myszy pod listwą podłogi, budziły się i narastały pragnienia.

Polly zacisnęła mocno oczy. Potem, wycierając swój wilgotny policzek w fartuch, porwała miskę brudnej wody i wywołała na swojej twarzy sztuczny uśmiech.

- No cóż, policzki trochę ci się zaróżowiły. Cieszę się z tego. Widać, że choroba mija. Przyniosę ci trochę zupy, a wtedy powinienes już wstać i zacząć się ruszać. Wyprasowałam i połatałam ci spodnie, chociaż obawiam się, że już nigdy nie będą wyglądać tak jak kiedyś. Przypuszczam, że będziesz chciał się stawić przed Radą w poniedziałek. Na pewno. Nie ma ani chwili do stracenia, czy nie tak zawsze mówi pan Lovage? Poza tym chcielibyśmy zobaczyć twoją twarz wieczorem. Mnie i Di było smutno bez ciebie.

Nie czekając na odpowiedź, opuściła pośpiesznie pokój. William zamknął oczy. Usłyszał, jak Polly woła Di ze szczytu schodów i przytłumiony potok słów synka w wykrzyczanej odpowiedzi. Nasłuchiwał, jak pojękują schody, gdy Polly schodziła do kuchni. Nic nie czuł. Ostre słowa żony poruszyły go, ale słabo, bez przekonania, i znikły jak dym. Tymczasem czarny potok pragnień atakował i wzbierał, wypełniając piersi i gardło, i każdą z kruchych wytartych kości niezaspokojonym czarnym płomieniem. Palił podeszwy stóp i rozpalał korzenie włosów. Cała skóra płonęła.

Drżąc, William odsunął narzutę. Gdy próbował usiąść, pokój obniżał się i tańczył wokół niego, więc chwycił materac, żeby złapać równowagę. Potem, trzymając się mocno żelaznej poręczy łóżka, opuścił stopy na podłogę i stanął na drżących nogach. Pragnienia przesywały ciało jak płomień gazu. Całe ciało płonęło teraz, a każde poczerwiałe włókno domagało się ulgi. Szorstka materia bandaży uciskała piekącą skórę. Pociągnął za rękaw, gdy zataczając się, szedł przez pokój. Kuchnia. W kuchni są noże. I wtedy z mgły jego wyobraźni wyłonił się obraz, doskonale ostry. Ciemny kanał. Ciało. Chłupot kroków. Dłoń na rękojeści noża, gdy ten spoczywał schowany w kieszeni spodni. William odwrócił się gwałtownie. Spodnie jednak nie były przewieszane przez oparcie krzesła jak zawsze. Musiał je znaleźć. Musiał znaleźć nóż. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi sypialni i ruszył przez wąski podest. Schody wirowały i pływały, uciekając przed nim w zdradliwych unikach. Nogi chwiały się pod nim. Pragnienia sprawiały, że z trudem oddychał.

Ściskając chwiejącą się balustradę obydwoma rękami, z trudem zszedł, powłócząc nogami, na dół. Na dole schodów źle stanął i przewrócił się, uderzając głową w ostry róg

ściany. Snop światła przecinał witrażowy panel w drzwiach, skrapiając czerwonymi i purpurowymi cętkami wyszorowaną kamienną podłogę i wewnętrzną stronę jego dłoni. Czuł, jak krew sączy mu się we włosy. Krew. Jej ciepło i lepkość rozpały go. Przycisnął palce do rany i polizał je. Głód eksplodował, krzyk narastał stopniowo, napierając na przeponę, wciskając mu płuca do gardła. Próbował wstać, ale nogi nie chciały go słuchać.

Zaczął się więc czołgać. Gdy zahaczył koszulą nocną o kolana, szarpnął nią tak energicznie, że cienka bawełna rozerwała się na nim aż do pasa. Wilgotne dłonie zostawiały szare cienie na kamiennych płytach, a oddech wydostawał się z ust gwałtownymi sapnięciami jak u psa. Musiał tylko dotrzeć do kuchni. W kuchni są noże. Ostrza błyszczące chłodno i srebrzyście jak woda. Upadł na kuchenne drzwi, palcami rysował surową sosnę, a dzikie spojrzenie wędrowało po kredensie w poszukiwaniu noża, jakiegokolwiek noża. Kredens miał szklany panel, można go zbić w razie potrzeby, wystarczyłby też kawałek rozbitego talerza, naczynia. Coś ostrego, cokolwiek, byle było ostre. Na wyszorowanym stole zajaśniał tasak. Tasak! Rzucił się na stół, podciągając się na zdrowym ramieniu i prostując, wyprostowując wszystkie palce z osobna, aż w końcu dotknęły chłodnego, gładkiego metalu ostrza. William czuł, jak otwiera się w nim pewność ekstazy, olśniewające ukłucie doskonałego światła. Triumfalnie pochwycił ciężki nóż, unosząc go w górę. Wszystkie palce zaciskały się gorliwie na trzonku, gdy ześlizgiwał się w dół po nodze stołu i gdy przycisnął usta do ostrza. Oddech zakwitł ulotną chmurką na zimnym metalu. Potem, z delikatną precyzją, opuścił go w dół i rozciął ciało nagiego uda.

- O, słodki Jezu!

Polly stała w drzwiach, zamykając dłońmi usta, podczas gdy drewniane spinacze do bielizny wysypywały się z jej podkasanego fartucha na kamienną podłogę. Jej oczy były okrągłe z przerażenia. Przed nią, z głową odrzuconą do tyłu, opartą o nogę kuchennego stołu, siedział William w kałuży krwi, w rozdartej, podniesionej do pasa koszuli. Pojedyncze, głębokie nacięcie biegło w poprzek trupio białej skóry uda. Krew zaczynała krzepnąć, chociaż lepki strumień nadal płynął sennie w dół po krągłości nogi i skapywał na miękki kształt odsłoniętego penisu. Opatrunek ciągnął mu się za ramieniem, ukazując potargane ciało, a pozwijana, wewnętrzna strona bandaży nosiła na sobie wzór sztywnych, ciemnych plam, podkreślonych przez chlapnięcia świeżego szkarłatu. Tam, gdzie na skórze nie było blizn ani nakłuć, widniał powykrzywiany, odcisnięty, landrynkowy wzór bladych różowych linii - ślad po zbyt obcisłym opatrunku. Ramiona rozłożył William szeroko po bokach, a w prawej dłoni trzymał luźno w palcach tasak do mięsa. Lok słomkowych włosów przykleił się do zakrwawionego ostrza. Miał zamknięte oczy, usta rozchylone, ale jego twarz świeciła jak u

aniola, przepełniona radością.

Gniew sprawił, że krew odpłynęła jej z żył, a ona stała blada, sztywna i idealnie spokojna.

- Wstawaj! - warknęła. - Wstawaj, słyszysz mnie?

Chwytając go za poranione ramię, wykrzywiła je boleśnie, kopiąc go solidnym trzewikiem w bok. William jęknął i przewrócił się na plecy, uderzając ramieniem w stół.

- Wstawaj!

Kopnęła go ponownie, mocniej tym razem. Z rany na udzie wytrysnęła, jakby ze zdziwieniem, krew. William otworzył oczy i zmarszczył czoło, mrugając oczami, usiłując ją umiejscowić, sprawić, by postać nabrała ostrości. Gdzieś poza sobą, był w stanie wyczuć niepokój, kogoś krzyżącego, ale nie było go to w stanie dosięgnąć. Był zupełnie opanowany.

Polly wyrwała tasak z jego dłoni.

- Chcesz, żeby twój syn tak cię zobaczył? - krzyknęła, wymachując mu przed oczami ostrzem noża. - No, chcesz?

Chwyła go za kołnierz koszuli nocnej i potrząsnęła. Głowa mu podskakiwała, ale William ledwie to zauważył. Surowy ruch przemieścił jednak coś w jego głowie i - wyraźnie, jakby stał przed nim, William zobaczył mężczyznę. Spowita cieniem korona kapelusza zasłaniała jego rysy, ale twarz była biała, a oczy płonęły w odbitym płomieniu latami. W ręce trzymał nóż.

- Tam był ktoś jeszcze - powiedział nagle William. - W tunelach. Widziałem go.

Twarz Polly wykrzywiła się, a ręce opadły bezwładnie po bokach.

- Wynoś się stąd! - rzuciła, a jej głos był słaby z rozpacz.

Łzy popłynęły po białych policzkach.

- Tylko przez chwilę. Ale go widziałem.

- William, słuchaj mnie, błagam cię!

William zamknął oczy i słuchał.

Spotęgowany, ale nieskazitelnie czysty fragment tej zagubionej nocy niósł się echem w jego głowie jak bicie niedzielnych dzwonów - elementy wzoru, ale jednocześnie odrębne, każdy dźwięk wiemy sobie. Drapanie po cegle, chlupot błota, plusk wody, stłumione jęknięcie, krzyk wysiłku, kwilenie tonącego kociaka, bulgot dławiącego się człowieka, głuche kopnięcie buta o ciało, płaski, nurkujący plusk ciężkiego worka wrzuconego do strumienia, wszystkie naraz wróciły do Williama w doskonałej harmonii jak słodki kawałek melodii. Czuł nawet po wewnętrznej stronie dłoni śliski chłód ściany tunelu, gdy do niej przyłgnął, bolesne ukłucie tłumionego oddechu w piersi, nieprzyjemną sztywność nóg opierających się nurtowi

strumienia. Był niespokojny, bał się, że ktoś go zobaczy, że ktoś go usłyszy. Nic nie widział, nic poza przelotnym widokiem twarzy uchwyconym w świetle lampy. Ale słyszał. Słyszał to teraz ponownie. Ostatnie rozpaczliwe jęknięcie umierającego człowieka.

Z trudem złapał oddech, wyciągając ręce, żeby pochwycić dłonie Polly.

- Zamordował kogoś - szepnął, a jego oczy błyszczały z przekonaniem. - Tam, na dole. Jestem pewien. Zamordował kogoś.

Polly zgięła się w pół. Głowa opadła do przodu, a za nią włosy, wymykając się szpilkom. Jej ramiona drżały, a dłonie w rękach Williama były zimne i wiotkie. William przyglądał się jej przez chwilę, z wyrazem zdziwienia na twarzy, potem uniósł jej podbródek na palcu. Wpatrywała się w niego mokrymi czerwonymi oczami. Delikatnie, William odgarnął lekko pasemka włosów z jej mokrej twarzy

- Nie bój się, moja mała krzyżowniczo - powiedział czule. - Jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni.

Z ust Polly wydobył się dziwny zduszony jęk śmiechu. Potem, zatykając jedną dłonią usta, a drugą przyciskając mocno do krągłości wypukłego brzucha, uciekła z kuchni, zatraskując za sobą drzwi.

William siedział długo na zimnej kamiennej podłodze, myśląc. Przez otwarte okno płynęły wysokie swiergotliwe dźwięki śmiechu syna i łagodniejsze echo głosu żony. Potem, z właściwą sobie pedantycznością, oczyścił i opatrzył ranę na nodze i starł krew z kuchennej podłogi. Gorączka osłabiła go i musiał często przerywać pracę, by odpocząć. Rana na nodze pulsowała. Gdy w końcu wylał brudną wodę, całe ciało łaknęło boleśnie snu. Bardzo wolno ruszył w kierunku schodów. Przy drzwiach zatrzymał się, opierając dłoń na porcelanowej gałce, i spojrzął za siebie. Kamienne płytki nie były idealnie czyste. W niektórych miejscach krew wsiąkła w zaprawę pomiędzy płytkami, plamiąc ją na brązowo. Jutro spróbuje ponownie. Posuwając się sztywno, pochylony jak stary człowiek, poszedł korytarzem do schodów, powłócząc nogami.

Kilka razy w czasie tygodnia swojej rekonwalescencji William próbował ponownie rozmawiać z Polly na temat morderstwa, którego był świadkiem, ale żona pozostawała idealnie głucha na jego słowa. Śpiewała, przekrzykując go z wściekłą radością, albo wołała do Di, żeby przyniósł jej koszyk z cerowaniem. Raz czy dwa, gdy była na nogach i mogła poruszać swoim coraz bardziej niezręcznym ciałem z wystarczającą prędkością, wyszła z pokoju. Zachowywała się tak, jakby się w ogóle nie odezwał. W stosunku do Di była wesoła i kochająca jak zawsze, chociaż zaawansowany stan sprawiał, że męczyła się i brakowało jej tchu. Do Williama odzywała się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, a wtedy

tonem wystudiowanej grzeczności, którego zupełnie nie rozpoznawał. Była staranną pielęgniarką, poprawiając mu pościel, przynosząc zupę i napary z ziół, nawet czytając mu, gdy jego oczy były zbyt zmęczone, by śledzić słowa. Nie chciała jednak w ogóle na niego patrzeć. Żłote cętki w jej oczach były twarde i przydymione jak zaśniedziały mosiądz. Kuchenne noże zamknęła na klucz w wysokiej szafce, razem z brzytwą Williama i nożykiem do korespondencji. Żelazny klucz kołysał się na jej pasku jak klucze więziennego strażnika. Gdy Di próbował się nim bawić, tak mocno uderzyła go w palce, odsuwając dłoń synka, że aż zapłakał. Potem, gdy chłopiec wdrapał się na jej kolana, przycupnął na ich skrawku, obok dużego brzucha, i zamknął oczy, głaskała go po włosach, a do kącików jej karmelowych oczu napłynęły łzy. W nocy spała z kluczem schowanym pod poduszką.

Gdy William był w stanie zadowalająco utrzymać się na nogach, nalegała, że powinien wrócić do pracy.

- Masz zobowiązania, jeśli nie zapomniałeś - napomniała go ponuro. - Ludzie daliby sobie uciąć ręce za twoje stanowisko. Myślisz, że będą je trzymać dla ciebie, podczas gdy ty będziesz się ślaniał na nogach jak jakaś dama?

William oparł się o framugę drzwi. Pokonanie schodów wyczerpało go i drżały mu kolana. Stracił sporo na wadze. Spodnie wisały mu na biodrach, a policzki miał zupełnie zapadnięte. Włosy na głowie sterczały mu w zabawnych kępkach. W każdym calu przypominał mężczyznę, który powrócił do niej z Kiyumu. Polly utkwiała swój wzrok nieruchomo w kominku.

- Będę musiał ich poinformować - powiedział cicho William. - O morderstwie. Jest to moją powinnością jako podległego Radzie. Rozumiesz to, prawda?

Cofnął się, gdy Polly odwróciła się z twarzą pociemniałą od gniewu.

- Co się z tobą dzieje? - krzyczała. - Czy uparłeś się, żeby nas zrujnować? Czy o to właśnie ci chodzi?

- Polly, proszę. Oczywiście, że nie. Nie chcę przysparzać nam żadnych kłopotów. Ale kanały są własnością Rady. Jeśli popełniono morderstwo...

- Morderstwo? Posłuchaj mnie, ty ślepy, pomyłony głupcze. Jeśli rzeczywiście popełniono morderstwo, to lepiej się módl, żeby nigdy się o tym nie dowiedzieli. Myślisz, że ci po prostu serdecznie podziękują i dadzą w nagrodę pół korony?

Tobie z twoimi... ohydnyymi cięciami na całym ciele i zakrwawionym nożem w kieszeni? Znalazłam ten nóż, Williamie. Znalazłam go. Nie wygląda to za dobrze, prawda? A jak pójdziesz do nich i zaczniesz opowiadać o jakimś morderstwie, to jak myślisz, kogo uznają za winnego?

XV apitan nie był zbyt precyzyjny, ale Tom miał szczęście.

Razem z Damą nie zrobili więcej niż kilkaset jardów, gdy natknęli się na ciało. Tom najpierw je poczuł. To zapach krwi je zdradzał, intensywny, z tą lepką wonią słodczy, którą zawsze miała krew dokładnie wtedy, gdy zaczynała zasychać. Był też smród gówna. Zanim oberwał, gość narobił w poiy. Można by pomyśleć, że tu, na dole, człowiek nie wyczuje takiego smrodu, zważywszy na to, że już tkwi w nim głęboko na trzy stopy, ale jakoś poza strumieniem było inaczej. Zapach był bardziej konkretny i jakoś cielisty, mimo że zwłoki leżały już od jakiegoś czasu. Dwa dni, zgadywał Tom, chociaż chłodna pogoda sprawiała, że nadal było świeże.

Poza włosami trup był prawie suchy. Zawirowanie przyływu sprawiło, że ciało utkwilo w przewężeniu jednego z wąskich kanałów, które wychodziły ze strumienia przy Dean Street, i tak znalazło się poza wodą. Tbm oparł się o nie ramieniem i popchnął. Ciało poddało się odrobinę, jak glina, która jeszcze nie stwardniała, ale nie przesunęło się w żadnym kierunku, ani do przodu, ani do tyłu. Ten kanał był głęboki i nawet przy pełnym przyływie ciało nie znajdzie się pod wodą. Strumień nie będzie miał dość siły, żeby je poruszyć aż do czasu wiosennych przyływów w marcu. Tom uśmiechnął się do siebie. Upewnij się, że nigdy się stamtąd nie wydostanie, tak brzmiały instrukcje Kapitana. Tak długo jak hycle nie znajdą ciała, nie będą mogli nic znaleźć na jego przyjaciela. Ale Kapitan wyrzucił pieniądze przyjaciela w błoto. Strumień już zrobił całą robotę za niego. Gdyby wybierał sam, Tom nie mógłby upchnąć ciała w bezpieczniejszym miejscu.

Tom spojrział na zwłoki. Dżentelmen ubrany szacownie w płaszcz nałożony na ciemne ubranie. Cóż, spodziewał się tego. Co zdziwiło go bardziej, to jego stan. Spodziewał się fuszerki, jeśli miał być szczerzy, po tym jak przedstawił mu to Kapitan, potrząsając głową i marszcząc czoło, jakby nie był za bardzo zadowolony, że musi za kogoś załatwiać nieprzyjemne sprawy. Wypadek. Tom przyjął, że to może cios w tył głowy, może pojedynczy strzał z broni. Ale to ciało przyprawiloby o mdłości marynarza. Po pierwsze, przecięli mu gardło tak głęboko, że głowę odrzuciło do tyłu dalej niż przykrywkę cynowego dzbanka, a końcówki włosów unosiły się na wodzie, a to nie było jeszcze najgorsze. Piersi były jedną masą krwi i zmasakrowanego ciała - ciemna tkanina kamizelki zmieszała się razem ze sztywnym frontem koszuli, tworząc purpurową papkę. Trzeba byłoby dźgnąć człowieka piętnaście, dwadzieścia razy, żeby dokonać takiego zniszczenia. Tom zanurzył palce w poszatowanej klatce piersiowej mężczyzny, mając nadzieję na zegarek, ale nic tam nie było z wyjątkiem zimnego, przypominającego ostrygę, ciała. Mógł wziąć, co wpadnie mu w oko, taka była umowa, pod warunkiem że jakiegokolwiek papiery wrócą do Kapitana. Kapitanowi



szczególnie na tym zależało. Zapytał, czy Tom umie czytać, i gdy Tom powiedział, że w jego profesji nigdy nie było dużego zapotrzebowania na tę umiejętność, pokiwał głową i powiedział, że w takim razie ma przynieść wszystko, co będzie wyglądało na papiery, nawet gdyby to nie było nic więcej niż zwykłe bazyliki. Nie żeby jego przyjaciel myślał, że będzie tam coś ważnego, powiedział lekko Kapitan, ale będą czymś na kształt dowodu, że Tom zrobił to, co niezbędne. Poza papierami wszystko, co Tom znajdzie przy ciele, może zatrzymać. Był to jeden z powodów, dla których Tom zgodził się to zrobić, mimo że warunki Kapitana nie były, jakby to nazwać, hojne. To i troska o własny interes. Do walki został jeszcze tydzień albo dwa. Im bardziej jest się związanym z czyjś interesem, tym większym zaufaniem można go obdarzyć. Tom nauczył się tego bardzo wcześnie.

Wytrzeł ręce elegancko, niczym dama, we włosy mężczyzny, a potem chwycił ich garść, żeby podnieść głowę. Twarz martwego mężczyzny była zimna i żółta jak wysuszony воск, poza plamą krwi pod jednym okiem, a kąciaki pozbawionych krwi ust uciekały jak u psa pod pompatyczne czarne wąsy. Oczy blade i szeroko otwarte zaczynały się w samych oczodołach, wpatrując się przed siebie bardziej - jak wydawało się Tomowi

- ze zdziwieniem niż przerażeniem. Żalony dureń, pomyślał Tom, wrzucając głowę z powrotem do strumienia. Odbiła się od ściany z głuchym odgłosem i coś w szyi chrupnęło, i pękło, sprawiając, że głowa popłynęła trochę dalej w zimnej wodzie. Przyplływ pozostawił spieniony, brązowy kożuch na naciągniętej żółtej skórze czoła.

- Można by pomyśleć, że dżentelmen będzie bardziej dbał o swój wygląd, prawda? - szepnął Tom sucho do Damy, stawiając ją na półce utworzonej przez nogi martwego mężczyzny.

Doświadczonym okiem ponownie obejrzał mężczyznę. Ofiara, niestety, nie lubowała się w biżuterii, a szkoda. Żadnych pierścieni, żadnej szpilki w tym, co pozostało z jego fularu. Spińki w mankietach koszuli, to było coś. Dobre buty, nawet jeśli miały trochę starte podeszwy. Tom je zdjął, a potem wylał z nich wodę i wsunął je, palcami w dół, do swoich kieszeni. Dama wahała ostrożnie krocze mężczyzny. Brzeg rozpiętego płaszcza mężczyzny unosił się nawodzie. Tom przeszukał kieszenie. Jakieś papiery, nie banknoty, za grube, szorstkie od pieczęci i Bóg wie czego jeszcze. Jakiś list czy dwa. Rękawiczki, chusteczka z wymyślnymi błękitnymi inicjałami. Notes, podobnie, z odcisniętymi złotymi inicjałami. Otworzył go. Więcej papierów i znaczki pocztowe wsunięte z tyłu, pięć szylingów w banknocie. Można byłoby znaleźć więcej przy marynarzu. Żadnej tabakiery ani żadnych świecidełek, na które można było liczyć. Tom poczuł ukłucie niezadowolenia.

Przyplływ lizał mu biodra. Musiał się pośpieszyć. Ujął w palce materiał płaszcza i

potarł go. Wart zabrania. Ramiona mężczyzny zeszywniały, co sprawiło, że zadanie było trudniejsze, niż mogłoby być, a na dodatek leżał całym swoim ciężarem na jego tyle, ale Tom nie robił tego pierwszy raz. Gdy ściągnął płaszcz, przyjrzał mu się w świetle latarni. Był w całkiem niezłym stanie, ogólnie rzecz biorąc jedyne zniszczenie to rozdarta kieszeń i brakujący guzik. Wsunął palce do kieszeni spodni mężczyzny. Skórzana portmonetka, żadnych znaków. Tom otworzył ją. Jeszcze kilka monet, żadna nie większa niż szyling. Zaklął pod nosem. Gdyby przyплыw nie odwalił tej roboty za niego, uważałby się normalnie za stratnego. W takiej sytuacji sprawa nie była warta funta kłaków. Spodnie przynajmniej były przyzwoite, nie takie dobre jak płaszcz, ale przyzwoite. Wyczyszczone, dadzą mu jakieś pieniądze u Żyda na Rosemai Lane. Pośpiesznie i trochę niezdarnie odpiął guziki i wziął Damę na ręce, żeby móc je ściągnąć. Z psem w ramionach było to dość trudne. Materiał był nasiąknięty i aż gęsty od krwi i nieczystości, i tego, co narobił w portki mężczyzna, a jego nogi były rozstawione sztywno jak słupy.

W końcu udało mu się zerwać z mężczyzny spodnie i wytrzepując z nich co najgorsze do strumienia, zwinął je razem z płaszczem, a następnie zawiązał wokół pasa. Rozebrane ciało płało się w słabym świetle latarni, a nogi, dziwnie pozbawione owłosienia, były białe jak żyjące w kanałach węgorze. Rozerwana szyja szczyrzyła się do Toma w lepkim czarnym uśmiechu. Skończył. Teraz przyszedł czas, żeby przyплыw zrobił swoją robotę. Tydzień albo dwa i nawet własna matka dżentelmena nie będzie w stanie powiązać nazwiska z ciałem. Jeszcze jeden tydzień, na wszelki wypadek, i Tom wróci po nie. Razem z ludźmi od dragowania jakoś to załatwią, że ciało zostanie wyciągnięte z wody jakby dość niespodziewanie, gdzieś pod Rotherhithe. W dzisiejszych czasach tam, w Rotherhithe, płacili koronę i sześć pensów za dostarczenie nieboszczyka, ponad dwa razy więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na rzece, a skoro to on będzie tym, który je znalazł, Tom był pewien, że dostanie przynajmniej połowę z tego. Kapitan nigdy się nie dowie. Sprawdziwszy, czy ciało nadal mocno tkwi w tunelu, i przygasiwszy światło, Tom wziął Damę na ręce i ruszył pośpiesznie pod prąd w kierunku głównego kanału.

Było już późno, gdy podciągnął się do piwnicy, później niż się spodziewał. Pokrzykiwania i inne odgłosy, które sączyły się wieczorem z domów publicznych w ulicze, ucichły, przechodząc w płytszy szum nocy. Tom wziął z zagłębienia w ścianie jedną z klatek na szczury i umieścił w niej ubrania mężczyzny. Spinki wsunął do palca rękawiczki, zawiązując go na supełek chusteczką zamordowanego. Miał w kanałach miejsce, o którym nikt poza nim nie wiedział. Będą tam bezpieczne, przynajmniej do czasu, gdy sprawy się trochę uspokoją. Nigdy nie wiadomo. Hycle wycwanili się ostatnio i zagląдали w zaułki

chętniej, niż to bywało kiedyś.

Wyciągnął papiery z kieszeni i rozłożył je. Było tam coś, co wyglądało jak list napisany na kartkach papieru tak sztywnych jak paznokcie. Pomiedzy jego strony wsunięto kilka bardzo oficjalnie wyglądających dokumentów najeżonych podpisami, pieczęciami i czym tylko możliwe. Kapitan zażądał zwrotu papierów. Na dowód, tak powiedział. Żeby mieć pewność, że Tom zrobił to, o co go poprosił. Tom się zgodził, wtedy. Teraz zastanawiał się nad dokumentami przez chwilę, czując ich ciężar pomiędzy palcami. Na notesie były inicjały. To będzie dowód dla Kapitana. Papiery, cóż, Tom przeżył na ulicy całe życie i miał wytrawny nos. Jeśli się zamierzało robić interesy z takimi ludźmi jak Kapitan, to dobrze było mieć coś symbolicznego odłożonego na bok jako zabezpieczenie. Wsunął je za podszewkę płaszcza, razem z rękawiczkami i chusteczką. Zabierze je do miasta, jak tylko będzie mógł. Znaczkę pocztową i portmonetkę na drobne przehandluje Żydowi jutro rano.

Gdy pracował, Dama leżała cicho u jego boku, z nosem opartym na łapach. Skończywszy, Tom strzelił palcami, a ona wstała, wsuwając chłodny czubek nosa do jego dłoni. Jej wąsy łaskotały mu dłoń, gdy podnosiła brodę, żeby na niego spojrzeć. Pociągnął ją za ucho, to przypominające ucho owieczki, które sterczało, nasłuchując; drugą dłoń zacisnął mocno w kieszeni, kostki aż kłuły go w udo. Stał w ten sposób przez chwilę, palcami wyczuwając znajomy kształt i cechy jej ucha, wypukłe żyły, delikatne ukłucie włosków wzdłuż brzegu, linię zgrabną jak pantofel damy. Postawione ucho Damy zawsze było nienaturalnie gorące, nawet w tak paskudną noc jak dzisiejsza. Tom zadrżał, a potem, odchrząkując, uderzył się pięścią energicznie w nogę. Było późno i nieomal zasypiał na stojąco. W kieszeni coś zabrzęczało. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że miał tam nadal zapinki, te, które zabrał szaleńcowi dwie noce wcześniej. Przy całym tym zawracaniu głowy zupełnie o nich zapomniał.

Kucnąwszy obok Damy, położył je na dłoni. Nie były szczególnie wyjątkowe, zaledwie perła oprawiona w coś, ęo wyglądało jak cyna, ale w świede latami muszla mieniła się różowo i pomarańczowo, pięknie jak zachód słońca. Dama dotykała ich delikatnie nosem.

- Podobają ci się, dziewczynko? - szepnął Tom, obserwując jej pysk.

Różowy język Damy wysunął się na zewnątrz, a przeżuty ogon zamiatął podłogę piwnicy. Tom uśmiechnął się do niej i, unosząc delikatnie jej podbródek, dotknął swoim nosem jej nosa. Psie wąsy drżały, łaskocząc go w górną wargę.

- Są twoje - szepnął.

Bardzo delikatnie, lekko jak ciepły oddech, Dama polizała go po policzku. Palce Toma znalazły to delikatne miejsce na jej brzuchu i zaczęły je drapać. Dama odsunęła głowę

do tyłu, wsuwając się mocno w jego objęcia, aż jej głowa znalazła się na jego ramieniu. Wrzucając spinki z powrotem do kieszeni, Tom objął ją i przyciągnął do siebie.

- Musimy wracać do domu - szepnął, ale się nie ruszył.

Dama też się nie mszyła. Ścisnął ją mocno, zapamiętując wzór włosów na jej czaszce, czarne krawędzie warg, kośćistość ramion i grzbietu, która cisnęła go niewygodnie w brzuch. Nie minęło wiele czasu, gdy zaczął mu dokuczać ból w sztywnych kolanach, intensywny jak sto diabłów. Jednak Tom nie zwracał na niego uwagi. Miał w piersi czarną dziurę, która już zaczynała się otwierać. Wiedział, że zakręci mu się w głowie, gdy wstanie. Zatem został tam, gdzie był, kolana płonęły od bólu spowodowanego skurczem, a ramiona obejmowały psa. Jego dziewczynę za sto gwinei. Krople łez spłynęły na czarny aksamit rozerwanego psiego ucha i drżały tam, lśniąc jak diamenty.

## XVI

Tom jeszcze nigdy nie widział, żeby dolna sala w pubie Badger była tak pełna klientów. Zgiełk wypełniał całe miejsce szczelnie jak mgła i nie można było wydobyć z niego pojedynczego dźwięku, dopóki się człowiek nań nie natknął, a nawet wtedy dało się go słyszeć tylko przez chwilę, zanim znowu się nie rozplątał. Każda najmniejsza myśl tonęła w krzykach, tupaniu butów, dzwonieniu naczyń oraz psim skomlaniu, warczeniu i grzechocie psich łańcuchów ocierających się o drewniane ławy. Całe to zamieszanie potęgował jeszcze dym z lamp i świec, ogień na kominku i setka krótkich fajek.

Było już prawie Boże Narodzenie. Zaledwie parę ulic dalej wspaniałe sklepy ustroiły się i dzięki olbrzymim oknom, rozświetlonym gazowymi lampami i wypchanym jedwabiem każdego możliwego koloru pod słońcem, wyglądały jak naszyjnik księżnej narzucony na ogromny łuk Regent Street. Chodniki wypełniali elegancko ubrani ludzie, spacerujący, pokazujący palcami i nie zwracający należytej uwagi na swoje rzeczy. Nic więc dziwnego, że nastrój w małym zadymionym pomieszczeniu był doskonały i miał się ku lepszemu, nie wspominając oszwindlach. Tom pochylił się, gdy Dama przytuliła się do jego nóg, i wziął ją na ręce. Oparła mu podbródek na ramieniu, podczas gdy niezwykłość tego wszystkiego targała mu żołądek i zylaste ścięła nóg. Stał tutaj tego wieczoru, kiedy miał zarobić prawdziwą fortunę, a całym sercem pragnął być gdzie indziej.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, u jego boku stanął Brassey.

- Tom - zaczął, łypiąc na Damę swoimi małymi żabimi oczkami. - Lepiej, żebyś był gotowy. Jeśli zrobisz ze mnie głupca...

Nie dokończył, przywołując na usta swój ropuszy uśmiech. Tom miał ochotę go zdzielić, ale nie miałyby to sensu. Przy tłoku, który panował na sali, właściciel gospody

zachowałby pionową pozycję, nawet gdyby Tomowi udało się zwalić go z nóg.

- Jesteśmy gotowi - wyszeptał zamiast tego.

- Eleganckiej obroży dorobiło się twoje stworzenie - zauważył Brassey, a jego małe oczy błyszczały. - To jej, prawda?

Tom zmarszczył brwi. Wyprowadziło go z równowagi to, jak Brassey spojrzał na niego, jakby Tom zawsze coś kombinował, a on, Brassey, tylko z wrodzonej uprzejmości nie pójdzie prosto do sędziego, żeby dochodzić sprawiedliwości. Każdy człowiek na tej sali wiedział, że Brassey jest najbardziej podejrzanym typem na świecie. Tymczasem Tom dołożył starań, aby obroża Damy została wykonana w uczciwy sposób. Takie załatwianie spraw wydało mu się jakoś najbardziej odpowiednie. Tak więc zapłacił fałszerzowi pieniędzy, którego znał na Druiy Lane, prawie koronę, żeby osadził zapinki szaleńca w eleganckich oczkach ze stopionej srebrnej łyżki. Fałszerz zawsze smarował monety sadzą i ropą, żeby zetrzeć z nich błysk świeżości, ale jego córka zadała sobie trudu i wyczyściła obrożę, nadając jej piękny połysk. Mieniła się teraz i błyszczała w brudnym świetle sali jasno jak łańcuszek paciorków.

- Oczywiście, że jej - odparł zwięźle. - A kogóż by innego?

Brassey zatrzepotał powiekami, skłaniając się lekko od pasa w dół.

- Kogóż by innego, w istocie? - zgodził się. - W takim razie musisz być pewien zwycięstwa, taki ostrożny człowiek jak ty rozstający się z wygraną, jeszcze zanim znalazła się bezpiecznie w twojej kieszeni...

Tom spojrzał na Damę. Odwzajemniła się spod na wpół zamkniętych powiek i przysunęła nos blisko do jego szyi. Przełknął, czując, że coś dławi go w gardle.

- Wygra.

- Oby tak było.

Brassey kiwnął się do tyłu na swoich obutych w pantofle stopach i zatarł dłonie.

- Oby tak było.

Tom rozejrzał się po sali.

- Gdzie jest Kapitan?

Brassey obliznął usta.

- Przyjdzie. Jeszcze mnóstwo czasu. Ale przyjdzie.

Przed Damą miało wystąpić kilka innych psów, żeby zaostrić apetyt specjalnych gości przed podaniem dania głównego. Punktualnie o dziewiątej wieczorem Brassey kazał przyprowadzić mężczyzn na górę. Kapitan jeszcze nie przybył, ale Brassey niecierpliwił się w swoich staraniach, aby napięcie rosło, jako że doświadczenie nauczyło go, iż podekscytowani

mężczyźni padają ofiarą straszego pragnienia. Tom z Damą na kolanach siedział na dole w nieomal opuszczonej sali. Za całe towarzystwo miał starszego mężczyznę z wąsami wyglądającymi jak owcza wełna, która zahaczyła się na krzewie ciernistym, który wpatrywał się w swoją brudną szklankę i od czasu do czasu wydawał z siebie chrapliwe prychnięcie jako przyczynek do konwersacji. Poza tym w sali panowała cisza, z wyjątkiem dziwnych uderzeń i skrobienia pazurów dochodzących z ringu na piętrze. Dama przekrzywiła postawione ucho, nasłuchując, a jej różowy język drżał. Tomowi przyszło na myśl, przy czym poczuł ostry skurcz w żołądku, że Dama jest podekscytowana.

Czekali już przez dobrą chwilę, gdy młody straganiarz ociemnej twarzy zszedł chwiejnym krokiem po schodach z zakrwawionym buldogiem w ramionach. Ubrany był elegancko i bogato, a włosy uchwycone miał figlarnie w sześć loków wymykających się spod pluszowej mycki, zwanej przez straganiarzy królewską. Stał na środku sali i wysunął psa przed siebie, jakby prezentował zwierzę Tomowi do inspekcji. Dama podniosła głowę z uprzejmości, a jej różowe oczy patrzyły uważnie.

- Dobrze wypadł? - zapytał Tom, ponieważ młodzieniec wyglądał na zdeterminowanego stać w miejscu, dopóki tego nie zrobi.

Chłopiec spojrzał gniewnie. Upuszczając psa bez ostrzeżenia na podłogę, kopnął go z dziką złością w żebra. Pies wślizgnął się pod ławę. Tomowi zdawało się, że poczuł, jak Dama się wzdrygnęła.

- Jak ja kiedyś dostanę w swoje ręce tego diabła, co mi go sprzedał - warknął. - Powiedział mi, że to tropiciel szczurów, z rasy i z hodowli, mówił, że zabija całą chmarę w minutę. To bezużyteczne stworzenie.

Splunął pogardliwie na posypaną trocinami podłogę i wytarł ręce w obcisłe spodnie.

- Nie byłby w stanie pozbawić życia ani jednego, nawet gdyby ten ohydny mały drań sam się położył i podsunął mu gardło na niedzielny obiad.

Tom potrząsnął głową.

- Jestem tylko zadowolony, że nie było tam nikogo znaczącego,- kto by to widział - kontynuował weselej młody straganiarz. - Wyśmiałyby mnie od najgorszych, ten Kapitan dżentelmen, a jeszcze Brassey kazał mi wychwalać to cholerne chuchro w niebogłosy, gdy go ostatnio widziałem.

Tom głaskał głowę Damy z namysłem.

- Kapitana nie ma, w takim razie?

- Nie. Jakieś duże wydarzenie gdzieś w Kentish Town dzisiaj wieczorem. Pierwszorzedni zawodnicy, mówią. Pewnie stwierdził, że ma tam duże szanse.

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko, odsłaniając okazałą przerwę w miejscu, które zazwyczaj zajmowała para przednich zębów.

- Brassey ma taką kwaśną minę, jakby się napił octu.

Kapitan nie przyjdzie. Dłoń Toma przesunęła się do góry, na głowę Damy. Żyłki obwijały mu się wokół kostek jak pędy winorośli przytwierdzające palce do dłoni. Nawet widząc, jak się porusza, Tom miał wrażenie, że ręka należy do kogoś innego...

Kapitan nie przyjdzie.

Nie rozumiał. Przez blisko miesiąc dążył do tej chwili i bał się jej, odliczając dni na palcach. W dołku żołądka wiedział przez cały czas, że w tym dniu wszystko się zmieni. Przez ostatnie kilka tygodni nieomal zapomniał o strachu przed zdradą Kapitana. Jechali na tym samym wózku, myślał Tom. Zbyt dużo wiedział. Gdy oddał notes i powiedział, że przy martwym mężczyźnie nie było żadnych papierów, czuł, że Kapitan mu nie uwierzył. Nie mógł mu oczywiście nic zrobić, a Tom był bardzo stanowczy. Od tej chwili uważał, że jest bezpieczny. A teraz, bez najmniejszego ostrzeżenia, walka została odwołana. Dzisiejsza noc będzie taka jak inne. Nie gorsza niż większość, nie lepsza niż niektóre, noc, którą z trudem przypomni sobie człowiek za tydzień. Pomimo zakładu, pomimo wszystkiego, co pomiędzy nimi zaszło, Kapitan nie przyszedł. Nie będzie walki. Nie będzie stu gwinei.

Poczuł chłód wzdłuż kręgosłupa niczym zygzak potu. Nie będzie stu gwinei. Choć ich jeszcze nie wygrał, te pieniądze patrzyły na niego już od tygodni, wylewając się z worka jak złota kukurydza. A teraz Kapitan nie przyjdzie. Tom zadrzał, nie mógł sobie z tym poradzić. Kapitan wystawił go do wiatru, i jak początkująca kurewka z pustą makówką Tom ocknął się z majtkami na kostkach, a w uszach dzwoniły mu jedynie ciche obietnice. Gniew i rozczarowanie sprawiło, że do ust Toma napłynęła ślina, a palce zeszytniały i Dama wkrótce potrząsnęła głową, żeby poluznić jego uścisk. Kapitan potrzebował kogoś pokroju Toma, kogoś, kto zabawi jego przyjaciół, kogoś, kto zajmie się niewygodnymi pozostałościami po porachunkach jego przyjaciela. I Tom Długoręki, z nosem teriera do wszelkich sztuczek, który uważał się za tak ostrożnego, że myślał, iż w całej metropolii nie ma oszusta dość sprytnego, żeby go przechytryć, Tom Długoręki dał się złapać na haczyk i wyrzucić na brzeg jak iyba, a przez cały czas, jak go naciągano, nie pomyślał nawet, żeby się wywinąć. Był głupcem, ślepym, zachłannym głupcem, i gdy położy się dzisiaj wieczorem w swoim łóżku, dostanie to, na co zasłużył. Nic. Nic oprócz Damy.

- Ładną obrożę ma twój pies - zauważył z podziwem młodzieniec, dotykając palcami własnego fularu w jaskrawy wzór. - Jest czempionem, tak? Warto na nią postawić?

Tom nie odpowiedział. Zepchnął natomiast Damę na podłogę i wstał. Nogi były stare i

bardzo zmęczone; drżały trochę, gdy się wyprostował. Młody straganiarz wymierzył jeszcze jeden mniej entuzjastyczny kopniak w kierunku własnego psa i przeszedł przez salę, do baru.

- Zostałaby czempionem - szepnął Tom, ale straganiarz się nie odwrócił. - Prawdziwym czempionem. Gdyby dostała swoją szansę.

Gdy Dama wsunęła swój nos do jego zamkniętej dłoni, Tom zabrał rękę i ostentacyjnie wytarł ją w płaszcz. Pies spojrzał na niego swoimi różowymi oczami, a potem skulił się, brzuchem nieomal trąc o podłogę. Tom chciał ją kopnąć i chciał też wziąć ją na rękę, i pragnął obydwu tych rzeczy bardzo mocno, i jednocześnie. Czuł ból w piersiach.

Zewnętrzne drzwi otwały się nagle szeroko. Do sali wpadło kilku dżentelmenów, owiniętych w grube płaszcze i ciężkie szale, wnosząc ze sobą powiew mroźnego powietrza i gęsty, zawieszisty zapach whisky.

- Brandy! - zażądał jeden z nich, dźgając powietrze laską ze srebrnym okuciem. - Niech podadzą brandy!

- Ależ z pewnością zaszła pomyłka - zaprotestował drugi. Wypowiadane przez niego słowa zniekształcała ilość wypitego już alkoholu. - Nic się tu nie dzieje. Patrzcie, nikogo tu nie ma, tylko jeden stary mężczyzna.

- No proszę, Tom - rozbrzmiał znajomy głos i Kapitan uchylił szarmancko kapelusza, pochylając się w stronę Damy.

- Dobry wieczór pani.

Miał zaróżowioną twarz, a na policzkach czerwone plamy, jaskrawe jak u ladacznicy. Wargi też miał czerwone i błyszczące i raz po raz wysuwał koniuszek języka, żeby je oblizać. Na jego skórze widać było czarne kropki porów, a czarne źrenice jego oczu były tak nienaturalnie duże, że otaczały je jedynie cienkie opaski koloru. Tom powąchał, ale ku swojemu zdziwieniu nie poczuł od niego zwierzęcego zapachu pieprzenia. Jedynie whisky i osty smród mgły i śniegu, metaliczny jak krew. Oczy Toma się zwężyły.

- Czy umowa nadal stoi? - zażądał potwierdzenia.

Kapitan pochylił głowę.

- Sto gwinei? - naciskał Tom.

- Czy tak żeśmy się umawiali?

Oczy Kapitana skrzyły się, gdy się uśmiechał, pokazując ostre żółte zęby.

- W takim razie, oczywiście. Sto gwinei.

Być może Brassey podglądał przez dziurkę od klucza albo może miał instynkt żaby do much. W każdym razie stał w dolnej sali, wyginając obute w pantofle stopy, zanim jego chłopiec zdążył postawić na stole butelkę. Kilka psów już występowało, powiedział



dżentelmenom, kręcąc szaleńczo głową między ramionami, ale kilka czekało jeszcze na swoją kolej, jeśli dżentelmeni mieliby ochotę na coś w ramach rozgrzewki. W przeciwnym razie każe oczyścić dół niezwłocznie, by mogła się odbyć wielka walka. Cokolwiek dżentelmeni wybiorą. Palcami masował krągłości swego brzucha, obliczając możliwe wpływy.

Kiedy jego kompani zajęli się brandy, Kapitan dał Tomowi znak, żeby postawił Damę na stole. Chciał się jej dobrze przyjrzeć. W odróżnieniu od towarzyszy, którzy mieli trudności z utrzymaniem szklanek, a oczy i usta zamroczył im alkohol, lisy Kapitana były jasne i wyraźne. Oczy mu jaśniały. Oddychał szybko. Kąciki ust wykrzywił mu uśmiech.

- Więc jesteś pogromczynią, czyż nie, dziewczyno? - szepnął do Damy, a szkarłat jego błyszczących ust rysował się wyraźnie na tle jej czarnych wąsów. Ścisnął jej pysk tak mocno, że wykrzywiła się z bólu. - Lubisz to, prawda? Smak krwi?

Tom nic nie powiedział. Wbił wzrok w podłogę, trzymając w kieszeniach zaciśnięte w pięści dłonie. Gdy Brassey zaprowadził dżentelmenów na górę, nie poszedł za nimi. Przewidywano trzy albo cztery rundy przed walką Damy. Suka położyła się u jego stóp. Tom nie dotykał jej. W ogóle się nie ruszał. Trzymał dłonie na kolanach i starał się nie myśleć. Gdyby zaczął, to już by nie przestał. Wpatrywał się więc w zadymione cienie na ścianach, z dłońmi na kolanach, i czekał.

Gdy w końcu ich zawołano, Dama nieomal spała. Mrugnęła sennie na Toma, gdy kazał jej wstawać. Dlaczego nie pomyślał o tym, żeby nie pozwolić jej spać? Tom wyrzucał to sobie ze złością. Powinien czymś ją zająć, żeby nie straciła czujności. Będzie wolniejsza z powodu takiej drzemki. Tom czuł się podenerwowany i wytrącony z równowagi. Na górze postawił psa na podeście i odsunął się, gdy specjaliści ruszyli w stronę Damy, zaglądając jej do pyska i ściskając łapy. Gdy skończyli już ją badać i dotykać, podchodzili do Brasseya, szepcząc mu do ucha, a właściciel kiwał głową i zapisywał zakłady na zwiniętym kawałku papieru. Mimo że starał się zachować poważny wyraz twarzy, jak przystało na okazję, na jego twarzy malowała się niepokohamowana radość. Obecni wymieniali pomiędzy sobą szeptem uwagi i znaczące spojrzenia. Dół był zachlapany krwią. W rogu chłopiec Brasseya wytarł grzbietem dłoni nos i wrzucał zdechłe szczury za ogon do rozsypującego się koszyka.

W swojej łoży Kapitan i jego towarzysze uderzali niecierpliwie dłońmi w krawędź dołu. Na poręczy łoży stały w beładzie butelki i pobrudzone szklanki. Głowa jednego z dżentelmenów zwisała dziwnie z kołnierzyka, jakby nie była przytwierdzona do ramion, a policzki błyszczały mu na zielono jak rukiew. Kapitan szturchnął go delikatnie. Dokładając wysiłku, żeby utrzymać głowę w pionie i nie patrzeć w dół, zielony dżentelmen wyciągnął

banknot z notesu i jak gdyby to sam banknot był powodem jego niedyspozycji - machnął do Kapitana, żeby ten uczynił mu honor i go zabrał. Kapitan uśmiechnął się swoim wilczym uśmiechem i, składając uważnie banknot, klepnął mocno zielonego dżentelmena w ramię. Klepnięcie sprawiło, że mężczyzna nieomal stracił równowagę. Potknął się, wpadając na ścianę, i osunął, tyle szczęśliwie, co z kalkulacji, na krzesło obok. Zamknął oczy.

Chłopiec Brasseya zadzwonił, ogłaszając koniec przyjmowania zakładów. Brassey uczynił kilka ostatnich zapisków na swoim papierze. Potem kiwnął na Toma. Publika całkowicie blokowała krawędź dołu, przepychając się wzajemnie, żeby zająć dobrą pozycję. Krzyżującym się łokciom i wychlapywanemu ze szklanek trunkowi towarzyszyły gniewne przekleństwa. Brassey klasnął w dłonie i w sali zapanowała cisza.

- A teraz, panowie, chwila, na którą wszyscy czekaliśmy, prawdziwe ukoronowanie naszego wieczoru uciech, pojedynk, w którym rzucamy wyzwanie czempionowi z Borough, psu znanemu nam, specjalnym gościom, pod prostym imieniem Damy, żeby zabił osiemnaście dużych szczurów w przeciągu zaledwie jednej minuty.

Skinął na swojego chłopca, który postawił drucianą klatkę ze szczurami w dole. To nie były szczury Toma. Według Brasseya Kapitan nalegał na to, żeby pojedynek był uczciwy. Pomimo całego zdenerwowania przyszła Tomowi do głowy myśl, od kogo Brassey kupił bestie i za jaką cenę. Chłopiec otworzył klapę na pokrywie klatki i wsunął do środka rękę, mieszając pulsującą masę jak ciasto. Pozieleniały dżentelmen przyglądał się chłopcu z twarzą pomarszczoną z przerażenia, a potem, bardzo cicho, złożył zawartość swojego żołądka w rogu łoża. Żaden z jego towarzyszy nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Poklepywali się jedynie nawzajem po ramionach, eleganckie ubrania mieli w zupełnym nieładzie, a zdziczałe oczy żądne krwi. Jedynie Kapitan trzymał się całkiem prosto, oczyma śledził szczuicy uciekające pojedynczo z klatki, a potem zbijające się w ruchliwą stertę brązu pod przeciwległą ścianą.

- Dwadzieścia - oświadczył chłopiec, zamykając klatkę.

Z wielkim namaszczeniem Brassey wspiął się na krzesło, umieszczone w pobliżu łoża dżentelmenów, i wyciągnął z kamizelki kieszonkowy zegarek, unosząc do góry drugie ramię i wzywając, aby zapanowała cisza. Specjalni goście wstrzymali oddech, wszyscy razem jednym głośnym świstem, gdy, z Damą w ramionach, Tom przełożył nogę nad ścianą dołu. Pies nie wydał z siebie żadnego głosu, ale na widok szczurów włosy na jego ramionach zeszywniały, a nogi zadrżały jak struny skrzypiec.

- Czas start!

Brassey opuścił ramię. Tom puścił Damę. Jak piorun przemierzyła dół, zanurzając

pysk w stercie szcurów i wyciągając pierwsze ze swoich trofeów. Szczury były duże, bez dwu zdań, głowy miały nieomal wielkości pomarańczy, ale nie były wystarczającymi rywalami dla sprytu i werwy Damy. Zupełnie nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Pies wbijał zęby w bestie i ciskał ich ciała za siebie, z niezmienną pewnością straganiarza uwijającego się przy pieczonym drobiu. Znajdując się w kręgu sekundanta, Tom musiał jedynie stać i patrzeć. A ona nadal nie zwalniała. W zęby i w dół. W zęby i w dół. W miarę jak krew i ciała przykrywały coraz większą część podłogi, krzyki narastały, a tupanie stawało się coraz mocniejsze i głośniejsze, aż w końcu sala zaczęła od nich drżeć. Tom nie odwrócił się, żeby spojrzeć na łożę. Jego wzrok był tak skupiony na Damie, jakby on sam spoglądał jej oczami. Gdyby pomyślał, żeby się odwrócić, zobaczyłby, że chociaż Kapitan stał zupełnie nieruchomo, jego wilcze oczy jarzyły się, a pot na czole mienił się jak lód na okiennym parapecie. Po bokach zacisnął dłonie w pięści, a każda jego kostka była biała z triumfu.

- Koniec czasu! - zawołał Brassey.

Huk był ogłuszający. Tom strzelił palcami i natychmiast Dama wypuściła szcure z pyska z delikatnością damy, która upuszcza rękawiczkę, i usiadła na tylnych nogach, układając równo przednie łapy. Wszędzie wokół niej leżały ciemne kępki futra. Szczury zostaną oficjalnie przeliczone, tak zawsze się robiło, ale Tom wiedział od razu, że Damie się udało. Wrzucono dwadzieścia bestii. Po minucie w dole był tylko jeden szcure, który się ruszał. Przyglądał się Damie z dezaprobatą z odległego kąta dołu, czyszcząc wąsy różowymi łapkami. Cicho, tak jak wtedy, gdy byli sami w kanałach, Tom uklęknął i wyciągnął ramiona do Damy. Wsunęła się w nie ochoczo i pyskiem uśmiechnęła się do niego, zamiatając ogonem schlapaną krwią podłogę. Tom zamknął oczy. Serce biło mu tak mocno, że wydawało się, iż rozsadzi mu pierś. Pozostali w tym uścisku, podczas gdy chłopiec Brassey pracował wokół nich, licząc ciała i wrzucając je do koszyka. Nie patrzyli w stronę łoża, gdzie Kapitan uśmiechał się i kiwał głową, wymieniając uściski dłoni z tymi spośród swoich przyjaciół, którzy nadal byli wystarczająco sprawni. Udało im się. Dama była czempionem. Pójdzie z Kapitanem do jego domu, a Tom pójdzie swoją drogą jako bogaty człowiek. Do ust Toma napłynęła ślina, a wzrok mu się zamazał.

- Dziewiętnaście! - obwieścił chłopiec, wrzucając ostatnie ciało do swojego naczynia.

Publika wybuchła lawiną krzyku. Minęła dopiero dłuższa chwila, zanim Brassey był w stanie uciszyć tłum. Zyski będą wypłacone w sali na dole, obwieścił. Dał się słyszeć tupot butów po schodach, podczas gdy wokół dołu zgromadzili się pozostali specjaliści goście w głośnych grupach, z których każda toczyła żywą dyskusję na temat milczącego psa i rzekomej fortuny, którą szperacz miał wygrać na zakładzie z Kapitanem, i czy to prawda, że pies jest tą

samą bestią, która miała się tak fatalnie u starego Jeremiahy, który teraz już nie żył, i jaki rodowód może mieć pies, i czy są w mieście inne zwierzęta, które można byłoby przyuczyć do walki z takimi wspaniałymi wynikami. Pośród całego tego zamętu był tylko jeden mężczyzna, który tkwił całkiem nieruchomo i całkiem bez słowa, z głową tak mocno pochyloną do przodu, że widać mu było kręgi kręgosłupa wystające ponad kołnierzem płaszcza. W zagłębieniu kucającego ciała starszego mężczyzny prawie nie było widać psa.

- Znakomity wynik.

Kapitan stanął nad Tomem, szeroko rozstawiając stopy i wyciągając do niego rękę. Tom uściskał ją niechętnie, ale nie spojrzał Kapitanowi w oczy.

- Sto gwinei - rzucił.

Gdy wypowiadał te słowa, głos załamał mu się w połowie. Odchrząknął i spróbował ponownie.

- Sto gwinei.

Kapitan uśmiechnął się swoim wilczym uśmiechem i poklepał się po kieszeni płaszcza.

- To dużo pieniędzy - odparł gładko. - Najlepiej będzie załatwić nasz interes z daleka od tłumu, prawda?

Biorąc Damę na rękę, Tom podążył za Kapitanem w dół po schodach i do sali, gdzie Brassey usadowił się przy małym stoliku i był zajęty, oblizując końcówkę swojego krótkiego ołówka. Gdy zobaczył, że Kapitan wchodzi do pomieszczenia, przegonił straganiarzy, którzy skupili się wokół niego, i z namaszczeniem odsunął krzesło, wycierając siedzenie chusteczką.

- Dobrze, dobrze - szepnął Kapitan. - A teraz, Brassey, w sprawie tego zakładu.

- Tak, tak, ten zakład - zawołał przymilnie Brassey. - Musimy załatwić sprawę zakładu.

- Sto gwinei, Tom, to spora suma pieniędzy. Suma - jak wyjaśniłem panu Brasseyowi - zbyt duża, aby ryzykować przyniesienie jej do gospody takiej jak ta.

Kapitan rozciągnął wargi, pokazując w uśmiechu zęby.

- Usiłowałem wyjaśnić panu Brasseyowi - czyż nie? - że naganne położenie jego lokalu i przestępcze skłonności tutejszych klientów nie dają należytej gwarancji na bezpieczny transport czegokolwiek wartościowego.

- Zaiste, zaiste - przyznał mu rację Brassey, zachnąwszy się tak jakby Kapitan obdarzył go właśnie komplementem najwyższego sortu.

- Poza tym kto kiedykolwiek słyszał, żeby zakład takiej wielkości został wypłacony w pojedynczej transakcji?

Kapitan wzruszył ramionami.

- A zatem proponuję, abyśmy rozwiązali tę kwestię tak, jak zostałyby rozwiązana w lokalach bardziej eleganckich niż ten. Mam tutaj czterdzieści gwinei. Czterdzieści gwinei - powtórzył Kapitan, jakby chciał zrobić na Tomie i Brasseyu wrażenie co do wielkości sumy, i poklepał się po kieszeni płaszcza..

- Jako depozyt stanowi uczciwą kwotę, zgodzicie się ze mną, jestem pewien. Tom dostanie ją teraz, a ja wezmę psa. Pozostałą część sumy zakładu wypłacę w dwóch kolejnych ratach, po trzydzieści gwinei, pierwsza należna w najbliższym tygodniu, a druga w następnym. Mam nadzieję, że takie rozwiązanie będzie dla was satysfakcjonujące.

Skinął głową w kierunku Toma, który zmarszczył podejrzliwie czoło.

- Nie - odpowiedział stanowczo. - Nie ma pieniędzy, nie ma psa. Takie zawsze były moje warunki, przez całe życie, i nie zamierzam teraz ich zmieniać. Gdy dostanę swoje sto gwinei, pan dostanie psa. Ani dnia wcześniej.

- Tom, Tom, posłuchaj sam siebie - przymlał się Brassey. - Kapitan nie jest jednym z twoich prostackich towarzyszy. Jest dżentelmenem, z honorem dżentelmena. Czyż nie tak, sir?

- Ależ oczywiście.

Tom wyprostował ramiona, a twarz mu pociemniała.

- Ja mam pieniądze, pan ma psa.

- Tom - powiedział miłym głosem Kapitan. - Pan Brassey ma rację. Dżentelmen nigdy nie złamałby swojego słowa. Jednak, wierzę, Tom, że ty i ja się rozumiemy. Nie pierwszy raz przecież robimy ze sobą interesy. Mój przyjaciel był ci bardzo wdzięczny za zajęcie się tymi pozostałościami, że tak to ujmę... W rezultacie byłby bardzo rozczarowany, gdybym miał ci dać najmniejszy powód do niezadowolenia. Jesteś doskonale zaznajomiony z najbardziej osobistymi kwestiami, które go dotyczą i które za wszelką cenę chciałby zachować w tajemnicy.

Jakakolwiek zdrada ciebie, Tom, byłaby zatem dużo większą zdradą człowieka, którego znałem przez całe swoje życie.

Kapitan studiował twarz Toma.

- Jesteś podejrzliwy - kontynuował. - Rozumiem to. Byłbym nierozsądny, oczekując, że człowiek twojego pokroju będzie załatwiał interesy jak dżentelmen.

Poklepał kieszeń płaszcza i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru.

- W tym celu dołożyłem starań i mam przygotowany harmonogram płatności, sporządzony i potwierdzony przez prawnika, aby nadać naszej umowie oficjalny charakter.

To całkiem proste. Ja podpisuję tutaj, a ty, Tomie - wskazał palcem - tutaj. Pan Brassey poświadczy nasze podpisy.

Brassey pokiwał energicznie głową, która kręciła się jak naoliwiona kulka.

- Zawiera pisemną gwarancję płatności całej kwoty - zapewnił go Kapitan. - Sto gwinei, wyszczególnione tutaj. I naturalnie, jeśli nie dostaniesz swoich pieniędzy, to możesz odzyskać psa. Umowa wyraźnie to precyzuje. Tutaj, widzisz?

Tom spojrzał podejrzliwie na dokument, który pokazał mu Kapitan..Na górze widać było eleganckie liteiry, pieczęć i plombę z wosku, obydwie z takim samym wzorem. Całe pismo podzielone było na dwie części, obydwie zapisane tym samym grubym atramentem. Tom nic z tego nie rozumiał.

- Ja się papierami nie zajmuję - mruknął.

- Ależ Tomie, to będzie się musiało teraz zmienić, skoro jesteś mężczyzną z dochodami - przekonywał Kapitan, a światło lampy gazowej rozbłysło na ostrych końcach jego zębów. - Prawo nie jest już przeciwnikiem człowieka, ale musi stać się jego przyjacielem, gdy ten ma pieniądze. Czyż nie tak jest, panie Brassey?

Brassey kiwnął głową, która obracała się nieustannie, a uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Zaiste jest, sir - zgodził się gorliwie. - Zaiste jest.

- Jestem przekonany, że pan Brassey jest zaznajomiony z dokumentami tego rodzaju, ale może najpierw sam wolałbyś go przejrzeć?

Tom wpatrywał się w kartkę, a czarne litery podskakiwały i rozsypywały się na jego kremowej powierzchni jak mrówki... Czterdzieści gwinei! Czterdzieści gwinei to była fortuna sama w sobie i nie widział nic podejrzanego w papierach, skoro były usiane pieczęciami, woskiem, podpisami i czym tylko jeszcze. Ale po karku przechodziły mu ciarki i trzymał Damę mocno, czując na piersiach jej rozgrzewające ciepło.

- Chcę moje pieniądze - powtórzył uparcie. - W całości.

- Ach - westchnął Kapitan. - No cóż, oczywiście, że chcesz.

Zważył sakiewkę pieniędzy w dłoni.

- I naturalnie, to musi być twoja decyzja, czy przyjmiesz moje warunki, czy nie. Albo przyjmiesz sto gwinei rozłożonych na trzy tygodnie albo, no cóż, powiedzmy, że rozważyłbym bardzo uważnie, czy nie mógłbym zawrzeć korzystniejszej umowy z kimś innym.

Ścisnął worek po raz ostatni i wykonał gest, jakby chciał go schować do kieszeni.

- Jestem zdziwiony, że mógłbyś zrezygnować z tak znacznej sumy. Jednak, jak mówię, ty decydujesz.

- Tom! - ponaglał Brassey, przewracając oczami. - Obrażasz Kapitana. To nie jest garść półpensówek Ta umowa została sporządzona przez prawdziwych prawników, w sądzie. Bez zarzutu, o ile widzę. Nienaganna. Słuchaj, ja podpisuję teraz swoją część.

- Porządny gość, porządny gość.

Kapitan klepnął serdecznie Brasseya w ramię.

- Tom?

Dama polizała Toma w ucho, jej oddech był gorący i metaliczny od krwi. Nagle Tom gwałtownym ruchem wyciągnął przed siebie ręce, w których ją trzymał, i na wpół rzucił ją w zaskoczonych rękach Kapitana. Kapitan zreflektował się i pośpiesznie upuścił zwierzę na podłogę. Tom nie spojrzał na nią. Nie mógł.

- Weźcie ją, po prostu ją weźcie.

Wysunął dłoń przed siebie i Kapitan umieścił w niej sakiewkę.

- Ale chcę papiery.

- Oczywiście, że tak.

Kapitan podpisał papier zamasyście i podał pióro Tomowi. Tom zawahał się, trzymając pióro w powietrzu.

- A jeśli Kapitan mi nie zapłaci, dostanę ją z powrotem.

- Zapewniam, że tak.

Stukając palcem w dokument, jakby go czytał, Tom postawił swoją niezdarną parafkę.

- Doskonale - rzucił energicznie Kapitan. - Wydaje mi się, że wszystko już załatwiliśmy. Tom, zobaczę się z tobą za tydzień, licząc od dzisiaj, żeby przekazać ci kolejną płatność. Miło było dopiąć z tobą tego interesu. Brassey, weź psa. Przyślę kogoś po niego jutro rano.

Brassey chwycił Damę za obrozę i, wykrzywając swą zabią twarz z odrazy, wykonał gest, jakby chciał ją wyciągnąć z sali. Zaparła się nogami, spoglądając na Toma z zaskoczeniem, a jednocześnie błagalnie. Tom odwrócił się od niej w stronę ognia, wpatrując się uparcie w zakurzoną postać Piękności w szklanej gablocie. W ustach miał zupełnie sucho. Słyszał, jak Brassey woła chłopca i poleca mu umieścić Damę na kawałku podwórka, na tyłach gospody, ale Się nie odwrócił. Słychać było drapanie jej pazurów po drewnianych deskach i w końcu ciężkie kroki chłopca, gdy człapał po kamiennej podłodze w wąskim tylnym korytarzu gospody. Wydawało mu się dziwne, że w ogóle cokolwiek słyszy, tak głośno huczało mu w uszach. Ogromny ciężar przytłaczał mu piersi, ciężki jak martwe ciało, więc ledwie mógł oddychać. I zupełnie nagle, znów tam był, w Cuckold's Point, jako mały chłopiec, i błoto Tamizy wciągało go w dół, wciągało go w dół, podczas gdy on szamotał się i

rozpaczliwie szukał czegoś, co mogłoby stanowić najmniejsze oparcie, aż błoto ścisnęło mu żebra i zaczęło naciskać na ramiona, a on patrzył na niebo i czuł smak błota i gówna w ustach i czekał, aż poczuje je w nozdrzach i oczach, a ono zacznie wdzierać się do najbardziej intymnych zakamarków jego ciała, aż zabierze każdy ostatni ślad ciepła i oddechu, i życia, i wypełni go w zamian, od początku do końca, od góry do dołu, gęstym i śmierdzącym brudem, trawiąc go od środka, aż zrobi się czarny i zimny, i ciemny, i zgniły, jak jeszcze świat nie widział.

Sakiewka zawierająca czterdzieści gwinei była ciężka. Nie miał w rękach takiej ogromnej sumy pieniędzy w całym swoim życiu. Zważył ją w dłoni, tak jak zważył ją Kapitan, i poczuł w piersi miłe drżenie. Czterdzieści gwinei. Obracał te słowa w ustach, delektując się ich zimnym smakiem. Za tydzień będzie następne trzydzieści. I jeszcze raz. Płomyk świecy w jego piersi pojaśniał, odpychając cienie. Ścisnął mocno sakiewkę w pięści, aż monety zaczęły wbijać się boleśnie w wewnętrzną część dłoni, a potem, tak jak zrobił to Kapitan, schował sakiewkę w sekretnej kieszeni swojego płóciennego płaszcza i poklepał ją. Jej ciężar obciążał mu płaszcz i mógłby przysiąc, że promieniał słabym złotym światłem, które ogrzewało jego stare kości. Papiery schował w innym rogu podszewki. Ukryje je w kanałach, razem z tymi wcześniejszymi, gdzie będą bezpieczne. Sto gwinei. Jego twarz wykrzywił uśmiech. Był czas iść do domu. Bezwiednie jak przy oddychaniu strzelił palcami i wyciągnął dłoń. Spojrzał niecierpliwie na podłogę i dopiero wtedy sobie przypomniał. Dłoń wydała mu się duża, pusta i głupia, gdy schował ją głęboko do kieszeni i zacisnął mocno palce na pękatej krągłości sakiewki. Potem on i gwinee razem pośpieszyli do domu.

## XVII

Zgodnie z umową z Polly William nie wspominał o morderstwie władzom, gdy wrócił do pracy w biurach na Greek Street natychmiast po Bożym Narodzeniu. W istocie nie mówił prawie nic do nikogo, ukrył się natomiast w swoim wąskim boksie i odzywał tylko wtedy, gdy się do niego zwrócono. Nawet wówczas często trzeba go było dotknąć w ramię, żeby zauważył, że ktoś coś do niego mówi. Gdy pochylał się nad pracą, naciskał ołówek z taką siłą, że grafit się łamał, a podkładka pod papierem wyżłobiła się idealnym odciskiem jego obliczeń. Twarz miał niezdrowo bladą, na której jedynymi plamami koloru były ciemne smugi pod oczami. Same oczy z kolei były żółtawe i nabiegłe krwią pod ciężkimi powiekami. Jak Hawke nadmienił z zainteresowaniem Lovickowi, choroba zdawała się postarzyć mierniczego o co najmniej dziesięć lat. Z pewnością, dodał Hawke, obowiązki wynikające z pracy Maya staną się zbyt wymagające dla biedaka, szczególnie zważywszy na jego wcześniejsze problemy zdrowotne oraz to, co można byłoby uczciwie nazwać - i tutaj Hawke



miął nadzieję, że jest to szczerą rozmową dwóch ludzi o wysokiej etyce zawodowej - najzwyczajszym brakiem równowagi. Greek Street to nie szpital, a Rada nie jest przecież instytucją charytatywną dla rekonwalescentów. Czy nie należałoby przyjąć na jego miejsce innego mierniczego?

Lovick, który nie lubił Hawke'a i prywatnie miał duże wątpliwości co do jego etyki zawodowej, był zmuszony się zgodzić. Stan zdrowia Maya był wyraźnie zły. Dlatego kazał zwolnić mierniczego z obowiązków, które wiązały się z pobytem pod ziemią. Nie zwolnił go jednak z pracy. Przeniósł natomiast Williama do grupy mężczyzn odpowiedzialnych za budowę stacji pompującej w Abbey Mills, gdzie łączyły się wszystkie trzy przecinające się północne kanały. Staranna pomysłowość rozwiązania Bazalgette'a sprawiała, że kanały biegnące na najwyższym i środkowym poziomie odprowadzały ścieki na wschód jedynie siłą samej grawitacji, ale aby strumień z niższego poziomu połączył się z sąsiadującymi, cała jego zawartość musiała zostać wypompowana w górę, na ponad czternaście stóp, żeby połączyć się z pozostałymi strumieniami, zanim cała rzeka mogła popłynąć wzdłuż kanału odprowadzającego, który miał zostać wybudowany nad ziemią, na bagnach, do zbiornika na zachód od Barking Creek. W tym celu Bazalgette zlecił firmie James Watt Co. zbudowanie ośmiu silników parowych według szczegółowych specyfikacji. Zaprojektował również budynek, żeby je pomieścić i zapewnić dostęp do ogromnego systemu tunelów, niezbędnego ze względu na łączenie się trzech ogromnych i odrębnych kanałów.

Mogły pojawić się drobne trudności przy projektowaniu i konstruowaniu budowli, która w adekwatny sposób pełniłaby swoją praktyczną funkcję, chociaż sam ciężar ogromnych, napędzanych węglem silników parowych gwarantował bóle głowy u mierniczych i budowniczych, którym powierzono wykonanie tego zadania. Prosta konstrukcja ze ścian i dachu z drabinami zapewniającymi dostęp do wyższych partii silników prawdopodobnie okazałaby się wystarczająca. Jednak dla Bazalgette'a i Rady stacja pompująca była czymś znacznie ważniejszym niż budynkiem mieszczącym pompy i mierniki. Londyn przeznaczył ponad trzy miliony funtów na przebudowę systemu kanalizacji. Aby sfinansować projekt, nałożono nowy trzypensowy podatek. Każdy właściciel posesji w Londynie posiadał na własność mały kawałek z ponad osiemdziesięciu mil nowych tuneli, które zaczęto przebijać pod metropolią. Bazalgette był zdeterminowany, że razem ze swoją siostrzaną konstrukcją w Crossness, która miała służyć południowemu systemowi ścieków, budowla w Abbey Mills będzie stać jako pomnik najwspanialszego i najbardziej kosztownego osiągnięcia sztuki budowlanej, o jakim świat kiedykolwiek słyszał, ale którego prawie nikt na świecie nie będzie miał przywileju oglądać. Budowla w Abbey Mills pozostanie olśniewającym znakiem

systemu, który ze względu na swoją funkcję pozostanie zawsze nieromantyczny, nieatrakcyjny i ukryty pod ziemią.

Rysunki Bazalgette'a przedstawiały Abbey Mills jako wspaniały budynek w stylu gotyku weneckiego, wzniesiony z cegły na planie krzyża, z olśniewającą kopułą, po której bokach znajdowały się dwa ogromne kominy, każdy wysoki na ponad dwieście stóp. Kamieniarzkę miały zdobić bogate wzory, powstałe przy użyciu trzech różnych odcieni cegły, jak również fasety, misternie rzeźbione we wzory owoców i kwiatów, podczas gdy we wnętrzu miała dominować ośmiokątna konstrukcja żelaznych kolumn z bogato zdobionymi głowicami podtrzymująca ozdobną, kutą w żelazie galerię. Niemożliwe, aby William nie był świadomy wspaniałości projektu, ale w odróżnieniu od swoich kolegów okazał się zupełnie obojętny na jego uroki. Skoncentrował się natomiast na logistycznych wymaganiach budynku. Było sporo obliczeń. Aby silniki parowe mogły skutecznie pompować strumień, musiały znajdować się bezpośrednio nad systemem tunelów, co - zważywszy na to, że same koła zamachowe miały ważyć, każde z osobna, ponad pięćdziesiąt ton - powodowało znaczne utrudnienia. William przystąpił do pracy z zajądłą determinacją, ale bez radości, jakby silniki parowe był armią okupanta, przez którą został schwyty i pojmany w niewolę. Tak czy inaczej znajdował pewne pocieszenie w metodycznych kolumnach liczb, które maszerowały mu przed oczami po kartce. W swoim boksie był bezpieczny. Na zewnątrz, na ulicy, bez liczb, które dawały poczucie stabilizacji, czuł się często zagubiony i zmieszany. Rana na nodze nie goiła się dobrze i poruszał się niepewnie, chwiejąc się na poranej bruzdami ziemi. Gęste zimowe mgły wpędzały go w panikę. Twarze wyłaniały się z ciemności jak duchy zamordowanych mężczyzn. Raz wszedł prosto pod koła omnibusa i z pewnością zostałby potracony, gdyby spozstrzegawczy zamiatacz nie chwycił go na przejściu za rękaw i nie uratował przed niebezpieczeństwem. William kupił nóż do patroszenia ryb od włoskiego rzemieślnika na Broad Street i ukiął go w zamykanej na klucz szufladzie swojego biurka. Cięcia na przedramieniu były płytkie, stanowiły nieomal zadrapania, ale ich wzór zdawał się stworzony przez szaleńca, a on upiększał je codziennie.

Nowi współpracownicy, przypisujący sobie znacznie donośniejszą rolę w hierarchii Komisji niż skłonni byliby przypisać pracownikom kanałów, zostawili go w spokoju. Mieli w zwyczaju spożywać południowy posiłek wspólnie w barze na Dean Street, ale gdy William odrzucił ich pierwszą niechętną propozycję, aby im towarzyszyć, byli zadowoleni, że zostali zwolnieni z obowiązku ponawiania zaproszenia. William natomiast jadł swój lunch sam i każdego dnia, gdy go spożywał, zmuszał swoją pamięć, aby ponownie przeprowadziła go przez te same kanały, którymi szedł tej strasznej nocy. Zmysłami usiłował uchwycić

ponownie każdy zapamiętany dźwięk i zapach, który mógł mu coś wyjaśnić, jakkolwiek drobiazg z tego, co się wydarzyło. Jeśli sobie przypomni, powtarzał sobie raz po raz, to będzie znaczyło, że nie jest szalony. Pokaże Polly, że nie jest szalony. Tak więc uchwycił się kurczowo swojej pamięci, tak jak górnik mógłby się uchwycić liny, żeby wyprowadziła go bezpiecznie z ciemności. Nie nosił już ze sobą swojego dziennika botanicznego. Prawie zapomniał, gdzie on się znajduje. Trzymał natomiast oprawiony w skórę notes, w którym zapisywał najdrobniejsze skrawki wspomnień. Wkrótce pokrył nieomal połowę jego stron swoimi ciasno zapisanymi notatkami. Bardzo wolno, kawałek po kawałku, wyłaniał się z nich obraz. William spoglądał na niego z ukosa, słabnącymi oczami, jednocześnie podekscytowany i przerażony tym, co miał zobaczyć.

Nikommu o tym nie wspomniał. Nie było nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać. Nie pragnął już rozmawiać o tym z Polly. Coś w tym, jak na niego patrzyła tej nocy, gdy zaatakowała go, mówiąc, żeby trzymał gębę na kłódkę w sprawie morderstwa, sprawiło, że oddalili się od siebie. Każdego następnego wieczoru przepaść, która ich oddzielała, robiła się coraz szersza, aż William był pewien, że mógłby - nawet wtedy, gdy siedzieli po obydwu stronach kuchennego kominka, ona z głową pochyloną nad robótką, a on wpatrując się niewidzącymi oczami w książkę na kolanach - ochrypnąć od krzyku, a ona nadal nie usłyszałaby ani jednej sylaby. Nie mógł zapomnieć tej surowej goryczy, z jaką go zaatakowała, tego, jak jej skóra napięła się i ściągnęła na białej twarzy. Ta twarz. Wisiała jak zimowy księżyc nad ciemną nocą jego pamięci, z zamkniętymi oczami, z nozdrzami zaciśniętymi i pozbawionymi krwi, ustami i szyją odwróconymi od niego z obrzydzeniem, jakby sam jego widok był dla niej nie do zniesienia.

Wywoływał u niej obrzydzenie. William widział to bardzo wyraźnie wyryte w każdym sztywnym mięśniu tej białej twarzy. Wydawał jej się odrażający, a jednocześnie przerażał ją. Uważała jego słabość za godną pogardy, tchórzliwą i zasługującą na potępienie uległość wobec wroga, która - już przy odrobinie determinacji i wysiłku - mogłaby bez trudu zostać pokonana. Jednocześnie jednak obawiała się jego siły, strasznej odwagi, która sprawiała, że wbijał nóż we własne ciało. Patrzyła na niego i nie mogła znieść tego, że skała, na której zbudowała swoje życie, posypała się w gruz. Mąż, który dla niej uosabiał wszystko, co było stałe, poważne i mądre, który - dla jej miłości - ochoczo dźwigał ciężar ich obydwu światów na swoich ramionach, żeby ona mogła tańczyć i wirować przez życie, mając za jedyny ciężar coś tak niematerialnego jak kwiat założony za uchem, jej mąż pozwolił sobie na to, żeby coś go złamało. I pociągnie ją ze sobą, bo taki jest świat. Nie była to jedynie, ani nawet głównie, kwestia dobrobytu czy uczciwości. Polly przywykła do poczucia

bezpieczeństwa zapewnianego przez zarobki Williama, do komfortu ich malutkiego domu, do wyższego statusu, który szedł w parze z posiadaniem dziewczyny do najcięższych prac. Świeżo zyskany szacunek, którym obdarzali ją ludzie, był dla niej źródłem przyjemności. Jednak zmienne koleje losu nie były dla niej żadną nowością. Umiałyby się pogodzić ze stratą tego wszystkiego, mogłyby znieść wszelkie fizyczne trudności, gdyby tylko mogła wierzyć, że jest szczęśliwa. Przez całe swoje życie planowała, że będzie szczęśliwa. Uważała, że to najprostsza, najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Dla Polly szczęście było jak dobroć. Zawsze zwyciężało. Mogło być wystawiane na próbę, tak jak cnodeiwe dzieci w bajkach wystawiane na próbę, aby mogły z niej wyjść obronną ręką, ale tak jak w wypadku dobroci, jeśli jej obrońcy zwróciliby się z determinacją przeciwko tym, którzy się jej sprzeniewierzają, szczęście niepodzielnie by królowało.

Wojna wschodnia była takim testem. Polly czekała i znosiła związane z nią trudy, aż - jak zresztą słusznie przewidywała

- ciepłe promienie szczęścia i nadziei przepędziły szare duchy wojny Williama, tak jak słońce osusza poranną mgłę. Przez chwilę byli znowu szczęśliwi. Ale teraz nieszczęście unosiło się wokół niego i spowijało go jak trujące czarne miazmaty, zakażając wszystko, czego dotknęły. Śmiech nie był w stanie ich rozjaśnić. Słodkie pocałunki zamieniały się w popiół. Radosne słowa i fragmenty piosenek powracały do niej nieusłyszane, obdarte z wesołości i znaczenia. Było to dla niej zbyt silne i zbyt okrutne. Z czasem śmiech zrobił się surowszy, podobnie jak usta, a wargi nie składały się już w pocałunki. Piosenki więzły w gardle i przyprawiały o kaszel. W mrocznej ciemności nieszczęścia straciła z oczu nie tylko męża, ale również siebie.

Wszystko to William widział i zapisywał skrupulatnie w swoim notesie. Codziennie przeglądał gazety w poszukiwaniu informacji, które mogły mieć związek z wydarzeniami tamtej nocy. Nie było żadnych doniesień o ciele znalezionym w kanałach, żadnej wzmianki o zaginionym człowieku. William jednak nabierał coraz większej pewności. Nie był szalony.

Popelniono morderstwo. W tunelach, owej nocy, zabito człowieka. Gdzieś w systemie będzie ciało. Zważywszy na zmianę sytuacji, trudno mu będzie znaleźć rozsądny powód, aby móc zejść do kanałów osobiście, ale byli inni, którzy mogli to zrobić. Zawsze można było znaleźć jakiś pretekst, sprawdzenie pomiarów albo skarga właściciela domu, że budynek osiada. William nadal był trochę zaangażowany w kontrakt ze Strowbridge. Pośpiesznie wezwał Donalda Hooda, jednego z praktykantów i polecił mu, aby przeprowadził precyzyjne badania fragmentu tunelów, który ciągnął się od Regent Circus do Seven Dials. Prosił o pisemne sprawozdanie przed końcem tygodnia.

W czwartek nadal nie miał żadnych wiadomości od Hooda. Tego wieczoru William siedział w swoim boksie długo po tym, jak ostatni z inżynierów poszedł do domu, i wpatrywał się w swój notes. Z jakiegoś powodu słyszał, jak umiera człowiek. Utonięcie? napisał najpierw, a potem, poniżej, Uduszenie? Dopiero znacznie później, gdy analizował w głowie raz po raz miękki bulgot, jaki dobiegł z ust mężczyzny, zrozumiał, że popełnił błąd. Wykreślając obydwie słowa, zatrzymał się, a potem napisał grubym czarnym ołówkiem Podcięcie gardła. Podkreślił te słowa dwa razy.

Przez długi czas wpatrywał się w słowa, które napisał. Ponad wszystko, chciał żeby czas przestał płynąć, chciał siedzieć tutaj w spokoju, żeby głosy w jego głowie ucichły. Odsunąć na zawsze tę chwilę, gdy będzie musiał wstać, nałożyć płaszcz i pójść do domu, żeby znowu zobaczyć obrzydzenie i przerażenie wyryte w miękkich rysach jej twarzy. Czasu jednak nie da się zatrzymać, a głosy nie ucichną. William ujął ołówek i zapisał słowa, których do tej pory w ogóle do siebie nie dopuszczał.

Ona uważa, że go zabiłem.

Siedział przez długi czas, unosząc ołówek nad papierem, podczas gdy słowa, które przysły potem, zacisnęły się w pięść w jego głowie. Dłoń drżała, gdy dotykał grafitem papieru, a litery, które zapisał, były zamaszyste i niewyraźne.

Czy to ja go zabiłem?

- May.

William wsunął swój otwarty notes pod stos papierów i zerwał się na równe nogi. Lovick zaglądał ponad ścianą boksu, a szkła jego połówkowych okularów błyszczały w słabym świetle.

- Tak, sir.

- Wciąż tutaj? Jest już późno. Powinien pan wracać do domu, do rodziny.

William zmusił się do uśmiechu. Znowu myśl o synu wywołała u niego uczucie obawy, a włosy na karku stanęły mu na sztorc. Nawet widok jednej z zabawek Di porzuconej na podłodze sprawiał, że czuł się nieswojo ostatnimi czasy, chociaż nie umiał powiedzieć, dlaczego. W domu tak był przepełniony obawą, że nieomal nie spuszczał wzroku z chłopca i w nocy chciał, żeby spał razem z nimi w łóżku, ale Polly trzymała Di celowo z dala od ojca. Za każdym razem, gdy rozmawiał z chłopcem, był pewny, że widzi w jego oczach strach. Strach ten sprawiał, że podenerwowanie Williama rosło.

- Tak, sir.

- W takim razie, dobranoc.

- Dobranoc, sir.

William czekał. Słyszał, jak Lovick życzy wszystkim urzędnikom dobrej nocy, a potem schodzi po schodach. Następnie, przysuwając do siebie stertę papierów i wyciągnął swój notes. Razem z nim wysunęła się kartka papieru. Na górze w poprzek strony widniał napis: ENGLAND SON. I nagle, z ostrym ukłuciem przypomnienia, William zrozumiał. Tętniące wzburzenie w brzuchu stwardniało w jeden wir, który naciskał dziko na trzewia. England był tam tej nocy. Doszło do bójki. England groził jego synowi. Di był w niebezpieczeństwie. William nieomal wrzucił notes do szuflady i wyrwał klucz z zamka. Musi dostać się do domu. Ciągnąc za sobą swoją chorą nogę, w kulejącym biegu, był już nieomal w połowie schodów, zanim coś przyszło mu do głowy. Minęły ponad dwa tygodnie od tamtej nocy. Kontrakt ze Strowbridge został podpisany być może dwa dni później. Z pewnością, jeśli England zamierzał skrzywdzić Di, skrzywdzić kogokolwiek z nich, to już by to zrobił. Ucisk wiru trochę zelżał. Być może nigdy nie miał zamiaru spełnić swojej groźby. Chciał jedynie zastraszyć Williama, żeby dostać kontrakt. Kontrakt trafił jednak gdzie indziej. Jakież sens miałoby teraz dla Englanda narażanie własnej reputacji, żeby zniszczyć rodzinę Williama? Było już na to za późno. Syn był bezpieczny.

A jednak... William zatrzymał się z dłonią na wypolerowanej balustradzie. Potem, z namysłem, odwrócił się i poszedł z powrotem na górę.

Biuro Hawke'a pogrążone było w ciemności. W słabym świetle ulicznej latarni William napisał mu wiadomość, prosząc o rozmowę następnego dnia, gdy Hawke znajdzie czas.

Potem poszedł do domu. Słyszał, jak Polly krząta się po kuchni. Zsunąwszy cicho buty, William wspiał się ostrożnie po schodach. Di spał w swoim niskim łóżku, ze zmierzwionymi włosami i ramionami rozrzuconymi na boki. William przyglądał mu się przez chwilę, a potem, ostrożnie, żeby nie zbudzić dziecka, położył się obok niego. Oddech chłopca był ciepły i pachniał drożdżami jak świeży chleb. Gdyby coś miało mu się stać - William nie był w stanie nawet o tym myśleć. Gdy Polly go tam znalazła, on też spał. W pierwszym odruchu chciała potrząsnąć mężem, obudzić go i kazać mu wyjść z pokoju, ale zawahała się w połowie drogi do łóżka. Ramię Williama obejmowało syna, a pulchna dłoń Di była rozcapierzona na nim jak rozgwiazda, przyciskając je mocno. Włosy obu spleły się razem na poduszce. Piersi wspólnie unosiły się i opadały cicho. Polly westchnęła, poprawiając kołdrę, żeby przykrywała ich obu, i poszła spać sama.

Następnego dnia Hawke posłał Williamowi wiadomość, że gotowy jest się z nim spotkać tuż przed południem. William zatrzymał się tylko, żeby uczesać włosy i poprawić fular. Jednak gdy znalazł się przed biurem Hawke'a, ten był zajęty i William był zmuszony

czekać przez dłuższy czas na niewygodnym krześle umieszczonym tam w tym celu. Dłonie podskakiwały mu nerwowo na kolanach. Młody urzędnik, który zajmował boks tuż przy drzwiach Hawke'a, przyglądał mu się beczelnie, mierząc go kilkakrotnie wzrokiem od stóp do głów w przerwach pomiędzy wydlubowaniem brudu spod paznokci nożykiem do papieru. W końcu Hawke wezwał Williama. Gdy urzędnik zamknął za nim drzwi, uderzenie wstrząsnęło ościeżami i poruszyło papiery na biurku Hawke'a.

Za bryłą tegoż biurka Hawke złożył dłonie i patrzył na Williama. Nie poprosił go, żeby usiadł.

- Czego pan chce? - zapytał.

W pytaniu nie dało się słyszeć nawet najmniejszego pozoru uprzejmości.

- Chodzi... chodzi o firmę England Son - zaczął William.

Hawke wstał. Stojąc pod światło, które padało z okna, William nie był w stanie odczytać wyrazu jego twarzy, ale cień padał na Williama jak groźba.

- Ach, w istocie, czyż nie? - odparł cicho, a jego ciemne oczy zabłyszczały.

- Tak, sir. Z pewnością pan England był bardzo rozczarowany przyznaniem kontraktu na tunel cegielni w Strowbridge...

- Co sugerujesz, May?

Wrogość w głosie Hawkea była oczywista.

- Chciałem tylko zaproponować, że mógłby rozważyć stanięcie do przetargu na kontrakt dotyczący Abbey Mills, sir - rzucił szybko William. - Jest tam duże zapotrzebowanie na cegłę z Londynu, a, zważywszy na konkurencyjne ceny, cegielnia Englanda miałyby duże szanse na sukces - odchrząknął, spoglądając w dół, na swoje dłonie. - Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc, sir. Chciałbym, żeby to wiedział.

W odpowiedzi usłyszał szydzący bulgot śmiechu. Serce Williama zamarło.

- Chciałby pan, doprawdy? - odparł Hawke z ponurym rozbawieniem.

Pichnął ponownie. William obserwował z obawą, jak Hawke się prostuje i odwraca, żeby wyjrzeć przez okno, rozciągając palce. Pod ciemnymi wąsami zadrgał mu mięsień. William czekał.

- Czy to prawda, że groził pan Englandowi śmiercią? - zapytał w końcu Hawke.

- Nie! Jeśli padły jakieś groźby, to ze strony pana Englanda. Z pewnością, nie myśli pan...

Hawke machnął niecierpliwie ręką, uciszając Williama.

- Jeśli go zobaczę, to z pewnością dam mu znać, że chce pan mu zadośćuczynić. Chociaż na takie przyjazne gesty może być już trochę za późno.

Usta mężczyzny rozciągnęły się w dziwnym szerokim uśmiechu.

- Obawiam się, że pana problemy z Engländern dopiero się zaczną.
- Chciałbym mieć nadzieję, sir, że złagodziliśmy różnice między nami w...
- Chciałby pan? No cóż, gratuluję optymizmu.

Hawke stuknął w mosiężny dzwonek stojący na biurku. Drzwi do biura otworzyły się natychmiast i wszedł urzędnik. Hawke zajął się jakimiś papierami na biurku. Usta mu drgały.

- Spratt, dobrze. Przynies mi miesięczne sprawozdania - polecił, nie podnosząc wzroku. - Muszę złożyć raport przed Radą dziś po południu. Do widzenia, May.

William się zawahał.

- Do widzenia, May - powtórzył Hawke, wymawiając ostro spółgłoski.

Nie pozostało nic innego, jak wyjść.

- Do widzenia, sir - wyszeptał William.

Urzędnik o nazwisku Spratt uśmiechnął się impertynencko, gdy William opuszczał biuro, kulejąc, i zacisnął pobrudzone atramentem dłonie na stercie skórzanych ksiąg rachunkowych.

- Nie miał dla pana zbyt wiele czasu - zauważył.

William nie uznał za stosowne odpowiedzieć. Pośpiech sprawił, że postąpił po sztubacku, widział to teraz. Powinien się domyślić, że Hawke nie wybaczy mu tego, co widział. Chociaż nic mu nie groziło ze strony Maya, zważywszy na niską pozycję i brak jakichkolwiek dowodów na przestępcze postępowanie, było nieuniknione, że Hawke będzie go zawsze uważał za niebezpiecznego przeciwnika i jakiegokolwiek zainteresowanie swoimi sprawami uzna za wrogie i nachalne.

William wrócił do swojego boksu i od razu napisał list. Treść była konkretna i czytelna. Nie chciał, aby pomiędzy nim i właścicielem cegielni istniały jakiegokolwiek niesnaski. Było mu przykro, że Englandowi nie udało się zdobyć początkowego kontraktu przy projekcie kanalizacji, ale uważał, że jest jeszcze kilka innych możliwości w ramach prac prowadzonych przez Radę, które mogłyby go zainteresować. Dlatego proponował spotkanie w czasie dogodnym dla pana Englanda, podczas którego on, May, będzie mógł przedstawić mu dodatkowe szczegóły. Wzywając posłańca, William polecił, aby koperta została doręczona do cegielni w Battersea przy najbliższej sposobności. Zanim posłaniec opuścił pokój, stuknął niecierpliwie ołówkiem w zęby, zastanawiając się, jak szybko może spodziewać się odpowiedzi.

- Pana raport sir.

Donald Hood stał u boku Williama, w jednej ręce trzymając smętnie plik papierów.



Hood był bladym człowiekiem, z tłustą skórą, który wyglądał, jakby został ulepiony z wosku na świecę. Nos biegł mu jak długi kurek w dół, pośrodku twarzy, a ramiona opadały nierówno, jakby w trakcie produkcji przeciąg spowodował, że świeca stopiła się po jednej stronie bardziej niż po drugiej.

P - zapytał William, obracając się, żeby wziąć papiery i spojrzeć badawczo na twarz praktykanta. - Znaleźliście coś?

- Tak jak pan przypuszczał, są dowody na dalsze osiadanie. - Głos Hooda był lekko nosowy, ale poza tym był zupełnie pozbawiony wyrazu i każde słowo wypowiadał z dokładnym takim samym naciskiem. - Od czasu inspekcji przeprowadzonej w czerwcu stan zachodniej części tunelu zauważalnie się pogorszył...

- Tak, tak, ale czy nie znaleziono czegoś? Czegoś istotnego?

- Cóż, tak, sir. Wstępne badanie osadów najwyraźniej wskazuje, że wbrew wyraźnym zarządzeniom Rady...

- Czy przeprowadzono pełną ocenę? Wszystkich pomniejszych kanałów?

Ramiona Hooda opadły odrobinę niżej, a kąciki ust wygięły się w geście ponurej nagany.

- Z całym szacunkiem, sir, ale jeśli pozwoli mi pan zwrócić swoją uwagę na wytyczne Rady wydane we wrześniu rok temu, to będzie pan świadom, tak samo jak i ja, że nawet spławiaczom nie wolno teraz wchodzić do pomniejszych kanałów, jako że stanowią one szczególne zagrożenie, sir.

- Więc mówi pan, że nie zrobiono tego.

- Oczywiście, że nie, sir.

Hood mrugnął wolno, a woskowe powieki zdawały się topić na jego wypukłych oczach. Potrząsnął głową.

- Byłoby to wbrew wyraźnym...

- Och, na litość boską!

William nie był już w stanie dłużej kontrolować swojego zniecierpliwienia. Wyrwał dokumenty z ręki zaskoczonego praktykanta i pośpiesznie go oddalił. Nie było rady. Będzie musiał zejść na dół sam. Atrament na kontrakcie ze Stowbridge jeszcze nie zdążył dobrze zaschnąć. Jeśli ktoś go zapyta, to będzie twierdził, że zaniepokoiło go w raporcie Hooda coś, co miało związek ze niszczeniem cegły. Wymyślenie czegoś nie będzie trudne. Nie mógł jednak zejść na dół sam. Jeśli nie chce ściągnąć na siebie żadnych podejrzeń, to musi postępować zgodnie z literą tak drogich Hoodowi wytycznych Rady. Poza tym, będą mu potrzebni świadkowie. Chwyając swój płaszcz, ruszył, kulejąc, jak najszybciej był w stanie,

po schodach do pokoi, gdzie jeszcze do niedawna znajdował się jego boks, i zajął ostrożnie do środka. Drzwi do biura Hawke'a były otwarte, ale z uczuciem ulgi nie zauważył śladu po jego właścicielu czy po młodym urzędniku, który służył mu za portiera.

William przeszedł przez pokój, kłaniając się jednemu czy dwóm mężczyznom, którzy podnieśli głowy, gdy przechodził. Odkłonili mu się nieznacznie w odpowiedzi i zapomnieli o nim, tak jak zawsze o nim zapominali. Na ścianie naprzeciwko przypinano liczne wykresy i schematy, z których każdy przedstawiał fragment systemu, nad którym obecnie pracowano. William szybko znalazł ten, którego szukał. Według planu zespół spławiaczy miał zejść do kanałów przy Regent Circus tuż po drugiej. Spojrzał na zegarek. Zostało mu niecałe trzydzieści minut. William pośpieszył w kierunku schodów, nieomal wpadając na młodego urzędnika Hawke'a, który niośł naczynie z jedzeniem, przykryte poplamionym płótnem.

- Szuka pan znowu pana Hawke'a, sir? - zapytał Spratt a jego oczy rozblęły ciekawością. - Z pana to urodzony cierpiętnik, nieprawdaż?

- Moje interesy z panem Hawke'iem są już zakończone, dziękuję - odparł oschle.

Stojący w rozkroku Spratt nie odsunął się, żeby go przepuścić w drzwiach. Uśmiechnął się jedynie, gdy William przeciskał się obok, i przyglądał się mierniczemu bystrym okiem, gdy ten schodził niezgrabnie w dół po schodach. Na półpiętrze William był zmuszony zatrzymać się, żeby złapać oddech, jedną ręką trzymając się poręczy. Wbrew sobie spojrział w górę. Spratt uśmiechnął się wolno i wytarłszy obficie nos grzbietem dłoni, uniósł ją w powolnym geście pożegnania. William czuł, jak czerwienieje mu szyja. Zszedł pośpiesznie, kulejąc, po pozostałej części schodów.

Mała drewniana komórka miała brezentowy dach i była jedną z wielu tego typu komórek wzniesionych na użytek spławiaczy jako schronienie i miejsce, gdzie mogli przechowywać rzeczy niezbędne w tym zawodzie. Ta stała na północnym końcu Regent Circus, wciśnięta w przejście, znane lokalnie jako Flower Lane chociaż, o ile było wiadomo, żaden kwiatek nie był na tyle głupi, żeby próbować szczęścia w kwaśnym błocie tej kwietnej alejki. Gdy zaspany spławiacz w odpowiedzi na pukanie otworzył drzwi, William wyjaśnił mu swoje potrzeby i został stosownie, choć nie bez pewnej niechęci, zaopatrzony w niezbędny strój przeznaczony do schodzenia do kanałów. Jego płaszcz i spodnie spławiacz zawiesił bezceremonialnie na zardzewiałym gwoździu wbitym w ścianę komórki.

- Więc gdzie, dokładnie, chce się pan dostać? - zmarszczył czoło brygadzysta, gdy May wrócił przebrany.

Znał dobrze Williama i darzył go niechętnym szacunkiem za znajomość tunelów, jaką miał mierniczy, i za opanowanie, jakie okazywał pod ziemią, ale jego przybycie było niemile

widzianym dodatkiem do zwyczajowych trudów tego dnia.

- Trzeba spodziewać się deszczu, a i przyływ jest przeciwko nam.

William powtórzył swoją opowieść. Wykonując przewidziane obowiązki, jeden z praktykantów znalazł pewną część kamieniarki, szczególnie interesującą, w jednym z mniejszych tunelów. William chciał ją zobaczyć sam, ale praktykant, nie znając rozmieszczenia kanałów i pragnąc jak najszybciej wydostać się na powierzchnię, nie był w stanie podać Williamowi szczegółowych informacji odnośnie położenia tego miejsca. Dlatego byłby bardzo wdzięczny, gdyby doświadczony spławiacz zechciał mu towarzyszyć, aby mógł spróbować zweryfikować raport praktykanta. Brygadzista westchnął.

- Godzina. Tyle ma pan czasu. A jak opuścimy wieko, daje pan drapak.

William się zgodził. Skóra na głowie swędziała go z ekscytacji i strachu. Znajdą ciało, nie miał co do tego wątpliwości. Przymocowawszy latarnię do przodu swojego fartucha, zszedł za sennym spławiaczem po żelaznej drabinie do kanałów.

Natychmiast gdy wszedł do strumienia, jego serce zaczęło bić w piersi jak oszalałe. Nad nim z metalicznym brzdękiem zamknięto żelazną zasuwę, odcinając światło. William stał w bladym kręgu swojej latarni i wdychał śmierdzące, wilgotne powietrze. Zazwyczaj ten zapach go uspokajał, ale tym razem czuł, jak głęboko w gardle narasta fala mdłości. Dłonie mu drżały. Schował je gwałtownie do kieszeni fartucha i ścisnął mięśnie nóg, żeby radzić sobie bardziej zdecydowanie z naporem wody. W górze rzeki światło spławiacza huštało się i podskakiwało. William wbijał stopy w muł, próbując go dogonić. Zawsze w tunelach poszukiwał samotności, ale teraz ogarnęła go dziecięca tęsknota za ciepłem, jakie emanowało od ciała spławiacza, uspokajającym smrodem bmdnych od ścieków ubrań i stęchłym zapachem piwa w oddechu, za dodającym otuchy klepnięciem w ramię. Spławiacz jednak był zbyt daleko przed nim. Było mu zimno, w tym tkwił problem. Wilgotny chłód przenikał go do szpiku kości, a na wpół zagojona rana na nodze bolała go dotkliwie. Na całej powierzchni skóry pojawiła się gęsia skórka.

Daleko przed nim spławiacz zatrzymał się i czekał, aż William go dogoni. Gdy kręgi światła z latarni spotkały się i nałożyły na siebie, William poczuł, jak strach odrobinę ustępuje. Pomimo podłego charakteru swojej pracy i smugi brudu na jednym policzku, senny spławiacz miał miły wyraz twarzy. Razem, we dwóch, znajdą ciało. I razem wyjdą na powierzchnię. Nie ma się czego bać.

- Tędy? - Spławiacz przekrzywił głowę w prawo.

William skinął głową, zatrzymując się z wdzięcznością, żeby złapać oddech, ale spławiacz już mszył ponownie przed siebie, a jego światło rzucało na ściany liczne kręgi i

błyszczało na poranej powierzchni wody. Ciemność oddzielała tunel między mężczyznami jak kurtyna. William podążał za nim kanałem z dużym wysiłkiem, a jego oddech wydostawał się z piersi gwałtownie, krótki i urywany. Światło miało słabe i dziwnie kopzące. Coś było nie tak z tą latarnią. Zaniepokojony wstrząsnął nią i płomień zamigotał. Galopujące ukłucie paniki oderwało mu się gdzieś wewnątrz tak gwałtownie, że był pewien, iż się potknie. Zaciśnął usta w mocny węzeł i uchwycił rączkę latarni wilgotną dłonią, aż kostki przebiły się przez skórę żółtymi punkcikami jak zęby. Nie może spojrzeć w dół. Ciało. Musi znaleźć ciało. Znalezienie ciała będzie dowodem, że nie jest szalony. Jeśli znajdzie ciało, to będzie mógł stąd wyjść.

- Proszę zaczekać, proszę! - zawołał spławiacza chropowatym głosem, ale słowa zostały wessane przez przelewający się huk strumienia.

Czaszka opadała mu i wirowała, tak jak cienie wokół niego opadały i wirowały, przyprawiając go o zawroty głowy. Był pewien, że zwymiotuje. Było tak zimno. Nie czuł stóp, palców. Musi znaleźć ciało. Musi się stąd wydostać. Stara ciemność zaczęła wypełniać zimne puste miejsca, a ich samotna czerń unosiła się jak dym w kominach jego nóg. Pragnienia napinały skórę i wysuszyły usta, odsuwając dziąsła nad zębów. Skóra swędziała. Krzyki narastały w nim, szybciej i z większą mocą niż kiedykolwiek przedtem. Nadciągały w swoich dzikich hordach z najciemniejszych zakątków duszy i nie można było ich powstrzymać. Przeszywały żyły. Rozniecały ogień w kościach. Napierały na głowę, jakby miały rozłupać mu czaszkę jak jajko. Był bezsilny wobec tak bezlitosnego ataku. Były wszystkim, co słyszał, smakował, czuł i widział. Musiał je wypuścić, zanim go zniszczą. Tym razem jednak, to nie noża pragnął, to nie nóż, wiedział, przyniesie mu ulgę. Tym razem będzie to ciało.

Dalej w tunelu spławiacz zatrzymał się znowu, czekając, aż William go dogoni. Przed nimi znajdował się wąski kanał, wysoki zaledwie na trzy stopy. Latarnia spławiacza zachwiała się, gdy mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć na Williama, a gdy się przechyliła, światło zahaczyło o coś ukrytego w tunelu na głębokości kilku stóp. To coś było blade, nieomal białe. A potem zniknęło, utonęło w ciemności. Ale doskonały obraz napuchniętej cielistości pozostał wyryty ogromnymi głębokimi cięciami w jestestwie Williama. Ciało. To było ciało.

Gorączkowo przepchnął się obok spławiacza z takim impetem, że mężczyzna się potknął. Zrywając latarnię z frontu swojego fartucha, uniósł ją do góry. Potem, ze stłumionym krzykiem triumfu, upadł na kolana, przez co strumień rozmazywał swoją brudną zawartość na jego piersi, wlewając się z siłą do tunelu. Światło odbijało się od ścian, rzucając białą

poświatę. Grzyby. Ściany były miękkie od grzybów, pękających i wzdętych, przyssanych do kruszących się cegieł. Ich zimny gnijący smród wciskał się do nozdrzy Williama i pęchnął mu w głowie. Ciało. Widział ciało. Wbijając kolana w czarny szlam, posuwał się w głąb tunelu. Grzyby zdawały się pęcznieć wokół, zagłuszając dźwięki, zamykając się nad nim. Ich nabrzmiała bladość otaczała go, wszędzie sugerując martwe ciało, a jednak ukrywając je. William miał mdłości, był zdezorientowany, a potem nagle opanował go dziki gniew. Zjadle uderzył latarnią we wstęgi grzybów. Obudowa zerwała kawałki gąbczastego ciała. Raz po raz William uderzał, ciosając swoją drogę w głąb tunelu. Wtem szyba się rozbiła i światło zgasło. William znalazł się w absolutnej ciemności. Wyrzucił rozbitą latarnię. Ciało tam było. Widział je. Zanurzył ramiona w strumieniu, przeczesując palcami brud, i szkło przecięło mu palce. Ból powstrzymał go na chwilę. Poruszając się z trudem na kolanach, szedł dalej, w głąb czarnego tunelu, obdzierając napuchnięte ściany, zanurzając dłonie raz po raz w błocie pod nurtem strumienia.

- Wiem, że tu jesteś!

To był jego głos, ale dochodził gdzieś z daleka.

- Wiem, że tu jesteś, draniu!

Dłoń zacisnęła mu się na ustach i pociągnęła jego głowę do tyłu. Przez chwilę William był pewien, że należy do tego martwego człowieka, i poczuł straszliwy dreszcz triumfu. Dłoń jednak była ciepła i śmierdziała odchodami i wodorostami. Z trudem oddychał. Poczul szarpnięcie i ból, gdy ktoś wykręcił i skrzyżował mu z tyłu ramiona. Usiłował walczyć, ale stracił równowagę, a uścisk, który go powstrzymywał, był zbyt silny. Krzyki nadal się z niego wydobywały, wciąż i wciąż, ale były

gorączkowo przepchnął się obok spławiacza z takim impetem, że mężczyzna się potknął. Zrywając latarnię z frontu swojego fartucha, uniósł ją do góry. Potem, ze stłumionym krzykiem triumfu, upadł na kolana, przez co strumień rozmazywał swoją brudną zawartość na jego piersi, wlewając się z siłą do tunelu. Światło odbijało się od ścian, rzucając białą poświatę. Grzyby. Ściany były miękkie od grzybów, pękających i wzdętych, przyssanych do kruszących się cegieł. Ich zimny gnijący smród wciskał się do nozdrzy Williama i pęchnął mu w głowie. Ciało. Widział ciało. Wbijając kolana w czarny szlam, posuwał się w głąb tunelu. Grzyby zdawały się pęcznieć wokół, zagłuszając dźwięki, zamykając się nad nim. Ich nabrzmiała bladość otaczała go, wszędzie sugerując martwe ciało, a jednak ukrywając je. William miał mdłości, był zdezorientowany, a potem nagle opanował go dziki gniew. Zjadle uderzył latarnią we wstęgi grzybów. Obudowa zerwała kawałki gąbczastego ciała. Raz po raz William uderzał, ciosając swoją drogę w głąb tunelu. Wtem szyba się rozbiła i światło zgasło.

William znalazł się w absolutnej ciemności. Wyrzucił rozbitą latarnię. Ciało tam było. Widział je. Zanurzył ramiona w strumieniu, przeczesując palcami brud, i szkło przecięło mu palce. Ból powstrzymał go na chwilę. Poruszając się z trudem na kolanach, szedł dalej, w głąb czarnego tunelu, obdzierając napuchnięte ściany, zanurzając dłonie raz po raz w błocie pod nurtem strumienia.

- Wiem, że tu jesteś!

To był jego głos, ale dochodził gdzieś z daleka.

- Wiem, że tu jesteś, draniu!

Dłoń zacisnęła mu się na ustach i pociągnęła jego głowę do tyłu. Przez chwilę William był pewien, że należy do tego martwego człowieka, i poczuł straszliwy dreszcz triumfu. Dłoń jednak była ciepła i śmierdziała odchodami i wodorostami. Z trudem oddychał. Poczł szarpnięcie i ból, gdy ktoś wykręcił i skrzyżował mu z tyłu ramiona. Usiłował walczyć, ale stracił równowagę, a uścisk, który go powstrzymywał, był zbyt silny. Krzyki nadal się z niego wydobywały, wciąż i wciąż, ale były bardziej nierówne, zduszone i poszarpane. Na wpół unoszonego przez brudny strumień Williama wyciągano na plecach z tunelu. Zbierając w sobie resztki siły, kopnął butem w ścianę tunelu, wrywając kawałek cegły. Jakieś ramię schwyciło go za szyję, ściskając mu tchawicę. Ktoś krzyknął. Ciemność zrobiła się jeszcze głębsza. Wkrótce przeszył ją promień białego światła. Buty skrzypiały na żelazie. Coś związało mu boleśnie nadgarstki na plecach. Potem, bez ceregieli, wytargano Williama na górę. Światło razilo go w oczy. Zamknął je, świadom jedynie straszego czarnego chłodu, który trzymał go w uścisku i wykrzywił mu kończyny i szyję w spazmach niekontrolowanego drżenia.

- Zabierzcie go stąd - warknął brygadzysta.

Ramiona otoczono mu kocem. William czuł kłującą tkaninę na policzku, gdy zanurzał się w jej tłusty zapach. Później otworzyły się drzwi i został przez nie wypchnięty. Światło przesywało zamknięte powieki i zalewało je bolesną czerwienią. Zamknął je z całych sił, wykonując kilka nieporadnych kroków do przodu na nierównym podłożu, popychany przez czyjąś dłoń przyłożoną pośrodku pleców. Gdy w końcu rozwarł powieki, tworząc zaledwie małą szparkę pod cieniem rzęs, ukazał mu się wycinek zawilgoconego muru Flower Lane i oparta o niego, bardzo blisko, wykrzywiona w uśmiechu twarz młodego mężczyzny. Dreszcz zatrzęsł kośćmi Williama, przesywając każdy kruchy odłamek ostrą igłą lodu. Gdy William mijał go chwiejnym krokiem, z oczami utkwiony w ziemi, młodzieniec wydał z siebie długi zachwycony gwizd.

- Tak jak mówiłem - szepnął radośnie do ucha Williama. - Urodzony z pana

cierpiętnik.

William znowu zacisnął oczy, ale było już za późno. Nie ‘ uda mu się od tego uwolnić. Strach, ciemność i zimno wirowały razem, spływając nieustającym, ssącym wirem do żołądka, a w środku wiru, spoglądając na niego z zjadłą satysfakcją, znajdowała się przypominająca maskarona twarz młodego mężczyzny. Nie było już odwrotu. W zamarznętej ciemności odczuwał to jedynie jako straszne, nurkujące uczucie, ale i tak był go pewien. Sięgnął kresu i tam, gdzie miał nadzieję znaleźć spokój i pocieszenie, nie było niczego. Niczego, prócz jego własnego przerażenia i strasznej ciemności ciągnącej się przez wieczność oraz pogardliwego śmiechu diabła - maskarona, który po niego przyszedł. Dopiero znacznie później był w stanie spojrzeć na wszystko z zewnątrz i zrozumieć straszną, banalną prawdę o tym, co się zdarzyło. Trzeba było użyć siły, aby usunąć go z kanałów - zakutego w kajdany szaleńca, trzęsącego się i pokrytego grubą warstwą brudu. A Spratt był świadkiem całego widowiska.

## XVIII

W następną sobotę Tom pokazał się w pubie Badger wcześniej, chociaż chciał, żeby Kapitan na niego czekał. Zabrał ze sobą Joeego, dla towarzystwa. W drodze do gospody był pewien, że widzi różowy pysk uśmiechający się do niego z każdego cienia i rozwalających się drzwi. Zadrży z ekscytacji, gdy go zobaczy, oczywiście, a cały jej różowy zad będzie wirował, gdy zamacha swoim przeżutym ogiżkiem ogona, z pyskiem uniesionym do góry, żeby móc go wsunąć w jego dłoń. Nagle poczuł ukłucie w boku, tak ostre, że musiał się zatrzymać na chwilę, pochylając do przodu, z dłońmi opartymi na udach.

Gdy mógł się już wyprostować, potrząsnął głową mocno, żeby pozbyć się myśli o psie. Oddawał się mrzonkom, rzecz jasna. Mało prawdopodobne, żeby Kapitan przyprowadził ją ze sobą, nie, jeśli chce wystawiać ją do walk. Raczej woli, żeby odpoczywała. Teraz leży pewnie rozciągnięta w jakiejś wymyślnej budzie i skubie sobie soczysty udziec wołowy. Żeby zagłuszyć myśli, Tom rozpoczął serię bezsensownych spekulacji na temat psów, o których przypuszczał, że zostaną wystawione do walki w pubie tego wieczoru. Joe słuchał, zupełnie zaskoczony potokiem słów, który płynął z ust zazwyczaj małomównego przyjaciela, i drapał się w głowę. Parszywa rzecz, fortuna, bez wątpienia. Joe nigdy przedtem nie widział człowieka, który dorobiłby się fortuny, ale najwyraźniej to tak, jakby wziąć człowieka, który przez całe swoje życie był zadowolony, że mocno stoi stopami na ziemi, i wywrócić go zupełnie do góry nogami.

Łoża Kapitana była pusta, gdy przybyli, chociaż skoro Brassey kazał chłopcu czyścić noże wilgotną szmatką, było jasne, że spodziewał się go w każdej chwili. Tom oparł się o

ścianę dołu, z pozoru wyglądając na całkowicie pochłoniętego walką, ale jego uszy naciągały się i nasłuchiwały odgłosu kroków na schodach. W kieszeni palce mięły rogi umowy, aż zrobiły się miękkie jak damska rękawiczka. Olśniewająca jasność światła padającego na pomalowany na biało ring spowijała bardziej odległe kąty sali w mglistym cieniu, który płatał figle wzrokowi. Raz po raz Tom był pewien, że przez lekko uchylone drzwi widzi czubek różowego nosa, poruszający się, gdy ona przystaje na progu, żeby napełnić swoje nozdrza bogatym zapachem dołu. Za każdym razem serce ścisnęło mu się odrobinę, a jej imię rozplątało na języku. Drzwi jednak się nie otworzyły. Widział jedynie grę cieni, migotanie gazowej lampy, tupanie specjalnych gości albo liźnięcie wiatru przez pękniętą szybę. Za każdym razem małe miejsce w Tomie robiło się odrobinę puste i za każdym razem odrobinę bardziej wypełniał je gniew niczym błoto osadzające się w tunelu. Gdzie był ten oślizgły i parszywy typ? Drań obiecał mu, że tu będzie. Spóźnił się przedtem, oczywiście, bardziej niż teraz. Ale jeśli myślał, że uda mu się wymigać od tej umowy...

Tom ścisnął mocno papier pomiędzy palcami.

Obejrzeliby cztery czy pięć walk i Joe'emu udało się wygrać szylinga czy dwa, gdy Brassey obwieścił, że to koniec walk na dzisiejszy wieczór.

- Oczywiście, gdyby ktoś zechciał się udać na dół, na kropelkę czegoś orzeźwiającego - nakłaniał, a uśmiech rozlupywał jego twarz na pół jak zgniłą pomarańczę.

- Gdzie on jest? - zwrócił się Tom do Brassey'a, gdy obstawiający z hałasem schodzili do dolnej sali. - Jest mi coś winien. Mówił, że przyjdzie.

- Ależ Tom - głos Brassey'a był miły, ale przyspieszył on kroku, a spojrzeniem uciekał przed wzrokiem Toma. - Dżentelmen taki jak Kapitan ma wiele zobowiązań. Nie można oczekiwać, że będzie zawsze na każde zawołanie zwykłych ludzi, takich jak ty.

- Mieliliśmy umowę.

- Naturalnie, że tak - przyznał Brassey. - I wierzę, że można polegać na Kapitanie, iż zawsze reguluje swoje długi.

Wiara Brassey'a okazała się jednak zawodna. W następną sobotę Tom ponownie wybrał się do pubu Badger z wymiętą umową w kieszeni i znowu czekał. Ponownie nasłuchiwał odgłosu kroków mężczyzny na drewnianych schodach, jego dłoni na drzwiach. I znowu łoża Kapitana pozostała pusta. Tom nie dopuszczał do siebie myśli o tym, co mogło się stać z Damą. Nie zauważył, że Brassey świdruje go wzrokiem z przeciwległego końca sali, szepcząc coś do swojego chłopca. W zamian siedział w kącie, podsycając gniew, który w nim pęczniał, wypełniając miejsce zostawione przez Damę. Wypił whisky, potem jeszcze jedną. Paliło go w gardle. Oboje zostali oszukani, zdradzeni. Cóż, jeśli ten drań myślał, że Tom



wzruszy ramionami i podsumuje swoje straty, to pomylił się co do człowieka. Tom nie był męczennikiem, jak ci biedni głupcy w Biblii, którzy nadstawiali drugi policzek. Już niedługo Kapitan pożałuje, że kiedykolwiek spotkał szperacza i jego psa. Tom wypił jeszcze jeden trunek, złagodzony przez intensywność gniewu, przez wszechogarniającą żądzę zemsty. W istocie, nie byłoby przesadą powiedzieć, że jeśli teraz Kapitan stanąłby w drzwiach i podał mu trzydzieści błyszczących gwinei usypanych w ładny stos na srebrnej tacy, to jakaś część Toma poczułaby dotkliwe rozczarowanie.

Ale Kapitan nie przyszedł. W trzecią sobotę, gdy o stosownej porze dół został zamknięty, a chłopiec zajęty był szorowaniem pochłapanej krwią farby, Brassey przyparł Toma do muru. Przeszedł od razu do rzeczy.

- Nie jesteś już tutaj mile widziany. Jeśli kiedykolwiek się tu pokażesz, to każę cię wyrzucić. Rozumiesz?

Tom gapił się na niego nie tyle zły co zaskoczony.

- Właśnie takie podłe typki jak ty odstraszą mi dobrych klientów - kontynuował Brassey. - Ludzie nie chcą zadawać się z tymi, co łapią szczury. Poza tym znalazłem sobie innego dostawcę.

- Ale Kapitan...

- Twoje układy z Kapitanem to nie moja sprawa. - Brassey wyginał stopy i przewracał oczyma. - Wiem tylko tyle, że mam interes, który muszę prowadzić. Jak przyjdiesz tu jeszcze raz, będziesz miał więcej problemów niż tylko niedotrzymany zakład.

To chłopiec Brasseya wypchnął Toma za drzwi, silny jak byk pomimo swojej skromnej postury. Tom walił pięściami w zamknięte drzwi, aż rozboleły go ramiona. Gdy w końcu przestał krzyżeć, gniew rozpałił się w nim do białości. Rozświetlał go jak latarnia. Znajdzie Kapitana. Jeśli tylko Kapitan jest żywy, to znajdzie go. A gdy go znajdzie, Kapitan będzie żałował na Boga, że się kiedykolwiek urodził.

## XIX

Przez całą niedzielę Tom chodził po mieście, pomimo śniegu, który spadł przed świtem, i zimna wystarczająco ostrego, żeby pozbawić człowieka oddechu. Wędrował przez Soho, do rzeki, potem minął Tower i doszedł do Pool, gdzie powietrze było aż ciężkie od lodu, soli i smoły oraz trawiastego mokrego smrodu gnijących lin. Maszty ciągnęły się tam w nieskończoność jak las nagich drzew. Szedł dalej, za Minories i wzdłuż Ratcliff Highway, do zamarzniętych bagien Shadwell i Poplar. Kapitan miał Damę. Ta myśl ścisnęła go za gardło jak tkwiąca w nim ość. Ale Tom ich znajdzie. Mimo że nieomal ją ukradł, wciąż kosztowała Kapitana czterdzieści gwinei. Nie będzie jej trzymał jako maskotki, nie za taką cenę. Będzie

chciał na niej zarobić, żeby mu się zwróciło to, co na nią wydał. Będzie chciał wystawić ją do walki i to szybko, jeśli już tego nie zrobił. Pytanie tylko, gdzie. - Poszedł najpierw do King's Head na Cock Hill, gdzie był w dobrej komitywie z właścicielem, jako że Tom był jednym z bardziej niezawodnych dostawców szczurów. Ale Boggis nie zauważył żadnego mężczyzny, który odpowiadałby opisowi Kapitana, i żadnego nowego psa. Jedynym innym właścicielem, którego udało się Tomowi tego dnia wyciągnąć na słówko, był niegdysiejszy czempion bokserski, mający nos jak rozgnieciona pięść, który miał coś, co uchodziło za gospodę, w pozostałościach po kuźni, na błotnistym końcu Mile End. Opróżnił szklankę rumu z wodą, którą postawił mu Tom i zrobił gniewną minę. Nie miał zapotrzebowania na usługi Toma.

Swoje szczury zamawiał z Clavering, w drodze na Essex, i były naprawdę pięknymi, gładkimi okazami, z których można byłoby zrobić futro. Nie miał potrzeby na więcej, szczególnie nie na paskudny i brudny gatunek szczurów z kanałów. Jego lokal był wysokiej klasy i jego klienci byli wybredni. Nie dowiedział się nic ponadto, co gotów był powiedzieć Boggis. Człowiek profesji Toma trwoniący swoje pieniądze w ten sposób, to mu śmierdziało. Nie dał sobie rozwiązać języka nad butelką jak byle głupek. Odmówił kolejnego trunku od Toma i nie powiedział ani słowa więcej. \*

Zniechęcony Tom wrócił wolno na swoją kwaterę. Parę razy w gęstniejącym zmroku mignęła mu sylwetka białego psa i coś w sposobie, w jaki zwierzę trzymało nos do góry albo wierciło brzuchem w kurzu, sprawiało, że serce mu zamierało. Parę razy zawołał ją po imieniu. Ale to nigdy nie była ona. Bolały go stopy. On, który zawsze szukał samotności, który czuł się naprawdę bezpieczny, gdy był sam, teraz czuł, że samotność ciąży mu jak płaszcz narzucony na ramiona.

Odruchowo skręcił w jakąś uliczkę i podążył jej wijącym się biegiem do rzeki. Nawet w niedzielę w dokach aż kipiało i kotłowało się, a pogrążające się w zmroku popołudnie niosło się echem krzyków w niezliczonych językach wymieszanych razem z chlupotem, stukotem, żalonymi krzykami zwierząt i grzechotem łańcuchów. Pomędzy warstwami błota i soli, smoły i potu, Tom czuł ostre szczypanie mocnego tytoniu, ogrzane w słońcu opary rumu, zjełczały smród skór, egzotyczną nutę kawy i przypraw, ciepły oddech wina, drożdżowy zapach suchego gnoju. Przy brzegu sardyński żaglowiec wyładowywał swój towar i nadbrzeże aż drżało od beczek i baryłek. Tom musiał usunąć się na bok, gdy kolumna wypuszczonych na ląd marynarzy mijała go w rzędach po sześciu, ze złotymi kolczykami błyszczącymi w czarnych brodach, odziana w czerwone koszule przewiązane w pasie jaskrawymi szarfami. Pachnieli mocno potem i czosnkowymi kiełbasami, a ich zęby

błyszczały jeszcze większą ilością złota, gdy się uśmiechali i błaznowali, przepelniając zimowy zmierzch muzyką swego nieznanego języka. Odrobinę dalej, w cieniu górującego nad okolicą składu, gospoda sączyła swoje światło na błotnistą ziemię. Ponad zgiełkiem docierały do Toma piskliwe nuty skrzypiec wygrywających irlandzką melodię.

Wszedł do środka. Marynarze wypełniali gospodę, krzyżąc w niezliczonych językach i wszyscy tłoczyli się wokół skrzypka w czerwonym fularze, którego postawiono na stole w centrum sali. Smyczkiem piłował skrzypce z taką werwą, że wydawało się, iż przetnie je na pół, butem zaś tupał w zniszczony blat stołu tak mocno, że ten aż podskakiwał rytmicznie do muzyki. Dookoła marynarze śpiewali, klaskali w dłonie i wydawali swoje zarobki. Kobieta z potarganymi włosami i baczynymi oczami łasicy ciągnęła swojego męża za kamizelkę, błagając go, żeby poszedł z nią do domu. Uderzył ją w ręce, żeby je zabrała, a potem jeszcze raz w policzek, dla porządku, i wtopił się w jednolity mur swoich kolegów. Kobieta splunęła obficie na masę mężczyzn przed sobą, a potem, sypnąwszy wiązką przekleństw, opuściła gniewnie gospodę.

Tom znalazł sobie kątek, w którym palce u nóg miał mniej narażone na podeptanie i, zamknąwszy oczy, pozwolił, aby muzyka dudniła i przelewała mu się w głowie. W pobliżu dwóch mężczyzn, dziennych robotników, sądząc po wyglądzie, postawiło swoje kubki na półce.

- Ale widziałem wczoraj widowisko, mówię ci - jeden krzyknął do drugiego. - Nigdy bym nie pomyślał, że zobaczę coś takiego.

Przyjaciel uniósł brew nad brzegiem swojego naczynia i pyknął fajkę.

- To było u Spanksa. Wyglądała dość dziwnie, ale tak jak tutaj stoję, żaden morderca w historii nie był taki skory do zabijania. W jednej minucie rozniosła całą furę parszywców - nie uwierzyłbyś, jakbyś nie zobaczył na własne oczy. Milcząca jak grób - niewiele ponad jakiś pojedynczy skowyt od początku do końca. Wziąłbym ją za ducha, gdyby nie była własnością kształconego dżentelmena...

Tom chwycił robotnika za odzienie.

- Co u... - zaczął przyjaciel gościa, ale Tom go uprzedził.

- Gdzie? - domagał się odpowiedzi, z nosem tak blisko nosa robotnika, że obaj nieomal się dotykali. - Pies, gdzie był ten pies? Powiedz mi, draniu! Powiedz mi, albo poderżnę ci gardło, słyszysz?

Robotnik odepchnął go. Był mocno zbudowanym mężczyzną, a oczy miał jak szparki pod wystającym prostokątem czoła.

- No, sam nie wiem - odparł niedbale, wzruszając ramionami. - Trochę to warte,

powiedziałbym, cenna informacja tej natury.

Tom prychnął.

- Sześć pensów.

Robotnik się skrzywił. Stawka w dokach wynosiła cztery pensy za godzinę.

- Szyling.

Tom poszukał w kieszeni monety i położył ją na swojej dłoni. Robotnik sięgnął po nią, ale Tom zamknął palce.

- Płatność po dostawie - warknął, a jego serce waliło z niecierpliwością. Zapłaciłby szylinga pięć razy, dziesięć razy za wiadomości o Damie, ale nie było żadnego sensu w wydawaniu więcej, niż to było konieczne, nawet jeśli od niedawna było się przy pieniądzu. Niełatwo zerwać ze starymi przyzwyczajeniami.

Robotnik wpatrywał się nieruchomo w zamkniętą dłoń Toma, relacjonując, co wiedział. Pies walczył w dole zwanym Bridge Tavern, w drodze na Kensal. Dziwnie wyglądająca bestia, mieszanina ras z tak wytartą sierścią, że prześwitywała skóra, ale to był czempionpogromca, co do tego nie było wątpliwości. Właścicielem był dżentelmen, może lekarz, chociaż tego nie był pewien. Robotnik nie wiedział, jak się nazywa ani skąd pochodzi. Nie zwrócił na niego większej uwagi, zauważył jedynie, że miał ciemne wąsy i - w odróżnieniu od swojego zwierzęcia - futro grube i dobrej jakości. Był nowy w Bridge, robotnik był tego pewien. Nie można wystawić takiego psa i nie dać się zauważyć. Ponieważ był nowy, więc nie wpadło mu więcej niż funt czy dwa za wygrane, ale udało mu się zaostrzyć apetyt specjalnych gości, i to nieźle. Robotnik był gotów iść o zakład, że przy następnej walce będą zakłady największej stawki. Może sam nawet postawi szylinga albo dwa, dodał, a jego oczy zwęziły się do pary kresek, tak wpatrzone były w pieść Toma. Nigdy nie wiadomo.

Tom wiedział wszystko, czego potrzebował. Dał robotnikowi zarobionego szylinga. Był gorący w dotyku. Na dłoni Toma pozostał idealny odcisk szylinga, tak wyraźny, że można było odlać od niego monetę. Tom uniósł dłoń do ust i pocałował ją. Dłoń mu drżała, a serce waliło w uszach. Znalazła się. Za tydzień znowu ją zobaczy i zobaczy Kapitana, Doktora czy innego diabła, którym był. Co do tego, co zrobi potem, cóż, Tom nie miał już takiej pewności. To będzie wymagało delikatnego potraktowania, wiedział o tym, ale nie pozwalał, żeby go to za bardzo męczyło. Znalazł ją. Poza tym miał cały tydzień na myślenie.

I rzeczywiście myślał, rozważając problem z każdej strony przez te sześć długich dni. Wiedział, że nie będzie sensu stawiać łotrowi czoło w dole, oczywiście. Podejrzany drań, taki jak Kapitan, nie padnie na kolana przed wszystkimi gośćmi specjalnymi i nie wyzna swojej

zdrady, tak samo jak nie uściśnie dłoni Toma i nie odda pieniędzy, które jest mu winien. Rudy Joe radził, żeby zaczekać przed gospodą i pod osłoną nocy zabrać Kapitanowi wygraną, ale mało prawdopodobne, żeby była ona chociaż maleńką częścią sumy, którą mu był winien. Co gorsza, Kapitan nigdy nie ruszał się bez towarzyszy, co stawiałoby Toma na przegranej pozycji. Dżentelmeni nie chodzili po ulicach tak po prostu, jak zwyczajni ludzie. Jeździli dorożkami, powozami, i nawet jeśli nie byli w towarzystwie nikogo szczególnego, to rzadko można ich było przyłapać samych. Byłoby prościej zabrać mu psa i w ten sposób powetować straty, ale nawet gdyby to się udało, ale co potem? Trzeba to było starannie zaplanować, a najpierw Tom musiał zobaczyć, jak się mają sprawy. Nie był ani odrobinę bliższy planu, gdy - dokładając starań, żeby nie zwrócić na siebie uwagi - wszedł do dołu pubu Bridge przez ukryte drzwi w piwnicy gospody i wślizgnął się niezauważony w ciemny kąt

Niewiele po dziesiątej rozległo się pukanie w opuszczaną klapę w podłodze. Gdy się otwierała, właściciel dołu, Spanks, mężczyzna, który przekroczył już pięćdziesiątkę, ale o świdrującym spojrzeniu i kogucim kroku kogoś, kto ma na karku dobrych kilka dekad więcej, uniósł dłoń w powitaniu i złożył wargi do przeszywającego gwizdu.

- Jak się mają sprawy, dobry Doktorze? - wydeklamował, wyciągając korek z butelki brandy z triumfalnym wystrzałem. - I czy mogę zalecić panu odrobinę toniku?

To był bez wątpienia Kapitan. Miał na sobie skromniejszy surdut niż ten, w którym Tom przywykł go widywać, i przyniósł ze sobą skórzaną torbę, z tych, jakie preferowali przedstawiciele profesji medycznej, ale poza tym nie przebrał się w żaden sposób dla niepoznaki. I oczywiście miał ze sobą Damę. Dama. Tom musiał się trzymać stołu, żeby się nie przewrócić, tak silne były uczucia, które ogarnęły go na jej widok. Zauważył, że wyglądała dobrze. Nie spodziewał się, że będzie wyglądała tak dobrze. Ulga i rozczarowanie mieszały mu się w żołądku, przyprawiając go o mdłości. Stała przy nodze Kapitana z głębią szyją wyciągniętą w górę i nosem uniesionym w powietrzu. Tom pożerał ją oczami, pragnąc jednocześnie, żeby wiedziała, że tu jest i błagając ją, żeby go nie wydała. Niepotrzebnie się martwił. Specjalni goście w tej części miasta już zwietrzyli coś wyjątkowego i tłoczyli się wokół psa, przepychając się, żeby lepiej widzieć. Kapitan postawił ją na stole i stał z jedną dłonią opartą władczo na jej karku, przedstawiając się całemu światu jako jej prawowity właściciel. Tom musiał zacisnąć pięści na udach i mocno zagryźć wargi, żeby powstrzymać się od kopnięcia kłamliwego oszusta, tak że poleciałby na koniec świata.

Tak jak się Tom spodziewał, Kapitan nie przyszedł sam. Przyprowadził ze sobą dwóch towarzyszy, jednego Tom rozpoznał jako człowieka o wąskiej twarzy z pubu Badger, drugi był obcy, z klockowatą twarzą i obwisłym podgardlem, które opadało mu na szyjny

kołnierzyk za każdym razem, gdy sięgał po łyk trunku, co miało miejsce często. Sam Kapitan zdawał się w niezwykle wylewnym nastroju, a twarz złagodniała mu od wina. Opierając stopy na krześle, nalał sobie dużą brandy i wypił łyk. Dokładając starań, żeby pozostać niewidocznym, Tom podkraść się do stołu. Stąd widział ją lepiej albo przynajmniej jej tylną część, różowy na brzegach zad i przeżuty ogiżynek ogona. Musiał przywołać całą swoją siłę, żeby nie wyciągnąć ręki i jej nie dotknąć.

Wkrótce zaczęto przyjmować zakłady i specjalni goście stłoczyli się wokół Spanksa, składając swoje typy. W dole żyłasty terier tańczył wokół kilku szczurów jak zdenerwowany zalotnik. Jedynie jego sekundant zwracał na niego uwagę.

- Taka bestia musiała cię nieźle kosztować, jak przypuszczam - wyszeptał mężczyzna z klockowatą twarzą, skinąwszy głową w stronę Damy, a jego podgardle zadrżało.

- Nie doceniasz mnie - odparł Kapitan, odsłaniając w uśmiechu zęby. - Naturalnie, że dostałem ją za mniej niż połowę tego, co była warta.

Mężczyzna z klockowatą twarzą uniósł fioletową brew.

- Powiedzmy po prostu, że jej poprzedni właściciel był czymś w rodzaju głupka - odpowiedział Kapitan, przeciągając samogłoski. - Szczurem ściekowym najpodlejszego gatunku.

Mężczyzna z klockowatą twarzą ściągnął usta w geście odrazy.

- No cóż, ma to swoje zalety. Dla mnie, rzecz jasna. Wygląda na to, że powietrze w tych kanałach jest tak śmierdzące, że może zamienić w gówno nawet mózg człowieka.

Mężczyzna z klockowatą twarzą roześmiał się głośno, a Kapitan wykrzywił usta w uśmiechu. Pochylał się, żeby powiedzieć więcej, gdy nagle zadzwonił dzwonek, pojedynczym niecierpliwym uderzeniem. W następnej sekundzie specjalni goście zaczęli opuszczać pomieszczenie szybciej niż spływająca w rurze woda, a chłopiec Spanksa natychmiast znalazł się w dole, wpychając żywe szczuiry z powrotem do klatek, tak szybko, jak pozwalały mu na to ręce. Spanks pośpieszył do Kapitana.

- To policja, panowie - szepnął, wskazując głową na sufit - Bardzo przepraszam. Ktoś musiał ich nasłać. Gdyby zechcieli panowie pójść za mną...

Kapitan chwycił butelkę brandy w jedną rękę i sznur Damy w drugą.

- A co z walką? - warknął, gdy Spanks prowadził jego i pozostałych miłośników walk szczurów w kierunku drugiego wyjścia, ukrytego w wilgotnej ścianie za żelazną kratą. Tom trzymał głowę opuszczoną, a kołnierz postawiony wysoko. Dama, zaledwie kilka kroków przed nim, uniosła nos i wachała powietrze, a jej różowy pysk był zdziwiony i czujny.

- Proszę się nie martwić, że zakłady są dalekie od kwot, które pan obiecywał. Proszę o

wybaczenie na chwilę... Za tydzień, mój wspaniały przyjacielu, Doktorze - gadał gładko Spanks, przeganiając z piwnicy ostatnich mężczyzn.

Kapitan nie zauważył Toma, gdy ten cicho przemknął obok, ale nos Damy zaczął się marszczyć w jednej sekundzie. Ciągnęła za sznur, gdy Spanks przekręcał klucz w zamku, a potem wsunął go pod połę płaszcza.

- Za tydzień. Wszystkie zakłady są ważne.

- Lepiej będzie dla was, żeby się okazało, że warto było czekać - Kapitan splunął na kratę i ponownie stuknięcie metalu, jak w kuźni, rozniosło się echem po schodach. - Chcę podwójnej wartości zakładów, słyszysz mnie? Podwójnej!

Szybko jak piorun Tom odwrócił się i mrugnął do Damy, kładąc palec na ustach. Ze zduszonym skowytem rzuciła się w jego kierunku, a jej ogiżynek ogona chłostał powietrze jak szalony.

- Rusz się, człowieku! - zawołał nerwowo z uliczki mężczyzna z klockowatą twarzą. Tom wślizgnął się szybko przez drzwi, gdy Dama rzuciła się w górę po schodach, ciągnąc za sobą Kapitana. W ulicy stanęła, smakując powietrze, a jej ogon nagle się uspokoił.

- Chodź, ty głupia suko!

Kapitan pociągnął ją za smycz. Dama próbowała mu się oprzeć, ale jej pazury nie były w stanie złapać oparcia na zamrożonej ziemi. Gdy ciągnął ją uliczką i ciemność zamazywała jej białą sylwetkę, trzymała nos uniesiony wysoko w powietrzu, ale ramiona miała opuszczone. Tom z najwyższym trudem pozwolił jej odejść. Droga do domu była bardzo długa. Gdy w końcu Tom otworzył drzwi do swojej kwatery, nie miał nawet najmniejszych wątpliwości. Musi ją odzyskać. Nie ma żadnych pieniędzy, a nawet jeśli są, to nigdy ich nie dostanie. Ale już on dopilnuje, do cholery, żeby dostać z powrotem psa. I dopadnie tego oszukańczego drania, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi. Tom może nie był wykształconym człowiekiem, ale wiedział, jak rozegrać karty, jak zdać się na coś więcej niż tylko szczęście, żeby karta szła dobrze. Kapitan miał się dowiedzieć, że nie tylko on wie, jak sprawić, żeby dostać dobrą kartę.

XX

Spratt był bardzo dokładny. Na papierze z nagłówkiem Rady zebrał podpisane oświadczenia zarówno od brygadzysty, jak i od spławiacza. Obaj zaświadczyli, że mierniczy zachował się nieodpowiednio i spowodował materialne uszkodzenia podziemnej struktury. Przyznali również, że zachowanie tego rodzaju może być śmiertelnie niebezpieczne w tunelach. Naciskani dalej przez urzędnika, obydwaj mężczyźni byli zmuszeni się zgodzić, że mierniczy robił wrażenie, jak można by powiedzieć, niespełna rozumu. Żaden z nich nie

widział szczególnego powodu, żeby nie zgodzić się na określenie „histeria nerwowa”. Aby dopełnić obrazu Spratt sporządził kwiecisty opis, osobiście poświadczając dziki i odrażający wygląd mierniczego po wyjściu z tunelów.

Skrupulatny urzędnik nie poprzestał na tym. Gdy oświadczenia były już kompletne, zaproponował wdzięcznemu brygadziście, że przejmie opiekę nad Mayem. Następnie, aby umożliwić naoczne świadectwo jak największej liczbie godnych zaufania i skorych do plotek świadków, postarał się tak pokierować mierniczym, żeby ten wszedł do biura na Greek Street przez pokój urzędników, w cuchnącym kocu zawiniętym wokół ramion na podobieństwo kaftana bezpieczeństwa i z włosami nadal oblepionymi gnojem. Usatysfakcjonowany ogólną atmosferą odrazy i poruszenia, jaką wywołał wygląd mierniczego, Spratt zostawił go samego sobie. Miał jeszcze parę spraw do załatwienia. Wyczarowując na swojej łasiczej twarzy wyraz poważnej troski, stawiał się przed przełożonymi

- 234 - Maya i próbował dowiedzieć się dyskretnie czegoś o celu misji mierniczego w podziemiach. W krótkim czasie ustalił, że May uzyskał dostęp do systemu przez oszustwo i że najwyraźniej nie istniało żadne uzasadnione wyjaśnienie jego obecności w tym miejscu. Uzbrojony w te informacje, Hawke poprosił o rozmowę z Lovickiem.

Okazała się niepotrzebna. Zmarznięty i wyczerpany, ubrudzony odchodami i nie potrafiący opanować szaleńczego drżenia kończyn William nie był już w stanie walczyć dłużej. Był pokonany. Szaleństwo szarpało i wykręcało mu umysł, aż oderwało jego miękką masę od podstawy. W ogóle nie odczuwał pragnienia, żeby się ciąć. Cięcie sprawiłoby, że znowu zaczęłby czuć. Myśl o tym była nie do zniesienia. W zamian pragnął laudanum, chloralu, czegokolwiek, co mogłoby przynieść sen, co mogłoby zagłuszyć strach. Gdyby dostał wystarczającą dawkę, mógłby przestać w ogóle cokolwiek czuć.

Zbierając resztki sił, jakie mu jeszcze pozostały, William poszedł do Lovicka. Urzędnik w biurze na zewnątrz wzdrygnął się, gdy William go mijał, i - przyciskając do ust chusteczkę

- polecił mu stłumionym głosem, żeby poczekał. William go nie słyszał. Zatoczył się i otworzył drzwi bez pukania. Lovick był pogrążony w rozmowie z Grantem - obaj inżynierowie pochłonięci byli planem rozłożonym na biurku. Obaj podnieśli wzrok, gdy William na wpół wpadł do pokoju.

- May, co u licha...?

William odwrócił się w stronę głosu Lovicka. Mimo że oczy miał otwarte, ich spojrzenie było dalekie i nieobecne jak u ślepcy. Lovick zawołał ostro w stronę zewnętrznego biura z prośbą o pomoc, gdy William przewrócił się na podłogę, kołysząc się i chwytając go



za kolana. Grant wpatrywał się w niego, marszcząc czoło z odrazy i zdziwienia.

- Proszę mi pomóc.

Głos Williama był tak niski i łamał się tak bardzo, że zdawał się niczym więcej jak oddechem.

- Proszę mi pomóc, błagam.

- Co, u licha...! - powtórzył niczym echo zdezorientowany Grant

Lovick jednak odzyskał równowagę. Natychmiast polecił urzędnikowi, aby przeniósł pana Maya do sąsiedniego pokoju, gdzie będzie go można bezpiecznie zatrzymać. Następnie posłał po doktora Feathera.

Doktor przybył w ciągu godziny. Przeprowadził ze sobą dwóch krzepkich pomocników, na wszelki wypadek, lecz ku ich wyraźnemu rozczarowaniu, przymus nie był konieczny. William zdawał się odrobinę skurczyć i dłonie podskakiwały mu w niekontrolowany sposób, gdy się podpisywał, ale wsunął ręce do rękawów kaftana bezpieczeństwa, jakby został uszyty na jego miarę przez doskonałego krawca. Zanim Hawke zaczął dobijać się do drzwi Lovicka, twierdząc, iż ma pilną sprawę i nalegając na natychmiastowe przyjęcie, William był już bezpieczny w powozie, zmierzając do Hounslow, małego miasteczka, kilka mil na zachód od stolicy. Znajdował się tam prywatny szpital dla obłąkanych, który - ponieważ nie wymagał, aby pacjenci zostali formalnie zdiagnozowani jako chorzy umysłowo - od dawna był preferowany przez przyzwoite rodziny, które chciały sobie zaoszczędzić zażenowania i wstydu. Można było zatem mieć pewność, zapewniał Lovick Feather, że wykaże się największą dyskrecją w swoich działaniach. Będzie się to oczywiście wiązało z opłatami i wobec braku zgody rodziny Rada będzie musiała podpisać zobowiązanie do ich regulowania, ale w zaistniałych okolicznościach...

Lovick rozumiał zaistniałe okoliczności doskonale. Pośpiesznie zgodził się na propozycję Feathera. Był głupcem, nie słuchając wcześniejszych ostrzeżeń Hawke a. Pozwolił, aby antypatia do tego człowieka przysłoniła mu jasność osądu i ta pomyłka mogła Komisję drogo kosztować. Od samego początku prace Rady były uważnie śledzone przez prasę i Parlament. Jak do tej pory ocena była w przeważającej mierze korzystna, a Bazalgette i jego współpracownicy byli nieomal jednomyślnie chwaleni za kontrolę kosztów i surową rozważę, z jaką prowadzili prace. Ale to był dopiero początek. Jakikolwiek posmak skandalu mógł przechylić szalę opinii publicznej na drugą stronę. Feather zapewnił inżyniera, że ubieganie się o przyjęcie do jednego z przeludnionych szpitali dla biedoty mogłoby potrwać całe tygodnie, a nawet dłużej, jeśli nastąpi mniejsza niż przeciętnie liczba zgonów wśród obecnych pacjentów. Kto wie, ile kłopotów może przysporzyć Radzie szalenie, jeśli da mu

się jeszcze parę tygodni? Hawke miał zupełną rację, nie ufając temu człowiekowi. Był trzęsącym się, cuchnącym wrakiem. Im prędzej zostanie oddany pod opiekę, tym lepiej dla wszystkich. Wzywając urzędnika, Lovick poprosił, żeby dostarczono żonie Maya pisemną wiadomość z informacją o sytuacji męża i o tym, że zostaną przeprowadzone rozmowy z odpowiednimi kandydatami, aby obsadzić nowo zwolnione stanowisko. Przy pracach postępujących w obecnym tempie nie było czasu do stracenia.

Feather pojechał do szpitala własnym powozem. Dwóch pomocników zajęło miejsca naprzeciwko Williama w drugim, mniej eleganckim środku lokomocji. Do ścian tego powozu przymocowano na wysokości ramion ciężkie żelazne obręcze, a okna zasłaniały parawany wykonane z taniej czarnej bawełny. Tapicerka pachniała stęchlizną i moczem. W ponurym półmroku grubo ciosane twarze mężczyzn spowite były w cieniu, a ich oczy błyszczały. Wydawali się nieomal nie siedzieć na ławce. Stopy natomiast wbijali mocno w brudną słomę, która wyścielała podłogę, a mięśnie ich mięsistych ud drgały. W każdej chwili mogli skoczyć i obezwładnić swojego podopiecznego, sadzając go z powrotem na miejscu. Skądś dobiegł grzechot łańcuchów. William jednak poruszał się jedynie wtedy, gdy szczególnie gwałtowne szarpnięcie wyrzucało go z miejsca. Feather dał mu dawkę czegoś na uspokojenie, a William, tak tego spragniony, nieomal odgryzł łyżeczkę od uchwytu. Teraz pustka w jego mózgu rozciągała się tak chłodno i daleko jak zimowe niebo. Nie przyszło mu do głowy, żeby się zastanowić nad tym, co się z nim stanie. W ogóle nie myślał o tym, co zostanie powiedziane Polly albo kto to zrobi. Myśli o Di przemykały niewyraźnie gdzieś przez tę pustkę, ale były zaledwie ponurymi strzępami, odległymi i ulotnymi, cienką mieszaniną tęsknoty, zaskoczenia i przykrego strachu, że nawet myśl o nim może skalać niewinność chłopca brudem i hańbą ojca. Potem i te myśli zniknęły. Mikstura, którą podał mu Feather, sprawiła, że usta Williama stały się szorstkie i suche. Język zawadzał mu w ustach, a wargi miał mocno sklezione. Zamknął oczy. Oddech nieomal zupełnie w nim zamarł, gdy zanurzał się coraz bardziej w siebie, zsycając się jak liść, aż w końcu był tylko stłamszonym protestem skrępowanych ramion i zgrzytem bólu głowy w miękkich wgłębieniach skroni, a kres wszystkiego, co było możliwe, i wszystkiego, co kiedykolwiek będzie, mieścił się w smrodzie pleśni, sików i nierównego kołysania pogrążonego w ciemności powozu. Pomocnicy naprzeciwko niego nieco rozluźnili nogi. Jeden wysunął butelkę spod płaszcza i napił się z niej łapczywie, przed podaniem jej towarzyszowi. Mężczyźni nie rozmawiali ze sobą, ale śmiali się od czasu do czasu, gdy ich wzrok się spotkał.

W końcu, pobrudzone sadzą budynki Londynu ustąpiły miejsca płaskim szarym polom i pozbawionym liści kolcom zimowych żywopłotów. Ich czarny ornament zdobił ocienione

okna. Droga tutaj była bardziej wyboista i kilka razy, nie będąc w stanie utrzymać równowagi, pozbawiony oparcia rąk William został rzucony boleśnie na siedzenie. Za każdym razem pomocnicy podnosili go do pozycji siedzącej za paski kaftana bezpieczeństwa z taką siłą, że głowa mu podskakiwała, a metalowe klamry wbijały mu się boleśnie w nadgarstki. Trochę później, gdy wewnątrz powozu panowała nieomal zupełna ciemność, podskakiwanie w końcu ustało. Ukryte łańcuchy przesunęły się i szczęknęły. Stangret zawołał ostro na konie i gdy powóz wciąż jeszcze się kołysał, rozległo się pukanie do drzwi. Jeden z pomocników opuścił okno i podał pęk papierów portierowi w ciemnym mundurze, który spojrzał z nieukrywaną pogardą na Williama i surowo poklepał ogromne żelazne kółko kluczy wiszące mu u pasa. Potem, podskakując po raz ostatni, powóz ruszył do przodu i się zatrzymał. Williama postawiono na nogi i wyrzucono w objęcia nocy.

Nastąpiło straszne poruszenie, krzyki i bieganina. Zabłył jasny płomień gazu, który oślepił Williama i sprawił, że się cofnął. Zabrano go do pustego pokoju z kamienną posadzką, przypominającego spiżarkę, pamiętał to, zrobiono mu kąpiel, wtarto mu coś energicznie we włosy, przez co głowa zdawała mu się płonąć. Pomocnicy z powozu zniknęli, ale byli tam inni mężczyźni, mężczyźni z takimi samymi kamiennymi twarzami i tymi samymi gotowymi do ataku mięśniami. Podano mu jeszcze jedną dawkę chloralu, którą połknął, i talerz brązowej zupy, której nie zjadł. Był tam doktor Feather albo ktoś wyglądający jak doktor i jeszcze jeden lekarz o ciemnej karnacji i krzaczastych brwiach, który nie przypominał medyka. Pewne rzeczy stwierdzano, inne zapisywano. Do skóry Williama przyciśnięto zimny metal. Zaświecono mu białym światłem do oczu. Ubrano w sprawiający obce wrażenie strój, luźny bawełniany ubiór noszony przez ulicznych hinduskich sprzedawców, związany z przodu krótkimi paskami materiału. A potem znalazł się na wąskiej pryczy, zwykłym łóżku, tyle że koce przyszyte były do materacy, a nadgarstki przymocowano mu po bokach ciała płóciennymi paskami. W pokoju znajdowały się inne łóżka i rozlegały się inne odgłosy, szuranie, bębnienie i dźwięk delikatnego pochlipywania, przez które przedzierały się ostre krzyki zza zamkniętych drzwi. Ramiona Williama podskoczyły i paski zacisnęły się na jego nadgarstkach. Uspokoiła go ich nieustępliwa sztywność. Tak jak więziły jego, więziły też szaleństwo w nim, przywiązując je do ziemi. Był bezpieczny w tym uścisku; nie musiał już się obawiać. Po raz pierwszy od wielu dni spał, zanurzając się, to znów wynurzając z hałasów i krzyków, płynąc przez ciemny nieznamy pokój i przez tunele, i wzdłuż zamarzniętych okopów, i mijając spowite w cieniu twarze, które przyglądały się i płakały, i uśmiechały z wyższością, aż hałas stawał się głośniejszy i bardziej konkretny i szary świt przebił się ospale przez okratowane okna, aby pokazać Williamowi jego nowy dom.

Szpital dla umysłowo chorych w Hounslow uważał się za postępowy. Był z pewnością mały, zważywszy na standardy placówek w hrabstwie. Miał niecałą setkę pacjentów, umieszczonych w ośmioosobowych pokojach, i chociaż pomieszczenia były niedogrzone i pozbawione podstawowych wygód

- tynkowane ściany na przykład uważane były za zbędny luksus dla obłąkanych - utrzymywane były w przyzwoitej czystości. Żelazne łańcuchy były zabronione, a gdy pacjent okazał wystarczający poziom uległości, rzadko używano nawet płóciennych pasów, i to jedynie jako karę za niewłaściwe zachowanie. Trudni pacjenci mogli zostać zmuszeni do noszenia sztywnych kaftanów, ubiorów uszytych z płótna ciężkiego jak kamień, które ograniczało ich ruchy. Stosowano lodowato zimne prysznice, często skuteczne w studzeniu rozgorączkowanego ognia obłądu. Niektórzy pacjenci uporczywie trwali w zagorzałym i często gwałtownym uporze, ale nie należeli oni do większości. Szpital zapewniał atmosferę oszołomionego spokoju dzięki diecie bogatej w środki uspokajające i ubogiej w składniki odżywcze. Rutyna i regularność przede wszystkim. Pacjenci nie mieli dostępu do pióra i papieru, aby korzystanie z nich nie doprowadziło do nadmiernej ekscytacji, a książki i gazety bardzo ograniczono. Wyraźnie zabraniano pacjentom mówienia o sobie, a to ze względu na absolutne przekonanie, że słuchanie wypowiedzi histeryka może jedynie spotęgować jego ponure poczucie wyższości. Istniały surowe zasady określające zachowanie opiekunów, którzy byli odpowiedzialni za codzienną opiekę nad pacjentami. Jednak ludzi, którzy podjęliby się tej pracy, trudno było znaleźć, i szpital uważał za uzasadnione, zważywszy na liczbowy stosunek opiekunów do pacjentów i potencjalnie wybuchowy charakter podopiecznych, zezwolić opiekunom na znaczną swobodę w interpretacji owych zasad. Szpital miał przecież jedynie dwóch lekarzy rezydentów. Podczas gdy zawsze byli dostępni, aby rozmawiać bezpośrednio i ze stosowną powagą z osobami odpowiedzialnymi za regulowanie opłat za pacjentów, to ich obowiązki, fatalnym zbiegiem okoliczności, często wymagały obecności poza szpitalem. Widywali każdego pacjenta być może przez kilka minut w tygodniu. I tak się działo, że to opiekunowie byli prawdziwymi panami w szpitalu i każdy oddział stawał się miniaturowym państwem lennym, w którym praktykowano konkretne preferencje.

W swój pierwszy poranek w Hounslow William obudził się późno. Chloral pozostawił po sobie chropowatą zawieszinę pod powiekami i czaszką, a unieruchomione ramiona były ciężkie i odrętwiałe. Nabrał powietrza i, pomimo chłodu, poczuł w ustach smak oleju i stęchlizny. Słysząc głosy i ciężki odgłos kroków. Zanim zdążył otworzyć oczy, ktoś uniósł mu głowę i wsunął brutalnie pomiędzy sklezione wargi łyżkę, raniąc skórę. Metalowa

łyżka zabręczala, ocierając się o zęby, i zniknęła, a on zakrztusił się, opadając z powrotem na poduszkę. Z oczu popłynęły mu łzy. Przez łzy ujrzał zamazany obraz mężczyzny, który leżał na wpeł odwrócony. Ramiona miał opadnięte, a włosy przyprószone siwizną. William znowu zasnął.

Obudził się dużo później. Sen nie przyniósł mu ulgi. Ból głowy nadal tętnił mu w skroniach. Czuł się jednocześnie rozdrażniony i wyczerpany. Ale nadgarstki miał wolne. Bardzo ostrożnie, zbierając całą swoją energię, podniósł głowę. Znajdował się w małym pokoju, o powierzchni być może dwunastu stóp kwadratowych, do którego wtłoczono osiem wąskich prycz. Ściany były z niedbale wybielonej cegły, z jednym małym oknem poprzecinanym kratami. Nie było kominka. Oprócz fotela, który wyglądał na bardzo wygodny i zajmował nieproporcjonalnie dużo miejsca, jedynym wyposażeniem pokoju były łóżka. Fotel był pusty, ale większość łóżek zajęli mężczyźni leżący cicho z zamkniętymi, bądź wpatrzonymi w sufit oczami. Jeden mężczyzna kuczał na wąskiej przestrzeni pomiędzy łózkami, a dłonie zacisnął na żelaznych prętach łóżka Williama.

Podobnie jak pozostali mężczyźni miał na sobie białą tunikę, chociaż jego była brudna i podciągnięta do pasa. Poniżej był nagi. I boleśnie chudy. Nos wystawał mu z twarzy jak zakrzywiony palec, a ziemista skóra usiana była bliznami po ospie we wzór odcisniętych pięści. Jego żywo niebieskie oczy miały jednak szczere wejrzenie, a gdy odrzucił głowę do tyłu, wodniste światło z okna rozjaśniło mu twarz. Odbijało się w niej coś na kształt anielskiej ekstazy. Porzucając pręty łóżka, uniósł swoje radosne ramiona w górę i entuzjastycznie oddał się chwale Boga Wszchemogącego. Gdy z jego ust płynęły słowa radosnego uwielbienia, William poczuł ukłucie żalu tak ostre, że z trudem powstrzymał się od płaczu, a wokół niego zawirowała dziko ciemność. Zacisnął mocno powieki, nie będąc w stanie znieść widoku proroka, który kuczał przed nim. Światłość, która biła z twarzy mężczyzny, rozświetlając go od Wewnątrz i zalewając rozkoszą, była wszystkim tym, co William stracił, wszystkim, co w nim umarło. Smutek przeszył mu serce. Wbijając palce w czaszkę, jakby chciał ją zmiażdżyć, schował twarz w poduszkę.

Trzasnęły drzwi. Modlitwy proroka stały się głośniejsze, bardziej gorączkowe.

- O, na litość boską! Ty mały brudny draniu, czy ja ci nie mówiłem...? Jezu Chryste. Peake, wiadro. Teraz.

Słysząc było kroki, potem ostry trzask uderzenia i bardziej stłumiony chrzęst. Rozległo się bolesne jęknięcie. Potem jeszcze raz rozpoczęły się modlitwy, ale tym razem słabsze, bardziej pozbawione tchu.

- Ty odrażające ścierwo, pozbierasz każdy plugawy kawałek tego, co zrobiłeś, albo

każę zlizać ci to z podłogi, słyszysz mnie?

Rozległ się jeszcze jeden chrzęst kolejne jęknięcie i modlitwy ustały. William poluzował uścisk dłoni na swojej czaszce i uniósł twarz o jeden cal nad poduszkę. Natychmiast zaatakował go niedający się z niczym pomylić smród ludzkich odchodów. Znowu coś ścisnęło go za serce. Wydawało mu się, że zaraz zwymiotuje. W zamian zagryzł mocno surową skórę wargi. W łóżku obok mężczyzna z mocno kręconymi białymi włosami wpatrywał się beznamiętnie w sufit, z dłońmi złożonymi na piersi. W odległym kącie pokoju ktoś nucił fałszywie melodię.

- Mówiłem, pozbieraj to!

Słychać było ostre tupnięcie i coś trzasnęło. Woda rozlała się po podłodze.

- Jezu... panie Vickery!

Inny głos, wyższy, piskliwy z gniewu.

- Ten ohydny gnojek wziął i mnie ugryzł!

Rozległo się kolejne przyduszone jęknięcie, a potem głucho uderzenie.

- Zabrać go stąd - polecił Vickery.

W jego głosie słychać już było nie tyle złość, co zmęczenie.

- Najpierw natrysk, potem izolatka. Dwa tygodnie. Jak cię ugryzie jeszcze raz, cztery.

Nucenie stało się głośniejsze, gdy coś podskakiwało po pozadzieranej podłodze. Nikt inny w pokoju się nie poruszył. Potem w zamku przekrecono klucz i drzwi się otworzyły.

- Boże, mój Boże - szeptał prorok, a jego głos niósł się echem w pustym korytarzu. - Czemuś mnie opuścił?

- Ty głupi cholerny sukinsynie - rzucił znużonym głosem Vickery. - Kiedy nauczysz się trzymać gębę na kłódkę?

Drzwi trzasnęły. Ktoś zaczął mamrotać ciąg przekleństw, bardzo cicho, pod nosem, te same trzy słowa, raz po raz. Stopy jakiejś innej osoby uderzały rytmicznie w żelazne pręty łóżka. Przygniatające uczucie strachu, nadszycia katastrofy, było tak silne w piersi Williama, że miał ochotę krzyknąć. Schwycił w pięści pasy przy łóżku i pociągnął za nie, żeby się uspokoić. Wtem poczuł, że ktoś klepie go w ramię. Odwrócił głowę. Mężczyzna z sąsiedniego łóżka pochylił się w jego stronę, dając znak palcem, żeby się przybliżył. William chciał się podnieść i uczucie strachu się nasiliło. Wziął tego mężczyznę za starszego, ale - chociaż włosy miał nieomal całkowicie białe, twarz wyglądała na młodszą niż Williama. Rzucił spojrzenia dookoła, a językiem raz po raz oblizywał wargi jak jaszczurka.

- Modłę się za wszystkich ludzi w tym domu. Teraz, gdy ty tu przyszedłeś, będę się modlił za ciebie.

Ściszył głos do szeptu.

- To dlatego zostałem tutaj umieszczony, pośród was. Przyjaciel mojego ojca Harrington poprosił, abym tu zamieszkał, zanim obejmę swoje obowiązki w parafii. Mam się modlić za szaleńców, żeby ulżyć odrobinę ich cierpieniom.

Uśmiechnął się w stronę Williama, ale jego język nadal wędrował po wykrzywionych wargach, a oczy ani na chwilę nie ustawały w nieustającej gonitwie po pokoju.

- Będę się za ciebie modlił.

William odwrócił głowę, a krzyki zamarły mu w piersi. Strach zelżał odrobinę, pozostawiając czarną szumowinę nieszczęścia. Zwinął się, obejmując ramionami kolana, i zawołał, żeby przyniesiono mu chloral. Wołał raz po raz, głosem tak bezbarwnym i iytmicznym jak uderzenia pięści sąsiada oramę łóżka. W końcu Vickeiy przyszedł. Zdawkowo, jakby przestrzegając konwencji praktyki medycznej, uderzył Williama mocno w policzek i wepchnął mu łyżkę pomiędzy wargi. William przełknął i zamknął oczy, przyciskając dłonie do rozrywającego chłodu brzucha. Potem czekał, aż ciemność pociągnie go za sobą.

## XXI

Wypchnięcie ciała z miejsca, w którym było zaklinowane, zajęło blisko godzinę. Zadomowiło się na dobre w swojej wąskiej szczelinie, gdy ramiona i biodra napuchły i zmiękły, wypełniając murowany kanał. Skóra zmieniła kolor na ciemnopurpurowy, jakby wysssała całą podziemną ciemność. Oczywiście szczury też się za nie zabrały. Brakowało kawałków na nogach, palcach i wszędzie tam, gdzie znalazły miejsce, żeby się wcisnąć. Niemniej sól i chłód powstrzymały zbyt szybkie gnicie i ciało pachniało bardziej błotem i wodorostami niż czymkolwiek innym.

Gdy już udało im się je uwolnić, przyływ im sprzyjał i przez dłuższy odcinek do śluzy to rzeka niosła ciało. Popychali je za jedną z zeszywniałych nóg, gdy zahaczyło o ubytek w cegle. Przy stopniach do Tempie, Tom kazał Joeemu wyjść najpierw na zwiady, podczas gdy on wysuptywał niezbędne rzeczy z brezentu, który niósł na plecach. Było tuż przed piątą rano i - chociaż do wschodu było jeszcze daleko - na rzece zaczynał się ruch. Wciąż było za wcześnie na parowce, ale barki z sianem już pływały i ogrodnicy z góry rzeki transportowali swoje płody rolne, żeby wystawić je rano na rynku. Mimo to wstający rano nie za bardzo rozglądali się dokoła, przynajmniej tak mówiło doświadczenie Toma. Poza tym księżyc był jeszcze bardzo młody, na ich szczęście, a chmury wisiały nisko nad miastem. Trzymając się, najlepiej jak potrafił, najciemniejszych cieni wzdłuż muru rzeki, Tom pozwolił, aby ciało wypłynęło na wodę.

Z podskakującą twarzą obróconą w dół, z poobgryzаныmi palcami czeszącymi taflę wody Tom chwycił je za kostkę. Z głową pochyloną nisko nad ciemną wodą, zaczął ciągnąć ciało wolno z nurtem, w stronę grupki drewnianych barek przycumowanych po kilka w rzędzie. Ludzie używali ich czasem do spania, ale były to zaledwie hulki, a ich rozsypujące się kadłuby osiadały przy odpływie na błocie. Tom nie umiał za bardzo pływać, ale pokonał drogę na wpół idąc, na wpół podciągając się za stare nasmołowane odbijacze, które wyrastały wzdłuż ciemnych boków barek, aż dotarł do miejsca, w którym łańcuchy spotykały się w poszarpanym żelaznym węźle, a mamy podest na chwiejnych nogach przerywał bieg rzeki. Nasiąknięte wodą zwłoki były ciężkie i trudne do pokierowania. Tom objął ramionami grube uda, żeby pociągnąć ciało. Tmp włókł się niechętnie za nim, pozostawiając na rzece delikatny ślad w kształcie litery V Woda była lodowato zimna. Tom zadrzał. Skończy jak jego towarzysz, jeśli posiedzi tu za długo. Wypychając ciało przed siebie, schował się w wąskiej przestrzeni pomiędzy barkami. Nie będzie go tu widać, ani z brzegu, ani z rzeki. Skrawek nieba pomiędzy dwoma wysokimi bokami łódki był teraz szary, ciemność pokrył kurz wschodu. Tom zaklinował ciało najlepiej, jak potrafił, i czekał.

W miarę jak niebo stawało się jaśniejsze, na rzece robił się coraz większy ruch i coraz większe zamieszanie. Pasażerskie parowce trąbiły syrenami i chlupotały. Na brzegach, wozy i powozy stukały po granitowych płytach. Tom przytulił się do rozsypującego się boku barki i zaklinał rzekę, żeby zaczęła płynąć w kierunku morza. Wolno, tak wolno, że Tomowi wydawało się, iż robi ona wszystko, co w jej mocy, aby zanegować właściwą sobie naturę, rzeka mszyła. Gdy sięgała mu zaledwie do kolan, Tom wyjął z brezentowego zawiniątka na plecach stary płaszcz i skulił się w nim, pocierając mocno zmarznięte ramiona. Wciąż czekał. Przyływ zabrał wodę i sprawił, że pasek nieba przesunął się, a barki osiadły na mule, pochylając się nad Tomem.

Przykucnął jeszcze niżej, czekając, aż woda stanie w kałużach na błocie. W końcu była wystarczająco niska. Najszybciej jak pozwalały mu na to zmarznięte palce, Tom zsunął z pleców stary płaszcz. Ponownie sięgnął do zawiniątka. Do górnej kieszeni wsunął chusteczkę mężczyzny, na tyle mocno, żeby nie wypadła, ale na tyle starannie, żeby jej końce, z inicjałem mężczyzny, rozrzucone były z elegancką fantazją. Potem wsunął ręce martwego mężczyzny do rękawów płaszcza, pociągając za nie niecierpliwie, gdy nie chciały się zgiać. Któraś kość pękła. Płaszcz będzie dobiy, chociaż to nie był strój dżentelmena. Tom mógłby oczywiście użyć surduta mężczyzny. Wciąż go miał, ale był całkiem niezły. Oddanie go nieżyjącemu mężczyźnie, który i tak nie doceniłby jego jakości i mógłby go zabłócić, leżąc, byłoby czystym marnotrawstwem. Gdy trup był już z grubsza ubrany, Tom zaciągnął go



ostrożnie na przód barek. To była najbardziej ryzykowna część zadania. Głowę przecież trzeba było wysunąć na wystarczającą odległość do przodu, żeby na pewno została zauważona, zanim znowu przyjdzie przypływ. Z drugiej strony nie chciał, żeby zwróciła uwagę, zanim on nie oddali się na wystarczającą odległość. Biorąc głęboki oddech, wypchnął ciało pod płataniną łańcuchów w stronę walącego się podestu. Potem, najszybciej jak potrafił, wymknął się pod osłoną barek i ściany koryta rzeki, przylegając do niej tak płasko, że był niemal niezauważalny. Wszedł po schodach na brzeg kilkaset jardów w dole rzeki. Obawiając się, że w mokrych ubraniach zamarznie na śmierć, wszedł od razu do baru i tam, przed trzaskającym ogniem, z pięściami zaciśniętymi na kubku gorącej herbaty z brandy, parował, aż całkiem wysechł, wypełniając wąski pokój gnijącym smrodem rzeki. Chwilę później wszedł i skierował się na wschód, idąc wzdłuż rzeki. Na brzegu stała grupka, na coś pokazując. Tom spojrział w tamtym kierunku. Para ludzi zajmujących się dragowaniem zacumowała swoją poobijaną łódkę przy podeście i zajęta była wyciąganiem czegoś spomiędzy łańcuchów barek.

- O, mój słodki Jezu! - pisnęła jakaś kobieta z przerażeniem i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. - Martwy, na pewno.

- Nieprawdopodobne - rzucił Tom i potrząsnął ze zdziwieniem głową. - Nieprawdopodobne.

Nie czekał, żeby zobaczyć, w którą stronę ruszą ludzie od dragowania. Dostaną parę szylingów za trupa w większości przystani na południowym brzegu. Jego pieniądze, po prawdzie, myślał Tom, idąc wolno, ale mimo to się uśmiechnął.

## XXII

Inni mężczyźni na sali opierali się dawkom, które Vickey wmuszał w nich dwa razy dziennie, udając, że je połykają, a potem wypluwając albo po prostu zagryzając zęby na łyżce, ale nie William. Leki przyprawiały go o mdłości i pozbawiały poczucia rzeczywistości. Wysuszały usta, ścisnęły skronie i pokrywały warstwą tłustego strachu, który spływał oddech i wprawiał w drgania powieki. Pozostawiały jednak również lepką mgiełkę kurzu na świadomości, chroniąc go przed samym sobą. Szaleństwo wydawało się bliższe, bardziej rzeczywiste, gdy chlorał zaczynał działać. Dwa razy dziennie środek uspokajający wciągał Williama w ciemność, odrywając go od czasu i miejsca, i rozplaszczając, żeby szaleństwo mogło wdrzeć się odrobinę głębiej i z nieco większą pewnością do najbardziej odległych zakamarków jestestwa. Gdy w zimnej szarości kolejnego zmęczonego wschodu słońca, zajęcia i zadania świata zewnętrznego zagrażały przedostaniem się do czaszki i rzuceniem słabego światła na zewnętrzne płaty kory mózgowej, chlorał zamykał przed nimi okiennice,

uniemożliwiając wejście. Nie zwracał uwagi na innych mężczyzn, z którymi przebywał na tym samym oddziale. Z nikim nie rozmawiał. Wstawał z łóżka tylko wtedy, gdy zabierano go do toalety albo do jadalni na nieliczne posiłki. Jadł mało, krusząc mechanicznie w palcach chleb. Gdy usiłował dotrzeć do swoich myśli, one też się kruszyły. Pozwolił, aby od niego uciekały. Była w tym beznadziejna satysfakcja, że już nie musi dłużej walczyć. Ponieważ nie miał o czym myśleć i pozbawiony był też funkcji,

- 249 - która by to umożliwiła, więc zajmował się natarczym monitorowaniem pomniejszych dolegliwości: bolesnych ran na udach i pośladkach, które powstały gdy - w ramach kaidy - Vickeri kazał mu leżeć przez cały dzień w moczu; skurczów, nóg; bólu ucha; nieustępliwego kaszlu. Często prosił o nalewki i leki pokrzepiające, a gdy od czasu do czasu je przynoszono, martwił się o ich skuteczność. Rzadko spał, ale popadał często w niespokojne drzemki. Budził się zziębnięty i lepki, wołając ochloral.

William, schwytanego mocno w niepokojące objęcia leków, otoczonego rozmazanym światem, przerażonego, lecz ujętego w ramy zasad i rutyny, ogarniało - przynajmniej w ciągu dnia - coś na podobieństwo spokoju. Pewnego ranka, gdy szarość kolejnego nowego dnia sączyła się przez - wysokie okno, na oddział przyprawiono z powrotem proroka. Światło znikło z jego twarzy, wyglądał zwyczajnie, robił wrażenie wyczerpanego. I tak minął tydzień, a potem jeszcze jeden.

Pacjenci otrzymywali od czasu do czasu korespondencję, ale Polly nic nie przysyłała. William niczego nie oczekiwał. Szaleństwo oddzielało ich ostatecznie i nieodwracalnie jak śmierć. Czasami czuł obecność żony, drżące uczucie jej oddechu na karku, jakby to on nadal żył, a ona była krążącym po ziemi duchem osoby, która odeszła. Wiedział jednak, że to nic więcej. Nie należeli już do tego samego świata. Nienarodzone dziecko natomiast prześladowało go w urywanych snach. Noc w noc wpatrywał się z rozpaczliwym przerażeniem, jak przez kwiecistą łąkę koszuli Polly przedziera się straszne czarne dzieckodiabeł, krzycząc dziko i wymachując, nie małymi rękami i nogami, ale setką oszalałych macek, doskonała kwintesencja obłądu. Noc w noc widział przerażenie w oczach Polly, gdy dziecko wyrywało się z jej ramion, żeby krzyczeć i szaleć z wściekłości, drapiąc i dusząc, dźgając i rozrywając, rosnąc przez cały czas do przerażających rozmiarów, niszcząc wszystko, co znalazło na swojej drodze. Noc w noc dziecko szalało, aż w końcu, gdy zniszczyło już wszystko wokół, zwróciło rozszalałe czerwone oczy na Williama. Natychmiast ohydna twarz złagodniała i potwór wyciągnął ramię, pokorny teraz i cichy, raz po raz szepcząc tylko jedno słowo. „Ojcze”, powiedział, a jego głos drżał z miłości.

„Ojcze”.

Za pierwszym razem, gdy William obudził cały oddział swoimi krzykami, Vickeiy potrząsnął nim gwałtownie i kazał mu spędzić resztę nocy z ustami zawiązanymi szmatą, za karę. Rano Vickeiy nie wspominał o tym incydencie, ale gdy poluzował knebel, kazał Peakeowi przynieść dla Williama maść na rany. Przy śniadaniu, po raz pierwszy odkąd zjawił się w szpitalu, William poczuł w herbacie cukier.

Co do Di, William nie pozwalał sobie o nim myśleć. Brzuch skręcały mu gwałtowne skurcze, które rozpały pokryte popiołem otępienie w piersi. Najdrobniejsze fragmenty pamięci, ruch rzęs na bladym policzku synka, dołączki kostek na jego dłoni, miękkie różowe poduszki palców u stóp wystarczały, aby pokryta misternym wzorem skóra na przedramionach Williama cierpła z tęsknoty i nawet pod spowolnionym brzemieniem środków uspokajających czuł, jak pragnienia zaczynają się rozpierać i napinać w dole żołądka. Wbijał paznokcie w dłonie i jeszcze głębiej, czekając, aż oszołomienie rozmaże krawędzie. Nigdy nie trwało to długo. Środki uspokajające były silne, dużo silniejsze niż zalecane przy długim okresie stosowania, szpital jednak miał braki kadrowe. Chloral wykonywał robotę kilkunastu ludzi i nigdy nie narzekał na pracę ani nie zjawiał się na oddziale pod wpływem alkoholu. Było bardzo niewielu opiekunów w Hounslow, o których z pełną odpowiedzialnością można byłoby powiedzieć to samo.

William był w szpitalu od ponad dwóch tygodni, gdy Vickery dał mu gazetę. Wbrew przepisom, ale William miał za sobą okropną noc, pełną koszmarnych snów. Gdy w końcu potwór zawołał do niego, z całą swoją przerażającą miłością i zwracając się do niego jak do ojca, William zwymiotował przez sen. Krztusząc się, ledwie będąc w stanie oddychać, oparł się z ogromnym trudem na łokciu i zwymiotował jeszcze raz. Nie mógł przestać. Raz po raz wstrząsały nim torsje, aż w końcu pozostała jedynie rzadka gorzka żółć, która skapywała mu jak ślina po policzku. Wymiociny pokryły jego włosy i wąsy, przemoczyły poślanie. Ich kałuża znajdowała się na podłodze. William zawołał z prośbą o wodę, najpierw cicho, a potem bardziej zdecydowanie. Na łóżku obok siwowłosa mężczyzna obudził się i zaczął pojękiwać, uderzając raz po raz głową w żelazne pręty swojej pryczy. Zanim Vickery wpadł do sali, z rozwichrzonymi włosami, trzech lub czterech pozostałych mężczyzn obudziło się i okazywało rozdrażnienie, przeklinając albo płacząc, albo uderzając pięściami w ścianę.

- Cisza!

Głos Vickery ego zatrzęsł kratami w oknie i przez chwilę w sali panowała cisza. Gdy szepty i popłakiwanie zaczęły się na nowo, były bardziej nieśmiałe, stłumione przez obawę. Przeciskając z trudem swoje duże ciało przez wąskie przestrzenie między łózkami, Vickery chwycił i zaciskał brutalnie nadgarstki każdego mężczyzny w płócienne pasy. W końcu

doszedł do Williama, ale zamiast unieruchomić mu nadgarstki, chwycił garść jego włosów i przybliżył twarz Williama do świecy. William czuł, jak ciepło płomienia przypala mu policzki i próbował się odsunąć, ale Vickery zacisnął uścisk, przysuwając świecę jeszcze bliżej. Jego oddech pachniał whisky i był nieświeży od snu. William wpatrywał się z niedowierzaniem w ciemny środek płomienia, a potem zamknął oczy, nie będąc w stanie powstrzymać się od płaczu, gdy gorąco parzyło mu skórę. Przeklinając, Vickery odepchnął go i William uderzył głową w poręcz łóżka. Zsunął się na materac, a ciemność zamknęła się nad jego głową jak woda, zanim jednak zdążyła go pochłonąć, został ściągnięty za tunikę i zrzucony na podłogę. Usłyszał własne jęknięcie, gdy mocny kopniak w żebra pozbawił go tchu. Potem dłoń włożyła jego twarz do kałuży na podłodze i mocno przycisnęła. Wymiociny wypełniły mu usta i nozdrza. Nie mógł oddychać.

- Chcesz, żeby każdy wariat w całym przeklętym domu dla obłąkanych wrzeszczał i wydzierał się wniebogłosy, ty cholerny rozrabiako? - wypluł z siebie Vickeiy - Ta sala śmierdzi. I nie myśl sobie, że ktokolwiek o tej porze zmieni ci pościel. Jeśli chodzi o mnie, to możesz sobie w niej zgnić na śmierć, ty ohydny draniu. A jak usłyszę z twoich ust nawet najcichsze jęknięcie do rana, to czeka cię natrysk. Rozumiesz?

Dłoń przycisnęła jego twarz z taką siłą, że William był pewien, iż złamie mu nos. Potem zniknęła. Drzwi trzasnęły. William leżał na podłodze, a zimne wymiociny zastygły mu na twarzy. To była mroźna bezkسیężycowa noc i w sali było ciemno i dokuczliwie zimno. Członki Williama podskakiwały i drżały, a żebra pulsowały z bólu, ale umysł, uwolniony od chloralu, był jasny i przejrzysty jak lód, a myśli zastygły na jego zamarznętej powierzchni jak iwy. Wpatrywał się w nie i odkrył, że ich doskonały kształt i przejrzystość jednocześnie go niepokoją i pociągają. Powinien zawołać z prośbą o więcej chloralu. Jednak nie zrobił tego. W zamian sięgnął, żeby ich dotknąć, aby przyjrzeć im się z każdej strony. Nie kruszyły się. Nie było w nich skradających się potworów, straszego wirującego niepokoju, który rozmazywał krawędzie. Były to proste, składne, zwykłe myśli, z początkiem i końcem, tam gdzie początku i końca można się spodziewać. Myśli o budynkach przede wszystkim, o miejscach, które znał wcześniej. Sklep, w którym spędził jako chłopiec tyle popołudni pośród zakurzonych worków mąki i zapachu ubijanego masła. Biura na Greek Street z zatłoczonymi boksami. Kopuła i eleganckie kominy Abbey Mills, ich realność tak absolutnie wryta w pamięci, że wydawało się Williamowi niemożliwe, iż jeszcze nie istniały. Dom w Lambeth. Bardzo ostrożnie William stanął u dołu schodów z dłonią na poręczy i wdychał znajome zapachy. Nie miał jeszcze dość odwagi, żeby spojrzeć w stronę kuchni albo żeby poszukać syna. Ale pozwolił sobie, żeby myśli zwróciły się ku Polly i krągłościom jej brzemiennego

brzucha. Poczł ogromną tęsknotę, żeby porwać w ramiona swoją żonę i nienarodzone dziecko. Może nowe dziecko już się urodziło. Człł, jak łzy zbierają mu się z tyłu gardła, łaskocząc, a potem łagodząc odrobinę gorzki smak żółci, który utrzymywał się w ustach. Może to była dziewczynka. Lily Rose. Jutro rano zapyta kogoś, jaki jest dzień. Może jutro Polly przyśle mu jakąś wiadomość. Może przyjedzie. Spojrzy na niego bez odrazy, wyciągnie do niego ręce i przytuli go do siebie. Pocałuje w czoło, w powieki, we wnętrze dłoni,” tak jak całowała Di, gdy siadywał jej na kolanach, i przebaczy mu. Gdy w końcu William wstał z lodowatej podłogi i próbował ogrzać się pod śliskim od torsji kocem, twarz miał pokrytą skorupą zaschniętych wymiocin, których pęcherze błyszcząły mu na policzku jak łzy. Jednak miejsce pomiędzy brwiami było gładkie, a wargi układały się odrobinę jak do uśmiechu.

Rano Vickeiy był jak zwykle żółty na twarzy, a pod nabiegłymi krwią oczami miał ciemne cienie. Odmierzał chlorał uważnie, trzymając głowę sztywno na karku, jakby się bał, że mu spadnie. Gdy doszedł do łóżka Williama polecił mu szorstko wstać. Peake zabierze go do pralni, gdzie przygotowano ciepłą kąpiel. Obawiając się, że zostanie zabrany w zamian pod natrysk, William wpatrywał się w kąpiel z niedowierzaniem. Była tam nawet nieco zużyta kostka mydła. Syknął, gdy zrywał z siebie poplamioną tunikę. Bolało, gdy podnosił do góry ramiona. Purpurowe siniaki jaśniały po prawej stronie klatki piersiowej, a twarz piekła, gdy ochlapał ją wodą. Peake przyjrzał się obrażeniom ciała Williama bez większej ciekawości, a następnie oparł się o przeciwległą ścianę i badał górne partie swoich nozdrzy zwiadowczym palcem wskazującym. Vickery wszedł, gdy kąpiel zaczynała tracić resztki ciepła. Peake pośpiesznie wytarł palec w nogawkę spodni i wyprostował się z szacunkiem. Vickery kazał mu odejść.

- Proszę - mruknął Vickery, unikając wzroku Williama.

- Pomyślałem... jeśli cię to interesuje. Ale tylko tutaj. Jak zobaczę to na sali - izolotka.

W połowie drogi do drzwi rzucił na krzesło zaczytany egzemplarz „Moming Herald”. Strony gazety były już przecięte, a druk rozmazał się od użycia. William wziął gazetę. Oczy odwykły od czytania i musiał je wysilić, żeby dostrzec mały druk. Spojrzył najpierw na datę. 14 stycznia 1859 roku. Nowy rok. Boże Narodzenie minęło, a on nie miał o tym pojęcia. Zaczynał odczuwać zmęczenie i już miał zamknąć gazetę, gdy jego uwagę przykuł artykuł na stronie piątej.

#### ŚLEDZCY CORAZ BLIŻEJ MORDERCY

Oficerowie policji prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Alfreda Englanda, właściciela londyńskiej cegielni, którego ciało wyłowiono z Tamizy dwa dni temu, potwierdzili, że przedsiębiorca padł ofiarą morderstwa. Mimo że nie podano żadnych

szczegółów, detektyw prowadzący sprawę potwierdził w rozmowie z naszą gazetą, że gardło Pana Englanda zostało podcięte i w konsekwencji przecięta została tchawica. Ponadto znaleziono wiele ran zadanych w klatkę piersiową i ramiona, co wskazywałoby na zaciekłą walkę. Detektyw ujawnił również, że po śmierci ciało uległo znacznemu okaleczeniu przez szczury, co sugerowałoby, że w którymś momencie mogło być ukrywane w miejskim systemie ścieków. W istocie, uszkodzenia okolic twarzy były tak duże, że ostateczną identyfikację ciała umożliwiły dopiero oznaczenia pralni naszyte na koszuli i bieliźnie Pana Englanda.

Początkowo przypuszczano, że Pan England, którego cegielnia była w poważnych kłopotach finansowych, uciekł przed wierzycielami, gdy zniknął bez wieści w nocy 16 grudnia. Scotland Yard wyraził przekonanie, że aresztowanie zostanie przeprowadzone niezwłocznie.

### XXIII

Słyszałeś o tym martwym gościu, co go wyciągnęli z rzeki, tym facecie od cegielni? Hycle wzięli i znaleźli tego, co to zrobił. Umieścili go w areszcie na Moor Street

- Jesteś pewien, że dopadli właściwego? Osilki z tamtego posterunku nie potrafiliby sami złapać cholery, nawet gdyby mieszkali w dole kloacznym i nawąchaliby się gnoju, że prawie by pękli.

Obydwaj mężczyźni roześmiali się i wypili jeszcze jeden łyk ze swoich kubków. Tom, ogrzewając w dłoniach trunek przy najbliższym ognia końcu baru, pozostał na swoim miejscu, ale odwrócił trochę głowę, żeby słyszeć wyraźniej ich słowa.

- Są bezużytecznymi gnojkami, bez wątpienia - zgodził się pierwszy mężczyzna. - Najprawdopodobniej ten, którego zamknęli, nic nie zrobił. Pewnie jakiś biedny głupek, co go wyciągnęli z łóżka, żeby wyglądało na to, że wszystko mają pod kontrolą, i żeby mogli zabrać się spokojnie do domu, zanim im obiad wystygnie.

Właściciel restauracji potrząsnął głową, gdy zabierał kubki do ponownego napełnienia.

- To ten właściwy, nie ma co. Nie żeby ci elegancyjcy oficerowie ze Scotland Yardu zrobili wiele w kwestii dochodzenia. Z tego, co słyszałem od Eddowesa, który prowadzi budkę z kawą na końcu Moor Street morderca opowiedział swojej starej całej cholerną historię. Linijka w linijkę, w liście. W liście! To znaczy, chciałbym was zapytać. Co za szaleniec opisuje swoje zbrodnie w liście i ma nadzieję, że mu się upiecze, co?

Mieliby więcej trudności ze zidentyfikowaniem psa w cylindrze, co obrabia kieszenie, stojąc na tylnych łapach.

- Kim w takim razie jest ten morderca? Inny dżentelmen, tak? Mówią, że ten, co nie żyje, miał pełno długów i ludzie w całym Londynie szukali go, żeby im zapłacił.

Właściciel wzruszył ramionami. Bez względu na to, co wiedział Eddowes, a w jego zawodzie słyszał absolutnie wszystko, tożsamość zbrodniczego wierzyciela pozostawała tajemnicą. Pierwszy mężczyzna podrapał się z namysłem w głowę, a następnie włożył palce do uszu, przesuwając je gwałtownie w górę i w dół, jakby był pewien, że gdyby tylko mógł usunąć dość brudu, to sam znalazłby odpowiedź we własnej głowie.

- Więc jego stara poszła i doniosła na niego.

Drugi mężczyzna pichnął posępnie.

- A to paradne. Co to za świat, gdy twoja żona zdradza cię prosto do hyclów? Kiedyś człowiek mógł oczekiwać prawdziwej lojalności i należytego szacunku, ale co się z tym stało, pytam was?

Zarówno on, jak i jego przyjaciel zamilkli potem, obaj rozmyślając o własnych kobietach. Zastanawiali się nad nimi, jakby rozważali zasługi i słabości psa czy konia. Żadnemu z nich szansa na wygraną nie dała poczucia bezpieczeństwa. Wprawilo ich to obydwu w mamy nastrój. Zajęci byli stwierdzeniem powszechnej perfidii żon, dzieci i oficerów policji, gdy do gospody wszedł Eddowes we własnej osobie. Właściciel przywitał go ciepło, wołając do kuchni, żeby przyniesiono mu talerz wątróbki i bekonu. Na ladzie postawił sakramentalny kubek portem.

- Właśnie opowiadałem tym dżentelmenom tutaj, jak to hycle zamknęli mordercę właściciela cegielni. Nie słyszałeś nic więcej na ten temat, co?

- A niech mnie, co to za historia - obwieścił Eddowes, odchylając się do tyłu i biorąc długi łyk portem.

Potrząsał głową, pijąc, z brzuchem sterczącym z przodu 1 jedną dłonią umieszczoną dumnie na jego krągłości, jakby miał zaraz pęknąć od smakowitych kąsków nowin.

- Co za historia!

- Opowiedz nam w takim razie - nakłaniał właściciel, opierając łokcie na ladzie. - Co za historia?

- Ach! - Eddowes wypił jeszcze jeden łyk i bardzo wolno odstawił kubek na ladę, wycierając usta grzbietem dłoni. - To niezła historia, mówię wam. Historia, jakich mało.

- Jaka historia? - zapytał jeszcze raz właściciel.

Tom przysunął się bliżej, kontrolując się, żeby trzymać gębę zamkniętą na kłódkę. Nie było dobrze zwracać na siebie uwagę.

- Jaka historia? - zapytał właściciel po raz trzeci.

Tym razem nie był w stanie ukryć nuty zniecierpliwienia w głosie.

- Cierpliwości, przyjacielu - zaciągnął Eddowes. - Przynieś jeszcze takiego jednego i opowiem ci. To niezła historia, muszę jednak przyznać, bez dwóch zdań.

Ssąc z zadowoleniem swoje zęby, Eddowes przesunął się wzdłuż lady i usadowił tak, że swym szerokim tyłem pochłaniał większość ciepła z kominka. Tom przesunął się trochę, żeby zrobić mu miejsce.

- Tak więc.

Eddowes oparł dłonie na ladzie i przyglądał im się z podziwem. Właściciel odchrząknął energicznie, w formie zachęty.

- Tak więc.

Eddowes rozciągnął swoją historię taką ilością westchnień, potrząsania głową, rozkładania palców na ladzie i obracania w ustach porteru i wątróbki, jak tylko mógł, a sedno opowieści było takie: morderca był w istocie dżentelmenem, i to wygląda, że całkiem nie byle kim, ze znakomitej rodziny. Aż w Parlamencie, czy coś takiego. Co za szkoda, westchnął radośnie Eddowes, potrząsając głową, i pozostali mężczyźni też potrząsnęli głowami. Co za szkoda, zawtórowali mu, z trudem ukrywając zadowolenie.

Gdy już się nasycili, Eddowes kontynuował. Prawda, że dżentelmen napisał list, który został zanieiony na policję, ale list nie zawierał przyznania się do winy, ani trochę. W istocie, nie. Wręcz przeciwnie, można powiedzieć, że był całkowitym tego zaprzeczeniem. List natomiast stwierdzał - i tutaj Eddowes zafundował tak hojne pauzy i pełne namysłu cmokanie, że widownia była przekonana, że wie dużo więcej, niż jest gotów powiedzieć - że ktoś inny to zrobił i że szaleniec wie kto. Gdy mężczyźni dookoła zażądali, żeby im powiedział, na kogo to próbował donieść zatrzymany, Eddowes uśmiechnął się jedynie tajemniczo niczym sfinks i powtórzył to, co już im powiedział. Dodał natomiast, a tego był pewien, ponieważ uniosło to niejedną brew i wywołało co najmniej kilka chrząknięć powątpiewania pośród oficerów policji, którzy odwiedzali jego budkę, że morderca osobiście miał czelność proponować w swoim liście, że mógłby się przydać Scodand Yardowi w prowadzeniu dochodzenia. Dlaczego? Bo tam był. Nic nie zrobił, oczywiście, nikogo nie dotknął. Był niewinny jak samo Dzieciątko Jezus. Ale był tam i wszystko słyszał.

- Co? Powiedział im, że tam był? Ten gość musi być jakimś szaleńcem! - dziwił się właściciel, przewracając oczami.

Eddowes spojrzał na właściciela z nieukrywaną niechęcią. Nie miał zamiaru godzić się, żeby ktoś robił mu taką konkurencję. Potrząsając głową jak sędzia, który właśnie ma ogłosić wyrok, wziął do ust kęs wątróbki i przeżuwał ją wolno, poklepując smakowitą



opowieść w swoim brzuchu.

- Ludzie będą opowiadać niestworzone historie, oczywiście. Może powinienem się już zbierać - powiedział w końcu, odsuwając talerz.

Właściciel umieścił przed nim pośpiesznie jeszcze jeden kubek, na koszt firmy, i przeprosił za to, że mu przerwał.

- Co dalej?! - zachęcała go publiczność.

~ Eddowes zrobił dłuższą przerwę, aż mężczyźni zaczęli się wręcz ślinić, i opowiedział. Dżentelmenmorderca był w istocie szaleńcem. Był przetrzymywany w prywatnym szpitalu dla obłąkanych, gdzieś w zachodniej części miasta.

- W szpitalu? Więc go nie zamkną?

- Musiał uciec, prawda? Uciekł, tak?

Eddowes westchnął i umilkł. Podano ciasto z agrestem. Przyniesiono fotel ze skórzanymi poręczami dla większego komfortu właściciela budki z kawą. Tom odsunął się dalej od kominka, żeby Eddowes mógł się cieszyć swobodnie ciepłem, a inni - dalszym ciągiem opowieści. Szaleniec był zamknięty w szpitalu zaledwie od paru dni, gdy napisał ten list. Oczywiście to, że go napisał, było najlepszym dowodem szaleństwa, według Eddowesa, bo lekarze nie mieli zamiaru pozwolić, żeby jakikolwiek list wydostał się na zewnątrz bez wcześniejszego przeczytania, prawda? Kwestia procedury. Ten list zabrali, rzecz jasna, prosto do hyclów. Trudno nazwać to, co potem nastąpiło, skomplikowaną sprawą. Okazało się, że człowiek był bardziej szalony niż klatka marcowych zajęcy. Gdy odkryli, że był od dawna wrogiem martwego gościa, czego jeszcze było im potrzeba? Okazało się, że szalał po Parlamencie zdaje się już od miesięcy, terroryzując urzędników, strasząc na śmierć innych dżentelmenów. Doszło do tego przekupstwo, podejrzane interesy, groźby, wszystko. Ten martwy nie był jedyny, tyle że tylko on przyplącił to głową. Dosłownie. Eddowes pozwolił sobie na chichot w uznaniu własnego dowcipu, a następnie ciągnął opowieść. Jakimś pokrętnym podstępem szaleniec zwabił swoją ofiarę do kanałów, gdzie następnie podciął jej gardło, przekonany, że ciało nigdy nie zostanie znalezione. Gdy go zgarnęli, całe ciało miał pokryte ciętymi ranami. Rezultat walki. Uważano, że to nie był wcale jedyny raz. Znowu Eddowes machnął ręką, sugerując całe mnóstwo sekretnych informacji, potem zniżył głos. Policja sądzi, że na dole mogą być całe setki ciał, ukryte w tunelach gnijące ofiary jednego maniaka. Eddowes potrząsnął głową. Zabrali go oczywiście ze szpitala, zamknęli w więzieniu. Miał być przetrzymywany w Newgate, tak się mówiło, dopóki nie odbędzie się proces. Ale to będzie formalność. Oficerowie, którzy przychodzili do budki z kawą, już mówili o powieszeniu.

- Weźmiemy ten pokój nad twoim bratem, oczywiście

- Eddowes zwrócił się do właściciela, którą kiwnął pośpiesznie głową. - Ma najlepszy widok w całym domu, i będę się kłócił z każdym, kto ma na ten temat inne zdanie. Trzeba byłoby stanąć na samej szubienicy, żeby mieć lepszy.

- No tak, ale tam miałyby się szmatę na głowie, a to wcale nie polepszyłyby widoczności - zażartował ktoś, dając sąsiadowi kuksańca łokciem w żebra.

Opróżniwszy swój kubek, Tom wymknął się z baru niezauważony. Szedł do domu dłuższą drogą, ale nadal nie mógł tego pojąć. Przysługa dla przyjaciela, powiedział Kapitan. Cóż, Tom kiwnął głową, cmoknął z niezadowoleniem i dokładnie wiedział, o co chodzi. Byli tacy przyjaciele, na każdym kroku, przyjaciele, którzy nie mieli nazwiska, ale którzy mieli skłonność do popadania w przeróżne tarapaty i potrzebowali pomocnej dłoni, żeby z nich wybrnąć. Ludzie, którzy nie podaliby ci ręki, gdybyś tonął, nagle robili się bardzo uczynni dla takich przyjaciół. O tak, Tom zrozumiał, co miał na myśli Kapitan, aż nazbyt dobrze. Tyle że teraz hycle wzięli i zapuszkowali kogoś za morderstwo i wyglądało na to, że sprawa jest już zamknięta. Z pewnością ten przyjaciel, dla którego Kapitan tak bardzo się narażał, ten przyjaciel w kłopotach, któremu tak bardzo współczuł, w rzeczywistości ten przyjaciel wcale nie istniał. Jakie były na to szanse? Tom od początku wyczuł, że to podejrzany typ. Był pewien, że Kapitan to ostatni człowiek w stolicy, który wyświadczyłby drugiemu przysługę z czystej dobroci serca. Liczył na to. To było ubezpieczenie Toma, jedyny powód, dla którego mógł draniowi wierzyć. A mimo to, czy to był jedyny raz, gdy ta podstępna kreatura nie zadała sobie trudu, żeby powiedzieć mu prawdę? Wydawało się to niemożliwe, a mimo to Tom nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia. Zastawił swoją pułapkę i złapał szaleńca, podczas gdy Kapitan chodził wolno. Tom nie mógł uwierzyć w taką niesprawiedliwość.

Ten drań wciąż miał Damę. Nie ma wątpliwości, że przyjdzie do Bridge w następną sobotę i będzie trzymał na niej rękę, jakby cała należała do niego, a drugą wyciągał po wygraną, która słusznie należała się Tomowi. Tom skulił się pod swoim kocem i wciągnął do płuc słabe wspomnienie jej zapachu, który przypominał zapach skoszonej łąki. Po chwili jego dłoń wysunęła się spod koca i powędrowała w puste miejsce za kolanami. Dama lubiła się tam układać nocą, wciskając się mocno w miłutkie zagłębienie w nogach, z nosem opartym o kostki jego stóp. Pazury zaczepiały o ostrą wełnę koca i powyciągały małe pętelki. Pogłaskał je i wyobrażał sobie, że wyczuwa przez wełnę kształt jej czaszki. Dzisiaj w nocy czuł w sobie dziurę i raniły go jej poszarpane krawędzie. Nic nie mogło ukoić takiego bólu, ani gorączka gniewu, ani chłodny brzęk pieniędzy. Dama uśmiechnęła się na jego widok jak zawsze, jakby był jedyną rzeczą na świecie, której chciała. Tom przewrócił się na bok, podciągając koc pod

brodę. Musi znaleźć inny sposób. Inaczej to wszystko nie ma sensu. Żadnego sensu, jeśli nie ma Damy.

#### XXIV

Inspektor prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Alfreda Englanda odmówił wejścia do pomieszczenia, w którym William miał być przesłuchiwany, dopóki więzień nie zostanie skrupowany. Nie może ryzykować sytuacji, w której szalenie zrobi się gwałtowny w trakcie przesłuchania, wyjaśnił, podsuwając okulary na nosie oschłym gestem odrazy starej panny. I tak William, po raz kolejny, wsunął ramiona w rękawy kaftana bezpieczeństwa i pozwolił, aby Peake zacisnął pasy. Kaftan ścisnął boleśnie poranione żebra, ale William zagryzł usta i nie drgnął. W żołądku łaskotało, a do ust napłynęła ślina. Nadal czuł to wyjątkowe uniesienie, które go przepelniło zaraz po napisaniu listu, nadzieję, gdy przemycił list do Peake'a. Peake przekaże go do Polly. Będzie wolny. Nadzieje nie były próżne. Będzie dochodzenie. Zostanie oczyszczony z zarzutów, przeproszony. Naturalnie w takich wypadkach policję obowiązywały procedury. Nie odmówi nałożenia kaftana bezpieczeństwa, jeśli tego wymagano. We wszystkich sprawach będzie wzorem współpracy i uprzejmości. To jedyna szansa. Nie zaprzepaści jej. Jeśli to przesłuchanie przebiegnie pomyślnie, jeśli uda mu się przekonać detektywów co do prawdziwości tej historii, to będzie wolny. Dłonie drżały mu z wysiłku utrzymywania w ryzach swojej niecierpliwości.

Na polecenie oficera policji rozstawiono stół i krzesła dla inspektora i jego dwóch współpracowników, a pod tylną ścianą, tak że pomiędzy nimi rozciągała się pusta przestrzeń, jeszcze jedno niskie krzesło dla więźnia. William czekał cicho, z Peake'iem u boku, patrząc prosto przed siebie. Zmuszał się, żeby oddychać cicho, równo. Pod czaszką jego umysł wyciągał się i wirował, euforia siłowała się z przygnębieniem, a lęk z przekonaniem, przyprawiając ślinę silnymi smakami, ale William siedział idealnie spokojny, z zupełnie obojętną twarzą, wdychając i wydychając powietrze, wolno i spokojnie, oddechem niewinnego człowieka, poczytalnego człowieka. Kaftan bezpieczeństwa sprawiał, że stykał dłonie za plecami. Starając się zachować spokój na twarzy, William zacisnął dłonie w pięści, wbijając w nie paznokcie, i całą siłą woli zaatakował szalone pulsowanie w głowie. Musi myśleć jasno. Jedną po drugiej nabijał myśli jak uregulowane rachunki na szpikulec swojego kręgosłupa.

Powiedział prawdę w swoim liście. Nakłucie.

Był świadkiem morderstwa, ale go nie popełnił. Nakłucie.

Strach i mętlik w głowie tak go dręczyły, że wydawało mu się, iż oszalał, chciał oszaleć nawet, ale nie był szalony. Wyczerpany, przestraszony, ale nie szalony. Nie szalony.

Nakłucie.

Z Alfredem Engländern wiązały go relacje zawodowe, ale nie miał powodu, żeby życzyć mu śmierci. Nakłucie.

W tunelach tej nocy był jeszcze jeden mężczyzna. Nakłucie.

I William był pewien, że wie kto. Nakłucie.

Wówczas pogubił się i natychmiast w jego głowie wybuchł hałas, teraz nie tylko głosów, ale ukazujących się jeden po drugim obrazów, twarzy Hawke a tego dnia, gdy William usiłował z nim porozmawiać o umowie na Abbey Mills. Hawke wiedział wtedy, że England nie żyje. Na kilka tygodni przed znalezieniem ciała Hawke wiedział. I tak wszystko zaaranżował, żeby wina spadła na Williama. Obawiam się, że pańskie problemy z panem Engländern dopiero się zaczną. Hawke uśmiechnął się wtedy, wiedząc, co się stanie. Gorycz przepełniła Williama i musiał użyć całej siły, żeby na twarzy nadal malował się spokój. Nie wyjdzie z tego nic dobrego, jeśli przedstawi swoje oskarżenia teraz, wiedział o tym doskonale. Przygryzł wargę, koncentrując się na wyrównaniu oddechu. Jeśli będzie spokojny, to wszystko będzie dobrze. Posiada utrwalone nawyki, jest stały, zdyscyplinowany, metodyczny w poszukiwaniu rozwiązań. Metodycznie przystąpił do sporządzania swojego spisu.

Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc policji w prowadzeniu dochodzenia. Nakłucie.

Gdy Polly zrozumie, nie będzie już dłużej patrzeć na niego tymi oczami. Będą mogli zacząć od nowa, gdzieś daleko od miasta, daleko od kanałów. Nakłucie.

Nie może stracić opanowania. Nakłucie. Nakłucie. Nakłucie. NIE TRACĆ OPANOWANIA. W szpitalu nie było lustra, ale wyobrażał sobie, jak wygląda w oczach świeżych i wykrochmalonych detektywów ze swoją pokrytą bąblami twarzą, rozczochranymi włosami i ramionami boleśnie unieruchomionymi za plecami w uchwycie kaftana bezpieczeństwa. Ubrali go jak szaleńca. Chcieli, żeby był szaleńcem. Strach szczypał go w niemytą skórę głowy. Gdyby siłował się z kaftanem, chociaż przez jedną chwilę, uznaliby go za winnego. Ale on był niewinny. W angielskim sądzie człowiek uważany jest za niewinnego, dopóki nie udowodni się mu winy. A jego nawet jeszcze nie aresztowano. Będą pytania, ale William będzie miał możliwość udzielenia na nie odpowiedzi. Ci mężczyźni nie darzą go osobistą wrogością. Szukają prawdy. Musi jedynie zachować spokój, odzywać się tylko wtedy, gdy zwrócą się do niego z pytaniem, a wtedy odpowiadać uprzejmie, rozważając każde pytanie i udzielać na nie odpowiedzi z powagą, na temat Wtedy rozumieją, że jest jednym z nich, człowiekiem wykształconym, uczciwym, nie bardziej szaleńcem niż oni sami.

Konstytucja brytyjska szanuje prawa każdego człowieka, przynajmniej jeśli jest to człowiek z pozycją i o nieposzlakowanym charakterze, szanowany, taki jak on sam albo przynajmniej jakim był do całkiem niedawna. Musi jedynie się opanować, postępować tak, jak zachowywałby się człowiek przy zdrowych zmysłach, i mówić prawdę. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Wolno, nieomal z namaszczeniem, oficerowie policji zajęli swoje miejsca. Inspektor zasiadł pośrodku, zdjął kapelusz i wygładził dłonią kręcone siwe włosy, wypisz wymaluj perukę sędziego. Następnie zsunął okulary na czubek nosa, żeby dokładnie przyjrzeć się Williamowi ponad ich oprawkami. Przyglądał mu się przez długą chwilę, a potem gwałtownie, reflektując się, wepchnął okulary z powrotem na nasadę nosa

I ponownie skierował wzrok na znajdujące się przed nim papiery. Ściągając wargi w geście dezaprobaty, ze spuszczonym wzrokiem, polecił gestem Peake'owi zaprowadzić Williama do przeznaczonego mu krzesła. Mając ograniczone ruchy ze względu na skrepowane za plecami ręce, William był jedynie w stanie przycupnąć najego krawędzi. Inspektor rozłożył dokumenty i podniósł wzrok.

- Zaczynamy

Policjant po prawej stronie inspektora pochylił się nad notesem, liżąc w oczekiwaniu ołówek. William wyteżył uwagę, oczekując na pierwsze pytanie. Przez brudne okno widział skrawek bladobłękitnego nieba, ptaka zataczającego beztroskie kręgi na wietrze. Spokój, troska, uprzejmość. Udawał, że połknął swój chloral dzisiaj rano, ale gdy Vickery się odsunął, obrócił głowę i pozwolił, aby wsiąkł w słomę materaca. Może powinien go wypić, pomyślał nagle. Być może uciszyłyby ten straszny chaos w głowie. Poruszał nerwowo językiem w suchych ustach, a dłonie nadal miał zaciśnięte w pięści na plecach. W żołądku go kłuło. Spokój, troska, uprzejmość. Pomyśl uważnie, zanim się odezwiesz. Bądź rozsądny, mów z namysłem, bądź uprzejmy. Nie trać panowania. Gdy inspektor pochylił się do przodu, William przechylił na bok głowę w geście uprzejmego zainteresowania. Inspektor jednak nie zadał pytania. Szepnął natomiast coś do mężczyzny po swojej lewej stronie. Ten kiwnął głową i podszedł do drzwi.

Nastąpiła przerwa, dźwięk ściszonych głosów. Do pomieszczenia wszedł Vickery, a za nim szpitalny lekarz z grubymi brwiami, który nazywał się Pettit Nie patrzyli na Williama. Inspektor wskazał im następną parę krzeseł, które ustawiono dla nich blisko stołu. Pięciu mężczyzn wymieniło kiwnięcia głową. Ze swojego krzesła w przeciwległym końcu pokoju William przyglądał się im i strach ścisnął go za gardło. Jego żołądek kurczył się jeszcze bardziej, a jego trzewia zamieniły się w wodę. We wszystkich obecnych, w różnym stopniu,

dostrzegał surowość, naganę i odrazę, a w tym, jak policjant z ołówkiem wykrzywił usta, coś na kształt sprośności, ale ani w jednej z twarzy przy stole nie było najmniejszego śladu chęci dociekania prawdy.

W ciągu przesłuchania inspektor skierował do Williama tylko jedno pytanie i poprosił go jedynie, żeby potwierdził swoje nazwisko i miejsce zamieszkania przed umieszczeniem go w szpitalu. Przez pozostałą część godziny, przez którą był obecny w pomieszczeniu, mężczyzna przedstawił zarzuty kierowane przeciwko więźniowi, od czasu do czasu zwracając się do Vickey'ego lub Pettita z prośbą o potwierdzenie jakiegoś szczegółu. Rozmaici dżentelmeni związani z Metropolitan Board of Works okazali się wyjątkowo pomocni w przygotowywaniu argumentów przeciwko więźniowi. Oczywiście wiele z nich już udowodniono. Obecność Maya w szpitalu była absolutnie wystarczającym dowodem na niepoczytalność więźnia dla jakiegokolwiek ławy przysięgłych. Więzień znał zmarłego mężczyznę. Przyznał na piśmie - tutaj inspektor podziękował panu Pettitowi za dostarczenie listu do Scotland Yardu - że był obecny przy morderstwie. Co więcej, zebrano oczywiste dowody na istnienie motywu zbrodni. Pan Hawke, przełożony Maya w Radzie, zeznał, że pomiędzy więźniem i ofiarą dochodziło często do gwałtownych kłótni. Obydwaj mężczyźni grozili sobie. W jednym wypadku pan Hawke zmuszony był interweniować, żeby zapobiec bójce. Czy doktor Pettit może potwierdzić, że więzień był w istocie gwałtownym człowiekiem?

Pettit nie zawahał się zgodzić. Ależ tak, zupełnie niedawno pan Vickey zmuszony był uciec się do użycia siły, żeby opanować jeden z jego ataków, czyż nie tak, panie Vickey? Tak, to była absolutna prawda, Vickey zgodził się z całą stanowczością, siedząc z plecami uporczywie odwróconymi od krzesła Williama. May okazał się jednym z trudniejszych podopiecznych. Vickey potwierdził również, że więzień miał liczne ślady na ramionach i udach wskazujące na rany od noża i morderczą walkę. W istocie, dodał Vickey, uderzając w stół, żeby przydać swoim słowom większej mocy, nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że England nie był pierwszą ofiarą Maya, zważywszy na wiek sporej liczby bliźni.

Nastąpiło zbiorowe nabranie powietrza w płuca, a potem przesunięcie ciał jeszcze dalej od tej części pokoju, w której siedział więzień z obojętną twarzą. Nie, potwierdził Pettit, oczywiście nikt nie planuje uwolnienia Maya ze szpitala, chociaż były sugestie, że z czasem może zostać umieszczony w instytucji należącej do hrabstwa, gdy cierpliwość i dobroduszość Rady w nieunikniony sposób się wyczerpią. Od przybycia do szpitala nie okazał on żadnego zainteresowania otoczeniem, spędzając znaczną część dnia na swojej pryty. Według fachowej opinii Pettita obłąd więźnia był zaawansowany i ugruntowany.

Lekarz zapewnił Radę, że nie istnieje ryzyko, aby więzień był kiedykolwiek w na tyle dobrym stanie, żeby funkcjonować bez całodobowej opieki medycznej.

A co z listem? Więzień twierdził w nim, że jest niewinny. Czy to była zwykła przebiegłość, czy takie urojenia były spójne z jego szaleństwem? Pettit westchnął. To mógł być każdy z przypadków. Jest możliwe, że więzień w swoim szaleństwie uważa się za niewinnego. W przypadku takim jak ten, gdy więzień sam się przyznał, że cierpi na zaniki pamięci, gdy zaobserwowano urojenia o spotęgowanej i gwałtownej naturze, nie tylko w szpitalu, ale również wcześniej, w miejscu zatrudnienia więźnia, może on nie pamiętać tego, że popełnił morderstwo. Pettit miał do czynienia z takimi przypadkami wcześniej. Spotkał się nawet z szaleńcami, którzy - w rozgorączkowanej wyobraźni - uporczywie przypisywali własną zbrodnię innemu człowiekowi, żeby skuteczniej pozbyć się ciężaru winy, której nie byli w stanie zaakceptować. Czyż nie znaleziono pośród rzeczy więźnia na Greek Street notesu, w którym więzień sam przyznawał, że mógł w istocie popełnić zbrodnię? Nie ma bardziej niewiarygodnego świadka niż szaleniec. Najważniejsze zatem, podkreślił Pettit, to nie dawać żadnej wiary osobistym relacjom więźnia. Policja nie może zwracać żadnej uwagi na to, co twierdzi więzień, bez względu na to jak uporczywie będzie obstawał przy swoim. Jego zeznania są zupełnie bezwartościowe.

Ponieważ Newgate było chwilowo zamknięte ze względu na ostry wybuch dyzenterii, więc William został zabrany bezpośrednio na statek więzienie zakotwiczony w Woolwich, ogromny i zaszczurzony krążownik, który używany był poprzednio do transportu skazańców do kolonii amerykańskich. Tam miał oczekiwać na proces. Pomimo obaw detektywów, których zupełnie wytrącił z równowagi wybuch więźnia pod koniec przesłuchania, zdjęto mu kaftan bezpieczeństwa, zanim opuścił szpital - Pettit niechętny był wspieraniu systemu więziennictwa z własnej kieszeni. Skuto natomiast dłonie więźnia ciężkimi żelaznymi kajdankami. Pozbawiony okien środek transportu do Woolwich zawierał ciasno okratowaną klatkę, w której zamknięto Williama. Natychmiast po przybyciu na statek nałożono mu kajdany na nogi. Chociaż miały zostać połączone łańcuchem dopiero, gdy więzień znajdzie się w swojej celi, bardzo utrudniały chodzenie. William skupił swoją uwagę na przesuwaniu stóp do przodu, po kilka cali za jednym razem, pozwalając sobie na myślenie tylko o trudnej do utrzymania równowadze w stopach, o bólu w łydkach. Posiadanie takiego namacalnego celu przynosiło mu ulgę. Hałas i smród na głównym pokładzie były przytłaczające. Łańcuchy wąskich cel biegły wzdłuż obydwu boków statku i jeszcze jeden, niczym kręgosłup, przez sam środek. Każda z cel miała mieścić tylko jednego więźnia, ale często musieli oni dzielić się przestrzenią. Mężczyźni wrzeszczeli, przeklinali i walili w drzwi swoich cel, gdy William

mijał ich w towarzystwie trzech strażników. Głosy spadały na niego jak kamienie, ze wszystkich stron. Wpatrywał się przed siebie, nie chcąc ich słyszeć. Niektórzy więźniowie byli przykuci za ręce, które przechodziły przez otwory w ścianach i były przymocowane po drugiej stronie żelaznymi kajdankami w kształcie cyfry osiem, sprawiając, że musieli klęczeć albo opierać się o bok statku. Jeden z więźniów umieszczony był w otwartym korytarzu. Wyglądał, jakby pochylał się, żeby podnieść coś, co upuścił, ale z bliska widać było, że szyję ma przymocowaną do żelaznego pręta, podczas gdy stopy zapięte w coś w rodzaju strzemion. Usiłował napluć pod nogi przechodzącego strażnika, ale udało mu się zebrać w ustach jedynie kroplę śliny. Automatycznie, jakby ramię stosowało się jedynie do przepisów więziennych, jeden z eskortujących Williama mężczyzn wymierzył więźniowi równie nieprzekonujący cios w plecy otwartą dłonią. Po spełnieniu obowiązku procesja ruszyła przed siebie.

Na końcu głównego pokładu Williama wsadzono do metalowej klatki podtrzymywanej przez system stalowych lin i bloków. Była zbyt mała, żeby pomieścić ich wszystkich, więc tylko dwoje strażników wcisnęło się do środka razem z nim, skinąwszy do pozostałego, żeby zatrzaskał drzwi. Nastąpiło szarpnięcie i William zatoczył się do przodu, a potem klatka zaczęła wolno opadać w dół. Ciemność robiła się gęściejsza, smród silniejszy. Klatka minęła jeszcze jeden pokład, zanim, z jękiem zdziwienia, podskoczyła i zatrzymała się. Drzwi otworzyły się ponownie i William został wepchnięty w mrok pokładu zakopanego głęboko we wnętrzościach statku. Tam umieszczono go w celi dużo mniejszej niż te na górnym pokładzie, o powierzchni być może dużej szafy. Ponieważ znajdowała się w głębi statku, więc nie miała okien, a powietrze było ciężkie od smrodu i zjełczałe. Od niego skóra na głowie Williama swędziała, jakby włosy pełne były wszy. Nie było tam pryczy, krzesła, niczego z wyjątkiem wiadra w kącie i odrobiny słomy na podłodze. Gdy kajdany na nogach przymocowano mu łańcuchami do żelaznych pierścieni na rdzewiejącej ścianie, strażnicy zamknęli za sobą drzwi

I wyszli. William stał na środku celi długo po tym, jak ich kroki ucichły. Było tutaj ciszej, zgiełk z górnych pokładów docierał stłumiony w skrzepniętym powietrzu, ale to nie była spokojna cisza pustego miejsca. W zamian falowała i pulsowała jak zupa na ogniu, bąbelki od czasu do czasu wybuchały krzykiem lub warknięciem furii. Przez większość czasu zaś cisza wydawała z siebie zaledwie cuchnące opaiy wyczerpania i rozpacz. William doznał nagle wizji tysięcy mężczyzn stłoczonych razem, warstwa na warstwie, a każdy z nich przykuty na wieczność w swojej trumnieceli. Tysiące mężczyzn pogrzebanych za życia, łączywie pochłaniających resztki pozostałego powietrza. Nie wolno tak myśleć. Nie wolno w ogóle myśleć. Jeśli pozwoli sobie na to, żeby myśleć...



Z rozmysłem William zrobił krok do przodu i jego dłoń dotknęła drzwi. Potem się odwrócił. Łańcuchy, którymi przytwierdzono go do ściany, zacisnęły się boleśnie na nogach, wbijając kajdany w ciało. Znowu się odwrócił, wpatrując w podłogę. Poniżej małej żelaznej klapki w drzwiach celi wytarta drewniana podłoga tworzyła płytką nieckę od nieustannego przesuwania stóp. Na ten widok serce zacisnęło mu się w pięść. Zamknął oczy. Bez chloralu umysł miał jasny i pozbawiony bólu. Słyszał wyraźne dźwięki. Bardzo wolno zesunął się w dół po ścianie i przykucnął. Musi oszczędzać energię. Będzie miał prawnika, tak mu powiedzieli. To było jego prawo. On i prawnik, razem, wydobędą go stąd. Był niewinny. To Hawke wiedział, co stało się z Englandem, to Hawke'owi udało się jakoś wmanewrować go w zabójstwo. William był niewinny. Był. Czyż nie?

## XXV

Trawnik wyznaczony do sprawy Williama był nerwowym młodym człowiekiem o nazwisku Sydney Rose.

Po długiej aplikacji przerywanej wydłużonymi okresami przymusowego urlopu, w trakcie których nic nie mogło nakłonić jego ojca do uregulowania opłat za studia syna i Rose zajmował się roztrząsaniem swoich predyspozycji i przydatności do kariery prawnika, został w końcu dopuszczony do adwokatury. William był jego pierwszym klientem.

Mimo że pochodził z rodziny, której przez pokolenia udawało się kamuflować rozmiar finansowych kłopotów pod rozmyślnym płaszczkiem szacowności, Sydney Rose nie był mężczyzną o ujmującym wyglądzie. Bardzo szczupły z delikatnymi, pozbawionymi koloru włosami niemowlaka. Mimo że niezbyt wysoki, miał wyjątkowej długości kończyny, które ze względu na brak centralnego zawiadowania, wykształciły umiejętność poruszania się dość niezależnie jedno od drugich. Rose odpowiadał na ich nieprzewidywalność rodzajem zaskoczonych obojętności. W istocie, młody prawnik robił wrażenie osoby znajdującej się w nieomal ciągłym stanie zakłopotania. Wydatne jabłko Adama ocierało mu się o kołnierzyk przy dość częstym przełykaniu, a wypukłe oczy z różową obwódką otaczały rzęsy tak blade, że zdawały się nieomal nie istnieć. Gdy był zdenerwowany, oczy jeszcze bardziej wylaziły mu na wierzch. Pozbawione owłosienia policzki miały sinobiały kolor chudego mleka. Tylko dłonie miał czerwone, kościste i duże, z poobgryzanymi paznokciami i zaciekle wyszorowanymi kostkami. Strój nosił czysty i względnie starannie wyprasowany, ale uszyto go dla człowieka o bardziej proporcjonalnej budowie, więc nadgarstki wystawały mu spod mankietów jak guzowate maszty, z których zwisały niezdarnie czerwone dłonie, jakby czuły się niezręcznie, wystawione w ten sposób na widok publiczny. Aby ulżyć ich zażenowaniu Rose miał skłonność zakładać je na plecach, gdy mówił, ściskając dłonie razem tak mocno, że

robiły się jeszcze bardziej czerwone i kościste. Gdy nawet to stawało się dla nich nie do zniesienia, szukały ucieczki w kieszeniach, które krawiec umieścił niezrozumiale nisko w szwach spodni. Nawet zważywszy na długość ramion Rosea, nadawało mu to zgarbiony i podejrzany wygląd. Całość zdecydowanie nie wzbudzała zaufania.

Detektywi nie usiłowali ukryć pogardy, gdy Rose przyszedł do nich po raz pierwszy omówić sprawę. Uważali, że sprawa jest zamknięta, a sesje w sądzie to jedynie formalność. Tykowanego prawnika z wyłupiastymi oczami i purpurowymi dłońmi potraktowali jako najtańszy sposób dostępny Koronie na wywiązanie się z obowiązku należytego procesu prawnego. Poświęcili Roseowi niecałe pół godziny, zbywając jego pytania jednowyrazowymi odpowiedziami, podczas gdy ich palce uderzały niespokojnie w stół. W kwestii dowodów, na których można polegać w sądzie, byli w stanie przedstawić mu do wglądu jedynie cienką szarą kopertę, zawierającą oświadczenia dwóch mężczyzn z Metropolitan Board of Works, niejakiego pana Hawke'a i niejakiego pana Spratta oraz kolejnych dwóch mężczyzn ze szpitala Hounslow, niejakiego doktora Pettita i niejakiego pana Vickeiego. Zabezpieczono również inne dowody, przyznali, ale chwilowo zaginęły. Gdy będą już dostępne, przygotują ich kopię do użytku pana Rosea. W niecałe pół godziny od przybycia Rose znalazł się z powrotem na ulicy.

Mimo że miał ochotę odłożyć tę wizytę na następny dzień, Rose poszedł prosto z posterunku policji do Woolwich. Nigdy wcześniej nie był na zacumowanym tam statku więzieniu, więc przeraził go zgiełk i brud. Odór przyprawiał go o mdłości.

Skradał się przez wnętrza statku, grdyka jak świerszcz ocierała się ze świstem o sztywny kołnierzyk, dłonie skrzyżował z tyłu, pragnąc z całych sił zamknąć wypukłe oczy i przenieść się w magiczny sposób z powrotem do skromnego spokoju swej kwatery w Tempie. Gdy w końcu dotarli do celi Williama, strażnik więzienny nie otworzył drzwi. Uważano, że to niebezpieczne, aby pozwolić Roseowi na wejście do celi więźnia. W zamian strażnik otworzył żelazną kłapkę w drzwiach, używaną zwyczajowo do podawania więźniowi codziennej porcji chleba i wody, i wskazał Roseowi gestem, że ma kucnąć, aby przez nią porozmawiać. Na koniec dał prawnikowi żelazny dzwonek, którym miał wezwać pomoc, gdyby więzień sprawiał mu kłopoty albo gdyby Sydney chciał wyjść. Ktoś pokaże mu wtedy drogę. Rose kiwnął głową i pochylił się, gdy strażnik zniknął. Z celi więzień będzie w stanie zobaczyć jedynie oczy gościa, ale kłapka pozwalała Roseowi na pełny widok oskarżonego. W żaden sposób nie poprawił on humoru Rose'a.

William leżał przykuty do ściany. Nadal miał na sobie bawełnianą piżamę ze szpitala, chociaż teraz była brudna i podarta. Piaskowe włosy sterczały jak kępy krzaczastej trawy

wokół jego głowy. Oczy miał zamknięte. Przypominał Roseowi lwa w Londyńskim Zoo, starego, wyleniałego lwa, na którego odwiedzający narzekali, że nigdy się nie rusza, nie ryczy ani nie robi żadnej z tych rzeczy, które lwy robią w książkach z obrazkami, a jedynie wpatruje się w nich, nie mrugnawszy nawet swoimi złowrogimi oczami, życząc im wszystkim śmierci. Więzień śmierdział też jak stary lew. Rose wydobyl chusteczkę z kieszeni i wdychał jej przynoszący ulgę landrynkowy zapach.

- Panie May?

William otworzył oczy, przesuwając wzrok ostrożnie w prawo i w lewo. To nie są oczy, które życzą komukolwiek śmierci, pomyślał nagle Rose, świadom domniemanego gwałtownego usposobienia więźnia. Miały raczej płaski wyraz mało obiecującej szarej koperty.

- Tutaj, przez klapkę. Nie wpuszczą mnie do środka, obawiam się, ale mam pana reprezentować. Na sesjach sądu. Sydney Rose. - Prawnik odchrząknął, a jabłko Adama otarło się okołnierzyk. - Miło mi pana poznać.

Niezręcznie, niepewien obowiązującej etykiety w tak wyjątkowym wypadku, Rose wsunął przez klapkę jedną ze swoich czerwonych dłoni najdalej, jak potrafił. Kościstym nadgarstkiem dotknął zimnego metalu. Czekał przez chwilę, poruszając niezręcznie palcami, ale po drugiej stronie nie pojawiła się w odpowiedzi dłoń. Może nie mógł dosięgnąć. Z drugiej strony, pomyślał nagle Rose, to więzień, szaleniec. Poczul przeszywające ukłucie zagrożenia. Taki człowiek odgryzie człowiekowi palec, jak tylko go zobaczy. Najszybciej, jak potrafił, wyrwał rękę z powrotem przez klapkę. Odrobinę za późno - niczym dotyk ducha poczul na swoich palce drugiego mężczyzny.

- Panie Rose - odparł William bardzo cicho.

Rose zawahał się, pocierając zadrapane kostki dłoni. Głos szaleńca był chropowaty po dłuższym milczeniu, ale opanowany, wykształcony. Bardziej głos urzędnika niż głos szaleńca. Rose przysunął znowu twarz do szczeliny i jego różowe oczy wyglądały zza tej metalowej oprawy jak z wnętrza średniowiecznego hełmu. Sprawiał wrażenie raczej niekonwencjonalnego rycerza.

- Panie May - zaczął. - Mamy zaledwie kilka dni, żeby przygotować pana sprawę. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby mi pan wszystko opowiedział.

Słowa były ostrożne, ale głos serdeczny. William przetarł dłońmi oczy. Rozumiał swoje prawa. Prawo nakazywało im dać mu prawnika, to zrozumiałe, ale nie mieli obowiązku dać mu dobrego prawnika. W czasie długich pustych godzin usiłował mieć nadzieję na otrzymanie pomocy od człowieka, który ma odrobinę ludzkiej przyzwoitości i cieszy się

wystarczającą powściągliwością, żeby pozostać uczciwym przez cały proces. Oczy tego człowieka miały czerwone obwódki i opadające kąciaki oczu pijaka. Jednak wsunął dłoń przez szczelinę. Chciał uściskać dłoń Williama, dotknąć go. Zwrócił się do niego z nieśmiałą uprzejmością, nawet szacunkiem, którego William nie słyszał już od tygodni. Zwrócił się do niego jak dżentelmen. William poczuł pieczenie łez u nasady nosa i pod przeponą, nieznajome drżenie, iskierkę nadziei.

Ciągnąc za sobą łańcuch, przysunął się jak najbliżej do drzwi i przykucnął. Oczy mężczyzn nie były oddalone więcej niż o jedną stopę. William miał ochotę sięgnąć i dotknąć twarzy mężczyzny, żeby poczuć pod swoimi palcami namacalne ciało drugiego człowieka, ale trzymał ręce przy sobie. Nie trać opanowania. Nakłucie. William obliznął wargi. Nie był pewien, jak zabrzmiał jego głos. Nie używał go od wielu dni.

- Ja... moje wiadro; panie Rose. - William przełknął ślinę. - Chciałbym, żeby je opróżniono.

- Oczywiście.

Rose kiwnął głową.

- Oczywiście. Zobaczą, co uda mi się załatwić.

Nastąpiła jeszcze jedna długa chwila ciszy. Rose czekał.

- Nie jestem szalony, panie Rose - wyszeptał w końcu William. - I nie zabiłem Alfreda Englanda.

Oczy prawnika zrobiły się jeszcze bardziej wylupiaste.

- Cóż, to dobrze - wyjąkał.

- Nie zabiłem go - powtórzył William i nieuronione łzy zapiekły go na kościach policzkowych. - Wierzy mi pan, prawda?

Rose zamrugał nieszczęśliwie, gdy więzień przysunął się do niego najbliżej, jak pozwoliły mu na to kajdany. Widziane z bliska oczy nie były płaskie i mleczone, jak mu się na początku wydawało, ale rozświetlone jasnymi plamkami zieleni i żółci. Był kiedyś mierniczym, powiedziano mu, miał wyuczoną profesję, zanim postradał zmysły. Miał rodzinę.

- Cóż - odparł i się zawahał. Zaciśnął swe purpurowe dłonie za plecami. Czerwone kostki przebijały się jak zęby trzonowe przez szorstką skórę. - Proszę mnie posłuchać, panie May. Moim zadaniem jest pana bronić. Uniewinnienie byłoby - naturalnie - idealnym wynikiem, z mojego, jak również pańskiego, punktu widzenia. Jednak nigdy... mają przeciwko panu mocne dowody. Bardzo mocne, z tego, co widziałem. Ale, proszę mnie zrozumieć, spróbujemy. Spróbujemy.

William spojrział w różowe oczy i przygryzł wargi.

- Jest pan całą moją nadzieją, panie Rose. Powiesz mi.

Rose zmusił się, by odwzajemnić spojrzenie więźnia. Czy to inteligencja rozświetlała te lwią oczy, zapalając w nich złote błyski, czy powodował je obłąd? W jaki sposób to rozpoznać?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc - wyszeptał miękko. - Ale będę potrzebował pańskiej pomocy na każdy możliwy sposób. Pan... powiedzmy po prostu, że nie wygląda to dobrze. Dla pana. Rozumie mnie pan? Więc muszę wiedzieć wszystko. Wszystko. Od początku.

I tak William zaczął od początku. Słowa przychodziły wpierw wolno, jakby wyciągał każde z nich osobno, jak kamienie ze swojej piersi. Zapadały długie chwile ciszy. May ocierał swoje nadgarstki o kajdany, jakby mógł się w ten sposób z nich wyzwolić. Rosea bolały kolana. Robił notatki, zdobiąc zamasztytymi zawijasami każdą literę słowa, żeby wypełnić długie okresy ciszy. Usiłował nie słyszeć przerażającego dzwonięcia i jęków dochodzących z innych cel. Pozostawał w tym stanie przez kilka godzin, a jego nastrój przygasał razem z zachodzącym słońcem.

- Będę musiał niedługo już pójść, panie May.

William podniósł głowę i wpatrywał się w Rosea przez żelazną szczelinę. Potem potrząsnął głową, najpierw wolno, a potem gwałtownie, jakby chciał zrzucić ją z szyi. Dreszcz przeszył go, opanowując całe ciało. Oszołomiony wzrok wyostrił się z' desperacji, a na pozbawionych krwi policzkach wykwitły dwie ostre plamki czerwieni.

- Nie, nie, proszę... ja...

William stanął z wysiłkiem. Nie spojrział na Rosea. W zamian przemierzył niewielką powierzchnię swojej celi, dwa krótkie kroki w jednym kierunku, potem dwa z powrotem, dwa do przodu, dwa do tyłu. Kajdany na nogach dzwoniły o łańcuchy. Nadal potrząsał głową, ściskając ją obydwoma dłońmi, jakby chciał wytrząsnąć z niej prawdę. Być może tak się w istocie stało. Bo nagle i bez ostrzeżenia słowa zaczęły płynąć z niego coraz szybciej, aż grzmiały jak spadająca z ust lawina i Rose ledwie był w stanie zachować równowagę pod ich nawalem. Na zewnątrz popołudniowa mgła pociemniała, aż rdzewiejący hulk stał się zaledwie ogromną sztabą czerni na tle grafitowego nieba, ale Rose pozostał na swoim miejscu, z twarzą przyciśniętą do metalowej klapki, a dłoń biegała mu szaleńczo po kartkach rozłożonych na kolanach.

William zdawał się nieomal nieświadomy tego, co mówi, ale słowa mimo to cisnęły mu się na usta. Utkwiwszy wzrok w wytartych deskach podłogi, na przerażających odbitkach

stóp całych szeregów więźniów, którzy już odeszli, powiedział prawnikowi wszystko. Mówił o horrorze Krymu, o koszmarach nocnych, które potem przyszły, o utracach świadomości. Powiedział mu wszystko, co pamiętał o swoich kontaktach z Hawke'iem, o odmowie podpisania papierów, które Hawke sporządził bez stosownej autoryzacji, które zagwarantowałyby Englandowi korzystny kontrakt. Powiedział o próbie Hawke'a, aby go przekupić, a potem zastraszyć. Powiedział o nieustępliwości Englanda, o groźbach właściciela cegielni i własnych niezmiennych odmowach, aby zmienić zdanie. Powiedział, że rzeczywiście doszło pomiędzy nimi do bójki, że uderzył Englanda, ale że potem uciekł. Powiedział, że szukał schronienia w tunelach, jak zawsze, i że chłód wywołał u niego gorączkę, po której długo wracał do zdrowia. Jednak pomimo płomienia gorączki wiedział, zawsze wiedział, że w tej ciemności był świadkiem, nawet jeśli niewidzącymi oczami, morderstwa. Wiele razy powtarzał to swojej żonie, ale ona nie chciała go słuchać, uważała to za nic więcej jak urojenia rozgorączkowanego umysłu. To dlatego właśnie, gdy wiele tygodni potem dowiedział się o śmierci Englanda, uznał, że powinien do niej napisać, za jej pośrednictwem zaoferować pomoc policji. Powiedział Rose'owi o swoim przekonaniu, że Hawke jest jakoś zamieszany w śmierć Englanda. Zgodził się, że przyzna Englandowi kontrakt w zamian za pieniądze, ale nie udało mu się zdobyć tego kontraktu. Firma Englanda była na krawędzi bankructwa. England zrobiłby wszystko, żeby dostać pieniądze. Czy England zastraszył go w jakiś sposób, usiłował go szantażować? Jeśli Hawke obawiał się, że zostanie zdradzony, to...

- Pan Hawke? - przerwał mu Rose. - Jest kontrolerem finansów dla projektu kanalizacji, zgadza się? To wpływowo stanowisko w Radzie?

- Tak! Słynie z tego, że zarządza bardzo oszczędnie. To był doskonały plan, nie widzi pan? Nikt, kto zna Hawkea, nigdy by się nie domyślił, że przez cały czas przelewał pieniądze do swojej kieszeni. Ale on to robił. Sam mi to powiedział. Zaproponował mi w tym udział w zamian za moją współpracę, gdybym dopilnował tego, żeby England zdobył główny kontrakt

- Czy byli jacyś świadkowie tej propozycji?

- Nie, oczywiście, że nie. Hawke nie jest głupcem.

Powieki Rose'a opadły nieco. William słyszał drapanie ołówka po papierze, gdy ten sporządzał kolejną notatkę.

- Jak przypuszczam, wszyscy wiedzieli, że był pana przeciwnikiem?

- Hawke? Nie większym niż innych. Albo przynajmniej nie do czasu jego interesów z Englandem.

- Ale inni wiedzieli, że się nie zgadzacie? To na jego prośbę po raz pierwszy badał

pana lekarz, czyż nie tak było?

- Chciał mnie zdyskredytować - zaprotestował William.

- Czy pan tego nie rozumie?

Rose milczał.

- To ja rekomendowałem, aby kontrakt został przyznany innej cegielni - kontynuował William. - Dwa dni później England nie żył. Minęły tygodnie, zanim znaleźli jego ciało, ale Hawke o tym wiedział. Wiedział to wtedy. Roześmiał się, gdy poszedłem do niego, żeby zaproponować firmę Englanda do kontraktu na Abbey Mills. Wiedział, że jest za późno. Wiedział, że England już nie żyje.

Rose zacisnął usta, by powstrzymać westchnienie. Czuł mrowienie w stopach i skurcz w ramionach. Zmienił pozycję, spoglądając w dół, najdyskretniej jak potrafił, na zegarek, który wyciągnął z kieszeni kamizelki. Był w więzieniu, klęcząc przy klapce od prawie trzech godzin, i nadal nic nie miał. Nic z tego, co powiedział mu więzień, nie obroniłoby się przed pytaniami strony przeciwnej, nawet gdyby pozwolono mu odpowiadać. A tak nie będzie. Ponieważ był szaleńcem z potwierdzoną chorobą, więc zeznania Maya nie były absolutnie nic warte. Rose mógł mieć najwyżej nadzieję na znalezienie czegoś albo kogoś, kto potwierdzi historię Maya. Ale czego? Kogo? Hawke raczej nie zaoferuje pomocy. I Rada będzie milczała jak grób, co do tego nie było wątpliwości. Sytuacja już teraz była niezręczna. Nie będą chcieli, aby jeszcze jedna osoba spośród nich zamieszana była w przykrą aferę.

Poza tym, jakie były szanse, że May mówi prawdę? Albo że to, co, według niego, się stało, rzeczywiście miało miejsce? Rose mógłby podążać tysiącem fałszywych tropów, szukając potwierdzenia dla historii, która nie była niczym więcej jak produktem rozgorączkowanej wyobraźni. Człowiek miewał bardzo przekonujące koszmary nocne, cierpiał na zaniki pamięci. Widział rzeczy, których naprawdę nie było. Twierdził, że nie jest szalony, ale sam oddał się pod opiekę szpitala dla obłąkanych, własnoręcznie podpisując zgodę. Nikt inny nie wątpił, że May jest winny. Dlaczego on miałby to robić? Poruszył stopami, czując, jak łydki budzą się boleśnie do życia. Zamknął notes.

- Jest późno - oznajmił, a różowe oczy opadły w dół. - Muszę iść.

- Wróci pan, tak? Jutro, gdy wcześniej uda się panu porozmawiać z Hawke'iem, z Lovickiem?

- Może - odparł wymijająco Rose. gdy poszedłem do niego, żeby zaproponować firmę Englanda do kontraktu na Abbey Mills. Wiedział, że jest za późno. Wiedział, że England już nie żyje.

Rose zacisnął usta, by powstrzymać westchnienie. Czuł mrowienie w stopach i skurcz

w ramionach. Zmienił pozycję, spoglądając w dół, najdyskretniej jak potrafił, na zegarek, który wyciągnął z kieszeni kamizelki. Był w więzieniu, klęcząc przy klapce od prawie trzech godzin, i nadal nic nie miał. Nic z tego co powiedział mu więzień, nie obroniłoby się przed pytaniami strony przeciwnej, nawet gdyby pozwolono mu odpowiadać. A tak nie będzie. Ponieważ był szaleńcem z potwierdzoną chorobą, więc zeznania Maya nie były absolutnie nic warte. Rose mógł mieć najwyżej nadzieję na znalezienie czegoś albo kogoś, kto potwierdzi historię Maya. Ale czego? Kogo? Hawke raczej nie zaoferuje pomocy. I Rada będzie milczała jak grób, co do tego nie było wątpliwości. Sytuacja już teraz była niezręczna. Nie będą chcieli, aby jeszcze jedna osoba spośród nich zamieszana była w przykrą aferę.

Poza tym, jakie były szanse, że May mówi prawdę? Albo że to, co, według niego, się stało, rzeczywiście miało miejsce? Rose mógłby podążać tysiącem fałszywych tropów, szukając potwierdzenia dla historii, która nie była niczym więcej jak produktem rozgorączkowanej wyobraźni. Człowiek miewał bardzo przekonujące koszmary nocne, cierpiał na zaniki pamięci. Widział rzeczy, których naprawdę nie było. Twierdził, że nie jest szalony, ale sam oddał się pod opiekę szpitala dla obłąkanych, własnoręcznie podpisując zgodę. Nikt inny nie wątpił, że May jest winny. Dlaczego on miałby to robić? Poruszył stopami, czując, jak łydki budzą się boleśnie do życia. Zamknął notes.

- Jest późno - oznajmił, a różowe oczy opadły w dół. - Muszę iść.

- Wróci pan, tak? Jutro, gdy wcześniej uda się panu porozmawiać z Hawke'iem, z Lovickiem?

- Może - odparł wymijająco Rose.

Przez chwilę William stał zupełnie nieruchomo. Potem opadł na kolana. Kajdany ciągnęły go za nogi, ale William zdawał się tego nie zauważać. Utkwił natomiast wzrok w klapce w drzwiach i wszystkie kości jego twarzy zdawały się wyrywać do przodu, pełne wewnętrznego celu. Zwinął dłonie, kładąc jedną na drugiej. Lwie oczy błyszczały złotem. W brudnym białym ubraniu, z pozlepianymi w kępki włosami, z potarganą brodą, wydał się Rose'owi ascetą ze Starego Testamentu, jednym z proroków, który zmuszony był cierpieć nieznośne katusze w imię kapryśnego i mściwego Boga. Nie lew mimo wszystko, a Daniel, zbierający odwagę i wiarę, żeby wejść do jaskini.

- Nie zabiłem go, panie Rose.

Rose mrugnął nieszczęśliwie, zmuszając się, żeby nie odwrócić oczu od wzroku więźnia.

- Zrobimy, co w naszej mocy - powtórzył. - Nie mogę obiecać nic więcej. Dobranoc, panie May.



Energicznie zadzwonił dzwonkiem, aby wezwać strażnika. William przyglądał się, jak oczy znikają z otworu klapki. Przez wąską szczelinę był jedynie w stanie dostrzec czerwone kościste dłonie prawnika, gdy otrzepywał bezskutecznie spodnie, brzeg płaszcza. Materiał był brudny, miał obwódkę z kurzu i kawałków słomy.

- Jeszcze jedno - powiedział William bardzo delikatnie przez klapkę. - Proszę przekazać wiadomość mojej żonie. Proszę jej powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu wszystkich kłopotów, które sprawiłem. Proszę jej powiedzieć, że ją kocham, że zawsze będę ją kochał.

Dłonie się zatrzymały. Nastąpiła przerwa zanim palce wyszukały się wzajemnie, chwytając w mocnym uścisku.

- Oczywiście - wyszeptał Rose. - Oczywiście.

- Proszę jej powiedzieć, że planuję dla niej ogród. To będzie piękny ogród. Proszę jej powiedzieć...

Jego słowa zostały zagłuszone przez donośny chrzęst kroków strażnika. Rose zwrócił się do strażnika cichym głosem, a potem życzył Mayowi dobrej nocy. Błagalnym głosem William poprosił prawnika, żeby przysunął ucho do klapki. Rose pochylił się niechętnie, gdy William coś wyszeptał. Zaskoczony, niepewny, czy dobrze usłyszał, Rose poprosił o powtórzenie, ale za drugim razem William nie był w stanie zrobić nic więcej, jak zaledwie wymówić bezgłośnie słowa samymi wargami. Wyczerpanie trawiło go do szpiku kości. Zamknął oczy, ześlizgując się po żelaznych drzwiach celi, gdy strażnik wyprowadzał Rose a. Zrobimy, co w naszej mocy. Zrobimy, co w naszej mocy. William miał nadzieję, że znajdzie w tych słowach odrobinę pocieszenia, ale powtarzały się pusto w jego czaszce, aż ich brzegi się roztopiły, a znaczenie wyciekło. W końcu zasnął z głową na twardej poduszce kolan i śnił tylko o różowych wypukłych oczach oprawionych w rdzewiejący metal. Gdy się obudził w ciemnej zmarzniętej godzinie przed wschodem, przepełniła go straszna pewność, że, bez względu na to, jak bardzo prawnik chciał się dać przekonać, nie uwierzył w ani jedno słowo historii Williama.

## XXVI

Prawnicy Korony przysłali wiadomość do kancelarii

Rose'a następnego ranka. Oficerowie prowadzący dochodzenie przeszukali poprzedniego dnia boks Maya w biurach Rady na Greek Street i znaleźli ostrze bagnetu, jakiego używali szeregowi żołnierze podczas wojny wschodniej, ukryte pod luźnymi deskami podłogi pod biurkiem mierniczego. Byli pewni, że to broń, którą został zabity England. Na ostrzu znajdowały się krople zaschniętej krwi, a - przyklejone po wewnętrznej stronie - dwa

czarne włosy zgadzały się długością i kolorem z włosami zmarłego mężczyzny. Odkrycie zamykało kwestię oskarżenia. Zważywszy na straszny charakter zbrodni i zagrożenie, jakie niesie ze sobą przetrzymywanie szaleńca na pokładzie statku więzienia przez czas dłuższy niż to absolutnie konieczne, Korona pragnęła jak najszybciej doprowadzić do wydania werdyktu skazującego. Sędzia zatem wydał zezwolenie, aby przesunąć sprawę na pierwszy dzień sesji sądu. Proces Maya odbędzie się w poniedziałek, za sześć dni. Rose ma czas na przygotowanie obrony więźnia do tego momentu.

Zgłosi sprzeciw, oczywiście. Nie mogą narzucać im daty procesu w taki arogancki sposób. Jednak nie to zajmowało Rosea, gdy stawiał czajnik na ogniu, by zagotować wodę na herbatę. Myślał natomiast o Mayu, skulonym i zakutym w kajdany w pozbawionej światła celi. Tak więc, zrobił to, pomimo wszystko. May zamordował Alfreda Englanda. Rose zwinął liścik i wsunął go pomiędzy papiery, zaskoczony własnym rozczarowaniem. Czajnik zaczął tłuc się na podstawce, a Rose wpatrywał się w płomienie, z łokciami opartymi na kolanach i czerwonymi dłońmi złożonymi razem. Rozczarowanie było naturalne, wyjaśnił sobie pośpiesznie. Nikt nie chciał widzieć, jak wieszają jego pierwszego klienta. Później jednak, gdy wziął kapelusz i szedł wolno przez Tempie i wzdłuż rzeki w kierunku Lambeth Bridge, wiedział, że to było coś więcej. Było w Mayu coś, co pociągało Rosea na przekór sobie samemu, chociażnie mógł dokładnie określić, co to było. Z pewnością nie to, że historia Maya była frapująca, chociaż przekonanie, z jakim ją opowiadał, wydawało się szczere. Raczej to, że pomimo brudnych ubrań, skołtunionych włosów i celi, która przypominała psią budę, było w nim coś niezepsutego, coś honorowego. Jakby zbrukane i zarobaczone ciało zawierało doskonale czystą duszę. Cóż, to tylko dowodziło, jak bardzo można się mylić. To te pozory dżentelmeńskiej ogłady tak go zwiodły, bo więźniowie rzadko byli tak uprzejmi. A może wziął za cnotę nic nieznaczącą niewinność szaleńca. Rose westchnął. Jeśli ma kiedyś zostać kimś więcej niż tylko przeciętnym praktykiem prawa, to będzie musiał nauczyć się trafniej rozpoznawać fantazje swoich klientów.

Na moście zatrzymał się, spoglądając w dół na brązową wodę. Na rzece roiło się od barek z węglem i barwnych tratw wyładowanych słomą, wyniosłych jak małe łabędzie obok ogromnych parowców, które pomimo swoich rozmiarów wydawały się zawsze ścigać pomiędzy sobą, dzwoniąc dzwonekami i mieląc kołami szaleńczo wodę, podczas gdy kominy cały czas wyrzucały dym, jakby dyszały, nie mogąc złapać oddechu. Ponad tym hukiem, niesione przez silny zachodni wiatr, docierały krzyki robotników i dzwonienie metalu - w pocie czoła pracowano nad nowym Westminster Bridge. Powierzchnia wody cała była poorana, wzburzona przez wiatr i wiosła. Chmury zbierały się jak ciemne grube gąsienice na

krawędzi nieba, będzie deszcz przed nocą, ale na razie czerwone zimowe słońce błyszczało na wzburzonej powierzchni, sprawiając, że skrzyła się i błyszczała jak kowadło w kuźni. Rose zapisał wiadomość Maya, żeby jej nie zapomnieć, i koperta ciążyła mu w kieszeni. Dzisiaj rano myślał, żeby wysłać ją pocztą, ale nowina o bagnecie sprawiła, że zmienił zdanie. May będzie wisiał w następnym tygodniu, a jego nazwisko stanie się synonimem wszelkiego zła, będzie szeptane z łakomą odrazą w gospodach, tawernach i szynkach w całej metropolii. Jego żona zasługiwała na coś więcej niż pośpiesznie skreślony liścik.

York Street była wąską, niewybrukowaną ulicą z domami w zabudowie szeregowej, wciśniętymi na przekątnej pomiędzy dwoma ruchliwymi drogami. Mogło się wydawać, pomyślał Rose, że domy zostały przybite i posklejane w swoje rzędy, zanim zostały tutaj przeniesione, a na miejscu okazało się, że ktoś pomylił się w obliczeniach i że są zbyt długie jak na powierzchnię, która początkowo została dla nich przeznaczona. Naturalnie nie było budowniczego w Londynie, który pozwoliłby, aby tak nieistotny szczegół miał go powstrzymać, więc ulica została wciśnięta, a trójkąty nierównej ziemi falowały przy każdym brzegu, jak pomarszczony materiał w miejscu, gdzie nie zgadzają się szwy. W przeważającej części domy były małe, ale szacowne, świeżo pomalowane i z wyszorowanymi wejściowymi schodami. Ale na przeciwległym końcu ulicy było jakieś zamieszanie, dobiegały krzyki, a na ulicę wysypywały się skrzynie. Gdy Rose znalazł się bliżej, zauważył, że drzwi do numeru osiem są otwarte i dwóch chłopców o twarzach, które Rose spodziewałby się ujrzyć nad brzegiem doku, biegało tam i z powrotem, nosząc na wąskich piersiach chybottliwe pudełka i skrzynki. Na chodniku już znajdował się stos przedmiotów. Na krześle z giętego drewna stał utracony chiński dzbanek z miską obok makatki z napisem NIE MA JAK W DOMU. Rose zawahał się, dotykając lekko palcami jedwabistego splotu nici.

- Co dobrego pan robi?

Rose podniósł wzrok z poczuciem winy. W drzwiach stała kobieta. Jej kasztanowe włosy rozrzucone były wokół twarzy, a karmelowe oczy miały obwódki purpurowych cieni.

Bezkształtną sukienkę przewiązała w pasie fartuchem. Zasłaniała małego chłopca, który szukał schronienia w jej spódnicy. Malutkie rączki zwijały w kulki bawełnę w roślinne wzory.

- Pani May?

Kobieta zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Kim pan jest?

- Rose. Sydney Rose. Reprezentuję pani męża.

Kobieta pychnęła, kładąc jedną dłoń na jasnej głowie chłopca i przyciągając go bliżej.

- Jestem jego prawnikiem - dodał Rose. - Widziałem wczoraj pani męża. Poprosił mnie, żebym przyszedł. Z wiadomością.

Wsunął dłoń do kieszeni. Usta kobiety zacisnęły się, jakby ktoś pociągnął za sznurki zamykające sakiewkę.

- Wiadomość wiele mi nie pomoże. Potrzebujemy pieniędzy. Nie przypuszczam, żeby mi przysłał jakieś, prawda?

- Przykro mi, ale nie.

- Słucham w takim razie - rzuciła oschle kobieta, nie ruszając się ze stopnia, ale Rose był pewien, że zadrzała. - Co to za wiadomość?

- Czy mogę wejść do środka?

- Wydaje się to raczej zbędne, skoro prawie wszystko, co mamy, znajduje się tutaj - odparła, ale jej głos stracił szorstki ton i odsunęła się, żeby go wpuścić do środka. Następnie zaprosiła go do małego saloniku.

Nie było tam mebli. Podłoga była pozamiatana, ale na ścianach były plamy, tam gdzie świece pozostawiły smugi sadzy. Rose stał niezręcznie na środku pokoju, z czerwonymi dłońmi złożonymi z tyłu. Mały chłopiec przyszedł za nimi do saloniku. Mimo że nie puścił spódnicy mamy, nie chował już twarzy. W zamian trzymał głowę wyciągniętą sztywno do góry i stopy wysunięte odrobinę przed stopami mamy, jakby miał nadzieję ją obronić przed ciosem tego, co Rose miał powiedzieć. Wpatrywał się w Rosea bez zmrużenia oka. Ma takie same szeroko rozstawione oczy w kolorze toffi, jak jego mama, pomyślał Rose. Musiała być kiedyś ładną kobietą, zanim się zestarzała i straciła nadzieję. Rose odchrząknął, a jego grdyka ocierała się niewygodnie o wykrochmalony brzeg zbyt ciasnego kołnierzyka. Kobieta splotła razem palce i wpatrywała się w nie usilnie, przygryzając dolną wargę.

- Pani mąż poprosił mnie, żebym pani powiedział, że panią kocha - rzucił pośpiesznie, bez żadnych wstępów. - Ze przeprasza za wszystkie kłopoty, które sprawił.

- To wszystko, tak?

Kobieta nie podniosła wzroku.

- Nie całkiem. Powiedział, że planuje dla pani piękny ogród. Coś o krzyżownicy, wydaje mi się, i słodkim Williamie, chociaż obawiam się, że mogłem źle usłyszeć.

Rose wykrzywił twarz w przepaszającym uśmiechu.

- Wydaje mi się, że jestem zupełnym ignorantem, jeśli chodzi o kwiaty.

Przez chwilę kobieta stała tak nieruchomo, że Rose przestraszył się, iż zaraz zemdleje. Potem zakryła twarz dłońmi. Jej ramiona drżały. Rose zrobił krok do przodu i delikatnie umieścił jedną ze swoich czerwonych dłoni pod jej prawym łokciem.

- Pani May, tak mi przykro...

Czekał aż się uspokoi, podniesie wzrok, ale ona nadal przyciskała dłonie do twarzy. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Mały chłopczyk wpatrywał się w nią pilnie z zadartą głową, głaszcząc jej nogę przez zniszczony materiał spódnicy.

- Pani May, może powinna pani usiąść? - Rose rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu krzesła. - Może na schodach?

Delikatnie wyprowadził ją z saloniku do wąskiego korytarza. Z pokoju na tyłach domu dobiegł piskliwy płacz, jak miauczenie małego kotka. Chłopiec spojrział niespokojnie w stronę skąd dobiegał hałas, ale jego matka nie zwracała na nic uwagi. Siedziała na schodach w milczeniu przez dłuższą chwilę. Chłopiec położył głowę na jej kolanach. Potem, nareszcie, zdjęła dłonie z twarzy i, wycierając oczy w fartuch, wysłała dziecko do kuchni.

- Powiesz go, prawda? - zapytała, gdy dziecko odeszło, słabym głosem, ale nieomal spokojnym.

- Tak myślę. - Rose zawahał się, wykrzywając boleśnie palce za plecami. - Znaleźli nóż, widzi pani. Schowany pod jego biurkiem na Greek Street

- Nie. - Polly potrząsnęła głową i zmarszczyła z niedowierzaniem czoło. - Nie. To jest niemożliwe.

- Przykro mi...

- Pan nie rozumie. To niemożliwe.

- Wiem, jakie to musi być trudne dla pani, pani May...

- Nie! - Polly podniosła gwałtownie głowę. - Nie mogli znaleźć noża. Ja... ja... to nie ten nóż. To nie może być ten nóż.

- Dlaczego nie?

- Bo ja go mam.

Rose wpatrywał się w nią.

- Słucham?

- Ja go mam. Nóż Williama. Ten, który miał ze sobą tamtej nocy. Był w jego kieszeni, gdy ci policjanci przyprowadzili go do domu. Znalazłam go. Ja... ja... bałam się. Gdyby wrócili. Zakopałam go. W pojemniku na mąkę. Nie wiedziałam, co zrobić.

- I nadal go pani ma?

- Tak. Potem zamknęłam wszystkie noże. Żeby... żeby był bezpieczny.

- Czy mogę zobaczyć ten nóż? Proszę.

Polly kiwnęła głową. Próbowała wstać, opierając się na poręczy, ale nagle cała krew odpłynęła z jej twarzy i pochylila się, chwytając za brzuch.

- Czy na pewno dobrze się pani czuje? - zapytał z niepokojem Rose.

Polly wyprostowała się ostrożnie.

- Proszę pójść ze mną - powiedziała.

Kuchnia nie była jeszcze całkiem spakowana, chociaż na małej przestrzeni stłoczonych było mnóstwo pudełek i koszy. Chłopiec wpatrywał się w jeden z nich, dotykając czegoś w środku palcem. Polly włożyła dłoń do pojemnika z mąką. Pył uniósł się posłusznie, osiadając na jej ramionach i bieląc jej już i tak białą twarz.

- Proszę.

Podawała mu zawiniątko ze starej chusteczki. Mąka posypała mu się na buty, gdy odwijał przedmiot Nóż. Do ostrza przykleiła się mąka. Rose wykonał ruch, żeby ją zmieść.

- Jest na nim krew, pani May.

- Ciął się. - Polly spojrzała w stronę chłopca i przełknęła. Jej głos był nieomal niesłyszalny. - Nie wiem dlaczego.

- Czy kiedykolwiek używał bagnetu?

Polly zamknęła oczy, przytrzymując się krawędzi pieca.

- Pani May, nie powinienem...

- Nie mógł zabrać noża z powrotem na Greek Street panie Rose. Przyszedł prosto tutaj z kanałów tej nocy. Ten nóż był w jego kieszeni. Potem trzymałam wszystkie nasze noże zamknięte. Co do bagnetu...

Twarz Polly złagodniała na wspomnienie. Nadal była ładna, pomyślał Rose. I chyba nie starsza niż on sam.

- Wrzuciliśmy jego bagnet do rzeki. Razem. W kilka miesięcy po jego powrocie do domu. Mogliśmy coś za niego dostać, gdybyśmy go sprzedali, ale powiedział, że świadomość, iż rdzewieje na dnie Tamizy, pomoże mu zapomnieć o tych strasznych czasach. Zaczynał się czuć lepiej, widzi pan. Był już prawie całkiem zdrowy.

Znowu ten wysoki piskliwy płacz. Chłopiec pośpiesznie zabrał dłoń z koszyka.

- Jest głodna, mamó.

Polly sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego zawiniątko, nucąc delikatnie. Znowu rozległ się płacz. Polly zaczęła śpiewać bardzo miękko kołysankę, której Rose nigdy wcześniej nie słyszał.

Poczuł pociągnięcie za nogawkę spodni. Spojrzał w dół, w karmelowe oczy chłopca.

- To moja nowa siostra - wyjaśnił chłopczyk - Ma na imię Edith. Jedzie zamieszkać ze mną, z moim wujem Maurice'em. W Kent To na wsi.

- Ach tak?

Chłopiec skinął głową.

- Mama też przyjedzie, jak tylko będzie mogła. Żebyśmy mogli być w całą trójkę razem. Trzy to szczęśliwa liczba, mówi mama. Spojrzał na niemowlę oczami szerokimi ze strachu i dumy. - To dlatego moja siostrzyczka ma trzy imiona. Nie tylko Edith. Edith Elizabeth Violet\*.

Padalo mocno, zanim Rose opuścił York Street Dwaj chłopcy wspinali się, umieszczając ostatnie pudełko na czekającym wozie, ale krzesło z giętego drewna nadal było tam, gdzie je pozostawili. Kropla deszczu wisiała niepewnie na dzióbku utraconego dzbanka. Jedwabne nici makatki sączyły słabą strużkę koloru na lniane tło. Rose postawił kołnierz. Idąc wzdłuż rzeki, gdy szaiy deszcz zacinał go boleśnie w twarz, ćwiczył słowa, zwracając się do siebie z surową nieustępliwością. Tym razem nie zamierzał dać się zbyć.

Policjant mamrotał coś pod nosem, podnosząc i stawiając na stole pudło z papierami. Papiery były niczym więcej jak rutynowymi dokumentami, stwierdził. Nikt nie uważał, że warto je zatrzymać. Zawierały jedynie informacje, które łatwo zweryfikuje jakikolwiek dżentelmen z Rady. Przy tym były prywatnymi papierami i policjant nie mógł swobodnie nimi dysponować, powierzając je Rose'owi. Miały zostać zwrócone do biura Rady następnego ranka.

- W takim razie sam je tam dostarczę - poinformował go Rose, podnosząc pudełko. - Gdy już zapoznam się z ich zawartością.

- Proszę mnie posłuchać, nie może pan tak po prostu...

\*Fiołek (ang.).

- Och, myślę, że jeśli pan sprawdzi, to się pan dowie, że mogę. Dziękuję panu. Był pan bardzo pomocny.

Wąsy policjanta zadrgały, ale nie poruszył się, żeby zatrzymać Rosea. Młody prawnik objął karton. Był ciężki i nieporęczny, a Rose nie był silnym mężczyzną. Jednak gdy schodził po schodach posterunku policji, a deszcz skapywał mu z nosa i spływał zimnymi strużkami po płaszczu, krok miał nienaturalnie lekki.

## XXVII

Więźniowie nie dostawali chloralu. Pierwsze dwa dni bez niego były straszne. Serce Williama biło jak oszalałe, kończyny wykrzywiały się i podskakiwały w żelaznych kajdanach. Język tkwił jak wałek wełny w wyschniętych ustach. Dręczył go ból, trudny do określenia strach, który

- jeśli ustał na chwilę w swojej z nim walce - przenikał do góry przez podeszwy stóp i mroził swoim zimnym czarnym oddechem kark. Głowa trzeszczała i pulsowała. Nie miał

odwagi zasnąć. Szczyty kotłujące się w słomie sprawiały, że ziywał się przerażony. Dużą część dnia spędzał zgarbiony, kucając nad swoim zardzewiałym wiadrem. Chwytał się rozpaczliwie za ściskany skurczami żołądek, podczas gdy skóra uwalniała zimny śliski pot, który występował mu na czoło i zastygał we włosach. Nikt nie opróżniał jego wiadra. Nikt się do niego nie odzywał. Nędzne posiłki podawano na wygiętym metalowym talerzu przez kłapkę w drzwiach. Na początku William nie mógł się powstrzymać, żeby nie wołać do strażnika o podanie mu dawki środka uspokajającego, ale nigdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Kłapka otwierała się, jedzenie wpychano do środka, kłapka się zamykała. Gdy William próbował się odezwać, kłapka się zatrzaśniała. Ten rytuał powtarzał się trzy razy dziennie. Jedzenie było mizerne i składało się głównie z twardego chleba i rzadkiej, pozbawionej smaku zupy, ale William zauważył, iż tęskni za nim, nie dlatego, że jest głodny, ale dlatego, że jak zauważył, znajomy surowy kształt brudnej dłoni, która podaje

- 292 - mu talerz, przynosi mu ulgę. W pierwszych dniach był to jedyny kontakt z inną istotą ludzką.

Na trzeci dzień, a może był to dzień czwarty, obudził się, słysząc dzwonięcie kajdan więźnia wyprowadzanego z celi. Było rano, zgadywał. Spał, być może, przez kilka godzin. Umysł wydawał się jasny, pulsujący ból głowy stał się zaledwie znikającym wspomnieniem za oczami. Jeśli trzymał głowę nieruchomo, to mógł sobie nieomal wyobrazić, że zniknął. W piersi cicho, równo pompowało serce. Przytrzymał dłoń na wysokości oczu. Nie drżała. William ostrożnie wziął głęboki oddech. Dusił go smród z wiadra. Gdy nadeszło śniadanie, William zwrócił się do strażnika, prosząc, żeby je opróżniono. Kłapka trzasnęła, zamykając się. Ale godzinę później znowu się otworzyła, znajoma surowa dłoń zagięła się na żelaznej szczelinie. Każdy postrzępiony paznokieć wykończony był idealnym półkolem brudu. William podniósł odrobinę głowę opartą na kolanach.

- No, no. Masz gościa.

Polly, pomyślał i ta myśl wybuchła jak szkarłatny fajerwerk w jego piersi. Nasłuchiwał pierwszego dźwięku jej słodkiego głosu. W zamian usłyszał niepewny głos młodego mężczyzny i zobaczył, przez szczelinę, inną dłoń, czystą tym razem, ale czerwoną i kościstą, same kostki i stawy. Sydney Rose. Jego prawnik, na koszt Korony.

- Życzę szczęścia - usłyszał mruknięcie strażnika, który zaśmiał się nisko. - Bóg wie, że będzie panu potrzebne.

Tego popołudnia William mówił, aż ochrypl. Prawnika wydawał mu się dość kompetentny. Ale gdy go opuścił, William czuł się pusty, a żebra miał obolałe z nieszczęścia. I ze strachu. Wcześniej się nie bał. Szpital dla obłąkanych, więzienie, nawet szubienica nie



były mu straszne, bo cały strach, jaki odczuwał był strachem przed sobą samym, przed tym, do czego był zdolny. Wierzył, że jest obłąkany. Wiedział, że jest obłąkany. Był w nim diabeł, diabeł, który ukrył się w najciemniejszych zakamarkach serca, diabeł, który zatrzał mu krew, posiadał oczy i uszy i ukradł ręce, żeby móc popełniać niewyobrażalnie straszne zbrodnie w imieniu Williama. Widział pewność w oczach innych ludzi, detektywów i doktorów, nawet prawnika za jego żelazną maską. Wpatrywali się w niego, a odraza, moralne potępienie i fascynacja łączyły się razem, rozciągając im oczy i zalewając usta śliną. Żaden z nich nie miał żadnych wątpliwości, że William May zabił Alfreda Englanda.

Przykuty łańcuchami w swojej celi, gdy ciało wołało o chloral, William usiłował wygładzić drżący, pocący się wrak swoich myśli, ale one wyslizgiwały się i podskakiwały mu pod palcami, nie pozwalając nadać sobie kształtu. Pamiętałby, powtarzał sobie i przekonywał się, że powinien w to uwierzyć. Pamiętałby, gdyby zabił człowieka. Pod Inkermanem zabił człowieka, dwóch ludzi. Rosjanie zakradli się pod namiot w gęstej mgle i kłuli bagnietami płótno. Inżynier, który spał obok niego, obudził się w chwili, gdy bagnet przeszywał mu szyję. Wciąż ogłupiały ze snu William zdołał wydostać się w samej bieliźnie na zewnątrz i ugodzić rosyjskiego żołnierza bagnietem pomiędzy łopatki, gdy ten kucał, ładując swój muszkiet. Później, dużo później, zabił innego człowieka, ale wtedy masakra, która go otaczała, zniekształciła wszystko w tak niepojęty sposób, że wydawało się to nieomal normalne. Ten pierwszy to było coś innego. William nadal pamiętał każdy szczegół, ściągnięcie mięśni ramion, gdy unosił do góry bagnet głuchy odgłos, gdy wpychał ostrze przez szary płaszcz mężczyzny, sposób w jaki podskoczyły mu plecy, bulgot w jego gardle, siła jakiej potrzebował, żeby wyciągnąć z niego ostrze, krew, która zapłonęła jak kwiat na szorstkim materiale, gdy Rosjanin przewracał się na bok, upadając w błoto. Szczupła zwyczajna twarz mężczyzny była wykrzywiona ze zdziwienia, poranione wargi rozchylone. Nie różnił się od tysiąca brytyjskich żołnierzy. William zwymiotował wtedy, ale pośpiesznie, wycierając ostrze bagnetu w kępkę trawy, gdy się pochylił. Krzyki i przekleństwa rozlegały się wokół niego, grudki dźwięku we mgle. William dźgał na ślepo wbijając swój bagnet raz po raz w pierś mężczyzny. Krew ciekła mu pomiędzy palcami. Pamięć o tym ścinała żołądek i William wbijał paznokcie w dłonie, przepędzając ją. Nie mógł zabić Englanda, przekonywał się raz po raz. Nie mógłby przecież o tym zapomnieć.

Dzień, w którym przyszedł prawnik, był pierwszym dniem, gdy myśli leżały wygładzone, nie fałdując się i nie rozrywając pod palcami. Były ulotne, ale miały swój kształt i brzegi zaznaczone pierwszymi pasmami pewności. W szpitalu dla obłąkanych chloral głuszył zmysły Williama, tłumiąc jego myśli i apetyt. Teraz głód trawił brzuch, ale otwierał za

to szczeliny mózgu, wpuszczając do wewnątrz światło. Wpuszczając strach. Po raz pierwszy, odkąd został przyprowadzony na statek, zrozumiał, że nie chce umrzeć. Marzył, by poruszać się nieskrępowanie, żeby oddychać nieskażonym powietrzem, żeby zmyć brud z potarganych włosów. Myślał o Polly, o Di. Gdy za nimi tęsknił, zwijał łańcuchy w ciasne węzły, pocierając golenie i nadgarstki mocno o ostre brzegi kajdan. Były zbyt tępe, żeby przeciąć skórę do krwi, ale ból, jaki wywoływały, uspokajał go.

Poprosił Rose'a, żeby wrócił następnego dnia. Przez cały poranek William czekał, układając wspomnienia jedno obok drugiego i obracając każde z nich wielokrotnie, tak jak zrobił to w notesie w dniach po morderstwie. Tym razem nie było szansy na papier i atrament ale gdy zmuszał się, żeby je sobie przypomnieć, z głową przechyloną z namysłem, kładł słomkę za każdy przypomniany skrawek dźwięku, układając je jak szczeble drabiny na podłodze obok siebie. Gdy rosyjskie wspomnienia nadciągały złowieszczo i syczący odgłos noża w ludzkim ciele narastał mu w uszach, przeganiał je. Należało skupić się wyłącznie na tej nocy. Musiało być coś, o czym zapomniał. Coś ukrytego w tych łuskach dźwięków, w zgrzytach ipluskach, i chlupocie, i jękach. Coś namacalnego.

Minęło kilka godzin po tym, jak dłoń zabrała z powrotem talerz po lunchu, gdy usłyszał kroki na żelaznym przejściu. Były lżejsze niż kroki strażnika więziennego i pilniejsze. William poczuł, jak włoski stają mu na karku. W chwilę potem otwarła się żelazna klapka. To był Rose. Tym razem prawnik nie marnował czasu na uprzejmości.

- Wydaje mi się, że coś mamy - rzucił pośpiesznie. - Nie dość, jeszcze nie, ale coś. Coś, co może obciążyć pańskiego Hawke'a.

William wykrzyknął na przekór sobie. Wpatrywał się w oczy w oprawie żelaznej szczeliny i przez chwilę poczuł, jak serce pęka mu z radości, zalewając płaską pierś gorącą lepłą krwią. W głowie kręciło mu się tak bardzo, że wydawało mu się, iż zemdleje.

- Ja... - zdołał wydobyć z siebie.

- Kontrakt, o którym pan mówił, znalazłem go.

Nie spał do czwartej nad ranem. W zimnych spokojnych godzinach nocy Rose pracował, przeglądając metodycznie pudło papierów, które zabrał z posterunku policji. Duża ich część dotyczyła kwestii związanych z bieżącą działalnością cegielni iw głowie Rosea kłębiły się cyfry, kolumna za kolumną; drażnienie, 6 szylingów 60 centów za jard sześcienny; cement portlandzki, 13 szylingów za jard sześcienny; murarka, 14 funtów za blok\* cegły; cegła luzem, 35 szylingów za tysiąc sztuk; robotnik dzienny, 3 szylingi 60 centów. Jeśli w tych liczbach kiyły się jakieś sekrety, to pozostawały dla Rosea nieodgadnione. Dopiero na dnie pudła znalazł kontrakty. Był tam ich gruby plik, przewiązany wstążką, w okładce w

płowożółtym kolorze. Większość z nich dotyczyła małych kwot, umowy z przedstawicielami branży budowlanej, od czasu do czasu pomniejszy lokalny projekt. Większość z nich miała ponad rok. Tylko jeden nosił datę grudzień 1859. Kontrakt na dostawę cegieł dla Rady przez niżej podpisanego, Alfreda Englanda z firmy England Son, z Battersea. Widniał na niej podpis Hawke'a, ząbkowane ostrze czarnych igieł, i Englanda też, wykonany łagodnym, dziecięcym charakterem pisma, grube litery z zawijasami. Tam, gdzie wymagany był podpis Maya, nie było nic, jedynie krzyżyk wykonany ołówkiem, postawiony tak mocno,

\*Ang. Rod of brickwork - jednostka masy powierzchni murowanej z cegieł używana w Londynie i sąsiadujących hrabstwach (mierząca 306 stóp sześciennych i składająca się z 4352 cegieł). że grafit przedarł papier. Rose wpatrywał się w niego tak długo, zaklinając, żeby zdradził swoje sekrety, że słowa przestały mieć sens i znaczenie.

- Panie Rose, mój Boże.

- Mam też pana nóż - kontynuował Rose. - Można rozumować, że broń znaleziona w pana biurze została tam podrzucona, żeby skierować na pana podejrzenie. Ale to są jedynie poszlaki. W sądzie nie wystarczyłoby to jako dowód. Potrzebujemy czegoś więcej. Czegoś, co umiejscawia naszego człowieka tam, w kanałach, w czasie morderstwa. Coś konkretnego.

Bardzo wolno William uniósł dłonie, żeby zakryć twarz. Trwał w takiej pozycji przez kilka minut. Potem podniósł głowę. Oczy mu jaśniały, czy z nadziei, czy od łez, Rose nie potrafił stwierdzić.

- Wierzy mi pan, że go nie zabiłem - szepnął William.

Nie było to pytanie i Rose nie odpowiedział na nie.

- Nie mamy dość, żeby przekonać sąd - odparł natomiast - Chcę, żeby ponownie opowiedział mi pan całą historię. Każdy szczegół.

William ponownie zakrył twarz. Spierzchnięte usta drapały wewnątrz dłoni, a na palcach czuł swój gorący oddech. Potok krwi w piersiach wystygł i zastygł. Nie może się bać. Blizny na przedramionach puchły i paliły. Musiał zachować spokój. Przygryzł wargę, wbijając ostre czubki siekaczy w spierzchnięte ciało z taką zaciekłością, że poczuł w ustach smak krwi. Ssał ją, czując jak na koniuszku języka zbiera się kropla o metalicznym smaku, następnie nałożył ją jak zaprawę pomiędzy zęby.

, Jego język też będzie krwawił, gdy ugryzie go wystarczająco mocno. Nie było to konieczne, jeszcze nie. Ale uspokoiło go to. Huk w uszach ucichł trochę. Ostrożnie podniósł słomki, które wyłożył wcześniej, jedną za każdy dźwięk, i, przedzierając je, jakby miał wydobyć z ich wnętrza najważniejsze z sekretów, zmusił się, żeby sobie przypomnieć.

Gdy skończył, podniósł wzrok. Oczy w żelaznej szczelinie odsunęły się na bok

- To nie wystarczy, prawda?

Znów, nie było to pytanie.

- Obrona prawna jest jak jeden z pańskich kanałów - wyjaśnił cicho Rose. - Poprawnie skonstruowana może wytrzymać każdy atak, nawet najbardziej nieprzyjemny. Jeśli jednak któraś z użytych cegieł jest zmurszała albo źle osadzona w strukturze, to całości grozi zawalenie. A jeśli ma się niewystarczającą ilość cegieł...

Cegły. Tarcie cegły o cegłę. To coś znaczyło, ten dźwięk. Miał swój kształt, wydawał się znajomy, tak jak zgrzytliwe tarcie metalu i kapanie wody w dzieciństwie zawsze oznaczały dzień prania. Długo po tym, jak odeszła mama, William słyszał dźwięk wyżymaczki i wydawało mu się, że jest poniedziałek. W ten sam sposób dźwięk niósł ze sobą smaki, uczucia. William zamknął oczy. Tarcie cegły o cegłę. Ciężar noża w dłoni. Smak krwi w ustach. Zimny wilgotny zapach w nozdrzach. Ciemność. Powtarzający się odgłos ostrza wbijanego w ciało. Biała twarz, oczy jak ciemne otwory. Nie, nie, nie to. Tunele. Ciemność tuneli. Cudowne pulsowanie bólu w ramionach. Zarysy ostre, dłonie, twarz, serce, twarde i zimne, obecne. Klarowność. Spokój. William usłyszał siebie, jak krzyczy, dysząc od nagłego pragnienia. Rozpaczliwie próbował przyłgnąć do tych uczuć, zatrzymać je przy sobie, ale już zniknęły, cienie, które rozwiały się, gdy nadeszło światło. William nie otworzył oczu. Zębami poszukał zranionego fragmentu wargi i wbił się weń znowu, aż poczuł ciepły smak krwi.

- Panie May? - zapytał z troską przez szczelinę Rose. - Czy źle się pan czuje? Czy potrzebuje pan wody?

William otworzył oczy.

- On coś ukrył - rzucił. - On coś ukrył.

- Kto? Hawke?

- Tak On coś ukrył. W ścianie.

- Tak? Co?

- Nie wiem. Ale wiem, że tak się stało. Ja... ja też ukrywałem rzeczy. Cegły były zmurszałe. Łatwo dawały się wyciągnąć.

Można było schować coś tam na dole i mieć pewność, że nikt nigdy tego nie znajdzie.

- Więc mówi pan...

- On coś tam ukrył. Może coś ważnego. Żeby nie zostało znalezione.

- Broń?

- Może.

- Papiery?

- Nie wiem.

- Nie. Jednak coś.
- Tak. Coś.
- Jest pan pewien?
- Całkiem pewien.

Rose tak mocno przyciskał twarz do żelaznych drzwi, że ich brzegi wbijały się boleśnie w nasadę jego nosa.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie?

William pokiwał głową.

- Brygadziści, oni znają tunele...
- Zabiorą mnie na dół?
- Może. Jeśli im pan zapłaci.
- Zapłacić im. Tak.

To było bardzo ryzykowne i Rose to wiedział. Ale proces był zaplanowany na kolejny poniedziałek. Zostało mu tylko kilka dni. Nie mógł zmierzyć się z Hawke'iem, jeszcze nie, nie z tym, co miał. Ale jeśli coś było tam, na dole, cóż, to mogło zmienić wszystko. Mogło to nie wystarczyć, aby skierować podejrzenie omorderstwo na Hawke'a, ale nie miało to teraz najmniejszego znaczenia. Musiał jedynie wskazać na wystarczającą liczbę wątpliwości w oskarżeniu przeciwko Mayowi i w ten sposób sprawić, że sąd będzie zobowiązany go uniewinnić. Będzie adwokatem, który wybronił szaleńca. Wtedy będą go traktować poważnie, nawet ojciec i polujący kolesie, którzy nie mieli żadnego uznania dla miejskich profesji, z wyjątkiem tych okazji, gdy mogły one zapewnić pożyteczny dochód w cięższych czasach. Usiedliby i zauważyliby go, pokazując swoimi czerwonymi palcami jego nazwisko na stronach periodyków. Wtedy by im pokazał. Oto on, mówiliby, gdy kroczyłby przez Tempie w nowym stroju do Old Bailey, oto idzie ten sławny prawnik, który obronił sprawę nie do obronienia. W całym życiu nie widzieliście czegoś takiego, mówiliby. Jeśli czegoś można być pewnym, to tego, że Sydney Rose, honorowy członek palestry, urodził się, żeby być prawnikiem.

William zakaszłał, całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, dzwoniąc łańcuchami na nogach. Szczęk kajdan wyrwał Rose a z rozmyślań. Duma była grzechem, napomniał się surowo, a twarz splonęła mu rumieńcem wstydu. Wysłuchał uważnie tego, co mówił May, i zrobił precyzyjne notatki. Mimo to wciąż czuł dreszcz emocji, który przebiegał mu jak strumień pęcherzyków po kręgosłupie. Nie obawiaj się tego, powiedział sobie, itym razem był dla siebie łagodniejszy. W przeciwnym razie z pełną świadomością posyłasz człowieka na szubienicę, człowieka, który ma żonę i dwoje dzieci, człowieka, który może być niewinny.

Nigdy nie obawiaj się nadziei.

## XXVIII

Odpowiedź brzmi nie, odparł brygadzysta i wzruszył swoimi szerokimi ramionami. To więcej niż warta jego praca, taka prawda. Odkąd wydało się, że ciało właściciela cegielni zostało wyciągnięte z tunelów, nastąpiła prawdziwa powódź ludzi zainteresowanych szperaniem pod ziemią, głównie ludzi z gazet, oczywiście, a nosy chodziły im jak u posokowców. Potem wszyscy ci w typie szpiclów, co do których zawsze można mieć pewność, że będą się szczególnie interesować zdarzeniami śliskiej natury. Rose nie był pierwszym, który błagał o wycieczkę, ani trochę. Były mrugnięcia i skinienia, brygadziście i jego chłopcom oferowano pieniądze, czasami całkiem pokaźne sumy. Ale oni nie zamierzali się zgodzić na nic takiego. Byli teraz zatrudnieni przez Radę i odpowiadali bezpośrednio przed, ni mniej, ni więcej, samym Parlamentem, a rozkazy Rady były jasne. Żadna żywa dusza nie może zejść na dół bez ich wyraźnego pozwolenia. Oczywiście, gdyby Rose chciał zwrócić się z tą sprawą do takich osób jak pan Grant albo pan Lovick, uzyskać stosowne papiery, załatwić wszystko oficjalnie, wtedy sprawy miałyby się zupełnie inaczej. Wtedy brygadzysta z przyjemnością zabierze go na spacer jak system długi i szeroki. Zanim to nastąpi, jest mu przykro, oczywiście, ale przepisy to przepisy.

- Nie rozumie mnie pan. Muszę zejść na dół dzisiaj, jutro najpóźniej - nalegał Rose, szukając niezdarnie monet w kieszeniach. - Na litość boską, od tego zależy życie człowieka.

Brygadzysta zmarszczył czoło. Osobiste powody Rosea, to nie jego sprawa, odparł ostro. Powiedział to już i może powtórzyć jeszcze raz. Nikt nie może zejść na dół bez wyraźnego pozwolenia. Jeśli o niego chodzi, to kończy sprawę. A tymczasem ma pracę, którą musi się zająć. Podniósł lampę i zaczął manipulować przy jej zamknięciu.

- Pójdzie pan? - zapytał nagle Rose. - Żeby popatrzeć, to znaczy, jak będą go wieszać.

Zawstydzony uśmiech wykrzywił usta brygadzysty.

- Nie wiem. Może, przypuszczam. Nie myślałem o tym.

- Ale znał go pan?

- Oczywiście - przyznał brygadzysta.

- Jaki się panu wydawał?

Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Spokojny. Uprzejmy. - Potrząsnął głową, wspominając. - Lubił - własne towarzystwo. Szczęśliwy jak szczur w tunelach, trzeba przyznać. Trudno było go stamtąd wydostać, w niektóre dni tak był tym pochłonięty. Nigdy nie spodziewałbym się tego po nim, nie, gdybym nie widział tego na własne oczy, zupełnie się rozkleił, szarpał się jak...

Spojrzał na Rosea, który kiwnął zachęcająco głową. Nagle twarz brygadzysty się zamknęła. Rose czekał, ale mężczyzna milczał z oczami utkwionymi w lampie na kolanach.

- Mówi, że coś jest ukryte, tam, na dole - powiedział w końcu Rose, bardzo cicho. - Dowód, który oczyści go z zarzutów. Gdyby tylko udało się go znaleźć.

Brygadzista wciąż milczał.

- Byłoby strasznie, gdyby powiesili niewłaściwego człowieka - wyszeptał Rose.

Słowa opadły wokół niego jak kurz. Bardzo wolno zaczął zbierać swoje rzeczy, nakładając kapelusz, naciągając rękawiczki, sięgając po parasol. Brygadzista przygryzł wargi, i zaczął je ssać, a lampa stała przed nim nietknięta.

- Mimo to, przepisy to przepisy - stwierdził Rose, nieomal sam do siebie. - Przepisy to przepisy.

Uchylając kapelusza w kierunku brygadzysty, wziął swoją teczkę z papierami i ruszył w stronę drzwi.

- Jest gość, który mógłby to zrobić. - Głos brygadzysty był chropowaty. - Będzie chciał zapłaty, oczywiście.

- Gdzie go znajdę?

Brygadzista wymienił nazwę gospody przy uliczce po północnej stronie Regent Circus.

- Proszę się popytać. Wszyscy go znają.

- A jak się nazywa?

Brygadzista wzruszył ramionami.

- Wszyscy nazywają go po prostu Tom Długoręki.

Chłopiec zostawił go na końcu uliczki w St Giles, pokazując dalszą drogę brudnym palcem. Nie może zaprowadzić go dalej, ale jeśli Rose skręci w lewo na końcu uliczki, a potem od razu w prawo, prawie jakby się cofał, dojdzie do miejsca, które nazywają East Court. Potem zniknął. Było niepokojąco cicho, chociaż popołudnie nie było jeszcze ciemne i Rose nie widział nikogo, gdy szedł usianą łajnem ścieżką. Trzymał dłonie ściśnięte mocno na plecach. Nigdy nie widział równie podłego miejsca. Uliczka była zaledwie szczeliną pomiędzy budynkami, zatkaną brudem i wstrętnym smrodem odchodów. Po każdej stronie domy rozsypywały się i waliły, rozbite okna załatano gałganami i papierem, rozłupane drzwi wisiały na zawiasach. Pozbawione koloru łachmany trzepotały na sznurkach zawieszonych nad jego głową, zasłaniając ostatnie widoczne skrawki nieba. Szedł zanurzony po kostki w leżących na uliczce śmieciach, kałużach pomyj i gnijących warzywnych resztkach, które rozkładały się w błocie. Więcej niż raz Rose potknął się na kupce popiołu i zakrztusił, gdy

duszający smród uniósł się z jej wnętrza. Doznanie nie byłoby bardziej odrażające, gdyby zszedł do samych kanałów. Marne domy zdawały się czaić nad nim jak żebracy, strasząc śmierdzącym oddechem, którego ciepło czuł na szyi. Nie widział nikogo, ale wszędzie wokół ciemniały wejścia do domów i niskie łuki najeżone groźnymi cieniami. Rose przełknął, trzymając wzrok utkwiony prosto przed siebie, ale mimo to był nadal pewien, że w każdym z nich widzi białka czających się oczu, błysk noża albo pędę dusiciela. Przyśpieszył kroku, ale żołądek podchodził mu do gardła, a ślina robiła się kwaśna od mdłości. To szaleństwo kazało mu przyjść tutaj samemu, bez żadnej ochrony. Właściciel pubu Badger sam to przyznał, nawet użyczając mu swojego chłopca jako eskortę. Nie chciałby, żeby przegapił to miejsce, powiedział, a głowa tańczyła mu na ramionach, gdy nią potrząsał, wpatrując się w odprasowany strój Rose'a, wypolerowaną skórę jego butów pod skorupą błota. Nie chciał, żeby Tom miał przez niego jakieś kłopoty, powiedział, a oczy sterczały mu łapczywie z oczodołów. Oblizywał szerokie wargi, przyglądając się uważnie wizytówce Rosea, jakby spodziewał się znaleźć na niej ślady sosu pozostawionego po lunchu. Prawnik, tak? Bardzo ciekawe. Cóż, właściciel pubu nie jest człowiekiem, który miałby stawać na drodze słusznych procesów prawa. Nie zdradzi żadnych sekretów, jeśli powie, że Toma można znaleźć w East Court, po lewej stronie, gdy stanąć w wejściu, na drugim piętrze.

Na podwórko wchodziło się przez wąską szczelinę pomiędzy dwoma domami, które nachylały się niebezpiecznie do siebie, a ich walące się ściany czarne były od sadzy i zniszczenia. Wychodziło na powierzchnię niewiele większą niż magiel, tak, że rozkładając ramiona, Rose był w stanie dotknąć obydwu drzwi po każdej stronie jednocześnie. Przypominało bardziej wąską szczelinę skalną niż miejsce ludzkiego zamieszkania. Smród kanalizacji i niemytych ciał przyprawiał omdłości. Rose miał nieprzepartą ochotę, żeby uciec z tego miejsca jak najszybciej, ale coś go trzymało, mniej determinacja, żeby ukończyć swoją misję, co poczucie, że jeśli ucieknie, to cały kłęb przecinających się uliczek i ścieżek zamknie się nad nim, nieustannie ciemniejąc i przysuwając się, i bez względu na to, jak gorliwe będą jego wysiłki, nigdy nie znajdzie drogi na zewnątrz. Zaciskając dłoń w pięść, uderzył mocno w drzwi. Potem nieśmiało w ciemnej ciszy podwórka zawołał imię Toma.

Przez szczelinę w rozbitym oknie Tom widział denko kapelusza mężczyzny. Przeklinając pod nosem, czekał. Mężczyzna zawołał ponownie. Miał wysoki głos, głos dziewczyny, można by prawie powiedzieć, który grzechotał mu w gardle jak łyżka w cynowym kubku. Nie brzmiał jak głos policjanta, tego można było być pewnym. Tom wyrzwał przez okno. Mężczyzna nagle odchylił głowę, patrząc w górę, i Tom schował się w cieniu. Był wyższy od Toma, to było widać, ale pomimo wszystkich atrybutów dżentelmena



wyglądał na nieco niedożywionego. Tom miał wrażenie, że wystarczyłoby jedynie splunąć na kapelusze dzentelmena, żeby koleś wyłożył się jak długi pod takim ciężarem.

- Proszę - błagał mężczyzna, waląc ponownie w drzwi.

- Błagam, jeśli tam jesteś, błagam, proszę, zjedź na dół. Pan Harker, biygadzista, przychodzi od pana Harkera. On mnie przysłał. Mówił, że będziesz mi mógł pomóc.

Tom się zawahał. Harker był całkiem przyzwoitym gościem, zanim dopadł go rząd i nabił mu głowę zasadami i przepisami. Tom i on znali się dwadzieścia lat, a może więcej. Mimo że Harker był teraz człowiekiem Rady, nigdy nie wpakowałby Toma w tarapaty.

- Zapłacę. Tom? Słyszysz mnie? Podaj swoją cenę. Jesteś moją ostatnią nadzieją. Tom?

Głos był zniechęcony, nieomal żalorny. Tom zerknął na podwórko. Mężczyzna podniósł pięść, żeby uderzyć w drzwi po raz ostatni, ale coś go powstrzymało, ponieważ nie uderzył już więcej w drewno. Pozwolił natomiast, aby ręce opadły mu bezsilnie po bokach. Spojrzał po raz ostatni w okno Toma i odwrócił się, zgarbiwszy ramiona, gdy przeciskał się przez szczelinę w ścianie. Na usianym łajnem błocie podwórka pozostały jedynie zgrabne odciski jego stóp.

Tom wyslizgnął się tyłem. Znalazł się na ścieżce dzentelmena dokładnie w chwili, gdy ten doszedł do końca uliczki. Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie na widok drugiego człowieka, z dłońmi przytkniętymi do ust. Dłonie były czerwone, ale waigi białe jak płótno, a oczy nieomal wyskakiwały mu z głowy. Wydawało się Tomowi, że zaraz rozplacze się ze strachu.

- Wołał pan Toma Długorękiego, tam z tyłu, tak? - zapytał Tom.

Mężczyzna przełknął, a twarz miał napiętą ze strachu.

- Rzecz w tym, że jest moim przyjacielem - rzucił od niechcenia Tom. To pomyślałem, że może będę mógł przekazać mu wiadomość.

- Przyjacielem? - zdołał wyjąkać Rose.

Tom pokiwał głową. Rose przełknął ponownie, starając się przywołać na usta śmiech. Czerwone dłonie się trzęsły.

- Przyjacielem. To... to... cudownie. Czy... czy moglibyście mnie do niego zaprowadzić?

Tom wzruszył ramionami.

- Może. Zależy jakiej natury jest pana sprawa. Ma kłopoty, tak?

- Ach, mój Boże, nie, absolutnie nie. - Rose potrząsnął energicznie głową. - Nic podobnego. Chciałbym... potrzebuję jego pomocy. Zapłacę mu, naturalnie.

- Jakiego rodzaju pomocy?
- Obawiam się, że to musiałoby pozostać tajemnicą moją i waszego przyjaciela.
- Ale zapłaci mu pan.
- Oczywiście. Wam też bym zapłacił, gdybyście zaprowadzili mnie do niego.

Tom myślał przez chwilę.

- Czym, w takim razie, się pan zajmuje? - zapytał.
- Jestem... jestem prawnikiem.

Nawet w przygasającym świetle dnia Rose zobaczył, jak w oczach starszego mężczyzny rozkwita podejrliwość.

- Wasz przyjaciel nie jest w żadnych tarapatkach - nalegał. - Przysięgam. Sprawa, nad którą pracuję, nie ma z nim żadnego związku. Ale powiedziano mi, że może mi pomóc. To wszystko.

Tom przyjrzał się mu dokładnie, mierząc go wzrokiem. Prawnika. Co miał do stracenia? Umowa z Kapitanem ciążyła mu w podszewce płaszcza jak cegła.

- Nie wygląda pan na prawnika.
- No cóż, jestem nim. W wielce poważanej kancelarii adwokackiej, jeśli o to chodzi.
- Jest pan sam?

Rose poczuł się nieswojo i poczuł ukłucie strachu na karku. Kiwnął głową.

- Zupełnie sam - Tom dziwił się, potrząsając głową. - Szukanie guza, ot co, dżentelmen taki jak pan wybierający się w załki zupełnie sam. Są tacy, co tutaj przychodzą i nigdy już stąd nie wychodzą. Można by pomyśleć, że człowiek z pana profesją miałby trochę więcej rozumu w głowie. Mimo to dla mnie to łut szczęścia, można by powiedzieć. Prawnika, tak? Kto by pomyślał?

Przy tych słowach Tom uśmiechnął się do siebie, pokazując czarne pniaki zębów. Jego oczy błyszczały białą w coraz gęstszym zmroku. Wszędzie wokół nich cienie jeżyły się złowrogo. Rose przełknął gorzką ślinę, która napłynęła mu do ust.

- Dziękuję.

Głos zabrzmiał ostro. Zaczął szukać, a potem wyjął pół korony z kieszeni. Mógł się odwrócić i uciec, pomyślał, ale ciemność zapadała tak szybko i tak nieprzeniknienie, że uliczki zamykały się nad nim jak brzegi rany. Był w pułapce. Czuł, jak kręci mu się w głowie ze strachu.

- Bardzo mi pomogliście. A teraz, gdybym mógł przejść...

Starszy mężczyzna się nie ruszył. Splunął natomiast na monetę, a potem potarł nią energicznie o to, co mu pozostało z rękawa. Zadowolony, wsunął ją za mankiet

- Wydawało mi się, że chce się pan spotkać z Tomem?

- Ale...

- W przeciwnym razie zmarnował pan pół korony...

To mrugnięcie oka wszystko załatwiło. Z pewnością człowiek nie może mrugnąć w wesoły sposób, a potem, w następnej sekundzie zabrać się do wyprawiania drugiego na tamten świat. Przynajmniej tak tłumaczył to później Rose. Wówczas nieomal nie wiedział, jak to się stało, że pozwolił się poprowadzić wijącymi zaułkami na szerszą ulicę, gdzie czerwony smolisty płomień starej lampy naftowej oświecał obskurnie wyglądający pensjonat. Na kocu przed nim, ubrana w całą masę łachmanów i brudu, tłoczyła się wokół zbieraniny zakurzonych butelek i żelaznych łańcuchów rodzina. Patrzyli na Rosea, gdy ich omijał, oczami zapadłymi i znużonymi. Jedno z najmniejszych dzieci zakwiliło i sięgnęło po brzeg jego płaszcza, ale odsunęło się pośpiesznie do tyłu, gdy Tom warknął, strasząc je złamanym czubkiem buta. Kilka kroków dalej szperacz pochylił się, wchodząc przez niskie wejście. Ciężkie drewniane drzwi, otwarte na oścież, podtrzymywał skórzany pasek. Rose zawahał się przez chwilę, a potem wszedł za nim. Gospoda była ponura i cicha, zaledwie kilka skromnych stołów i ław postawionych na posypanej trocinami podłodze. Sufit ozdobiony był szarozieloną koronką grzyba. Tom przerzucił nogę przez niskie siedzenie w kącie i gestem pokazał Rose'owi, żeby zrobił to samo. Rose jednak stał, ściskając dłonie na plecach.

- Rozumiem, że mieliśmy spotkać się z Tomem - rzucił ze złością.

- I tak się stało.

Rose rozejrzał się dookoła. W gospodzie było jedynie kilku mężczyzn, którzy głównie siedzieli samotnie. Spojrzeli na wchodzących, tak jak krowy wbijają wzrok w nieznanego na pastwisku, ale teraz wszyscy wrócili do swoich szklanek. Pili, wpatrując się w nie, z rodzajem statecznej powściągliwości.

- W takim razie który to z nich?

- Mówi pan do niego.

- Ale...

- Nie może pan winić człowieka za ostrożność.

Rose się zawahał. Nie miał pojęcia, czy starszy mężczyzna mówi prawdę. Ale może nie miało to znaczenia. Jedyne, co miało znaczenie, to dostać się do tuneli. Kobieta o kwadratowej czerwonej twarzy i w brudnym fartuchu przyniosła kufle porteru. Tom skinął do Rosea, który upuścił monety do wyciągniętej dłoni kobiety.

- Bardzo dobrze - odparł niechętnie Rose.

- Może będziemy mogli pomóc sobie nawzajem - dodał Tom.

- Może.

- Więc czego pan chce?

Rose podał jedynie najkrótsze możliwe wyjaśnienie. Popelniono morderstwo. Tom najprawdopodobniej słyszał o nim. Dżentelmen, zabity w kanałach. Tom wzruszył ramionami, ale słyszał już ostrzegawczy dzwonek w głowie. Zanim Rose skończył swoją opowieść, żołądek Toma był ściśnięty na bolesny węzeł. Prawnik nic nie wspomniał o Kapitanie, nawet mimochodem. Mimo to istniała szansa, że Kapitan nie wywinął się jeszcze całkiem, nie, jeśli szaleńcowi miałoby się to udać. Myśl okłopotach Kapitana kłuła go w nozdrza jak zapach pieczonej wołowiny.. Ale miał związane ręce. Z prawnikiem, który mówił do niego, wiedział, jak wygląda i gdzie mieszka? To było za bardzo ryzykowne. Bardzo ryzykowne.

- Nie będę mógł panu pomóc - odparł Tom i wzruszył ramionami. - Nie chodzę już do kanałów. Nie byłem tam już od lat To niezgodne z prawem w dzisiejszych czasach.

- Z pewnością musi być jakiś sposób... Zgodny z prawem albo i nie. Zapłacę.

Tom potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie ma sposobu, żeby wejść do środka, nie teraz, gdy odcięli rzekę śluzami.

- Więc...

- Więc sprawa jest zamknięta. Nic na to nie poradzimy.

Przez chwilę Rose spoglądał błagalnie na starszego mężczyznę. Potem wydał z siebie głębokie westchnienie, jakby był spadającym w dół balonem w Cremome, i wpatrywał się nieszczęśliwie w stół. Tom wypił niecierpliwie łyk piwa.

- Jest jednak coś, co mógłby pan zrobić dla mnie - rzucił szybko. - Skoro już tu pan jest.

Włożył dłoń za podszewkę płaszcza.

- Mam dokument prawny. Coś w rodzaju umowy. Tylko nie jestem pewien, jak wziąć to, co mi się słusznie należy.

Rose powiódł smutno palcem po rysie na stole i nic nie powiedział.

- Proszę.

Tom rozłożył papiery i popchnął je przez stół.

Rose przycisnął palce do oczu. Początki bólu głowy atakowały szyję, ściskając mu ramiona. Gdy w końcu otworzył oczy, spojrzał bez zainteresowania na znajdujące się przed nim papiery.

- Co u... - Rose wybałuszył oczy. - Skąd, u licha, je wzięliście?

- Nic ponad to, co mi się należy odparł niepewnie Tom, ściskając je mocniej. -

Sprzedalem człowiekowi psa, wszystko zgodnie z prawem. Tyle że teraz on nie chce mi płacić tego, o czym mowa w tej umowie, więc chcę z powrotem mojego psa. To wszystko.

Rose zmarszczył czoło.

- To umowa na dostawę piasku.

- Nie. Psa. Był świadek. Proszę spojrzeć...

- Pięć ton piasku na zrobienie cementu. Dla Metropolitan Board of Works, z datą 12 grudnia 1858 roku. Poświadczona przez niejakiego pana Badgera.

Rose wskazał na miejsce, w którym podpisał się Brassey.

- Ale Brassey... Jezu Chryste, ten dwulicowy drań...

Rose nie słuchał. Przeszukawszy wnętrze swojego płaszcza, wyciągnął inny plik papierów, które wyłożył na stół obok umowy Toma.

- To on. Ten sam nagłówek, widzicie? I ten sam styl podpisu, o, tutaj. Nazwiska są inne, ale - Rose spojrział na Toma niecierpliwym spojrzeniem. - Komu, mówiliście, sprzedaliście swojego psa?

- Kapitanowi, tak na niego tutaj mówią. Ale nigdy nie słyszałem jak się nazywa. - Tom odchrząknął. - Ledwie go sam znalazłem.

Rose położył jeden papier na drugim, tak że podpisy nieomal nakładały się na siebie. Oczy mu błyszczały.

- Podpisał się Smith. Ale ręka jest ta sama, nie ma żadnych wątpliwości. - Rose wskazał podpisy z płonącym wzrokiem. - Sposób, w jaki litery przechylają się do tyłu, szpice na literze M tutaj, i tutaj na W... Oszukał was i wykradł psa, on i pan Badger.

- Przecież mówię.

- W takim razie - rzucił Rose z triumfem w głosie, chwytając starszego mężczyznę za rękaw. - Chcecie swoje pieniądze, prawda?

- Raczej wolałbym z powrotem psa - szepnął Tom.

- Naprawdę?

Tom skrzywił się na widok wyrazu zaskoczenia na twarzy Rosea, wyrwijąc z jego uścisku ramię.

- Bardzo dobrze - rzucił pośpiesznie Rose. - Pies, w takim razie, jeśli tego właśnie chcecie. Ale muszę wiedzieć wszystko, jeśli mam wam pomóc. Musicie powiedzieć mi wszystko o człowieku, którego nazywacie Kapitanem. Widzicie, ja też go znam. Obawiam się jednak, że on nie nazywa się Smith. Nazywa się Hawke.

XXIX ył odpływ. Brodząc w wodzie, Tom doszedł do wnęki i przykucnął tam w ciemności, podczas gdy strumień powoli zanikał, pozostawiając stałe pozostałości wtulone w

cegły tam, gdzie tunel gwałtownie zakręcał. Obok było miejsce, w którym lubiła siadywać Dama, widok był mu tak znajomy, że mógłby przysiąc, iż widzi zarys jej ciała, bladego jak duch, na długo po tym, jak zamknął latarnię. Zawsze sprawiał mu przyjemność dotyk jej głowy pod dłonią. Dzisiaj wieczorem jednak zacisnął pięść, wpychając ramiona pomiędzy kolana i z całej siły zacisnął oczy. Biel psa zginęła w eksplozji czerwieni pod powiekami. Tutaj, na dole było miejsce, żeby pomyśleć. Tutaj, na dole, w ciemności, widział wszystko wyPrawnik pytał go o przeróżne rzeczy o Kapitanie czy o zwykłym starym panu Hawke, jak go uporzecznie nazywał. Okazało się, że oszukańczy drań nigdy nie był żadnym Kapitanem ani Doktorem, chociaż miał jakieś zajęcie intendenta podczas wojny wschodniej. W sam raz dla tchórza, jakaś ciepła posadka z daleka od walki, liczenie płaszczy i racji mięsa. Nic dziwnego, że nieźle ich okantował, wszystkich. Nie żeby mu to zaszkodziło. Teraz był jakąś szyczą w Metropolitan Board of Works. Nic dziwnego, że nieźle się bawił, podlizując Tomowi, żeby odwalił za niego brudną robotę, podczas gdy przez cały czas zajęty był pozbawianiem Toma jego źródła utrzymania. Gdyby Tom o tym wszystkim wiedział, nigdy nie miałby z nim nic wspólnego. To wszystko było od początku zbyt podejrzane, zbyt podejrzane.

Teraz jest za późno. Mimo że nie zrobił jednego fałszywego kroku, tak jak to widział, nie zrobił niczego, co zwróciłoby na niego uwagę, prawnik i tak zapukał do jego drzwi, zadając pytania, na które Tom nie miał zamiaru odpowiadać. Całe szczęście, że chłopiec był zupełnie zielony. Tom od razu pomyślał, że szaleniec nie ma żadnej szansy, nie z takim żółtodziobem jako jedynym pośrednikiem pomiędzy nim a całą powagą prawa. Wszystko, co ten człowiek pomyślał, wymalowane miał na twarzy albo w nerwowym wyłamywaniu ogromnych czerwonych rąk. Jak był zdenerwowany albo niepewien reakcji, guz, który sterczał mu z gardła, podskakiwał w górę i w dół, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. Tom uznał, że może mu zaufać, gdy prawnik zapewnił, iż Tom nie ma nic wspólnego z morderstwem.

Jednak pomimo wszystko, mimo że był tak zupełnie zielony, znalazł Toma. Skądś się wziął, ten prawnik, wyginając ręce i mrugając tymi swoimi ogromnymi wylupiastymi oczami, i przesładując Toma pytaniami, tak zdenerwowany, że widać było, jak pot wylazi mu na czoło. Mimo wszystko była w nim jakaś zawziętość. A teraz powiązał Toma i Kapitana. Tom był na razie raczej bezpieczny, ale nie minie wiele czasu, a smród, który przyłgnął do Kapitana, przyłgnie również do niego, nie miał co do tego żadnych wątpliwości: Wiadomo, że w następnej kolejności prawnik zacznie wypytywać Kapitana, co wie o Tomie. I Kapitan go wkopie w mgnieniu oka. Najprawdopodobniej zmyśli zdecydowaną większość, ale uwierzą

jemu. Człowiekowi śliskiemu jak śmierzący węgorz, który wywinie się ze wszystkiego przez dziurkę od klucza. Wyjdzie z tego, pachnąc różami, o tak, a człowieka obrzuci gównem. Uśmiechnie się, pokazując szpiczaste zęby, potrząśnie głową i odejdzie z cudzymi pieniędzmi w kieszeni i cudzą krwią na rękach. Z cudzym psem u nogi.

Dama. Dzień albo dwa dni wcześniej chłopcy Joe'ego poszli i przynieśli mu szczeniaka, teriera ze sterczącą sierścią i jasnymi oczami jak guziki, który warczał na Toma, wrywając się na swoim sznurku. Prawdziwy krwiożerczy mały gnojek, powiedzieli, mimo że nie był większy niż pięść człowieka. Przeszkolony, powiedzieli, byłby, zdaje się, całkiem niezłym małym zawodnikiem. Zęby jak szpilki, i całkiem skory do ich używania. Tom podziękował im, oczywiście, mieli całkiem dobre intencje, ale odesłał ich, a psa razem z nimi. Znajdzie się ktoś inny, z kim będzie mu lepiej. Tom był za stary i za bardzo zmęczony, żeby zaczynać od nowa. Śniła mu się tej nocy i poprzedniej. Siedziała zupełnie nieruchomo, w połowie w cieniu, wystarczająco blisko, żeby słyszał szybki urywany oddech, czuł ciepły drożdżowy zapach. Tom uśmiechnął się do niej, strzelił palcami, wyciągnął rękę, ale ona jedynie dalej się na niego patrzyła, z głową przechyloną na jedną stronę, nie mrużąc różowych oczu ani na chwilę. We śnie poczuł wówczas nieprzyjemny skurcz, gdy szczęście zamieniło mu się w żołądku w popiół. Krzyknął wtedy na nią, żeby podeszła. Nie mógł się powstrzymać. Na długo po tym, jak zniknęła, nadal krzyczał, tak mocno, że obudził się z wysiłku. Gdy przyciągnął kolana do piersi, starając się opanować oddech, ból przeszył mu gardło jak nóż.

W ciemności tuneli Tom przełknął ślinę. Miał rację. Tutaj na dole rzeczywiście widziało się wszystko wyraźniej. Pochylił głowę, gdy tunel podnosił się do góry, przez co sufit obniżał się na wysokość ramienia, zanim znowu się nie poszerzył. Paczka, wsunięta za granitową płytę, leżała dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Jedyne sposoby na człowieka takiego jak Kapitan to walczyć z nim jego metodami. Rzucić w niego wszystkim, wszystkim, co się ma, nawet jeśli do końca nie wiadomo, co to jest, i mieć nadzieję, że przylgnie. Zagrzebać go tak głęboko w jego własnym gównie, że będzie się w nim topił, zanim zobaczy, że Tom się zbliża. A potem uciekać, ile sił w nogach.

Było miejsce, co do którego Rose i Tom się umówili, mały bar w pobliżu Tempie. Prawnik powiedział, że szperacz może zostawić tam wiadomość, jeśli cokolwiek mu się przypomni.

Zaproponował najpierw swoją kancelarię, jak wielcy prawnicy nazywali biura, ale coś w wyrazie twarzy Toma w owej chwili sprawiło, że zmienił zdanie. Zaoferował w zamian bar, który był otwarty przez całą dobę dla handlu rzecznoego. Tom mógł zostawić tam wiadomość i

Rose spotka się z nim gdziekolwiek kiedykolwiek. O każdej porze dnia i nocy.

To Joe zabrał papiery zawinięte w stary kawałek materiału przewiązany szpagatem. Na początku Tom myślał, żeby zostawić je tam potajemnie, a prawnik znalazłby je rano, prezent od bezimiennego życzliwego przyjaciela, ale były wszystkim, co miał. Nie miał w zwyczaju dawać czegoś za nic, nawet gdyby to coś okazało się niczym więcej jak rachunkami od krawca. A co, jeśli tak nie było? Nie miał też zamiaru podać się wymiarowi prawa na talerzu jako dodatek do dania głównego. Ulegając namowom Toma, Joe przyciemnił swoje miedziane włosy sadzą i zasłonił się nieomal po oczy, żeby prawnik na pewno nigdy go nie rozpoznał. Oczy błyszczały mu jednak nad brudną chustką i lekceważąco machnął ręką na wielokrotne instrukcje Toma, jakby chciał przepędzić chmarę natrętnych much.

- Wszystko wiem, dumy gnojku - uśmiechnął się. - Nie takie to trudne, czyż nie? Pokazać temu gościowi Rose'owi papiery. Jeśli będzie zainteresowany, to powiedzieć, że są jego. Jak tylko dostaniesz z powrotem swojego psa.

XXX

Kciuki nieznajomego odcinały się czernią na de kremowego papieru. Mimo że całość napisano na oficjalnym papierze z nazwą firmy odcisniętą ładnymi czarnymi drukowanymi literami w nagłówku, nie przypadłaby do gustu dyrektorowi szkoły. Pismo było ściśnięte, zamazane i tak pośpiesznie skreślone, że miejscami słowa połączono ze sobą laseczkami atramentu. W jednym czy dwóch miejscach widniał kleks. Nie było koperty. Po zewnętrznej stronie papier poplamiony był strużkami rdzawego brązu i usiany pierwszymi ciemnymi, przypominającymi ziarenka pieprzu, plamkami pleśni. Było oczywiste, że list spędził wiele godzin w niecierpliwych dłoniach. Zgięcia papieru były głębokie, miękkie i poszarzałe w kopącym świetle lampy naftowej. Kawałek materiału, w który zawinięto list razem z pozostałą korespondencją, był sztywny od brudu i pachniał nieprzyjemnie ściekami.

Chłopiec z baru zaczął walić w drzwi tuż po pierwszej nad ranem. Wcześniej tego wieczoru Rose poinstruował właściciela, aby dać mu znać natychmiast, jeśli będzie dla niego jakaś wiadomość, jakakolwiek wiadomość, pewien, że nie da rady zasnąć. Niemniej zanim jeszcze zdążył dojść do swojej kwatery, ekscytacja zaczęła go opuszczać. Prawda, to był wyjątkowy zbieg okoliczności. Jednak właściwie niczego nie odkiył. Hawke wszedł w posiadanie psa przez oszustwo. Przynajmniej tak twierdził szperacz, a szczerze mówiąc, Rose wątpił, że był on człowiekiem, który przejmował się zbytnio pomniejszymi szczegółami prawdy. Z tymi sprytnymi oczami i zepsutymi

- 316 - zębami zupełnie nie wyglądał na uczciwego. Hawke nie podpisał umowy własnym nazwiskiem. Rose mógłby wskazać na podobieństwa obydwu charakterów pisma,



mógłby nawet przekonać sąd, że Hawke podpisał nielegalny kontrakt, ale co potem? W najlepszym wypadku dowodziło to, że Hawke narozrabiał trochę w cieszących się gorszą sławą peryferiach miasta. Mogło to nie licować odrobinę z jego pozycją w Radzie, ale samo w sobie nie było niezgodne z prawem. Trop urywał się w tym miejscu. Rose nadal nie znalazł niczego, co mogłoby skierować podejrzenia o zamordowanie Alfreda Englanda na Hawke'a.

Siedział w ciemności, rozmyślając nad kilkoma faktami, które udało mu się ustalić, aż - jak słowa przeczytane zbyt wiele razy - stały się one niczym więcej jak pozbawionymi znaczenia kształtami, bez żadnej konsekwencji. Niewiele przed północą, gdy mały ogień rozsypywał się na palenisku, Rose zapadł w głęboki sen. Dudnienie pięści chłopca o drzwi wtargnęło złowieszczo w ciemne sny o zaułkach i Rose zbudził się przerażony i zaskoczony, z walącym sercem w piersi. Serce nadal biło mu mocno w tej chwili i pocił się pod grubym płaszczem w gęstym zaduchu baru. Podniecenie szarpało niecierpliwie jego żołądkiem, gdy ponownie czytał list zaadresowany do Bazalgettea.

Szanowny Panie, Poczytuję to sobie za obowiązek, aczkolwiek nieprzyjemny, poinformować Pana, że Pan Charles Hawke, obecnie zatrudniony na Greek Street, prosto pod Pana nosem sprzedaje kontrakty na prace dla Rady temu, kto da najwięcej. Jest pan uczciwym człowiekiem, więc bez wątpienia zaszokuje Pana wiadomość, że przez cały ten czas Pan Hawke, twierdząc, że uzyskuje dla dobra Rady najbardziej korzystne warunki, skrupulatnie czerpie zyski do własnej kieszeni. Nie wątpię, że jest już bogatym człowiekiem. A to wszystko w najbardziej nieuczciwy sposób do wyobrażenia.

Skąd o tym wiem? Pan Hawke po raz pierwszy zwrócił się do mnie 4 września 1858 roku. W zamian za kwotę stu gwinei płatnych gotówką, Pan Hawke miał zaproponować naszą firmę do kontraktu, który - jak gwarantował - będzie opiewał na wartość minimum pięciu tysięcy funtów. W chwili podpisania umowy Pan Hawke miał otrzymać dziesięć procent sumy kontraktu albo tysiąc funtów, w zależności od tego, która kwota będzie wyższa. Nie ma potrzeby obarczać Pana szczegółami co do kłopotów finansowych, w jakich znalazła się firma England w ostatnich latach, mimo że, jak twierdzą, sytuacja ekonomiczna znacznie się poprawiła. Wystarczy, jeśli powiem, że rozumieliśmy przestępczą naturę propozycji Pana Hawke 'a, ale wydawało się nam, że nie mamy innego wyjścia, jak ją zaakceptować.

Sprawy potoczyły się tak, że kontraktu nie otrzymaliśmy. Za późno teraz szukać winnych. Bank wycofał się z kredytu. Cegielnia ma zostać sprzedana. To już koniec. Jednak gdy zamykam bramę firmy England po raz ostatni, czuję, że muszę uporządkować wszystkie sprawy. Co do mnie, wstydzę się swojej roli w całym tym podłym interesie. Byłem zrozpaczony i pozwoliłem się nakłonić do desperackiego kroku. Bez wątpienia moje

wyznania w tym liście wystawiają mnie na całą powagę działania prawa. Nie ma to teraz większego znaczenia. Co do Pana Hawke 'a, nie mogę przyglądać się obojętnie, jak oszustwami toruje sobie drogę do fortuny. Jeśli zechce Pan sprawdzić, to dowie się Pan, że przynajmniej trzech z aktualnych dostawców Rady „kupiło „swoje kontrakty od Pana Hawke 'a. Jest zimnym i wyrachowanym oszustem, który bezwzględnie wykorzystuje uprzywilejowaną pozycję, aby nabijać sobie kabzę. Jeśli ten list przysłuży się do postawienia go przed organami sprawiedliwości, to uznam, że był wart napisania, bez względu na to, jakie kłopoty ściągnie na moją głowę.

Pozostaję Pana wiernie oddanym sługą, ALFRED ENGLAND

Więc William May powiedział prawdę. Hawke przyjmował łapówki. Gdyby przypuszczał, że England zamierza go wydać, bez wątplenia chciałby jego śmierci. Rose przekonywał się, że poczuł wtedy ulgę, ulgę i ledwie wyczuwalny przypływ nowej nadziei, ale wiedział, że to przez zupełne zaskoczenie. Przygryzł dziko paznokciec kciuka, wyciągając dokumenty, które zabrał z posterunku policji i rozłożył je na wąskim stole. Charakter pisma Englanda nie pozostawiał żadnych wątpliwości, pękaty, niedokończony sposób, w jaki kreślił „o”, zniekształcone laseczki w „b” i „d”, dziecięcy zamaszty podpis. List był bez wątplenia jego. Co jeszcze bardziej istotne, opatrzył go datą 16 grudnia 1858 roku. Ostatni dzień, w którym widziano Englanda żywego. Rose przewrócił stronę i przyjrzał się jej dokładnie. Brązowe strużki. Czy to możliwe... czy to możliwe, że to krew Englanda?

Nieznajomy pachniał dawno niepranym płótnem i starym ogniem na kominku. Przyglądał się spokojnie, jak Rose czyta list po raz ostatni. Potem zabrał go i schował w brudnych fałdach swojego płaszcza. Rose nie mógł spokojnie patrzeć, jak list znika. Niepojęte, jak Tom wszedł w jego posiadanie, chociaż można było być pewnym, że w sposób niezgodny z prawem. Być może okradł ciało. Być może był współwinnym zbrodni. Nie miało to znaczenia. Nawet gdyby, a graniczyło to z cudem, udało się przekonać mężczyznę, żeby zeznawał, Rose nie mógł postawić na miejscu dla świadków szperacza z kanałów. Nie, Tom był nieważny. To list się liczył. Mając list, Rose w końcu coś miał. Jeśli będzie miał list

- Widzę, że jest pan zainteresowany - odezwał się nieznajomy, drapiąc oparcie swojego krzesła. - Sądząc po pana twarzy.

Rose nie zdawał sobie sprawy z jego wysokiego wzrostu, dopóki mężczyzna nie wstał. Głową dotykał niskiego sufitu, pozostawiając ciemną plamę na wilgotnym tynku. Przygryzając wargę, Rose skinął głową.

- Jakie są warunki Toma?

Joe wzruszył ramionami.

- Toma? Nie wydaje mi się, żebym znał Toma.

Rose wziął głęboki oddech.

- Oczywiście, że nie. Tom nie ma z tym nic wspólnego. Rose zamilkł, ale tylko na chwilę. Nie miał nic do stracenia.

- Powiedz mu, żeby przyszedł tu jutro wieczorem, o siódmej. Będę miał psa.

XXXI

Wschód przyszedł w końcu, niechętnie rozchylając pociemniałe powieki miasta. Gdy tylko zrobiło się przyzwoicie jasno, Rose zaniósł wiadomość do bramy stróża i polecił, żeby doręczono ją niezwłocznie. Nie spał. Oczy bolały go i czuł kwaśny smak w ustach. Mimo to cały aż kipiał niespokojną energią. Chłodno rozumując, minie kilka godzin, zanim będzie mógł spodziewać się odpowiedzi. Powinien wykorzystać je konstruktywnie, powiedział sobie stanowczo, na przygotowanie argumentacji, uporządkowanie dokumentów. W zamian przemierzał zatłoczony pokój, palce zaciskały się w butach, a dłonie na plecach to zamykały się, to znów otwierały, raniąc spierzchniętą, zimową skórę. Dudnienie butów na gołych deskach schodów za drzwiami wprawiało w drżenie szybę w łuszczącej się framudze. Próbował rozpalić ogień na herbatę, ale drzewo było zbyt wilgotne i spleśniałe i nie chciało się zapalić. Wilgotny dym kłuł go w oczy. Pójdzie do baru na śniadanie, jak tylko dostanie odpowiedź. Niecierpliwie wyjrzał przez okno. Na kawałku porośniętej krzakami trawy w dole kosy dziobały posępnie błoto, ignorując grupkę prawników w czarnych togach, która przemknęła z łopotem obok nich. Rose przygryzł paznokcie. Z pewnością wkrótce otrzyma jakąś odpowiedź. Był czwartek. Sesje były zaplanowane na poniedziałek. Nadal było możliwe, że uda mu się uzyskać przełożenie sesji na późniejszą datę. Po zamieszczeniu wczesnego poranka dom opustoszał. W ciszy zegarek na kominku tykał nerwowo sam do siebie, a gorliwe wskazówki podskakiwały, znacząc upływ minut Rose pomyślał o Williamie Mayu zakutym w kajdany na brudnej słomie więziennej celi i o pozbawionym twarzy Hawke'u, który był na wolności. Usiadł, dłonie zawisły pomiędzy kolanami. Wstał. Zaczął chodzić. W przerwach wpatrywał się w ścieżkę pod oknem, a dłonie wyginały mu się za plecami. Czekał.

Posłaniec przyszedł tuż po dziesiątej. Urzędnik pana Bazalgette'a potwierdził przyjęcie prośby pana Rose'a, ale z żalem zawiadomił, że, zważywszy na mnogość swych zobowiązań, pan Bazalgette nie będzie w stanie spotkać się z nim wcześniej niż w lutym. Jednakże, ze względu na pilny charakter prośby, zaproponowano, że mógłby stawić się na Greek Street w południe. Zastępca pana Bazalgette'a pan Lovick zrobi, co w jego mocy, żeby spotkać się z nim na krótką rozmowę.

Rose a natychmiast ogarnęła gorączka niespokojnego podniecenia. Rozrzucił szaleńczo papiery dookoła, składając razem dokumenty zabrane z policji, pośpiesznie skreśloną wersję listu Englanda, którą napisał z pamięci, jak tylko wrócił z baru, ostatniej nocy. Mimo to był to cieniutki plik, zaledwie kilka kartek. Co do psa - nie był bliżej ustalenia, co będzie mógł zrobić w jego sprawie. Nie było czasu na śniadanie. Rozważał wzięcie dorożki do Soho, ale w pobliżu Westminster droga była w remoncie i wąskie ulice zakorkował ruch uliczny. Przybył do biur Rady zupełnie pozbawiony tchu, a blade włosy sterczały mu niczym aureola wokół głowy. Urzędnik któremu podał swoje nazwisko, uniósł jedną brew i przyglądał mu się przez okulary, które nadawały jego oczom zimny połysk wypolerowanych kamieni. Gdy został sam, Rose polizał ukradkiem swoje dłonie i wygładził nimi głowę. Twarde krzesło, które mu zaoferowano, było niskie i niewygodne. Rose przycupnął na krawędzi, przytulając teczkę do piersi. Wokół niego, na ścianach, rozmieszczono rysunki architektoniczne czegoś, co wyglądało jak kościoły albo pałace, same niekończące się wieże i kopuły oraz dość wymyślnych dekoracji, żeby zawstydzić bizantyjski meczet. Nie było rysunków kanałów, ale po co ktokolwiek miałby patrzeć na kanały? Pałace były atrakcyjne. Architekt narysował dookoła drzewa i ludzi na pierwszym planie. Kobieta w białej sukience szła alejką, trzymając w małej dłoni parasol.

Urzędnik odchrząknął.

- Może pan teraz wejść, sir.

Żołądek podchodził Rose'owi do gardła, gdy szedł za urzędnikiem po wąskiej klatce schodowej, a potem korytarzem. Zatrzymali się przy zamkniętych drzwiach. Urzędnik zapukał i uchylił je odrobinę.

- Niejaki pan Rose, na spotkanie z panem.

- Proszę wprowadzić.

Ogromne mahoniowe biurko wypełniało nieomal całkowicie mały pokój. Jak statek w butelce, pomyślał Rose i spojrzął z roztargnieniem za siebie, na drzwi, zastanawiając się, jak udało się je przecisnąć przez tak wąski otwór. Pan Lovick siedział za biurkiem, przyglądając się ze zmarszczonym czołem jakimś papierom. Nie zadał sobie trudu, żeby podnieść wzrok, a jedynie machnął ręką na urzędnika, odprowadzając go. Rose czekał niezręcznie, obserwując profil Lovicka, gdy ten czytał. Był ciemnowłosym mężczyzną z grubymi czarnymi wąsami, bez najmniejszego śladu siwizny. Usta miał surowe, a twarz jak origami - ostre czubki i krawędzie. Rose przełknął.

- Panie Rose.

Lovick podniósł w końcu wzrok, a na czole pomiędzy ciemnymi brwiami nadal

rysowały się bruzdy zamyślenia. Nie zaproponował, żeby Rose usiadł. Rose wykręcał palce dłoni za plecami.

- Jak mogę panu pomóc?

- Przede wszystkim, panie Lovick, chciałem podziękować za to, że zgodził się pan mnie przyjąć. Wiem, że jest pan bardzo zajęty.

Lovick wykrzywił swoje białe usta w uśmiechu.

- Och, czarująca mowa, ale niestety wygłoszona do niewłaściwej osoby. Pan Lovick został wezwany w pilnej sprawie, która zatrzyma go na resztę dnia, a obawiam się, że i na cały jutrzejszy. Zaproponowałem urzędnikowi, że być może, pod jego nieobecność, ja będę mógł panu służyć.

Pochylił głowę w kierunku Rosea, obserwując jego twarz.

- Nazywam się Hawke.

Oczy Rosea nieomal wyskoczyły mu z orbit, a grdyka ocierała się boleśnie o kołnierzyk

- Ale...

- Jest pan prawnikiem pana Maya, jak rozumiem.

Hawke potrząsnął z żalem głową, ale wciąż trzymał wzrok utkwiony z namysłem w rozmówcy. Ku swojemu zdenerwowaniu Rose poczuł, jak gorąco zalewa mu szyję.

- Przepraszam, panie Hawke, ale uważam, że byłoby właściwiej, gdybym...

Hawke zachowywał się tak, jakby go nie usłyszał.

- Wydaje się nieomal zbędne ponosić koszty prawnika - zauważył natomiast - Zważywszy na okoliczności.

- A jakie to okoliczności, panie Hawke? - zażądał wyjaśnienia Rose, na którego białych policzkach pojawiły się czerwone plamy.

Uśmiech Hawke'a rozciągnął się odrobinę.

- To przesadzona sprawa, czyż nie tak to się nazywa?

- Tylko jeśli rzeczywiście taka jest - zripostował Rose.

Spojrzał gniewnie na Hawke'a, zdeterminowany nie stracić panowania.

Uśmiech Hawke'a nie drgnął, ale oczy się zwęziły.

- Więc?

- Gdy istnieje pisemny dowód na coś wręcz przeciwnego, dowód, który obciąża kogoś innego, nazywa się to zupełnie inaczej - powiedział Rose, przyciskając teczkę do piersi niczym tarczę. - Nazywa się to uzasadniona wątpliwość.

- Doprawdy?

- Nie inaczej. Szczególnie jeśli ten dowód został napisany ręką samej ofiary i jest poplamiony jej własną krwią.

- Jakie to upiorne. Czy mógłbym zobaczyć ten fascynujący dokument?

- Nie mam go ze sobą. Ale nie wyciągałbym jeszcze pochopnych wniosków, panie Hawke. Nie na pana miejscu.

- Nie ma go pan w ogóle, czyż nie tak, panie Rose?

- Ale będę miał. A teraz, jeśli mi pan wybaczy, mam do przesłuchania świadka. Interesująca postać, w istocie. Prawdziwa kopalnia fascynujących informacji. Wygląda na to, że zna kanały jak własną kieszeń.

Z sercem bijącym w gardle Rose pomaszerował do drzwi. Na progu zatrzymał się, a potem odwrócił.

- Nie przypuszczam, żeby imię Tom Długoręki coś panu mówiło, prawda, panie Hawke?

- Absolutnie nic.

Odpowiedzi Hawke a padały gładko, bez zawahania. Ale oczy migotały, jakby został porażony. Rose zacisnął pięści w geście triumfu, gdy zbiegał z hałasem po schodach. Dopiero gdy stanął na zewnątrz i surowy chłód poranka schłodził gorączkę na jego szyi, zaczął się zastanawiać, co najlepszego, u licha, właśnie zrobił.

## XXXII

To Brassey powiedział Binksowi, właścicielowi restauracji, który z kolei powiedział Tomowi, że krążą plotki, iż Kapitan planuje zabrać Damę na walki w sobotę wieczorem. Brassey ciskał pioruny jak jesienna burza, powiedział Dawson Tomowi, oczy nieomal wyskakiwały mu z głowy, a on aż się zachłystywał, opowiadając o tym, jak to nie pozwoli temu oszukańczemu łajdakowi nawet postawić nogi na swym progu. Według Binksa Kapitan nie pokazał się w pubie Badger już od miesiący. Kwestia przeróżnych nieuregulowanych długów, niewypłaconych zakładów. Jeśli Kapitanowi wydawało się, że może do niego wrócić, jak gdyby nigdy nic, jakby wszystko było w porządku, no to się zdziwi. To powiedziawszy, Brassey doszedł do wniosku, że będzie miał większe szanse na odzyskanie pieniędzy, jeśli jednak pozwoli łajdakowi postawić nogę na swym progu. Dobrze mieć swoje zasady, ale czasami człowiek musiał trochę ustąpić, żeby odebrać to, co mu się należy. Tak samo miały się sprawy z Tomem. Brassey wcale nie mówił, że jest winny, niezupełnie, ale pewne ówczesne sprawy dzisiaj załatwiłby inaczej, wiedząc to, co wiedział dzisiaj. Chciał, żeby Tom to wiedział. I jeśli Tom chce wrócić do pubu Badger, żeby dochodzić sprawiedliwości w sprawie psa, to Brassey nie zamierza go powstrzymywać. Nie jest człowiekiem, który pamięta

stare żale. Może nawet rozważyć zamawianie znowu szczurów, dodał wówczas zdawkowo, wruszając swoimi szerokimi ramionami. Biznes to przecież biznes, szczególnie jeśli cena jest właściwa.

Tom uśmiechnął się wtedy, oschle nieznacznie wykrzywienie warg. A więc to taka była gra Brasseya. Tom słyszał plotki ochłopcach, którzy dostarczają szcziui do pubu Badger, jak to zawsze przynoszą klatki w ostatniej chwili, a potem podbijają cenę, gdy już jest za późno, aby Brassey zdołał zdobyć dostawę bestii gdzie indziej. Nie było to zaskoczeniem, że właściciel pubu roztaczał powab Kapitana, aby sprowadzić do siebie Toma. Najwyraźniej przyszyły czasy, że pens za szczura nie wydawał się takim złym interesem mimo wszystko.

Ale pomimo całej pogardy dla niezręcznych metod Brasseya Tom czuł dreszcz podniecenia. Prawnik powiedział Joeemu, że będzie miał dla niego Damę w barze na Narrow Lane o siódmej wieczorem, ale Tom nie pozwolił sobie w to uwierzyć. Niemożliwe, jakoś trudno sobie wyobrazić tego niezdarnego młodzieńca mobilizującego całą powagę prawa, żeby ukarać Kapitana. Tacy młodzieńcy, same kości i czerwone uszy, zdarzali się również w zaułkach od czasu do czasu. Młodzieńcy, którzy mieli nadzieję poszukać sobie przyszłości w mieście. Młodzieńcy, którzy zawsze patrzyli w złą stronę, gdy nadciągały kłopoty. Wystarczyłoby, żeby Kapitan kichnął, a siła podmuchu zmiotłaby takiego młodzieńca z drogi. Ale teraz nie miało to znaczenia. Tom nie potrzebował już prawnika, nie teraz. Niech się wykrzywia i obraca na wietrze tak szaleńczo, jak tylko ma ochotę. To nie jest sprawa Toma. Dzisiaj wieczorem Dama będzie w pubie Badger. Kilka godzin i zobaczy ją. Dotknie jej. Poczul ściśnięcie w żołądku.

Zobaczy Kapitana i wszystko. Nadszedł czas, żeby Tom wziął negocjacje we własne ręce. Listy były z powrotem na swoim miejscu, bezpieczne w kryjówce w tunelach. Ale Tom zamierzał sprawić, żeby zapracowały na swoje utrzymanie. Joe powiedział, że twarz prawnika zajaśniała jak słońce, gdy zobaczył listy. Szczególnie jeden, czytał go raz po raz, oczy mu płonęły, a policzki miał czerwone, jakby to był liścik od ukochanej. Joe wyprostował wtedy palce, śmiejąc się i strzelając kostkami. Ręce mu prawie omdlewały od trzymania papieru w górze, żeby prawnik mógł się na niego gapić, powiedział Tomowi. Więcej niż raz musiał położyć dłoń na ramieniu mężczyzny, żeby go uspokoić, żeby prawnik się nie zapominał i żeby położył swoje łapczywe dłonie z powrotem płasko na stole, tak jak się umawiali. Gdyby Joe mu pozwolił, prawnik znalazłby się z nim za drzwiami, szybciej niżby ten zdążył powiedzieć „ścieki”. Wyglądało na to, że prawnik uważał, iż są warte psa, bez żadnych wątpliwości. Ile warte byłyby dla Kapitana? Z pewnością psa iczterdzieści gwinei? Prawdziwa okazja.

Tom poszedł do baru o siódmej wieczorem. Nie dlatego, że oczekiwał, iż prawnik będzie miał Damę, bo tego nie oczekiwał, ale dlatego, że im więcej będzie wiedział, tym lepszy interes będzie mógł zrobić Kapitanem. Nie zabrał listów. Były bezpieczniejsze tam, gdzie się znajdowały. W chwili, gdy schylił się, wchodząc przez niskie drzwi, zobaczył białego psa zwiniętego w kłębek pod stołem w kącie. Natychmiast dech zamarł mu w piersiach, a serce zabiło mocno o żebra - od razu, zanim porządnie mu się przyjrzał i stwierdził, że to buldog z kwaśną miną, który nawet w najmniejszym stopniu nie przypomina Damy. Przeklinając pod nosem, splunął na posypaną trocinami podłogę i czekał.

Prawnikiem się spóźnił. I był sam. Chociaż wiedział to od początku, Tom spojrzął na mężczyznę gniewnie i przełknął ślinę, czując w ustach gorzki smak.

- Przyszedłeś - rzucił Rose.

- Sam pan jest?

- Tak.

Rose zaczął wyginać dłonie. Nieomal zapomniał o psie. Przez całe popołudnie ciskał się niespokojnie, poczucie winy i strach trawiły mu żołądek i sprawiały, że czuł mrowienie u nasady włosów. Człowiek taki jak Tom darzył prawo plebejskim brakiem zaufania, prawdopodobnie nie bez powodu, skoro nie wydawał się typem, który kłopotał się jego ograniczeniami. Tak czy inaczej posłał list. Postąpił zgodnie z sumieniem, które kazało mu ratować niewinnego człowieka, ufając Rose'owi, że się za to odwdzięczy. Rose zawiódł to zaufanie. Hawkę z pewnością to wykorzysta. I dopadnie Toma. I będzie to wina Rose'a.

- Przepraszam - wymamrotał Rose. - Ja... sprawy okazały się bardziej skomplikowane, niż się spodziewałem.

Tom czekał.

- Nie mogę nic zrobić bez listu - wyrzucił z siebie nagle Rose. - Proszę. Błagam cię. Jeśli będę miał list, to będziemy mieli szansę na odzyskanie twojego psa. Bez niego... bez niego nie mam nic. Co oznacza, że nie mogę ci pomóc.

- Jaki list?

- Proszę. Nie bawmy się w te gierki. Zostało tak niewiele czasu.

Tom mrugnął, a jego oczy zrobiły się okrągłe.

- Nie wydaje mi się, że bym pana rozumiał.

- Na litość boską, człowieku, skończ z tym! Błagam cię.

- Wydaje mi się, że musiał mnie pan pomylić z jakimś innym gościem. Nic nie wiem o żadnym liście.

Rose nie był już w stanie dłużej się powstrzymać. Słowa wyrwały mu się z ust,



płynąc nieprzerwanym potokiem, wpadając jedno na drugie.

- Tom, jest na to za późno. On wie, czy mnie rozumiesz? Hawke, twój Kapitan, wie. Wie, że siedzę mu na karku. Że mamy pisemny dowód. I wie o tobie. Że z tobą rozmawiałem. Jest za późno. Nie możemy się teraz wycofać. Ale jeśli będę miał list, to mamy szansę. Możemy go dopaść. Wiem, że możemy go dopaść. Jeśli będę miał list, to będę mógł przeforsować pewne sprawy w Radzie. W najgorszym wypadku będziemy go mogli oskarżyć o korupcję. Poszedłby do więzienia. Ten człowiek cię oszukał, Tom. Z pewnością chciałbyś, żeby poszedł do więzienia. A gdybyś mnie zabrał na dół do tunelów, gdybyśmy mogli znaleźć dowody, które, jak twierdzi mój klient, są tam ukryte, wtedy może...

Tom uniósł do góry dłoń, grając na czas. W głowie mu wirowało.

- Ten list... jest zły dla Kapitana?

- Zły? Demaskuje fakt, że przyjmował łapówki w zamian za kontrakty. Nigdy nie został wysłany. Mężczyzna, który go napisał, nie żyje. Czy nie rozumiesz? Trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

Tom zrozumiał i serce mu zabiło. A więc to zawierał list A teraz Kapitan o tym wiedział. Nic dziwnego, że Brassey tak bardzo zabiegał o to, żeby Tom dowiedział się o walce. Nie takie rzeczy działy się w miejscach w rodzaju pubu Badger, rzeczy, o których nikt nigdy się nie dowiadywał. Ale każdy kij miał zawsze dwa końce. Kapitan mógł zastawić każdą pułpkę, jaka przyszła mu na myśl, ale to nadal Tom miał list List taki jak ten byłby wart co najmniej psa.

- Chciałbym panu pomóc - odparł Tom, starając się, żeby jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. - Więzienie to za dobre miejsce dla takiego drania jak on. Ale myślę, że wziął mnie pan za kogoś innego. Nic nie wiem o żadnym liście. I mówiłem panu - nie schodzę już do tunelów. To wbrew prawu.

Rose wpatrywał się w Toma, gdy ten wstał, okręcając się swoim podartym płaszczem.

- Ale...

- Mam nadzieję, że znajdzie pan gościa od pańskiego listu. Dobranoc panu.

- Nie!

Rose wyciągnął rękę, żeby złapać Toma za rękaw, ale szperacz był dla niego za szybki. Zanim Rose znalazł się przy drzwiach baru, starszy mężczyzna zdążył zniknąć.

XXXIII

Spowity w blasku gazowych lamp Strand był wielokolorowy i oszalały. Wystawy sklepowe krzyczały tysiącem jaskrawych barw, drzwi teatrów stały otworem, a ich złote i szkarłatne usta pochłaniały kłębiącą się masę ludzi. Pojazdy całkowicie wypełniały każdą

wolną przestrzeń. Dorożki przepychały się, walcząc o pierwszeństwo. Konie pędziły, upręże dzwoniły, a końskie głowy ginęły w białych obłokach własnego oddechu. Powożący krzyczeli do siebie, pandemonium uprzejmości i łajania. Ulicznice zaczepiały idącego Rose'a, błagając go o szklaneczkę dzinu albo jakiś drobiazg na czynsz. Obok niego kierowca omnibusa poganiał swoje dwa konie, popędzając je naprzód, podczas gdy konduktor uderzał zajadłe w pomalowany na jasnozielono dach. Rose skulił się pod płaszczem, utkwivszy wzrok w butach, gdy atakowała go uparta jasność, wbijając swoje palce wesoło w jego rozpacz. Gdy skręcił w King James Lane, grupa szykownych ludzi w eleganckich wieczorowych strojach nieomal go przewróciła. Hałaśliwy śmiech niósł się echem w jego uszach, raniąc go szyderstwem.

Koksiak oświetlał ciepłym światłem małe okienko w chatce stróża, ale dom był ciemny, a na jego pokrytej sadzą fasadzie malował się pogardliwy jak zawsze grymas. Rose się zawahał. Serce ziębiło mu pierś niczym lód. W Abbey Dining Rooms będzie ciepło. W piątki podawali gotowaną baraninę i pudding dzemowy. Nic nie jadł od śniadania, a cierpiał na dotkliwe bóle głowy, gdy zbyt długo pozostawał bez jedzenia. Rose wiedział, że rozsądnie byłoby coś zjeść. Poszedł jednak w stronę rzeki, kierując się na wschód. Przy Waterloo Bridge zapłacił należne pół pensa mężczyźnie, który siedział otulony aż po nos w budce z opłatami. Chciał iść przed siebie, iść i iść, aż wyjdzie za miasto i poza żalony brudny chłód następnego nieudanego dnia. Nie miał listu. Prawdopodobnie go nie zdobędzie. Nie udało mu się nawet zejść do tunelów. Skulony w swoim płaszczu, opierając się o kamienną balustradę mostu, Rose czuł, jak przytłacza go beznadziejność całego przedsięwzięcia. Nawet gdyby udało mu się przekonać kogoś, żeby zabrał go do kanałów, co dalej? Na litość boską, ani on, ani May nie mieli najmniejszego pojęcia, czego należy tam szukać.

Nadal miał mapę Maya w kieszeni spodni. Dotknął jej palcami. Składał i rozkładał ją tak wiele razy, że stała się niewiele większa niż znaczek pocztowy, a jej rogi były ostre. Na moście nie było prawie żadnego ruchu. Włóczędzy korzystali z mostu w Southwark, gdzie nie pobierano opłat. Tam, nawet w noc tak dotkliwie zimną jak ta, tłoczyli się w zagłębieniach w ścianie, tuląc się do siebie w poszukiwaniu ciepła, dopóki nie przegoniła ich policja. Ale tutaj był tylko jeden kabriolet, a woźnica tak się zawinął w koc, że spod kapelusza widać mu było jedynie koniuszek nosa. Poganiał konia, a bat trzeszczał jak łamiący się lód.

Rose westchnął, spoglądając w dół, na rzekę. Był odpływ imokre zwały przybrzeżnego błota błyszcząły lepko, wydychając zimowy smród soli i gnijących liści rzepy. Chłód wdzierał się w górę rękawów Rose'a i w dół, po szyi, przenikając przez wytartą materię płaszcza. Pośpiesznie okręcił mocniej gruby szal wokół szyi i wsunął dłonie z

powrotem do kieszeni. Złożony kwadrat papieru kłuł go odrobinę w poduszkę kciuka. Wychylając się, obrócił go w kieszeni. Zerwał się wiatr. Igrał na całej długości rzeki i tafla wody porwana była małymi wpadającymi na siebie falami. Gdy księżyc wysunął się zza zasłony chmur, rzucając blade srebrne światło na wodę, fale zawijały się, błyszcząc. Gigantyczny czarny potwór morski, pomyślał Rose, taka jest Tamiza, pełząca rowem miasta do legowiska pod otwartym morzem. Groteskowa bestia, która pożera i na wpół trawi odpadki największego miasta na świecie, otwartą paszczą nieustannie połyka jego gnijącą roślinność, jego odchody, jego zmarłych. Apetyt ma nienasycony, niewybredny, macki sięgają nawet trzewi miasta, aby zlizać ich ohydne osady. Kawalek papieru nie będzie dla niej żadnym problemem. Rose musiał jedynie rozchylić palce i pozwolić, żeby papierowy kwadrat upadł na jej solidne plecy. Zniknąłby przy pierwszym poruszeniu mięsistego kręgosłupa rzeki, zostałby zmieciony pod London Bridge, a potem uniesiony wzdłuż Pool, mijając rdzewiejący statek więzienie w Woolwich. Cele nie miały okien. Przepadłby zupełnie, niezauważony przez morze, włókna miękłyby i rozpuszczały się, aż stałby się niczym więcej jak samą wodą. A może los, ze swoim zamiłowaniem do taniej szmii, przykleiłby go do rozpadającego się podbrzusza samego więziennego hulka, nieotwarty list zwrócony do nadawcy, adresat nieznany. Być może byłby tam nadal, przyklejony do szorstkiego ciemnego metalu, gdy będą zabierać Maya do Newgate, żeby go powiesić. Proszę jej powiedzieć, że planuję dla niej ogród.

Rose zadrzał. Był przemarznięty do szpiku kości i ból głowy zaczął mu pulsować w prawej skroni. Muskularne meandry rzeki przyprawiły go o mdłości. Przeszując z nogi na nogę, zakopując dłonie mocniej w kieszeniach, poszedł z powrotem drogą, którą przyszedł. Nadal czuł szorstki dotyk papieru w dłoni. Ścisnął go mocniej, znajdując pocieszenie w odczuwanym bólu. Tym razem szedł energicznie, nie myśląc. Z dużym zniecierpliwieniem przyjął tłum ludzi blokujących wąską uliczkę tuż przed Inner Temple. Lampa gazowa nad nimi była odkręcona tak mocno, że huczała, a brutalne oślepiające światło paliło znajdujące się poniżej twarze, rzucając na nie atramentowe smugi cienia. Mrucząc pod nosem, Rose już chciał ich ominąć, gdy jego uwagę przykuł krępy mężczyzna w skórzanym kapeluszu przykrywającym kark i wysokich skórzanych butach spoglądający w dół, pomiędzy swoje stopy Marszczył czoło, a o nogę oparł gruby żelazny dysk. Obok niego stał policjant, trzymając jeszcze jedną latarnię. Rose zatrzymał się, a potem odsunął na bok mężczyznę w cylindrze. Policjant uniósł ostrzegawczo dłoń. Była kwadratowa i pokryta brudem.

- Nie za blisko, sir. To nie atrakcja turystyczna, wie pan.

- Spojrzał gniewnie na grupę ciekawskich gapiów, którzy już zaczęli się rozchodzić. -

Nie chcemy żadnych wypadków.

Rose spojrział w dół. Okrągły otwór w bruku miał może dwadzieścia cali średnicy. Żelazne bolce osadzone w pionowym szybie z cegieł wiodły w dół, w ciemność. Rose'owi stanął nagle przed oczami obraz leżącego w ciemności Toma. Ciało podskakiwało jak kościsty biały balas w brudnym podziemnym strumieniu, a Rose poczuł ukłucie straszliwego poczucia winy.

- Czy... czy coś się stało? - zapytał.

Policjant wzruszył ramionami i potarł swój okazały nos wierzchem dłoni.

- Posterunkowy zobaczył światło przez kratę przy Kings Court. Musimy schodzić za nicponiami, prawda? Przepisy.

Rose spojrział na policjanta.

- Policja ma dostęp do kanałów?

- To splawiacze schodzą na dół - poprawił go policjant, wykrzywiając twarz. - Boże, miej ich w swojej opiece.

- Ale możecie wysłać ich na dół? W każdej chwili? Nie potrzebujecie pozwolenia z Board of Works?

- Jak inaczej mielibyśmy czuwać nad przestrzeganiem prawa?

Policjant zaangażowany w sprawę Maya był zdecydowanie zdegradowany żądaniem Rosea. Po surowej krytyce, która towarzyszyła całej serii nierozwiązanych zbrodni, gazety pełne były pochwał dla szybkości, z jaką został zatrzymany winny tego szczególnie nieprzyjemnego morderstwa. Było późno i chcieli iść do domu. Upór Rosea był zarówno niespodziewany, jak inie mile widziany. Przepisy dotyczące kanałów zostały wprowadzone w celu zapobieżenia nieuprawnionym wycieczkom do systemu, poinformowali wyniosłe Rosea, a nie po to, żeby ułatwić dostęp wszystkim zainteresowanym. Rose był jednak natarczywy. Ból głowy, który atakował od wewnątrz gałki oczne, i nieprzyjemna świadomość, że powinien był o tym wiedzieć od początku, skryształizowały determinację egzekwowania należnych mu jako adwokatowi więźnia praw w kamienne nieprzejednanie. Nie bacząc na to, oficerowie policji uważali owe żądania za nic nieznaczące i tak iytujące jak bzyczenie muchy końskiej - jako oficerowie musieli przestrzegać procedur, bez względu na to jak wymagające i uciążliwe mogły się okazać. Gdy w końcu zrozumieli, że Rose nie da się przepędzić, zgodzili się, przy akompaniamencie znaczącego wzdychania i potrząsania głowami, że, jeśli Rose uzgodni z jednym z biygdzistów odpowiedni czas na zejście do systemu, to zapewnią mu dwóch sierżantów do towarzystwa. Inspektor rozchmurzył się nieco, wybierając do tego nieprzyjemnego zadania dwóch najmniej lubianych ludzi.

Następnego ranka Rose poszedł zgodnie z umową do wykopów na rogu Hyde Parku. Musiał czekać przez ponad godzinę, zanim brygadzysta, z którym miał się spotkać, wyszedł na powierzchnię. Zachodni koniec Piccadilly zamknięty był dla ruchu ulicznego i wszędzie wokół dorożki i powozy walczyły omiejsce, usiłując przedostać się przez wąskie uliczki Mayfair. Tam, gdzie kiedyś była droga, teraz ciągnął się nierówny wykop, szeroki na kilku mężczyzn, z prawdziwą pajęczyną desek przerzuconych pomiędzy brzegami, cały zastawiony istnym zatrzesieniem ogromnych rusztowań, belek i dźwigów. Armia robotników, tacek, koni i silników parowych kotłowała się wokół, wymachując nad ogromnymi stertami ziemi, gliny, cegieł i desek niezliczonymi kilofami, łopatami i młotkami, a ich krzyki i dzwonienie tonęły w ogłuszającym hałasie maszyny, która zdawała się z uporem zakopywać pod ziemią. Świat Maya. Żywe wcielenie budowlanego piymatu Londynu mogłoby poprawić fatalny nastrój Rose'a, ale w obecnej sytuacji fortyfikacje przywodziły mu na myśl gigantyczną gilotynę pochyloną nad otwartym grobem. Ostatniej nocy śniło mu się, że jeszcze żywy, ale niezdolny, by się odezwać ani poruszyć, przyglądał się w niemym przerażeniu, jak grabarz zawija jego nieruchome ciało w całun. Obudził się i zobaczył, że pościel owinęła mu się wokół nóg ciasno jak opaska uciskowa. Wydawało się, że wszędzie otaczają go znaki śmierci. Westchnął z ciężkim sercem, pocierając dłońmi ramiona. Otaczały go znużone domy oparte o ogromne drewniane stemple, jakby nie znajdowały dość siły, żeby stać prosto. Chłodne powietrze miało smak ziemi.

Rose spodziewał się Harkera, ale brygadzysta, który przyszedł na spotkanie, był żyłastym mężczyzną o twarzy tak wysmaganej wiatrem, że przypominała szorstki brąz dachówek. Było ich blisko dziesięciu, wyjaśnił Roseowi, pracowali w całym mieście. Naturalnie zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby spełnić tę prośbę, ale nie ma szansy na zejście na dół wcześniej niż jutro, nie teraz, gdy rozpoczął się przypływ. Można walczyć z samym Parlamentem, jeśli ktoś ma na to ochotę, ale nie można walczyć z przypływem. Rose przygryzł wargę i zrobiło mu się jeszcze ciężiej na sercu. Godzina dwunasta w niedzielę nie pozostawiłaby dość czasu na przygotowanie stanowiska na sesję. Nie uda mu się dostać teraz do tunelów, bez względu na to, co zrobi. A jeśli jakimś cudem mu się to uda, to niczego tam nie będzie. Całe przedsięwzięcie jest skazane na niepowodzenie, zrozumiał to teraz. Ta świadomość umocniła go w swoim postanowieniu. W ciągu dnia są dwa przypływy, zwrócił się z uporem do brygadzysty. Z pewnością mogliby zejść tego wieczoru. Chodzi o życie człowieka. Wyjął z kieszeni kawałek papieru, na którym May narysował mapę i podał go brygadziście. Mężczyzna się zawahał. Odsunął skórzany kapelusz w tył i potarł czoło. Rose skrzyżował ramiona na piersi, a szczękę zacisnął z niezachwianym uporem tych, którzy

całkowicie stracili nadzieję. Brygadzysta wziął długi oddech, zatykając dłonią usta, jakby palił papierosa. Gdy pochylił głowę na zgodę, było to zaledwie leciutkie kiwnięcie. Będzie dodatkowa opłata dla chłopców ze względu na niedogodność, oczywiście, płatna przed przybyciem oficerów policji, ale da się to załatwić. Jedenasta wieczorem. Regents Circus. Jeśli się spóźni, to nie będą czekać.

#### XXXIV

Tom wsunął dłonie do przepastnych kieszeni płaszcza.

- I tak - stwierdził.

Wychudły pies obwąchiwał kupę popiołu, a rzadka szara sierść zapadła mu się pomiędzy wystającymi zębami. Ale gdy skulił się przed jego butem, to biały pysk Damy spojrzał na Toma, to jej nos szukał jego dłoni, i dziura, jaką w sobie czuł, rozciągnęła się i kłuła dojmująco jak głód. Dzisiaj wieczorem. Być może stanie się to dzisiaj wieczorem. Nie był pewien, czy będzie w stanie doczekać tej chwili. Pod jego stopami most z deski nieco się ugiął.

- Słyszałem od Dawsona, że spodziewacie się dzisiaj wieczorem Kapitana.

- Uhm. Tak mówią.

- Dziwne, że chce tu wrócić. Przecież ma u was dług i tak dalej.

- Chce wystawić do walki psa. Nie można go przecież za to winić. Zapłaci mi, jak wygra.

- Miło.

Brassey uniósł do góiy brew.

- Szkoda, że nie będę mógł przyjść - dodał Tom.

- Nie? - Żabie oczy Brassey'a zmrużyły się odrobinę.

- Rzeczywiście szkoda.

- Coś mi się wydaje, że Kapitan będzie zawiedziony.

Brassey polizał nerwowo usta.

- O czym ty mówisz? Kapitan nie śmiałyby się tutaj pokazać, gdyby się ciebie tutaj spodziewał, czyż nie? Nie, zważywszy na to, jak się mają sprawy. Jak dla niego, nie masz tutaj wstępu.

- Ach! A więc teraz to my jesteśmy razem przeciwko niemu, tak? Jakież to miłe.

Brassey zadrzał lekko, wyginając swoją obutą w pantofel stopę.

- My, zwykli ludzie, my musimy się trzymać razem, prawda, Tom? Wiesz co. Żeby naprawić sprawę między nami, dam ci nawet z powrotem szczuiy. Pens za parę. Co ty na to?

- Nie zechciałbyś zapisać tego w prawnym dokumencie, co? Trochę się

rozsmakowałem w papierach, z tymi wszystkimi eleganckimi znaczkami i podpisami, i Bóg wie, czym jeszcze. W końcu szczury czy piasek, co za różnica? Pomiędzy nami, zwykłymi ludźmi, to znaczy.

Uśmiech Brasseya zadrżał niepewnie.

- Posłuchaj mnie, Brassey. - Wszelkie pozory uprzejmości zniknęły. - Nie zamierzam nawet zbliżyć się do tego miejsca dzisiaj wieczorem. Jeśli Kapitan jest zainteresowany tym, co mam, to może się ze mną spotkać na początku Adams Lane dzisiaj o północy. I lepiej żeby miał ze sobą psa. Rozumiesz?

Głowa Brasseya wysunęła się do przodu.

- Ktoś będzie z nim, to koniec. Możesz powiedzieć Kapitanowi, że gdyby mu się odechciało, to niejaki pan Rose interesuje się bardzo tym, co mam. Jesteśmy w doskonałej komitywie, ja i pan Rose. A pan Rose dałby sobie uciąć prawą rękę, żeby dostać to, co mam. Jeśli Kapitan się nie pokaże.

- Pan Rose - Brassey powtórzył szeptem jak echo.

- Powiedz mu to, Brassey. Nie pomył się, kto wie? Być może nie będę się mścił za to, co zrobiłeś, żeby mnie zrobić, ty obleśny kawałku gówna z kanałów!

Tom zszedł z końca deski.

- Oczywiście, nie uważałbym się jeszcze za bezpiecznego

- dodał Tom z namysłem. - Niczego nie można być pewnym w dzisiejszych czasach. Nawet prawniczej umowy.

Podnosząc deskę, odrzucił ją na jedną stronę, pozostawiając Brasseya uwięzionego na progu za morzem błota.

- Przy okazji. Jeśli przyślesz kogoś z Kapitanem albo będziesz próbował jakichś sztuczek, to poucinam ci palce, jeden po drugim, i nakarmię nimi te twoje szczury.

Uśmiech Toma rozciągnął się szeroko jak u buldoga, odsłaniając ciemne pniaki zębów.

- Kazałbym ci nawet zapłacić za tę przyjemność. Co byś powiedział na pensa za parę?

XXXV

William leżał na plecach w brudnej słomie, przygniatając niewygodnie wykrzywione, skute kajdanami nogi. Było dojmująco zimno. Głód ścisnął mu żołądek i szarpał kości. Gdy próbował stać, kręciło mu się w głowie. Bez kajdan, które przytwierdzały go do ziemi, miał dziwne uczucie, że mógłby pofrunąć w górę, rozplywając się w zatrutym podwodnym powietrzu jak dym. Od wizyty prawnika całe jego ciało poddało się wizjom dochodzenia, jakie Rose poprowadzi, opinii odnośnie do nieposzlakowanego charakteru Williama, jakie

uzyska, dowodów, jakie znajdzie. Sprawiedliwości, jakiej dzięki niemu stanie się zadość. William zachłystywał się łapczywie nadzieją, nie wiedząc, że jest ona jak skażone mięso - kłębią się w nim robaki, które potem opanują jego ciało. Prawnik jednak nie wrócił. Teraz piersi Williama, nogi, nawet wewnątrz jego czaszki wydawały się zupełnie puste. Daleko, poza jego zasięgiem, myśli poruszały się jak odległe kawałki chmur, które rzucają blade poruszające się cienie, a potem znikają. Nawet sny były cienkimi, ulotnymi zjawiskami, kruchymi jak pajęcza nić, ustępującymi bez protestu uporczywemu uderzeniu przyływu o kadłub statku albo piskowi łańcuchów, gdy żelazna klatka była opuszczana, bądź wyciągana. Gdy podczas śmiertelnych godzin przed świtem, na statku zapadała niepokojąca cisza, szeptał do siebie, znajdując pocieszenie w znajomej intonacji swojego głosu, stałej pewności słów. Język, oddech, dźwięki, nie mogli go ich pozbawić. Mogli go zakuć w łańcuchy jak zwierzę i zostawić, by tonął we własnych nieczystościach, ale mówił jak człowiek. Z zamkniętymi oczami szeptał słowa w złożone na ustach dłonie, niżąc je razem jak korale i czując ciepły oddech na palcach. Słowa niosły go do przodu, rytmiczne i powtarzalne jak stukot kół parowego pociągu. Żyję. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Ja żyję. William May. William May. William May.

Prawnik nie wrócił. W szarym kleistym półcieniu niższego pokładu William przemieszczał się pomiędzy snem i bezsennością, ledwie będąc w stanie odróżnić jedno od drugiego. Czas mijał. Słyszał dźwięki dzwonu oznajmującego rozdawanie chleba w południe i wiedział, że to wschód albo północ. Stracił rachubę dni. Prawnik przysłał mu wiadomość, że dochodzenie w jego sprawie jest kontynuowane, że ostrożnie można mieć nadzieję na postęp. Williamowi nie pozwolono oglądać listu. Został mu odczytany przez strażnika, który czytał nieudolnie, robiąc po każdym słowie przerwę, jakby wydawał polecenia pomocnikowi w sklepie spożywczym. William słuchał i nadzieja wzbierała mu w żołądku, zamieniając wnętrności w wodę. Już nie był w stanie wyobrazić sobie swojego procesu. Zabraliby go z żelaznego lochu, wyprowadzili na światło dzienne i oślepiłaby go jasność białego zimnego nieba.

Nie był szalony. Ale wspomnienia i sny przenikały do pustych zatopionych godzin, odciskając swoje jasne kształty na jego samotności. Późno pewnego wieczoru, a może był to rano, nie był w stanie określić, odwrócił się i przez jedną ulotną chwilę był pewien, że zobaczył karmelowe oczy Polly w oprawie ze szczeliny w rdzewiejących drzwiach, usłyszał miękki szept jej głosu ponad zwierzęcymi krzykami innych więźniów. Ale gdy wymówił jej imię, jedyną odpowiedzią były ostre uderzenia butów strażnika maszerującego żelaznym korytarzem. Pragnienia narosły w nim tak nagle, że z gardła wyrwał mu się krzyk, a korzenie



włosów zapłonęły czarnym ogniem. Ściana celi była szorstka od rdzy. William wbił w nią kostki dłoni i policzek, przesuwając je w górę i w dół. Pragnienia eksplodowały w każdej części jego ciała. Zdzierając paznokcie w pośpiechu, zerwał się na nogi, szurając nimi i miażdżąc je o kajdany, aż metal palił go w skórę. Mimo to nadal nie krwawił. Zamknął oczy. Tęsknota była tak duża, że nieomal czuł chłodny idealny kształt rękojeści noża w pięści. Uniósł go i wbijał, i wbijał, i wbijał. Twarz patrzyła na niego w górę, a oczy czerniały jak dziury w przerażająco białej twarzy. Zaciskając pięści po bokach, William ugryzł się w język. Przez chwilę czuł jedynie czarną sadzę swojej śliny. A potem piękny czerwony strumień nappełnił mu usta krwią. Ugryzł się jeszcze raz, a potem jeszcze raz, aż w końcu, zmieszana ze śliną, krew wylała się z ust i spłynęła triumfalnie po brodzie.

Polly usłyszała krzyk podążając pośpiesznie przed strażnikiem, ale nic nie powiedziała. Trzymała chusteczkę przyciśniętą do ust. Z największym wysiłkiem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć ze zniecierpliwienia, gdy strażnik manipulował niezdarnie przy zakratowanych drzwiach klatki. Na brzegu starannie wyczyszczonej gąbką sukni zrobiła się plama. Jej obecnie najlepszej sukni. Nie powinna tu przychodzić. Wszystko, czego chciała, to wyjść stąd, zgubić się w zgiełku dnia, zapomnieć o wszystkim, co widziała.

- Jest pani pewna, że nie chce, abym go obudził? - strażnik zapytał ponownie, marszcząc czoło, gdy klatka zatrzęsa się i zaczęła wspinać z jękiem na górę.

Polly potrząsnęła głową. Coś w tym prawniku, sposób, w jaki mówił, nie dawało jej spokoju. Dopóki nie przyszedł, miała się dobrze. Zamknęła przeszłość, tak jak zamknęła dom w Lambeth, usuwając się stamtąd, kawałek po kawałku, aż był pusty i zupełnie ciemny. Prawnik jednak coś ze sobą przyniósł, malutki migoczący płomień świecy, który nie chciał zgasnąć. I dlatego przyszła. Patrzył na nią jak dzikie zwierzę, nie mogła znieść myśli o tym. Przycisnęła palce do oczu, przywołując inny obraz Williama w swoim fotelu w Lambeth, z Di na kolanach. Lampa olejowa migotała, rzucając przydymione światło na kartki książki z obrazkami, którą pokazywał chłopcu.

- 343 - Dotknęła jego ramienia, a on podniósł wzrok i na nią spojrział. Twarz miał spokojną nad białym wykrochmalonym kołnierzykiem i delikatnie się uśmiechnął. Za jego plecami przed kominkiem klęczała dziewczyna, czerniąc palenisko.

Klatka podskoczyła, a Polly straciła równowagę i musiała chwycić się krat, żeby się nie przewrócić. Pomimo chusteczki przyprawiający o mdłości smród więzienia uwiązał w jej nozdrzach. Odchody Williama stały w odkrytym wiadrze obok drewnianego talerza. Odwrócił się, łańcuchy dzwoniły mu na nogach i wyglądał zupełnie jak brudne niedźwiedzie, które trzymają w zoo, i sposób, w jaki na nią spojrział wydawało się, że chciał ją pożreć.

- Daleka droga - stwierdził strażnik, wzruszając ramionami. - Żeby przyjść po nic. Zwykle ludzie przynajmniej chcą się pożegnać.

Polly milczała przez dłuższą chwilę. Gdy w końcu się odezwała, strażnik musiał wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć.

- Właśnie to zrobiłam - odparła.

XXXVI

Brygadzysta zszedł pierwszy, trzymając latarnię w górze, żeby Rose i sierżanci mogli bezpiecznie zejść po żelaznych stopniach drabiny. Oczy błyszcząły mu w świecie latami, niezgłębione jak oczy jaszczurki, gdy dawał Rose'owi znak, że może zacząć schodzić. Rose postawił niepewnie stopę na pierwszym szczeblu. Już teraz smród dochodzący z dołu był nieomal nie do zniesienia. Wdarł mu się do nosa, gdy Rose schodził do szybu, z taką siłą, że prawnik poczuł, jak zbiera mu się na mdłości, a usta wypełniają się kwaśną śliną. Ścisnął nos, oddychając z odrazą przez usta, małymi łykami. Był pewien, że czuje go na języku, obrzydliwy smród nocnych nieczystości. Zszedł do strumienia. Ciemna woda sięgała mu do kolan, a odrażające kawałki brązowej materii ocierały się o buty i płynęły dalej. Brygadzysta pokazał palcem, żeby kierował się na południe, a następnie dał znak pierwszemu z policjantów, że może zejść na dół. Światło z latami Rosea nie oświetlało zbyt dobrze brudnej gęstej ciemności tunelu, ale wokół siebie dostrzegał kruszącą się cegłę, świecąca od jakiegoś obrzydliwego tłuszczu. Nieopodal, w miejscu, gdzie żebro cegieł sterczało na zakręcie tunelu, wstrętny osad odchodów utworzył stromy miękki kopiec pod kruszącą się ścianą. Błede grzyby kwitły z odrażającą obfitością w poprzek sklepienia. Rose zamknął oczy, zaciskając po bokach dłoń w pięści. Gęsty szlam przywierał mu nieprzyjemnie do podeszew butów i Rose się zachwiał. Na myśl, że mógłby wpaść jak długi do brudnego strumienia, zamarło mu serce. Otworzył oczy, opuszczając lampę, żeby zajrzeć w otaczającą go ciemność. W kręgu światła woda miała wygląd bulgoczącego błota. Martwy szczur przepłynął obok, na chudym ciele widać było śliską sierść, a nagie łapy zwierzęcia zastygły na kształt haczyków. Rose przełknął ślinę. Wydawało mu się, że żadna kara na ziemi, z wyjątkiem może przeprawy przez samą rzekę Styks, nie może przygotować człowieka na horror tego, co znajduje się w kanałach Londynu.

Drugi policjant zszedł do strumienia z głuchym pluskiem. Brygadzysta mruknął coś pod nosem i - wysuwając latarnię przed siebie - minął Rose'a i poprowadził grupę na południe. Rose wzdrygnął się, kuląc ramiona, żeby nie otrzeć się przypadkowo o zbrukane cegły. Przy każdym kroku grudki płynących nieczystości ocierały mu się delikatnie o buty, ale powstrzymywał się przed spojrzeniem w dół. Idący z tyłu sierżanci kaszleli i soplali w

ciemność, a ich oddech był płytki z odrazy. Kilka razy brygadzysta dawał Roseowi znak postoju, żeby policjanci nie zostali zbyt daleko za nimi. Pokonali, jak oceniał Rose, około jednej czwartej mili, gdy brygadzysta ściągnął z haka na tyczce latarnię i uniósł ją nad głowę.

- To tutaj - rzucił lakonicznie.

Poorana bruzdami twarz nie miała wyrazu, ale oczy błyszczały mu w świetle lampy.

Rose rozejrzał się dookoła. Tunel zakręcał, wiodąc w ciemność, ale w zagłębieniu łuku widniało wybrzuszenie, które prawdopodobnie zostało oryginalnie wybudowane jako odpływ burzowy i teraz stanowiło coś na podobieństwo przedsionka do głównego tunelu. Przyptyw nie omiatał tej części kanału, więc śmierzdzący osad odkładał się warstwami na ścianach i wypełniał kąty, tworząc w nich ohydne kopce. Mimo że sufit nie był na tyle wysoki, żeby wyższy z dwóch sierżantów mógł w nim swobodnie stanąć, kanał był tu szeroki, a strumień płytki. Wzdłuż ścian murarka uległa znacznej erozji. Pokryta była pleśnią i grzybami, które wyglądały na toksyczne. Na podłodze walały się luźne cegły. Były tutaj setki możliwych kryjówek, tysiące. Rose miał ochotę rozplakać się z odrazy.

- To tutaj? - zapytał, dokładając starań, żeby głos zabrzmiał energicznie. - Miejsce na mapie?

- Tak

- Dobrze. - Perspektywa dotknięcia czegokolwiek sprawiała, że jego wnętrzościami wstrząsały zimne spazmy. - Ile mamy czasu?

Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Godzinę. Godzinę i pół, maksymalnie.

- No to lepiej zabierajmy się do roboty.

Rose obejrzał się na dwóch sierżantów. Niższy wyglądał wyraźnie źle, jego blada twarz miała niezdrowy zielony odcień, gęste brwi i wąsy były ciężkie od potu.

- Niczego nie będziemy dotykać - wyjaśnił ostro jego kolega oficer. - Jesteśmy tutaj jako świadkowie, nic więcej. Takie są rozkazy.

Spojrzał gniewnie na Rose'a, oczekując, że ten się sprzeciwi. Rose się nie sprzeciwił. Poprosił natomiast, żeby obydwaj oficerowie przynajmniej trzymali w górze latarnie i w ten sposób pomogli mu w poszukiwaniach. Następnie, najbardziej metodycznie, jak potrafił, usiłując o niczym nie myśleć, zaczął posuwać się wzdłuż ściany, wsuwając palce w kruszącą się zaprawę, dotykając obrzeża każdej cegły i ciągnąc ją, żeby sprawdzić, czy się nie wysunie. W rękawiczkach było mu niewygodnie. Rose wytrzymał przez być może piętnaście minut, zanim - z twarzą zeszywniałą z odrazy i frustracji - ściągnął je. Dotyk obślizgłych cegieł pod gołymi dłońmi sprawiał, że ścisnęło go za żołądek i za gardło. Kilka cegieł pokruszyło mu się

w dłoniach. Jedna wyszła w całości. W odruchu nadziei, która przepędziła odrazę, Rose wsunął dłoń w otwór. Był wilgotny i wypełniony szlamem z kawałkami pokruszonej cegły. Muł dostał się pomiędzy palce, wślizgnął się pod paznokcie. Rose rzucił cegłę na ziemię, nie patrząc gdzie, i przesunął się dalej, wzdłuż ściany, wrywając cegły i mocując się z nimi. W górę i w dół, naciskając, wyciągając, starając się nie myśleć, nie czuć. Nie mógł się śpieszyć i ryzykować, że którąś przegapi.

Minęło dwadzieścia minut, trzydzieści. Brygadzysta przyglądał mu się w milczeniu. Nadal nic. Rose badał kolejne cegły coraz bardziej gorączkowo, wyciągając je i siłując się z nimi, ciskając luźne kawałki do strumienia. Dłonie miał brudne, koniuszki palców podrapane i boleśnie poranione. Paznokcie dawno zdarł, ale nadal rozrywał ściany, wbijając palce w zaprawę, wykrzywając i wyciągając dłoń. Po raz pierwszy słaby uśmiech pojawił się w kącikach ust brygadzysty.

- Wygląda na to, że nie będzie zadowolony, dopóki nas wszystkich nie zagrzebie żywcem - zauważył oschle.

Sierżant z zieloną twarzą wdychał urywanymi łykami powietrze i zamknął oczy, wachlując się jedną dłonią.

Rose doszedł do końca wybrzuszenia w tunelu. Druga ściana. To musi być druga ściana. Przeszedł z chlupotem przez brudny strumień i kontynuował pracę, cofając się do punktu wyjścia. Pracował bez słowa, aż doszedł do fragmentu ściany spowitego w cieniu. Założył, że to po prostu złudzenie optyczne, ale gdy przyjrzał się dokładnie, widział, że to w istocie wgłębienie w ścianie tunelu, biegnące od kolan mniej więcej na wysokość ramienia i być może szerokie na dwie stopy. Cegły wydawały się tutaj luźniejsze, a wgłębienie usiane otworami i poczerniałymi kawałkami cegieł wyglądało jak usta starej wiedźmy. Rose zawołał do brygadzysty, żeby przyniósł bliżej latarnię. Wbijał palce dookoła niekształtnych cegieł, przekręcając je i wyciągając. I wtedy znalazł. Cegła była prawie cała, z niezupełnie pokruszonymi rogami, ale na jej powierzchni widać było kilka głębokich rys. Rose wyciągnął ją. Ukazał się otwór, ciemny od mroku. Otwór dużo większy niż pojedyncza cegła. Rose poczuł, jak coś ściska go za serce. To było to. Był tego pewien. Usiłując powstrzymać dłoń od drżenia, sięgnął do środka, rozprostowując palce. Więcej piaszczystej zaprawy, więcej cegły. I wtedy palce otarły się o coś miękkiego. Z sercem bijącym w uszach jak oszalałe Rose zacisnął dłoń na przedmiocie i wyciągnął go na zewnątrz. Notatnik, skórzany notatnik. Ostatnia rzecz, jaką spodziewał się znaleźć. Rose obracał go w dłoni. Na okładce odcisnięte były inicjały WHM. A na jasnobrązowej skórze widniała duża plama ciemnego atramentu. Nie, nie atramentu. To wcale nie był atrament To była krew. Rose poczuł, jak w ustach robi

mu się sucho.

Otworzył notatnik. Rysunki kwiatów, każdy pięknie wykonany tuszem i akwarelą i starannie opisany. W środku notatnika puste strony, jakieś niezrozumiałe bazgroły wykonane tą samą ręką. Rose przewrócił kartki na koniec. Strona była wypełniona jednym słowem, zapisanym drukowanymi literami. Rose poczuł, że robi mu się słabo, na czoło wystąpił mu pot jak zimny tłuszcz. Przewrócił strony, mnąc je i wyrywając. Strona za stroną, ta sama ręka. Ołówek przyciskała tak mocno, że przedarła papier. A na stronie rozchlapane były ciemne brązowe plamy jak gęsty atrament Albo krew. To samo, strona za stroną.

ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ.

Ohydny smród tunelu przenikał Rosea i atakował, wdzierając mu się do gardła. Zamknął oczy, usiłując przełknąć i przepędzić nudności. Skórzana oprawa notatnika przywarła do jego dłoni. Serce szarpało zebra, podejmując refren. ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ. To sierżant o zielonej twarzy zauważył światło na wodzie na drugim końcu tunelu. Natychmiast wyprostował się, gestykułując do brygadzysty w ciszy i z całym autorytetem władzy, jaki był w stanie wykrzesać. Brygadzista wzruszył ramionami, ale - ośmielony powrotem do formalnych obowiązków - sierżant potrząsnął surowo głową i pokazał palcem lampę. Brygadzista się zawahał. Następnie, unosząc wzrok do góry i potrząsając głową, zamknął lampę i pokazał innym, żeby zrobili to samo. Rose zachwiał się odrobinę do tyłu, nieświadomy, uderzając się boleśnie łokciem w ścianę tunelu. To sierżant o zielonej twarzy wyrwał mu z ręki latarnię, zamykając ją gwałtownie. Było zupełnie ciemno, ale Rose widział słowa, powtarzane w nieskończoność, odcisnięte ognistym czerwonym pyłem w ciemności.

ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ.

Głosy były ściszone, ale - wzmocnione przez akustykę niskiego tunelu - niosły się wyraźnie wzdłuż strumienia.

- List

A potem ponownie, tym samym szorstkim szeptem.

- Nie możesz mieć mnie za takiego głupca, że poszedłbym za tobą dalej. List

- Boimy się, tak?

Drugi głos był mniej elegancki, ze zniekształconymi samogłoskami londyńskiego handlarza. Bez wątpienia słycać było w nim groźbę.

- Jeśli nie dasz mi listu, to zabiję psa.

- Cierpliwości, cierpliwości. - Dał się słyszeć delikatny chłupot wody, a potem tarcie cegły o cegłę. - No proszę, co my tu mamy?

- Daj mi go.

- Bardzo interesujący list trzeba przyznać. Bardzo interesujący, zaprawdę.

- Słuchaj, ty obleśny...

- Nie jestem prawnikiem, ale idę o zakład, że taki list mógłby wpędzić człowieka w naprawdę niezłe tarapaty.

- Daj mi go.

- Najpierw ona.

Krótką chwilą ciszy.

- No?

- Bardzo proszę. Interesy z tobą to przyjemność.

Szelest papieru był ledwie słyszalny ponad szumem strumienia.

- Moja dziewczynka. - Drugi głos był teraz łagodniejszy. Można było nieomal usłyszeć w nim śmiech. - Moja słodka dziewczynka. Niech no zabiorę cię do domu.

A potem, bardziej szorstko.

- Tędy.

Zamrugały światła. Rozległ się miękki chlupot kroków. Brygadzysta zaczął posuwać się bezgłośnie wzdłuż tunelu, w pogoni za intruzami. Nagle rozległ się szelest metalu o metal. Brygadzysta zamarł.

- Cóż, wydaje mi się, że raczej nie - syknął pierwszy głos.

- Nie robiłbym tego. - Drugi głos był bardziej szorstki niż przed chwilą, ale mimo to dało się w nim słyszeć drżenie groźby, był napięty jak pęda dusiciela. - Nie, gdybym był na twoim miejscu.

- Och. Ale nie jesteś.

- Ostrzegam cię, jeśli mnie choćby zadraśniesz, ona wyrwie ci gardło.

- Nie, jeśli ja najpierw podetnę jej. Czujesz to ostrze? Ostre, prawda? Dobrze wykonuje swoją robotę, tak się składa. Nie trzeba wiele, żeby podciąć człowiekowi gardło. Ruch nadgarstka, trochę siły, żeby nacisnąć. Jak cięcie mięsa. Albo patroszenie psa. Oczywiście, nie zawsze umierają od razu. England na przykład, England próbował nawet uciekać. Ale tutaj, na dole, kto usłyszy krzyk człowieka?

- Po raz ostatni, ostrzegam cię...

- Pan England, on płakał jak dziecko...

Krzyk, który potem nastąpił, przeszył tunel jak ostrze noża. Sierżant o zielonej twarzy wciągnął gwałtownie powietrze. Odpinając nerwowo pałkę ze swojego paska, ruszył w kierunku światła. Brygadzysta ruszył za nim, a za nimi Rose. W miejscu, gdzie tunel skręcał, na haku w ścianie wisiała lampa. Za nią majaczyła ogromna i straszna jaskinia, z łukami i

kolumnami pograżonymi w ciemności, jak podziemny pałac samego diabła, a wszędzie w niej zwisały ogromne szpilki salety. Czarna podłoga migotała jak pułapka. Na podłodze, niczym zaskoczony szczur schwytny w jasnym płomieniu światła, leżał jak długi mężczyzna. W jednej ręce trzymał nóż. Pojedynczy rubin krwi połyskiwał na srebrnym ostrzu. Drugą dłonią ścisnął bok swojej szyi. Krew tryskała mu pomiędzy palcami purpurowymi strumieniami. Był zupełnie sam. Sierżant wpatrywał się w niego oczami okrągłymi z przerażenia.

- Co u... słodki Jezu!

Mężczyzna spojrzał w górę, a oczy błyszczały mu gorączką w trupiobladej twarzy. Wtem, w nagłym akcie desperackiej siły, zerwał się na nogi i rzucił do strumienia. Sierżant był zupełnie zaskoczony. Potknął się i nieomal wywrócił, ale brygadzysta był szybszy. Chwycił mężczyznę, wykręcając mu ręce na plecach. Mężczyzna wyrywał się dziko, a krew z rozdartej szyi rozchłapywała się na twarzy brygadzysty, tworząc szkarłatne plamy.

- Panie Hawke - powiedział sierżant głosem, w którym zadźwięczał żal. - Panie Hawke, obawiam się, że jest pan aresztowany.

### XXXVII

Świat nie widział czegoś takiego jak dzień, w którym powieszono skazańca. Mimo że sam więzień miał się pojawić na szubienicy nie wcześniej niż o ósmej rano, tłumy gromadziły się od północy, zwłaszcza chłopcy i dziewczęta, ale wśród nich również mężczyźni i kobiety, wszyscy dążąc do zapewnienia sobie jak najlepszego widoku na całe zdarzenie. Towarzyszył im zapach, rozważał Tom, jak kocurom w letnią noc. Nachodzili od strony Holbom i Snow Hill, mijając po drodze kościół St. Sepulchres, a potem szli ulicą Newgate, przepychając się i tłocząc, z wzrokiem rozbieganym w ciemności, trawieni żądzą krwi, która zdawała się unosić z nich jak para. Wzdłuż całej drogi właściciele sklepów z dzinem porzucili swoje łóżka, otworzyli okiennice i handlowali, korzystając z okazji. Od czasu do czasu pojawiała się większa kompania, żeby zobaczyć, jak robotnicy radzą sobie z całym tym pukaniem i waleniem, zanim pragnienie nie wezwało ich do środka, żeby pili następne trunki.

W uliczkach żółte kule gazowych lamp były całe spowite w porannej mgłę i dymie z fajek. Ludzie przechadzali się w górę i w dół zatłoczonych ulic i gromadzili się w grupkach wokół tych, którzy, uważając się za autorytety w kwestii egzekucji, zapewniali wszystkich chcących posłuchać, w którą stronę więzień będzie zwrócony i w którym momencie wszystkich czynności pętla zostanie nałożona na jego szyję. Bariierka oddzielała tłumy od samej szubienicy, chociaż ludzie napierali na nią już od piątej rano i całkiem sporo kobiet, które zemdlały, podawano sobie z rąk do rąk przez tłum, poluzowawszy im suknie, żeby mogły swobodniej oddychać. Na dachach wielu domów w pobliżu ustawiono rzędy krzeseł na

podobieństwo galerii. Widzowie w przerwach pomiędzy wysiłkami, żeby utrzymać równowagę na swoich siedzeniach, raczylili tłumy na dole wszelkim rodzajem sprośności. Gdy w końcu szary wschód wylał się jak brudna woda na uliczki, ledwie można było usłyszeć dzwony wybijające godziny, tak ostre i podniecone były krzyki oraz śpiewanie wszelkiego rodzaju obleśnych piosenek. Trudno było rozróżnić słowa, natomiast słychać było wyraźnie nazwisko Hawke'a, wplatanie radośnie do każdego refrenu, bez względu na to, że nie miało nic wspólnego z piosenką.

W tej całej bieżącej i zamieszaniu sama szubienica stała samotnie - po prostu czarny pień z łańcuchem sterczącym z niewielkich drzwi w czarnej ścianie więzienia. Ramiona poprzecznie skuliły się ze strachu przed zgiełkiem. Wydawała się jakaś mizerna, ledwie godna takiej wspaniałej okazji.

Tom torował sobie drogę przez tłum, z Damą przy nodze. Po tamtej nocy był ostrożny i starał się nie rzucać w oczy, trzymając z dala od East Court, a blisko ciemnych sekretnych kątów zaułków, gdzie ludzie z zewnątrz nigdy się nie zapuszczali. Nocą sypiał na worku w piwnicy, z Damą wciśniętą jak piecyk w zagłębienie kolan, nasłuchując kroków ponad delikatnym odgłosem jej pochrapywania. Tamtej nocy w tunelach wzięli się dosłownie znikąd, trzech albo więcej drani, bez ani jednego ostrzegawczego krzyku. Tom miał za ledwie ułamek sekundy, żeby rozplątać się w ciemności. Mimo to nie był pewien, czy go nie widzieli. Na początku myślał, że to Hawke ich nasłał, dla ochrony. Potem usłyszał. Zabrali Kapitana do więzienia. Okazało się, że jednak ktoś doniósł na niego w związku ze śmiercią tego gościa w kanałach. Powinien znaleźć w tym satysfakcję, ale raczej czuł strach. Kto wie, co Kapitan powie przed sądem, gdy zacznie myśleć o tym, jak stryczek zaciska mu się na szyi. Przez całe dni Tom chodził skulony, wyczekując ciężaru dłoni spadającej mu na kark, a potem wykręcania mu rąk do tyłu. Ale czas mijał i wciąż nic się nie działo. Tom nie wracał do East Court przez ponad tydzień, choć, według Joeego, nie pojawił się żaden dociekliwy hycel, który waliłby w zaryglowane drzwi albo chodził po gospodach i zadawał pytania. Nawet Eddowes, właściciel budki z kawą, który wiedział wszystko, nie słyszał, żeby ktoś wspominał o Tomie w całej tej żalostnej historii. Niemniej Tom czekał. Być może chcieli go wypłoszyć, dorwać, gdy pomyśli, że droga jest już czysta. Ale dzisiaj mieli powiesić drania. Dzisiaj nawet ostrożny Tom uważał się wreszcie za bezpiecznego. Dama, niech Bóg ją błogosławi, może i pozostawiła Kapitanowi dość gardła, żeby śpiewał, ale wyglądało na to, że nie było nikogo, kto chciałby go słuchać. A teraz mieli dokończyć za niego robotę jak najbardziej oficjalnie. Cała powaga prawa, Parlamentu i Jej Królewskiej Mości Królowej Wiktorii we własnej osobie miała kontynuować dzieło, które rozpoczęła Dama. Było w tym



coś bardzo satysfakcjonującego.

Przed siódmą rano Tom i Dama usadowili się wygodnie we wnęce ceglanej ściany z widokiem wprost na cały spektakl. Żarty i śmiech gawiedzi wypełniały powietrze, a dum pulsował, kołysał się i napierał, gęste morze ludzi, jak daleko sięgnąć wzrokiem. Niedaleko Toma jakiś mężczyzna uchwycił się rozpaczliwie rynny i usiłował ze wszystkich sił podciągnąć na wąską półkę nad ciżbą, ale właściciel sklepu, do którego należała, trzymał go mocno za nogi i nie zamierzał puścić wolno. Tłum natychmiast żywo się nimi zainteresował i ze wszystkich stron dochodziły krzyki zachęty, tak zażarte i zaangażowane, że można by pomyśleć, że to krzyki specjalnych gości w dole. Ta myśl sprawiła, że Tom roześmiał się na głos. Nad nim okna sklepów zaczęły zapełniać się ludźmi. Gruby krawiec i jego żona siedzieli obok siebie w pokoju nad oknem modystki, popijając z zadowoleniem herbatę z filizanek

Tymczasem wzdłuż barierki paradowała grupa hyclów z twarzami tak absolutnie pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu, że można by pomyśleć, iż zupełnie nie słyszą wrzawy grubiańskich uwag, które padają pod ich adresem z ust zuchwałych pomocników straganiarzy i dziewcząt na przedzie tłumu. Tłuszcza tak już zgęstniała, że trudno było utrzymać się na nogach. Tom wysunął łokcie na zewnątrz, żeby nikt nie potrącił Damy, zwiniętej w jego ramionach. Nie powinien jej przynosić, naprawdę, zdeptaliby ją natychmiast, gdyby tylko postawił ją na ziemi, ale wydawało mu się, że powinna tu być. Miała takie samo prawo jak każdy inny, widzieć jak wisi, a nawet większe. Nie zliczyłby dwudziestu ludzi zebranych tutaj dziś rano, co poznaliby Kapitana, gdyby do nich podszedł i podał im rękę. Dama, ta poznała Kapitana zbyt dobrze. Pod lewym ramieniem miała świeżą ranę, poszarpany łuk, ciemny i siny na różowej skórze. Przemyczał go wodą miętową, ale nadal miał złowrogi wygląd, który mu się nie podobał. Gdyby miał wyznać prawdę, to właśnie ta rana dzisiaj go tu przywiodła, bardziej niż cokolwiek innego. Gdy tylko spojrzał na nią albo z jakiegoś powodu o niej pomyślał, czuł skurcz gotującego gniewu w żołądku. Drań nie mógł po prostu jej ukraść, o nie. Musiał spróbować ją złamać. Jeśli zepsuł ją do walk...

Poczuł drgnięcie psiego ucha na wardze, gdy podniosła głowę, żeby polizać go po policzku. Zatrząszczy się, żeby wróciła. Będzie jednym z tych psów uwiecznionych na zawsze w gablocie, żeby wszyscy bez wyjątku mogli podziwiać ją jako jednego z najwspanialszych psów. Na razie jednak byli tylko we dwoje i przyszli tu obejrzeć, jak ten drań Kapitan przechodzi do wieczności. Stracił swój pazur, powiedział do siebie, zaciskając wokół niej ramiona, i uśmiechnął się wbrew sobie. Tom Długoręki, stary jak świat i miękki jak baba.

Gdy przejechały powozy szeiyfa, czas zaczął płynąć szybko. Gdy zegar wybił kwadrans, tłum się rozgorączkował, choć jednocześnie przycichł, wyciągając szyje i stając na

palcach, żeby zobaczyć coś, co mogłoby wskazywać, że więzień już nadchodzi. Przyniesiono drabinę i wniesiono ją przez boczne drzwi. Ci, którzy mieli dość miejsca, podnosili do góry ręce, żeby coś pokazać, a potem musieli się siłować, żeby umieścić je z powrotem po bokach. Pojedynczy robotnik kończył ostatnie prace przy belce, przy akompaniamencie zachęt i krzyków z tłumu. Ponad falującym morzem głów rozsuwano okna i ludzie rozkładali się na drewnianych i kamiennych parapetach, podekscytowani i niecierpliwi.

I wtedy, w końcu, zegar zaczął wybijać pełną godzinę. Natychmiast, jakby kurant był parowcem tłoczącym swoje ogromne koło przez morze ludzi, dum zaczął podskakiwać i kołysać się, a straszny gorączkowy krzyk narastał wśród gawiedzi. Tom wyciągnął szyję. Najpierw na platformie nie było widać żadnego ruchu. Czarny szafot szubienicy kulił się samotnie na swojej podstawie, odwrócony tyłem do całego zgielku. Przywiódł Tomowi na myśl bite dziecko, które boi się, żeby nikt go nie zobaczył. Wówczas czarne drzwi więzienia otworzyły się i pokazała się głowa. Tłum wstrzymał oddech, tysiące ust razem wciągnęło powietrze. Było tak, jakby razem z oddechem wciągnęli wszystkie hałasy z ulicy tak, że zapanowała nieomal całkowita cisza. Głowa uniosła się do góry i okazała się być głową Williama Calcrafta, kata Newgate. Za nim wyszedł Kapitan.

Jego czarny strój wyglądał na nowy, a bandaż wokół szyi miał elegancki nieskazitelny powab ubioru dżentelmena. Nadgarstki związano mu z przodu, ale mimo to szedł, jakby huśtał rękami po bokach, krocząc dumnie. Spojrzał na tłum, mrużąc oślepione jasnością poranka oczy. Kilku pomocników straganiarzy zawołało do niego, ale tłum był przeważnie cichy, czekając z otwartymi ustami. Patrzyli, gdy więzień podniósł do góry złączone ramiona, w geście, którego Tom nie było w stanie do końca zrozumieć. Dał się słyszeć wtedy szept, który przebiegł przez morze ludzi jak fala. Ci bliżej tyłu wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. Wówczas mężczyzna, który szedł za Kapitanem, popchnął więźnia do przodu tak, że znalazł się on bezpośrednio pod belką. Calcraft wyciągnął z kieszeni czarny materiał i naciągnął go ciasno na głowę i twarz więźnia. Nie widać było współczucia ani litości na uniesionych twarzach tłumu. Gawieź wspięła się natomiast na palce, z otwartymi ustami, które były czerwone i mokre. Ściągnęła na szyjach napięły się jak powrozy. Niemożliwością było usłyszeć słowa, które wymawiał ustami duchowny, ale nie sposób było nie zauważyć, że jego chciwe oczy nie pasowały do poważnego wyrazu jego ust. Potem deska została wyciągnięta i Hawke spadł. Ze swojego miejsca w górze Tom zobaczył, jak dłonie kata wysuwają się spod platformy, chwytając Kapitana za kostki i pociągają go w dół mocnym szarpnięciem. Ciało zadrgało, podskoczyło, a potem, ciężkie jak worek kamieni, zawisło bez ruchu.

Mężczyzna nie żył.

Przez chwilę tłum milczał, a potem całe miejsce wypełnił wrzask, tak głośny i radosny, że same cegły Newgate zdawały się trząść w swojej zimnej zaprawie. Tom nie wiwatował. Przytulił twarz Damy do swojej, wdychając jej ciepły zapach koca. Nie zatrzymał się, żeby zjeść śniadanie, ale nagle jego żołądek któryś od godziny albo dłużej głośno domagał się stawy, nie wydawał mu się już pusty. Było mu natomiast ciepło i czuł się zadowolony, jakby zjadł bochenek chleba prosto z pieca. Wielu biednych ludzi chętnie dowiedziałooby się, że zapach psa może wypełnić głodny żołądek, pomyślał z przekąsem. Był zadowolony, że nie ma tu Joe'ego i że nie widzi on jego twarzy. Taki stary i miękki jak baba. Joe śmiałby się z tego do rozpuku, a Tom nigdy nie opędziłby się od jego przytyków.

Kat żartował sobie teraz z ciała, udając, że podaje mu dłoń. Tłum wiwatował. Tom uśmiechnął się, zanurzając twarz w futrze Damy. Nadszedł czas, żeby zabrać ją do domu.

### XXXVIII

Dwa dni później William i Polly opuścili Londyn.

Zabrali ze sobą niewielką ilość pieniędzy. Mimo że niektórzy członkowie Rady kwestionowali taką potrzebę, Lovickowi udało się uzyskać dla Williama pewne zabezpieczenie, które miało wystarczyć na pokrycie bieżących potrzeb jego rodziny przez okres krótkiej rekonwalescencji. Nie zaproponowano, aby ponownie objął swoje stanowisko w Radzie. Zaiste, list towarzyszący szczegółom renty jasno precyzował, że ten hojny gest ma służyć nie jako deklaracja dalszej współpracy pomiędzy panem Mayem i Komisją, ale raczej jako jej konkluzja, ostateczne, możliwie dyskretne, spuszczenie zasłony nacały nieszczęsny epizod. Hawke'a szybko zastąpiono, a zespół pierwszej klasy specjalistów przypisano jego następcy. Pomimo skandalu Komisja nadal cieszyła się entuzjastycznym poparciem Parlamentu i mieszkańców Londynu. Praca będzie zatem kontynuowana bez zwłoki. I bez Williama.

Polly nie próbowała ukryć oburzenia. Bruzdy irytacji, które zaczęły rzeźbić się na jej ziemistych policzkach, pogłębiły się i pociemniały. William nie zrobił nic złego, przekonywała każdego, kto zechciał jej posłuchać. Czyż samo prawo tak nie osądziło? William był wcale nie mniejszą ofiarą niegodziwości Hawke'a, co sam England i, jak England, nie zasługiwał na karę, a na zadośćuczynienie. Dzięki diabelskim knowaniom potwora jej mąż został okrzyknięty szaleńcem i zamknięty. Ona sama, niegdyś pani domu i służącej, szacowna kobieta z określoną pozycją, została zepchnięta do jednego pokoju w byle noclegowni, gdzie mogła przyjmować dość szycia, żeby nakarmić swoje dzieci. Powinni przynajmniej doczekać się publicznych przeprosin, przyznania strasznej krzywdy, która została wyrządzona Williamowi, im obydwójgu, i pozwolenia na powrót do dawnych

obowiązków, do dawnego życia. Czyż nie tak? Napisała gniewną ręką list do Rawlinsona, dawnego dobroczyńcy Williama, ale otrzymała jedynie krótką odpowiedź od jego sekretarza, z najlepszymi życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia od inżyniera dla swego męża. Została uprzejmie poinformowana, że Rawlinson darzy najwyższym szacunkiem Bazalgette'a i Metropolitan Board of Works. Pragnie, aby wiedziała, że popiera całkowicie wszelkie rozstrzygnięcia, jakie uznano za stosowne przyjąć w tej kwestii.

Gdy Polly otrzymała list Rawlinsona, uderzyła w niego gniewnie wierzchem dłoni, wymachując nim przed Williamem i żądając, aby podzielił jej oburzenie, ale on wzruszył jedynie z niecierpliwością ramionami i wyciągnął do niej rękę. Przytulał ją bardzo często przez całe tygodnie po odzyskaniu wolności, chwytając za rękę, gdy przechodziła obok, i chowając twarz w jej fartuchu. Gdy poruszała się po pokoju, nieustannie śledził ją wzrokiem. Nie był w stanie znieść samotności. Właścicielka domu pozwalała, aby mieszkańcy korzystali z kuchni w niedziele i William lubił tam przesiadywać z Polly, na bujanym fotelu przysuniętym blisko pieca. Najbardziej lubił, gdy piekła chleb, mimo że piekarz przychodził codziennie. Siedział na fotelu ze wzrokiem utkwionym w żonie i głową pełną zapachu chleba. Przyznał, że nie może się nim nasycić - gorącym, mącznym, żywiołowym aromatem piekącego się chleba. Nie powiedział jej, że gdy piecze się chleb, na chwilę zapomina o smrodzie więzienia, smrodzie, który zdawał się zamieszkać w jego nozdrzach i który w nocy unosił się pod postacią szarozielonych chmur mgły, przybierając monstrialne formy zaludniające jego sny. Siedział natomiast na swoim fotelu i bawił się jak Di kawałkami ciasta Polly, ugniatając i rozciągając je tak gorączkowo, że robiły się szare i pozostawały uparcie płaskie po upieczeniu. Wyglądał tak poważnie i był tak przygnębiony, gdy wyciągała je z piekarnika, że surowa twarz Polly dawała za wygraną, a ona śmiała się, nie perliście, jak kiedyś, ale zduszonymi małymi parsknięciami, jakby zostało w niej mało śmiechu i chciała nim oszczędnie gospodarować. Wtedy William też się uśmiechał. Od opuszczenia statku więzienia często się uśmiechał, nerwowymi małymi uśmiechami, które chwytaly się łapczywie słabego odbicia na twarzy Polly. Moja mała krzyżownicza, szeptał tęsknie, chwytając jej dłonie w swoje i wdychając ich słodki piżmowy zapach. Moja najdroższa mała krzyżownicza. A ona muskała suchymi wargami jego czoło i na chwilę bruzdy irytacji na jej policzkach łagodniały odrobinę, a w karmelowych oczach rozbłyskało coś ze stajych złotych iskierek

Nie ciął się. Nie śmiał. Marzył o tym, o palcach zaciskających się na znajomym kształcie rękojeści noża, o srebrnym błysku ostrza wbijającego się w skórę i czuł, jak serce mu eksploduje, krew śpiewa z ekstazy, a dusza krzyczy z euforii do nieba, ale mimo to się nie

ciął. Wodził za żoną wzrokiem po pokoju, przyglądając się, jak opadają jej ramiona, gdy poprawia drewno w kominku, obserwując jej palce, gdy wbijają i wyciągają igłę materiału. Uśmiechał się do niej swoimi ostrożnymi zrozpaczonymi uśmiechami, a ona widziała go i uśmiechała się do niego w odpowiedzi. Gdyby się ciął, wiedziałyby o tym. Patrzyłaby na niego tymi oczami i nie uśmiechałyby się do niego, a jego serce by zamarło, krew zamieniłaby się w lód, dusza zaś zostałaby złamana, naga i w łańcuchach. Nic by nie zostało, gdyby odeszła, nic oprócz ciemnego, zimnego naporu strachu. Nie mógł się ciąć. Nie będzie się ciął. Był przy zdrowych zmysłach, prawda? Uznali, mimo wszystko, że jest przy zdrowych zmysłach. Przy zdrowych zmysłach i niewinny. Te słowa były tak namacalne i autorytatywne jak kamienie. Nie można im było zaprzeczyć. Niepokoje i sny mogły skradać się w swoich cieniach, ale były bezsilne i nie mogły zmienić niezmiennej natury kamieni. Tymczasem, jeśli nie ruszał się zbyt dużo i mniej myślał, był w stanie skoncentrować się na utrzymywaniu naczynia, jakim się czuł, nieomal w bezruchu na swoich kolanach.

W dzień po powieszeniu Hawke'a brat Polly Maurice przybył na kwaterę Mayów, tak jak uzgodnili. Miał pewien interes do załatwienia w wiosce oddalonej o zaledwie parę mil od Lambeth, tak więc ustalili, że zaoszczędzi to dodatkowych kosztów, jeśli przywiezie swój pusty wóz i zabierze nieliczne - pozostałe sprzęty Polly i Williama do swojego domu, gdzie pozostanie cała rodzina, aż zdecyduje się ich przyszłość. Polly zeszła na ulicę, żeby go przywitać, zostawiając Williama, który obserwował ją niespokojnie z okna. Gdy witała się z bratem, na ulicę zajechał z klekotem dylizans pocztowy i w jej dłoniach umieszczono paczkę. Spojrzała na nią, a potem w górę, na okno. William uśmiechnął się do niej nerwowo, pragnąc, żeby pośpieszyła z powrotem. Zniknęła mu z oczu. W chwilę później usłyszał jej kroki na schodach, a za nimi cięższe kroki szwagra.

- Przesyłka do ciebie - obwieściła, umieszczając ją w rękach męża.

William spojrzał na paczkę. Nie rozpoznawał charakteru pisma. Jego palce nie radziły sobie ze sznurkiem i Polly musiała przynieść mu nóż, zakrywając małą szafkę spódnicą, żeby Maurice nie zobaczył, że zamykają na klucz. Nie była pewna, czy jest to nadal konieczny środek ostrożności, ale i tak to robiła. Jeśli William to zauważał, nie komentował tego w żaden sposób.

- Proszę - powiedziała.

Wyciągnął rękę po nóż, ale ona uklękła przed nim i sama przecięła sznurek, wsuwając ostrze do kieszeni fartucha. William odwinął papier. Paczka zawierała skórzany notatnik i krótki list, napisany czarnym atramentem stłoczonym pismem, które zdawało się niechętnie stać prosto, ale jednocześnie nie było się w stanie zdecydować, czy chce się przechylać w

lewo czy w prawo. Polly wzięła papier.

- To od tego prawnika - zauważyła. - Sydneya Rosea. Twój dziennik botaniczny. A po co mu go dawałeś? Na co mógłby mu się przydać?

William potrząsnął głową. Nie przypominał sobie, żeby dawał Rose owi swój dziennik. Minęły już całe miesiące od chwili, gdy pamiętał, że trzyma go w rękach po raz ostatni. Zważył notatnik w dłoniach. Skórzana oprawa, mimo że bardzo poplamiona, nadal była miękka i ciepła w dotyku. Gdy Polly kierowała Mauricea w kierunku skromnej sterty skrzynek, upuściła list z powrotem na kolana męża. Był bardzo krótki.

Szanowny Panie, Gdy otrzyma Pan ten list, jestem zupełnie pewien, będzie Pan znowu cieszył się życiem jako wolny człowiek. Do dzisiaj jedynie z największym trudem mogę uwierzyć w niezawodność mojej pamięci, gdy wspominam wyjątkowy ciąg zdarzeń, które doprowadziły do oczyszczenia Pana z zarzutów. Mogę sobie jedynie wyobrazić, że będzie Pan dziękował za nie Bogu przez resztę swojego życia.

Pana oddany sługa, Sydney Rose

To była pierwsza wiadomość, jaką William otrzymał od Rosea od czasu swego uwolnienia. Na wpół spodziewał się, że tam będzie, gdy w końcu wypuścili go z Woolwich. Nawet teraz z największym trudem był w stanie powiązać dłoń, która wsuwała się niezgrabnie przez żelazną szczelinę w drzwiach jego celi, z tym zwięzłym i zdawkowym listem. Sprawilo to, że poczuł się niezręcznie, chociaż nie byłby w stanie sprecyzować dlaczego. Odłożywszy list na bok, otworzył notatnik i zaczął przerzucać jego strony. Polly zobaczyła, jak marszczy czoło.

- Co się stało?

- Najnowsze strony, wszystkie zostały wydarte - poskarżył się William. - Po co ktoś miałby robić coś takiego? Cała moja praca, wszystko, nad czym się zastanawiałem, wszystko było tutaj. A teraz przepadło, na zawsze.

Polly spojrzała nad głową męża, opierając jedną dłoń na jego ramieniu. Uchwycił ją w obydwie dłonie i przycisnął do ust

- Twoje piękne rysunki botaniczne - westchnęła z ustami w jego włosach. - Moje biedactwo. To prawdziwa zbrod - - nia.

- Botaniczne? To o kwiatach, prawda? - zapytał z zainteresowaniem Maurice.

William skinął głową.

- Więc ty jesteś trochę ogrodnikiem, tak?

A William wzruszył ramionami, zamykając książkę.

- Trochę.

Maurice zwrócił się do Polly.

- Dlaczego nie mówiłaś, ty głupia dziewczyno. We dworze cały czas potrzebują ogrodników, gości, co odróżnią jeden koniec róży od drugiego. - Wrócił do rozmowy z Williamem.

- Jaśnie pani bardzo w tym rozmiłowana. Ma oranżerie, przy których sam Ciystal Pałace przypomina szklarnię na ogórki. Wszystkie kolory tęczy, tak wygląda jej ogród, gdy przychodzi czerwiec.

- Maurice! - Polly napomniała go surowo. - William nie jest w ogóle zainteresowany zostaniem zwykłym ogrodnikiem. On ma zawód.

Maurice wzruszył ramionami.

- No cóż, mówię tylko tyle, że nie zabraknie pracy na naszych terenach nikomu, kto chciałby się zająć odrobiną - jak to nazywacie? - botaniki.

- Daj już nam święty spokój - burknęła Polly.

Założyła przed sobą ramiona, potrząsając gniewnie głową nad swoim bratem, ale William się uśmiechnął. Nie zauważył, że Polly zmarszczyła czoło również z jego powodu, sprowokowana jego milczeniem. Uśmiechnął się, spojrzawszy na swoje kolana. Uśmiech wypłynął z jakiejś odległej głębi w nim samym i przecisnął się przez ciemną zimową ziemię jego piersi z bladą determinacją przebiśniegu. Zabarwiony na zielono jak choroba morska i kruchy jak papier. *Galanthus nivalis*. Pierwszy kwiat wiosny.

#### PODZIĘKOWANIA

Podczas gdy wydarzenia historyczne, na których opiera się ta książka, są prawdziwe, a garstka rzeczywistych osób pojawia się tu w rolach epizodycznych, William i Tom oraz historia, która ich łączy, to fikcja. Wszelkie błędy faktograficzne mogę przypisać wyłącznie sobie.

Splądrowałam niezliczoną liczbę książek w poszukiwaniu zarówno informacji, jak i inspiracji, ale szczególny hołd należy się doniosłemu dziełu Henry ego Mayhewa, *London Labour and The London Poor* (Robotnicy i biedota Londynu) (1851), z której kart wyłoniło się tak wielu bohaterów tej książki. Cudowny *Underground London* (Podziemny Londyn) (1862) Johna Hollingsheada okazał się równie nieodzowny, podobnie *Notes on England* (Notatki o Anglii) (1872) Hippolyte'a Taine'a (1872) i *Gaslight and Daylight* (Przy świetle gazowym i dziennym) (1859) G.A. Sali. Do innych, bardziej współczesnych, ale równie nieocenionych źródeł należą *London: The Biography* (Londyn - biografia) Petera Ackroyda (2000), *The Victorians* (Ludzie epoki wiktoriańskiej) A.N. Wilsona (2001) i *The London Doré Saw: A Victorian Evocation* (Londyn oczyma Dorégo: wiktoriańska ewokacja) Erica de

Marégo (1972).

Informacje na temat pracy Josepha Bazalgette'a zawdzięczam zarówno książce Stephena Hallidaya, *The Great Stink of London* (Wielki smród Londynu) (1999), jak i pozycji R Trenchy i E. Hillmana, *London Under London* (Londyn pod Londynem) (1984), a także wielu jemu współczesnym relacjom, mianowicie H. Percy'ego *Boulnois Reminiscences of a Municipal Engineer* (Wspomnienia inżyniera miejskiego) (1920). Pragnę również podziękować pracownikom działu historii lokalnej w bibliotece Battersea Lending Library za umożliwienie mi dostępu do obszernej kolekcji sprawozdań ze spotkań Municipal Board of Works.

We wszystkich kwestiach dotyczących wojny rosyjskiej nie mogłabym znaleźć lepszych źródeł niż *The Crimean War* (Wojna krymska) Paula Kerra (1997) czy opracowanie Johna Shepherd'a na temat medycznych aspektów konfliktu, *The Crimean Doctors* (Krymscy lekarze) (1990). Szczegóły botaniczne konsultowałam również z *The Illustrated Flora of Britain and Northern Europe* (Ilustrowana flora Brytanii i Europy Północnej) Marjorie Blarney i Christophera GreyWilsona (1989).

I miałabym jedynie fragmentaryczne wyobrażenie o istotnych dla tej powieści kwestiach bez wyjątkowego studium samookaleczenia autorstwa Marilee Strong, *A Bright Red Scream* (Jasny czerwony krzyk) (1998).

Jest również spora liczba osób, bez których ciężkiej pracy inieustającej pomocy książka ta nigdy nie zostałaby napisana. Szczególne podziękowania kieruję do Clare Alexander, mojej cudownej agentki i przyjaciółki, która jako pierwsza wpadła na ten pomysł, i Mary Mount, mojej kapitalnej wydawczynie i całego zespołu w wydawnictwie Penguin, nie wspominając o Sally Riley, Susan Miles i niestrudzonych pracownikach bibliotek Battersea Library, Chelsea Library i British Library. Pragnę również podziękować Jill Sterry i jej kolegom i koleżankom z Thames Water, którzy podzielili się ze mną wiadomościami z pierwszej ręki na temat kanałów londyńskich.

Przede wszystkim chcę podziękować moim dzieciom, Charliemu i Florze, którzy bez żadnego narzekania dzielili się mną z moim laptopem, oraz mojemu mężowi Chrisowi, bez którego zupełnie nie byłoby warto wstawać rano z łóżka.

-